

Kontynuacja wypełnionej akcją i muzyką,
sprzedanej w 2 000 000,
a w Polsce w 100 000 egzemplarzy serii
Osiemdziesiąt Dni, uznanej za
„bardziej pikantny
i wysublimowany odcień
Pięćdziesięciu twarzy Greya”.
„Publishers Weekly”

Summer powraca,
ale Dominika
już nie ma...

Jesień

Kwartet Tom 1
Przyjemności

VINA JACKSON

KWARTET PRZYJEMNOŚCI 01

JESIEŃ

1. Pieśń o tęsknocie

Zawsze wiedziałam, że nie jestem taka jak inne kobiety.

Uznany psychiatra wyróżnił pięć stadiów żałoby: wyparcie, gniew, negocjacje, depresja i akceptacja.

Zaraz po śmierci Dominika nie doświadczyłam żadnego z nich. Więc jeśli chcecie, możecie mnie za to wykluczyć z kręgu ludzkości.

Na początku był jedynie szok. A potem mogłam już tylko tęsknić, tęsknić, tęsknić i tęsknić, wciąż od nowa.

To były walentynki i akurat ten dzień wybrałam na pierwsze od dwóch tygodni wyjście z domu. Wślizgnęłam się w zimowy płaszcz i poszłam na główną ulicę po kawę i chleb. Zastanawiałam się, co za pokręcona logika kazała mi wybrać właśnie ten dzień na opuszczenie bezpiecznego domu, w którym mieszkaliśmy razem przez ostatnie trzy lata.

Zatrzymałam się przed jakąś wystawą i gapiałam na tanie, entuzjastyczne kartki z życzeniami i na tłustego, złotego kupidyna, który stał obok i kierował strzałę prosto w pęk czerwonych balonów unoszących się nad jego głową. Na białym dymku wylatującym z jego wydętych usteczek widniało wypisane na czarno pytanie: „Czy pan przypadkiem o czymś nie zapomniał?”

Dominik umiałby się z tego śmiać, szczególnie z sugestii, że to on jest podejrzewany o zapomnienie o romantycznej okazji, a nie ja.

Od ostatniego dnia spędzonego razem z nim minęły zaledwie dwa miesiące. To był ranek przed Bożym Narodzeniem. Leżeliśmy obok siebie w łóżku. Czułam w uchu jego gorący oddech, bo przysunął do

niego usta. Mocno zaciskałam powieki, udając sen, chociaż zdawałam sobie sprawę, że on wie, że już się obudziłam. We śnie oddycham inaczej. On też. Kochankowie i pary wiedzą takie rzeczy.

Kiedy podniósł kołdrę i zsunął się z łóżka, na jego odległym drugim brzegu, poczułam na plecach zimny powiew. Po chwili odwrócił się i otulił mnie kołdrą. Jak zawsze, odsunął mi z twarzy pukiel włosów i zniknął. Rozciągnęłam się na łóżku, a potem znów zwinęłam w kłębek, tak jakbym zajmując mniej miejsca, mogła dłużej pospać.

Słyszałam dochodzący z dołu szum rozgrzewającego się ekspresu i stukanie, kiedy Dominik oczyszczał filtr z fusów wczorajszej kawy. Po każdym użyciu bardzo starannie mył ekspres i wycierał wszystkie części.

Zakup ekspresu do kawy był jednym z ustępstw, na jakie poszedł, gdy zamieszkaliśmy razem. Wcześniej bardzo się opierał i marudził, że te smukłe, srebrne potwory zajmujące kuchenne blaty w całym północnym Londynie to burzujstwo i strata pieniędzy, bo przecież łyżka kawy rozpuszczalnej albo kawa z sieciówki sprawdzają się równie dobrze. Szybko jednak podzielił mój odwieczny kawowy nałóg.

Do pokoju wdarł się bogaty zapach świeżo parzonej kawy i usłyszałam skrzypnięcie zamykanych drzwi. Dominik cicho podszedł do łóżka, postawił filiżankę na szafce nocnej i przedarł się nade mną na swoją stronę łóżka, zachowując kilka centymetrów odstępu.

Zanim wyruszył w drogę do kuchni po zimnych drewnianych podłogach naszego domu, włożył luźne bawełniane spodnie od pidzamy i skarpetki. Teraz próbował je jedną ręką zdjąć, jednocześnie gramoląc się z powrotem. Kiedy był znów nagi, wziął mnie w ramiona. Odsunął mi zmierzwione włosy na kark i skubnął mnie w płatek ucha.

Znaczył linią pocałunków moją szczękę. Wcisnęłam się w niego i zamruczałam, wydając odgłos sennej akceptacji. Wsunął lewe ramię pod moją szyję jak poduszkę, a prawą mnie dotykał. Trzymał w otwartych dłoniach moje piersi, jakby po raz pierwszy miał do czynienia z ich ciężarem i kształtem. Leżeliśmy obok siebie jak dwie litery S. Jego ciało odwzorowywało pozycję mojego.

Przyciskałam plecy do jego piersi, nasze uda były sklejone, kolana wsunął we wnętrza moich kolan, a ja trzymałam stopy na grzbietach jego stóp. Gdybym miała wybrać jedną pozycję, w jakiej spoczywalibyśmy do końca życia, tak jak ludzie mówią czasem, jaką książkę albo potrawę wzięliby na bezludną wyspę, to była ta.

Dominik często się dziwił, że tak doskonale do siebie pasujemy mimo dużej różnicy wzrostu. Tak jakby nasze ciała zostały wykute z jednego kawałka skały.

Miękki, aksamitny hełm na główce jego fiuta napierał mi na plecy nad pupą, a jego erekcja rosła. Cały czas miałam zamknięte oczy. Jasne, że chciałam czuć go w sobie. Zawsze chciałam. Ale nie byłam rannym ptaszkiem i zawsze, tego ranka jak każdego poprzedniego,

podniecenie walczyło z pragnieniem zapadnięcia w sen i odsunięcia w czasie chwili zmierzenia się z troskami wstającego dnia.

Zawsze byłam zbyt rozleniwiona, żeby odpowiedzieć pieśczołą. Poruszyłam się i zamruczałam z głębi gardła, a potem pozwoliłam mu dalej pieścić moje piersi. Zakołysałam biodrami, wygięłam plecy i naparłam na niego pupą, moszcząc się w zagłębieniu jego tułowia i bioder. Zawsze dawałam znak, że jestem wystarczająco obudzona, żeby uprawiać seks.

On zawsze oczekiwał sygnału, że go chcę, chociaż milion razy mówiłam mu, że może mnie pieprzyć nawet przez sen albo przez stan bliski snu. Bez względu na mój nastrój, samopoczucie i porę dnia zawsze miałam ochotę na seks. Tylko jego rodzaj zależał od mojego humoru, zasobów energii i aktualnego temperamentu.

Zsunął dłoń niżej i objął nią mój wzgórek łonowy. Kiedy lekko rozdzielił wargi palcem, cicho jęknęłam i wiedziałam, że jestem już mokra. Podniósł palec, tak jakby chciał mnie uciszyć i rozsmarował mi mój sok na dolnej wardze, żebym mogła skosztować słodko-słonego smaku.

Dominik zawsze powtarzał, jak uwielbia mój smak i nigdy też nie znudziło mu się udowadnianie tego. Przesunął mi kostkami palców po kręgosłupie, a potem złapał swojego fiuta i wprowadził go we mnie, bo wzajemne wiercenie nie zaowocowało połączeniem.

Zawsze kiedy jego kutas wchodził w mój ciasny otwór, wzdychałam. Nie miał największego fiuta na świecie. Plasował się po korzystnej stronie średniej. Dla mnie był idealny. To nie z powodu

rozmiaru brakowało mi tchu. Wrażenie robił ten moment, kiedy dokonywało się fizyczne zjednoczenie. Może byłam zwykłą kobietą, tylko pod pewnymi względami inną od reszty.

Nie chodziło o to, że nie lubiłam innych pieszczot ani że nie doceniałam intymności przytulania, leżenia na łyżeczkę i tych wszystkich dotyków, jakie wymienialiśmy. Ale byłabym gotowa umrzeć za to doznanie, kiedy jego kutas się we mnie wślizgiwał i nigdy nic nie było tak przyjemne jak jego pierwsze pchnięcie. Kołysaliśmy się do tyłu i do przodu, aż doszedł, a potem trzymał mnie w ramionach, aż się wysunął.

– Dziękuję – powiedziałam, wyciągnęłam ręce nad głową i sięgnęłam po kawę. Nie chodziło o to, że ją przygotował. Teraz była już zimna i pokryta zastygłą warstewką, która pękła, gdy wzięłam pierwszy łyk. – To moje ulubione przebudzenie.

– Wiem – odpowiedział z tym irytującym, porozumiewawczym uśmiechem rozlewającym się po jego twarzy.

Uderzyło mnie, jak dobrze mnie już zna. Lubiałam sobie siebie wyobrażać jako zamkniętą księgę. Jako enigmę. Poplątane kłębowisko psychologicznych niuansów tworzyło mnie złą, a szalona ja kryła się za sprytnie utkanym welonem przeciwieństw. Ale Dominik tego nie widział.

Od pierwszego spotkania w dokach St Katharine, po tym, jak skontaktował się ze mną po aferze w metrze, kiedy zostały zniszczone moje stare skrzypce, intuicyjnie umiał rozpoznawać moje najczulsze i najgłębiej ukryte punkty. Wydobywał ze mnie to, co najlepsze i

najgorsze. Błyskawicznie rozpracował misterną mieszankę cech, tworzących osobę, którą byłam. Ale dla niego to nie miało znaczenia. Kiedy na mnie patrzył, czułam, że jestem przezroczyista.

Dokładnie tę samą rozmowę odbywaliśmy każdego dnia po porannym seksie. To był jeden z naszych rytuałów. Dopiero kiedy odszedł, zorientowałam się, ile ich tak naprawdę było. Jak głęboko wniknął w materię tworzącą moje życie. Nie istniało bez Dominika. On był moim życiem. Te wszystkie krótkie chwile składały się na nie.

Jak kiedykolwiek mogło mi przyjść do głowy, że coś poza tym ma znaczenie?

Tego dnia po południu miałam zagrać na kameralnym koncercie charytatywnym w kościele niedaleko Highgate. Lauralynn też występowała. Miałam do nich dołączyć na chwilę, na jeden z dwudziestu czterech *Kapryśów* Paganiniego.

Często grałam jego krótkie utwory na lekcjach skrzypiec i doskonale się z nimi zapoznałam w czasie zbuntowanych lat dojrzwania, kiedy uczył mnie pan van der Vliet, jeszcze w Nowej Zelandii. Były trudne technicznie, ale właśnie o to chodziło. W zeszły weekend spotkaliśmy się wszyscy na pośpiesznej próbie.

Oboje z Dominikiem mieliśmy ten poranek wolny, żeby zrobić ostatnie zakupy. To pierwszy raz, kiedy miałam przygotować dla niego Boże Narodzenie w domu, bo wcześniej zawsze byliśmy w podróży. Raz ponownie odwiedziliśmy Nowy Orlean, gdzie po później kolacji w Tujague, niedaleko Jackson Square, Dominik

próbował znaleźć tajny klub, gdzie kiedyś, na jego rozkaz, tańczyłam nago przed publicznością.

Wciąż byłam pod wrażeniem pierwotnych więzów, które nas połączyły i wpływu zachwycającej rosyjskiej tancerki, której występ widzieliśmy. Wyglądało jednak na to, że miejsce, w którym wówczas znajdował się klub, było już nieaktualne, a nikt nie wiedział, dokąd się przeniósł. Innym razem, w toku naszego czasem burzliwego związku, zabrał mnie do Reykjavíku, gdzie wynajął SUV-a i po całej lodowej pustyni ścigał zorzę, a jego pocałunek przepędził z moich ust polarne zimno i rozpalił moje serce.

Indyk, którego zamówiliśmy przez Internet, został dostarczony dwa dni wcześniej i już się rozmroził. Musieliśmy kupić książkę kucharską, bo choć w domu były tysiące książek, żadna nie mówiła o jedzeniu.

Zgodnie ze wskazówkami przygotowałam pełne przypraw nadzienie i wpakowałam je do wnętrza wypatroszonego ptaka, potem pracowicie go zaszyłam, posypałam cukrem i dalszym ciągiem przypraw, a on puścił w piekarniku, w którym się właśnie znajdował, soczysty sok.

Ptak był ogromny, a ja bardziej się denerwowałam pieczeniem go niż graniem nowego utworu albo sprostaniem seksualnym wyzwaniom Dominika, teraz rzadszym, ale wciąż tak samo oczekiwanym.

– Jest ogromny – powiedziałam. – Znając moje szczęście, będzie albo suchy, albo surowy. – W głowie aż mi się kręciło z emocji. – Będziemy mieli zarcia na całe tygodnie.

Dominik tylko się uśmiechał, ale nic nie mówił. Oczy mu lśniły, a po ustach błąkał się psotny grymas. Szedł główną alejką sklepu, wybierał butelki i brał do ręki losowo wybrane pudełka czekoladek i ekskluzywnych ciastek, starannie analizując ich skład, zanim dokonał wyboru.

Zaprosiliśmy przyjaciół i znajomych na drinka w Boxing Day i postanowiliśmy z tej okazji podarować im spóźnione bożonarodzeniowe prezenty.

Wszystko to wydawało się ekscytująco swojskie.

I wtedy dotarło do mnie, że zapomniałam o warzywach. Zamierzałam wziąć się za to zaraz po śniadaniu, ale rozmarzenie, w jakie wprowadzał mnie seks, sprawiło, że wszystko wyleciało mi z głowy. Mimo że dzisiaj poranną sesję miłosną ograniczyliśmy do minimum, żeby szybko zacząć dzień.

Kiedy oboje mieliśmy czas, po leżeniu na łyżeczkę, które prowadziło do seksu w tej pozycji, Dominik przewracał mnie na plecy, i wycelowywał ścieżkę między moimi piersiami, po brzuchu i przez wzgórek docierał do łechtaczki, i pieścił mnie tam, aż doszłam.

Zaspokajanie mnie znów go podniecało i kiedy z dumą podnosił głowę, był już na nowo twardy, więc zaczynał wracać swoją ścieżką na górę i to prowadziło do kolejnej porcji seksu.

To nam weszło w nawyk, stało się jednym z seksualnych schematów, które znałam na pamięć, ale które nigdy nie stawały się rutyną. To było coś zbliżonego do uczenia się muzyki, nieważne, ile razy grałam ukochaną piosenkę, nigdy nie nudziło mi się słuchanie tych samych nut wygrywanych w tej samej kolejności.

– Cholera – powiedziałam. – Nie kupiłam ziemniaków. A niedługo mam recital. Chyba wrócę do domu.

Popatrzył na mnie, a w jego ciemnych oczach odbijały się światełka neonów.

– Jasne. Dokończę zakupy. Może znajdę dla ciebie jakąś niespodziankę? Jedź, a ja dołączę za jakąś godzinę.

Obliczyłam, że będę miała akurat dość czasu, żeby przygotować warzywa, wziąć skrzypce i dotrzeć do Highgate, więc nie musiał się śpieszyć. Piekarnik miał się sam wyłączyć, a ja wrócę późnym popołudniem i zdążę przygotować kolację zgodnie z planem.

Pomachałam mu niedbale i odeszłam.

Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby go pocałować.

Kurwa!

Kiedy otworzyłam drzwi do mieszkania, do moich nozdrzy wpadł zapach powoli piekącego się indyka i aż ślina napłynęła mi do ust. Może jednak będzie ze mnie kucharka! Szybko umyłam, obrałam i pokroiłam warzywa, a potem zawinęłam je w folię aluminiową.

Jak wrócę, włożę je do piekarnika. Pobiegłam do studia i przez chwilę zastanawiałam się, które skrzypce wziąć. Zdecydowałam się na

Bailly'ego. To była instynktowna, irracjonalna decyzja, bo przecież ostatnio ani na nim nie grałam, ani nie ćwiczyłam.

Z garderoby wyjęłam lekką jak piórko, jedwabną sukienkę z krótkimi rękawami, jedną z całego arsenału moich małych czarnych przeznaczonych na występy. Były prawie jak mundur. Sprawdziłam, czy nie ma plam, wsunęłam się w nią i przekopałam szuflady w poszukiwaniu rajstop, a potem dobrałam odpowiednie czarne buty.

Wybiegłam z domu, łapiąc ciężki, zimowy płaszcz, który położyłam obok skrzypiec i wybrałam odpowiedni kod na zamku przy rowerze. Pojechałam pod górę na wzgórze, w stronę Jack Straw's Castle, gdzie zamierzałam zjechać na Spaniards Inn i mijając Kenwood House, dotrzeć do Highgate.

Do kościoła dotarłam w piętnaście minut, dokładnie w chwili gdy przed wejściem zatrzymywała się czarna taksówka, z której wysiadła Lauralynn, jakby wyższa niż zwykle i ubrana w obcisły szary, doskonale uszyty garnitur w prążki. Zanim zapłaciła taksówkarzowi, wyjęła z bagażnika poobijany futerał z wiolonczelą.

– Jak oryginalnie – rzuciła, patrząc, jak szukam barierki, do której mogłabym przypiąć rower.

– Zalety nieco mniejszego instrumentu – odparłam i mrugnęłam do niej. Mimo że w przeszłości była związana z Dominikiem, po tym, jak zeszliśmy się na poważnie, została moją najlepszą przyjaciółką.

Pozostali członkowie jej zespołu czekali już w środku, a starsza organizatorka całego przedsięwzięcia powitała nas wylewnie, kiedy

dołączyliśmy do nich w małym sklepiku z pamiątkami, przekształconym na szybko w poczekalnię dla artystów.

Zanim przysłała moja kolej, kwartet zagrał improwizację na bazie utworu Philipa Glassa. Siedziałam na rozklekotanym krześle i przez otwarte drzwi słuchałam dźwięków dochodzących ze sceny, czyli miejsca w okolicy mównicy, opustoszonego na tę okoliczność.

Kawa, którą dla nas przygotowano, była słaba i bez smaku, więc po jednym łyku przerzuciłam się na wodę z kranu. Mroczne, zmysłowe dźwięki wiolonczeli Lauralynn okrażały powtarzającą się melodię jak lecący ptak; dominujące, królewskie, eleganckie i męskie w swojej sile.

Chociaż jej koledzy byli doskonali i w pełni profesjonalni, odnosiłam wrażenie, że ona prowadzi ich jak w wesołym gawocie, a kojące ciepło jej strun sunie jak lew mknący przez sawannę, którą tym razem był pełen echa kościół, wypełniany od czasu do czasu odgłosem kaszlu niewidocznego widza.

Rozległ się szmer braw, więc wzięłam mojego ukochanego Bailly'ego i wyszłam z nawy, kiedy już organizatorka mnie zapowiedziała.

Widownia jawiła mi się niczym wir pastelowych płaszczy, swetrów i szalików oraz kłębowisko twarzy. Nigdy nie zwracałam specjalnej uwagi na widzów. Jak tylko kładłam instrument na ramieniu, opierałam szczękę na podbródku skrzypiec i unosiłam smyczek, wszystkie domyślne ludzkie zmysły automatycznie się wyłączały, a ja pogrążałam się w swoim świecie.

Byłam sama w moim ciele, które istniało dla kaskad nut i fal niebywałych dźwięków, urzeczywistniających się za pomocą mojego instrumentu. Dla pizzicata, którym wypełniałam ciszę i układałam je w mozaikę piękna.

Jak zawsze, wydawało mi się, że reszta świata jest gdzieś daleko, a ja jestem sama z emocjami i duszą płonąca małym początkowo ogniem, rozprzestrzeniającym się po całym ciele, gdy tempo rosło, a ja wychodziłam z roli panującej nad instrumentem i zamieniałam się w jego służebnicę.

Muzyka przemieniała płynącą mi w żyłach krew w strzały światła i rozkoszy. Mrowiła mnie skóra, od czubka głowy do palców u nóg, stawałam się istotą zmysłową, lubieżną, wyzwoloną, znów w pełni żyjącą.

Jeszcze tylko w jeden sposób potrafiłam tak stanowczo wyrazić swoje emocje: poprzez seks i mroczne, a czasem nawet sprzeczne pragnienia, które budziły się, gdy łaknęłam, korzyłam się i błagałam o uczynienie mnie dziwką, ofiarą, zdobywczynią, kochanką albo inną jeszcze postacią z tych, które tworzyły fundamenty mojej duszy i które tylko Dominik potrafił poskromić.

Nawet gdy leżały w uśpieniu, wiedziałam, że wyglądają z zakamarków mojego umysłu; schorowane, wygłodniałe, czekające na najmniejszą oznakę słabości.

Muzyka i Dominik, ostoje mojej poczuciałości.

Kiedy weszłam do nawy, czułam chłód. Teraz pieściło mnie niewidzialne ciepło – całą. Skórzane pokrycie podbródka ocierało się

o moją skórę w rytm Paganiniego, miałam zamknięte oczy, pozwoliłam sobie wyruszyć w drogę i pogubić się w skomplikowanym labiryncie utworu, aż poczułam, że to muzyka gra mnie, a nie odwrotnie.

Mój umysł lewitował.

Postanowiłam, spuszczać z uwięzi kolejną falę rtęciowych nut, że dziś wieczorem poproszę Dominika, żeby wziął mnie ostro. Chciałam krzyczeć, płakać, znów w pocie i łzach odnaleźć sedno siebie.

Chciałam, żeby te święta były inne.

Boże, jak niewiele jeszcze wtedy wiedziałam.

Ocknęłam się z transu. Widownia o szarych twarzach klaskała uprzejmie, a niektórzy patrzyli na mnie z troską, bo chwiałam się na nogach, gdy echo *Kaprysu* jeszcze unosiło się nad nawą.

Odwróciłam się i zobaczyłam Lauralynn, która siedziała z wszechwiedzącym uśmiechem na twarzy, tak jakby potrafiła czytać mi w głowie jak w książce. Biła brawo wraz z widownią i pozostałymi muzykami. Wstała, zostawiając wielką wiolonczelę przy stołku i pocałowała mnie w policzek.

– To było... gorące, skarbie – szepnęła mi do ucha. – Dzielna dziewczynka.

Jej twarz wyrażała tyle zrozumienia, że poczułam się naga i niemal się zarumieniłam.

– Często ćwiczę ten fragment – powiedziałam, żeby się bronić. Choć to było kłamstwo.

Z niedowierzaniem wykrzywiła usta, a w jej oczach zalśniły iskierki. Przyjęłam oklaski, wróciłam do poczekalni, wzięłam płaszcz i wyszłam z kościołka, akurat gdy kwartet Lauralynn zaczął grać *Kwartet smyczkowy G-dur* Schuberta, zdecydowanie nie mój ulubiony. Wiedziałam, że nie będzie miała żalu, że wyszłam bez pożegnania.

Odpięłam rower od barierki. Zerknęłam na zegarek.

Dominik powinien już być w domu.

Będziemy mogli się pieprzyć.

Wszystko jedno, niech ten przeklęty indyk spędzi w piekarniku jeszcze trochę czasu, powiedzmy, że minimalizuję w ten sposób ryzyko złapania salmonelli...

Było już późne popołudnie i robiło się naprawdę zimno.

Przekręciłam klucz w zamku i uchyliłam drzwi, a wtedy owionęły mnie rozkoszne zapachy ciepłego jedzenia. Z gabinetu Dominika dobiegały dźwięki muzyki. Zawsze pisał przy głośnej muzyce rockowej. Położyłam futerał ze skrzypcami przy drzwiach i cicho je zamknęłam, nie zdradzając, że wróciłam.

Szybko zajrzałam do piekarnika i położyłam przygotowane wcześniej warzywa na niższej półce, pod brunatnym aktualnie indykiem. Zmieniłam ustawienia, nadal wiernie realizując wskazówki z kupionej kilka tygodni wcześniej książki kucharskiej.

Na palcach weszłam na górę do naszej sypialni, zrzuciłam płaszcz, rozpięłam suwak małej czarnej i wyszłam z niej, a potem w

samych rajstopach poszłam do garderoby, żeby ją powiesić i zastanowić się, co włożyć teraz.

Z niższego piętra rezonowało echo słuchanej przez Dominika muzyki. Rozpoznałam Lanę Del Rey i jej bujną orkiestrację. Utwór się skończył, a kiedy tak stałam, zastanawiając się, w czym mu się pokazać, rozdarta między wizją prostoty a ostentacją, przeszył mnie znajomy gorączkowy dreszcz, bo wróciły wspomnienia zabaw i objęć z przeszłości.

Czekałam chwilę, aż zacznie się kolejna płyta, bo pomyślałam, że może uda mi się ubrać tak, żeby dopasować się do muzyki. Wybrałabym materiały, kolory, obcisłości i luźności doskonale współgrające z melodiami, którymi postanowił pobudzić wyobraźnię. Od jakiegoś czasu pracował nad nową powieścią, ale zdradził niewiele szczegółów.

Czekałam.

Zielona ołówkowa spódnica, podkreślająca wąską talię, i biała bawełniana bluzka, jeśli wybierze Arcade Fire? Garnitur z frędzlami, gdy postawi na country?

Stałam przed lustrem, ubrana w nieprzejrzysty komplet Victoria's Secret, doskonale balansujący pomiędzy seksownością a stosownością, oraz rozcięte w kroku rajstopy.

Nadal nie było muzyki.

Widocznie głęboko wszedł w pracę i nie chciał się rozpraszać poszukiwaniem kolejnego wykonawcy.

A może powinnam pójść do jego gabinetu nago?

Doszłam do wniosku, że nie. Nagość ma swoje wymagania, rytuały. Czasem bywa wręcz mundurem. Nauczyłam się tego przy Dominiku, a także przy innych mężczyznach.

Cisza zasiedlająca dom zaczynała mnie niepokoić. To do niego niepodobne.

Po raz ostatni spojrzałam na siebie w lustrze. W niczym nie przypominałam aniołka Victoria's Secret. A już na pewno gwiazdy porno. Moje włosy były splątana rudą szopą, opadającą mi na ramiona, piersi bynajmniej nie były duże, wymalowane usta wyglądały jak parodia zachęty do seksu oralnego, a skóra była trupio blada.

Ale wiedziałam, że właśnie taką mnie lubi Dominik.

Cofnęłam się o krok.

Napalona kobieta w bieliźnie. To będzie musiało wystarczyć.

Powoli ruszyłam w dół schodów.

Zza drzwi gabinetu nie dobiegały odgłosy pisania. Nie słyszałam żadnego ruchu. Zapukałam. Chociaż Dominik nigdy się nie gniewał, kiedy przeszkadzałam mu w pracy.

Cisza.

Doszłam do wniosku, że nie słyszy, zagłębiony w odmętach wyobraźni. Tak jak ja pogrążałam się w muzyce.

Sięgnęłam do gałki w drzwiach.

Przekręciłam ją.

Popchnęłam drzwi palcami stopy.

W pokoju było niemal ciemno, jednym źródłem światła okazała się lampa stojąca przy komputerze. Głęboki fotel z czarnej skóry stał przodem do ekranu i widziałam tylko czubek głowy Dominika. Nie ruszał się.

– Masz coś przeciwko, żebym...?

W powietrzu wisiała niepokojąca cisza.

Niechętnie podeszłam do biurka.

Dominik wciąż się nie ruszał.

Zaschło mi w ustach.

Dotarłam do jego fotela.

Miał na sobie to samo ubranie, co na zakupach, kilka godzin temu. Siedział nieruchomo, twarzą do migającego ekranu. Wyglądał na zagubionego w myślach.

Zupełnie bez sensu, ale mój wzrok przyciągnął kursor, porzucony wpół słowa.

Wiedziałam, że to miał być „półcień”. Przez moment poczułam się winna, tak jakbym go szpiegowała, jego myśli. Zdradzała jego zaufanie. Oszukiwała. Czytała jego słowa, zanim uznał je za gotowe do publicznego czy nawet prywatnego użytku.

Nie zwrócił uwagi na ruch obok siebie.

Spojrzałam w dół.

Był biały jak ściana, a jego twarz zastygła w wyrazie obojętności.

Od razu wiedziałam, że nie żyje.

Zachowałam spokój, choć wzbierała we mnie burza, szął, niedowierzanie, rozpacz i strach, wszystkie w zwartym szyku.

Zacisnęłam pięści i próbowałam przypomnieć sobie te strzępy wiedzy na temat sztucznego oddychania, którego uczyłam się w szkole w Nowej Zelandii, ale cichy głos głęboko we mnie szeptał, że to nie ma sensu.

Nie miało.

W moim oddechu nie było żadnej magii, która jak w kiepskim filmie przywróciłaby go do życia, tak że zacząłby kaszleć i rozglądać się z niedowierzaniem.

Nie płakałam.

Zadzwoiłam na pogotowie.

Zawał serca, powiedzieli później. Gwałtowny i rozległy. Nie mogłam nic zrobić, nawet gdybym przy nim była.

Ale wiedziałam, że powinnam być. Przynajmniej trzymać go za rękę, wyszeptać mu do ucha ostatnie słowa, ukołysać go w tej końcowej, przerażającej podróży. Powiedzieć coś, co mógłby usłyszeć, słowa ułatwiające odejście. Cokolwiek.

„Jedną z tych rzeczy”, jak to się mówi.

Wiedziałam, że jego ojciec zmarł na atak serca, ale uznałam, że stało się to, gdy osiągnął podeszły wiek, a Dominik wciąż był młody. Nie miał żadnych problemów ze zdrowiem. Regularnie biegał wokół Heath, a w domu miał maszyny do ćwiczeń.

Twierdził, że pomagają mu się skupić na pisaniu przez długie godziny, ale ja podejrzewałam, że skłaniała go do tych ćwiczeń próżność, choć nigdy nie chciał się do tego przyznać.

Przyjechała karetka. W oszołomieniu otworzyłam drzwi sanitariuszom ubranym w zielono-żółte uniformy. Zrobili wszystko, co trzeba i ze współczuciem kiwali głowami, ale to nie miało znaczenia.

Zabrali ciało i zostawili mi stos papierów do wypełnienia. Wnioski. Kwestionariusze. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że stałam przed nimi w bieliźnie, w takim stroju, czy raczej w jego braku, w jakim weszłam do gabinetu.

Żaden z pracowników pogotowia nie zwrócił mi uwagi, zajęci byli swoimi sprawami. Nawet ta starsza kobieta, która prowadziła karetkę. Zresztą, nieważne. Tylu obcych ludzi widziało już moje ciało, że nie robiło mi to różnicy.

Karetka odjechała. Do szpitala Royal Free Hospital? Do jakiejś kostnicy? Do miejsca, w którym ciała trzymane są w chłodzie, aż zostaną dopełnione wszystkie formalności? Nie miałam pojęcia. Zanim wyszli, spytałam tylko, czy w tych okolicznościach konieczna będzie sekcja, ale powiedzieli, że to bardzo mało prawdopodobne. To ewidentnie był zawał.

Dobrze. Jakoś nie mogłam się pogodzić z tym, że ciało Dominika mogłoby być rozcinane. Potem z przerażeniem uświadomiłam sobie, że nawet nie wiem – chciał być pochowany tradycyjnie czy skremowany. Nigdy nie przyszło nam do głowy, żeby o tym rozmawiać.

Zdjęłam rajstopy i stanik i położyłam się do łóżka w samych majtkach Victoria's Secret. Chciałam się rozpłakać, ale łzy nie przychodziły. Bardzo długo spałam.

Dwa dni później zadzwonili ze szpitala, żebym przyszła z wypełnioną dokumentacją. Spyтали też, czy chcę dostać z powrotem ubrania, które miał na sobie w chwili śmierci i w których go zabrali.

To pytanie tak mnie zszokowało, że tylko się zadławiłam i nie byłam w stanie odpowiedzieć.

Powiesiłam właśnie jego płaszcz. Miał go na sobie ostatniego dnia i zostawił na krześle w kuchni. W wewnętrznej kieszeni znalazłam kopertę. Była zaadresowana do mnie eleganckim pismem Dominika.

„Dla Summer, zimowego dnia”.

Żołądek ścisnął mi się z niepokoju, kiedy bez wahania rozrywałam kopertę, licząc na zagubione słowa spoza lustra bez powrotu, za którym teraz spoczywał.

Nie było słów. Tylko szczątkowa mapka.

Początkowo nie miała sensu. Była bardzo ogólna i wyglądała jak wyspa skarbów narysowana przez małe dziecko, z dużym krzyżykiem oznaczającym skrzynię. Odwróciłam kartkę i zaczęło do mnie docierać, co przedstawia.

Zatrzymałam się, żeby złapać oddech.

W jednej chwili zdałam sobie sprawę, dokąd prowadzi łańcuszek strzałek i jaki przekaz kryje mapa.

Kiedy Dominik ją narysował?

I kiedy chciał mi ją dać?

Obstawiałam, że pierwszego stycznia. Zawsze celebrował rytuały, bywało, że w sposób zakrawający na melodramat.

Czy ta mapka miała mnie zaprowadzić jak bohaterkę baśni do spóźnionego prezentu gwiazdkowego?

Gdzie zamierzał zostawić kopertę?

Na niskiej szafce nocnej przy moim łóżku, gdzie znalazłabym ją po przebudzeniu, walcząc jeszcze o powrót do snu. A on wyszedłby z domu, żeby nie psuć niespodzianki.

Złapałam kartkę i pobiegłam na dół. Zawiązałam sznurówki butów do biegania i włożyłam starą, wytartą skórzaną kurtkę, której od dawna nie nosiłam. Śnieg, który spadł kilka dni temu, już prawie całkiem stopniał, zostały już tylko pojedyncze zasy i śniegowe kołnierze otulające pnie drzew przy drodze prowadzącej do Heath.

Strome zejście do Vale of Health znajdowało się zaledwie sto metrów od naszego domu, a pierwsze drzewo na ścieżce miało szczególny kształt i wyrastało pod dziwnym kątem. Pamiętam, jak Dominik raz zwrócił mi na nie uwagę.

Z całą pewnością było zaznaczone na mapce, tuż obok rysunku czegoś, co wyglądało jak piórko do gitary. Miałam to zapisane w pamięci. Zeszłam z drogi, uklękłam przy pniu i bez rękawiczek zaczęłam rozgrzebywać cienką warstwę śniegu i ziemi. Zamknęłam oczy i zdałam się na zmysły, badając kieszonkę popękane go lodu i wzruszonej ziemi, aż znalazłam.

Piórko do gitary.

Wiedziałam, dokąd prowadzi ślad.

Już raz został utworzony.

Przeze mnie.

Dla Dominika.

Jako deklaracja.

Pobiegłam w dół wzgórza. Wiedziałam, że w tym pośpiechu pomijam inne stacje pośrednie z pozostałymi piórkami do gitary wyznaczającymi szlak, ale nie miałam wątpliwości, dokąd on prowadzi.

Postawiłam kołnierz kurtki, bo lodowate zimno przenikało mnie, kiedy wychodziłam na otwartą przestrzeń Heath niedaleko parkingu. Dalej poszłam drogą przy stawach. Potem przez most i węższą ścieżką w lewo, w kępę wysokich drzew.

Mogłabym odbyć tę drogę z zawiązanymi oczami.

Mimowolnie wzdrygnęłam się na myśl o zawiązanych oczach.

Ten pierwszy raz, kiedy grałam dla niego w krypcie...

Przyśpieszyłam kroku i z ust wylatywały mi teraz obłoki pary, ale dotarłam wreszcie na polanę.

Trawiaste wzgórze prowadziło do metalowej estrady.

Zdyszana dotarłam do tej wielkiej altany.

Obejrzałam mapkę.

N jak północ, S jak południe i tak dalej.

Sprawdziłam, gdzie jestem.

Duży krzyżyk wskazywał północny róg.

Znowu uklękłam i naruszyłam cienką warstwę pokrywającego ziemię lodu. Nie czułam już zimna. Kopałam. Wstrzymałam oddech.

Natrafiłam na coś twardego. Rozkopałam ziemię wokół. Złapałam tę rzecz w cztery palce i wyciągnęłam.

Małe pudełko.

A w środku jeszcze jedno. Ale nie zwykłe, kartonowe, jak to na zewnątrz, które miało chronić zawartość przed wpływem czynników zewnętrznych, tylko miniaturowa skrzynka o kwadratowym boku, wysoka na jakieś pięć centymetrów, wielkości połowy dłoni, z maleńkimi złotymi zawiasami z tyłu. Pokryta cienką warstwą granatowego aksamitu, delikatnego w dotyku.

Zacisnęłam ją mocno w dłoni i wciągnęłam zimne powietrze, od którego zapłonęły mi płuca.

Dominiku, coś ty wymyślił? Na pewno nie jest to pierścienek zaręczynowy. Zgadaliśmy się, że małżeństwo nie jest dla nas. Ale może to były tylko pozory, takie gadanie, że nie potrzebujemy oków staromodnej tradycji, żeby być ze sobą blisko? Żadne z nas nie chciało mieć dzieci, więc urzędowe oświadczenia i wynikające z nich korzyści też nie były dla nas.

Od klęczenia na zimnej ziemi zaczęły mnie boleć kolana. Wstałam i otarłam dłonie w dzinsy.

Nie, pomyślałam, Dominik nigdy by mi nie kupił pierścienka zaręczynowego. Miał na to stanowczo za dużo wyobraźni i wrodzoną skłonność do niekonwencjonalnych rozwiązań.

Uśmiechnęłam się, bo głowę wypełniły mi wspomnienia różnych nowatorskich i wyzywających sytuacji, którymi mnie zaskakiwał. Raz, kiedy stałam przed nim naga i już miałam grać ostatnie solo ze

skrzypcowego *concerto* Maxa Brucha, poprosił mnie o szminkę, a potem pomalował nią moje brodawki i wargi sromowe.

Na głęboki, intensywny odcień czerwieni. Nigdy nie zapomnę szoku, w jakim byłam, kiedy zdałam sobie sprawę z jego zamiarów ani podniecającego doznania kosmetyku o konsystencji wosku na skórze. Zdobił swoją kochankę, swoją dziewczynę.

Nie policzyłam do dziesięciu ani nie wzięłam głębokiego wdechu. Po prostu otworzyłam wieczko. Na czarnym jedwabiu leżała delikatna złota bransoletka, tak cienka, że wyglądała, jakby miała zerwać się od najlżejszego dotyku.

Ostrożnie ją podniosłam i przyglądałam się jej, kiedy leżała na dłoni. W dotyku była mocniejsza niż na oko. Zamiast zwykłego zapięcia miała miniaturową kłódkę. Mniejszą od połowy mojego paznokcia małego palca. Otwierało się ją, delikatnie naciskając i przekręcając.

Pasowała na mój wąski przegub tak idealnie, jakby Dominik zdjął miarę, kiedy spałam. Nie mógł porównać rozmiaru z innymi, bo nie miałam zegarka, a biżuterię nosiłam rzadko.

Chociaż kto wie, od ilu dni leżała w ziemi, nie była zimna. Złoto miało swoje ciepło i wiedziałam, że będzie pasować do moich rudych włosów i białej skóry.

Marzyłam tylko, żeby to Dominik zapiął mi ją na rękę.

Zaczęłam się zastanawiać.

Nie miałam wątpliwości, co miał na myśli, wybierając kłódkę. Nigdy nie akceptował obroży w stylu BDSM. Uważał, że są zbyt

ostentacyjne i chociaż nigdy tego nie powiedział, instynktownie wiedziałam, że jego zdaniem takie akcesorium nadałoby naszej relacji rys pantomimy, a nie erotyzmu.

To był nasz kolejny kompromis. Ja z przyjemnością nosiłabym obrozę Dominika, ale to nie było dla niego.

Nawet jeśli symbolika kłódki była oczywista, nie w jego stylu było zostawienie liściku czy notatki, zamiast słów, które mógłby wypowiedzieć osobiście. Słowo pisane było jego żywołem. Często zostawiał mi w domu karteczki. Czasem, żeby poinformować, że wyszedł coś załatwić, ale będzie o którejś tam, a czasem zapisywał instrukcje, w co mam być ubrana albo co robić, kiedy wróci.

Podniosłam pudełko i przyjrzałam mu się uważniej. Była tam, schowana w kartonowym opakowaniu, które prawie wyrzuciłam. Kartka białego papieru złożona na pół i jeszcze na pół. Grubsza niż papier do drukarki, o ostrych brzegach. Wieczór był jasny, więc mogłam odczytać napisane na czarno słowa.

Najdroższa Summer,

bransoletka, nie obroża, bo mam nadzieję na posiadanie tylko części ciebie. Tej, którą będę miał zamkniętą w sercu na zawsze. Reszta, moja jedyna, jest twoja.

I zawsze będzie.

Twój Dominik

Schowałam liścik i opakowanie do kieszeni, zaczęłam biec z powrotem, potykając się i ślizgając na miękkiej ziemi Heath, bo za

szybko chciałam pokonać drogę wśród korzeni i kamieni, do tego w słabnącym szybko świetle.

Każdą cząsteczką swojego istnienia marzyłam, żeby go jakoś przywołać z powrotem, żeby był w domu, kiedy wrócę, rozwiązawszy zagadkę, którą dla mnie zostawił. Ale kiedy otworzyłam drzwi i weszłam, w środku były tylko puste pokoje. We wnętrzu rozlegał się odgłos mojego oddechu, nadal urywanego.

Tęskniłam za nim. Za jego obecnością. Za głęboką barwą jego głosu, za tym, że dzwonił do mnie bez powodu, chociaż wiedział, jak nienawidziłam rozmawiać przez telefon. Tęskniłam za stukaniem palców w klawisze późno w nocy. Czasem nie mogłam przez to zasnąć, a czasem ten odgłos przenikał do moich snów.

Tęskniłam za wspólnym śmiechem z tego powodu. Za tym, jak w nocy siedziałam naprzeciwko niego przy stole śniadaniowym, kiedy opętał go szal tworzenia albo po prostu presja deadline'u i nie chciał przyjść do łóżka. Oboje byliśmy wykończeni.

On z powodu niedostatków snu, a ja z powodu dziwnych wizji, które wywoływał w moim mózgu dźwięk uderzania w klawisze: zasypiałam przy obrazach stepujących tancerek wystukujących rytm albo kropel deszczu uderzającego w blaszany dach. Upierał się, że nie mogę go słyszeć z dołu, ale odpowiadałam żartem, że może inne pary są połączone żebrem, ale my jesteśmy połączeni mózgiem.

Tęskniłam za jego drzewnym, męskim zapachem, który nie był aromatem perfum, mydła ani żelu do włosów, tylko po prostu

zapachem Dominika. Tęskniłam za tym, jak jeden kącik jego ust zawsze unosił się w uśmiechu odrobinę wyżej niż drugi.

Tęskniłam za kształtem strzały, w jaki układały się kości jego bioder, wskazując na pachwiny i za tym, jak narzekał na tłuszczczyk, chociaż z trudem łapałam choćby najcieńszą fałdkę na jego wiecznie płaskim brzuchu.

Tęskniłam za jasnymi włoskami na jego piersi, za leżeniem na nim na kanapie i muskaniem ich palcami w te rzadkie noce, kiedy razem oglądaliśmy telewizję, nadrabialiśmy zaległe odcinki na niekończących się wydaniach DVD albo po prostu oglądaliśmy *Wiadomości*.

Tęskniłam nawet za tym, co mnie wkurzało. Za tym, że czasem chrapał. Mokre ręczniki wieszał na kłamce, a nie na wieszaku, choć wiadomo było, że zaraz wylądują na podłodze. Za tym, że nie jadł winogron, dopóki nie wydłubał z nich wszystkich pestek.

Że chodził za mną po domu i gasił światła, które zostawiłam, a do tego cmokał, chociaż wiedziałam, że kwestie ochrony środowiska i oszczędności są mu całkowicie obojętne. Za niezliczonymi łyżkami cukru, które sypał do kawy. Za jego miną, kiedy droczyłam się z nim, opowiadając, jak bardzo chciałam mieć kota, chociaż świetnie wiedziałam, że nie mógł znieść myśli o posiadaniu zwierzaka.

Ale najbardziej tęskniłam za ciepłem jego ciała w łóżku obok mnie, co rano, kiedy się budziłam, a on kochał się mną na tyle różnych sposobów. Otwierałam się na niego i na jego pragnienia jak nigdy wcześniej.

A teraz nie mogłam sobie wyobrazić, że kocham się z jakimkolwiek mężczyzną poza nim, chociaż Bóg jeden wiedział, jak bardzo byłam podniecona oraz ilu miałam wcześniej, zanim zeszliśmy się z powrotem po klęsce naszego pierwszego luźnego związku.

Żałoba przybrała formę pożądania, a moje pożądanie Dominika było nigdy nieniknącą tęsknotą. Biały żar wypełniał każdą tkankę mojego ciała, aż czułam, że strawi mnie niczym ogień, który będzie się palił bez końca.

Teraz codziennie od nowa przeżywałam moje ostatnie przebudzenie przy nim. Czasem odtwarzałam to w pamięci dokładnie w takiej postaci, w jakiej się wydarzyło, a czasem wyobrażałam sobie, co bym zrobiła, gdybym wiedziała, że to będzie ostatni raz. Co bym powiedziała.

Że go kocham, co dla mnie znaczył i że nieważne, jeśli będzie się ze mnie wyśmiewał za takie mazgajstwo. Boże, jak tęskniłam za jego wyśmiewaniem się ze mnie. Wyobrażałam sobie, że odwracam się do niego, gdy tylko poczuję jego dłoń na moich włosach i dotykam go.

Myślałam o tym, jak przycisnęłabym usta do jego skóry i ułożyła szlak pocałunków, prowadzący do jego lędźwi. Jak wzięłabym do ust jego fiuta i oddała mu cześć. Przesuwałabym ostrzem języka po całej długości, wkoło, a potem muskałabym każdą żyłkę i każde wgłębienie, aż poczułabym jego smak na języku.

Kiedy tak leżałam w bezsenne noce, przywoływałam go siłą umysłu. Precyzję i stanowczość jego dotyku, nacisk jego ust na moje wargi. To, jak się bawił i mnie prowokował, aż byłam gotowa

wybuchnąć, a wtedy się wycofywał i śmiał, tak jakby obserwowanie mojej narastającej desperacji było najzabawniejszą rzeczą na świecie.

Potrafiłam sobie nawet przypomnieć dotyk opuszków jego palców przesuwających się po mojej skórze. Odciski jego palców miałam zapisane w pamięci jak mapę ścieżek, którymi snułam się w snach jak dusza potępiona. Znałam każdy pagórek, każdą dolinę, każde zagłębienie i każdy kształt jego ciała. Pokręcone ścieżki jego linii życia.

Czasem wydawało mi się, że w ogóle nie istnieję. I nigdy nie istniałam. Przed Dominikiem byłam nikim. Magnetyt, który trzymał mnie przy ziemi, zniknął. Wróciła pustka.

2. Dance macabre

Myśli o Dominiku wypełniały rozproszoną układankę moich snów i pustynię dni.

W nocy nosiłam żałobę jak całun. Owijałam się jakby w ciężką pelerynę, a im ciaśniej się nią otulałam, tym bliżej niego byłam. Kiedy nie spałam, musiałam uporać się z urzędową stroną śmierci.

Pogrzeb się odbył i minął, a moja siostra Fran i stary przyjaciel Chris zostali ze mną na trochę, chociaż już się nie spotykali. Nie udało mi się przewalczyć przekonania, że żadne z nich nie rozumiało do końca ani nie pochwalało mojego związku z Dominikiem.

Z tego powodu, chociaż czułam się, jakbym miała serce porwane na strzępy, zlokalizowałam seksualne akcesoria, które Dominik

trzymał pochowane w różnych częściach domu i upewniłam się, że żadne z nich nie wpadnie przypadkiem na linę albo pejcz.

Nie było tego dużo. Dominik nigdy nie był gadzeciarzem. Kajdanki i packi nie były w jego stylu. To nasza natura sprawiała, że w sypialni walczyliśmy ze sobą i poddawaliśmy się sobie. Niepotrzebne nam były akcesoria.

Miał jednak kilka rzeczy, kupionych z ciekawości albo po to, żeby mnie drażnić, dręczyć albo podkręcać. A czasem po prostu dlatego żeby wprowadzić nowe doznania, szczególnie kiedy wszystko było dla mnie jeszcze nowe i jak dziecko w sklepie z zabawkami chciałam spróbować wszystkiego, od wosku po tortury elektrycznością.

Na przyjazd moich gości schowałam wszystkie te rzeczy, na które nie chciałam zwracać ich uwagi, głęboko w szufladach zamykanego na klucz niskiego kredensu stojącego przy drzwiach wejściowych. Do czasu ich wyjazdu zachowywałam się tak, jak powinnam się według nich zachowywać.

Z zastygłym na twarzy grymasem żałoby godnym cierpiącej wdowy leżałam na kanapie i pozwalałam im donosić sobie kubki gorącej herbaty, otwierać drzwi i obdzwaniać dostawczych różnych usług oraz towarzystwo ubezpieczeniowe, żeby, podając się za mnie, przepisywali wszystko na moje nazwisko.

Zdobycie odszkodowania okazało się niemożliwe.

– Musimy porozmawiać z osobą ubezpieczoną – słyszałam dobiegający z drugiego końca linii śpiewny głos.

– Czy pani nie rozumie – syczała Fran – że osoba ubezpieczona nie żyje?

Przez szparę w drzwiach wciąż wpadała adresowana do Dominika korespondencja. Listy upadały na podłogę przy drzwiach z taką samą lekkością jak wszystkie inne, nieświadome, jakim ciężarem był dla mnie widok jego nazwiska.

Papierkowa robota na okoliczności śmierci zdawała się nie mieć końca, a ze wszystkich tych banalnych papierów, które żyły dłużej niż człowiek, do którego należały, najgorsze były reklamy i rachunki za elektryczność.

Początkowo bransoletkę z maleńką klódeczką, którą Dominik ukrył przy estradzie, nosiłam, tylko kiedy byłam sama, ale w nocy bardzo często spałam, zaciskając ją w dłoni. Nie wstydziłam się jej symboliki, publicznego zdeklarowania się jako poddana Dominikowi, ale po prostu było to dla mnie zbyt osobiste i zbyt doskonałe, żeby się z tym obnosić publicznie. Nie chciałam też, żeby skalało ją codziennie życie.

Po pewnym czasie moi przyjaciele, rodzina i inni dobrze mi życzący zaczęli stopniowo znikać, a ja wstałam z kanapy i rzuciłam się w wir pracy.

Summer publiczna i Summer prywatna. Przyszło mi to zupełnie naturalnie – rozdzielenie dwóch części mojej natury. A kontrast między nimi uświadomił mi, jak potwornie byłam samotna bez Dominika. Był jedyną osobą, przed którą stawałam się całkiem sobą, której pokazywałam wady, dziwne pragnienia i pomieszane emocje.

Po raz pierwszy od jego śmierci weszłam do gabinetu i przyjrzałam się ciemnemu ekranowi komputera, stosom papierów, słowników i folderów rozłożonych na biurku. Zauważyłam blade czerwone światełko odtwarzacza. Był cały czas włączony, a ja zapomniałam go wyłączyć.

Wydawca prosił o sprawdzenie, jak zaawansowane były prace Dominika nad nową książką. Mieliśmy jednak taką zasadę, że nie dyskutowaliśmy o pracy, dopóki było OK, więc nie miałam pojęcia, czy najnowsza powieść wyszła choćby poza stadium pierwszego szkicu.

Usiłowałam się zorientować, która warstwa wydruków składała się na ten projekt, o którym nie wiedziałam nic, gubiłam się wśród przypadkowych notatek, nieaktualnych szkiców, wykładów akademickich, rachunków, oświadczeń i ręcznie zapisanych przemyśleń.

Porzuciłam to, poruszyłam myszką, patrzyłam, jak ekran ożywa, a potem zamówiłam w firmie Argos zestaw przewodzkowy, który miał zostać dostarczony dziś po południu. Dominik skarciłby mnie za taką impulsywność i wydawanie pieniędzy na drogą usługę kurierską, skoro spokojnie mogłam poczekać kilka dni na standardową dostawę. Ale w tamtym momencie nie byłam gotowa na wyjście z domu.

Ubrany na niebiesko kurier przybył dwie godziny później, a z nim wielkie kartonowe pudło, w którym mieściły się pozostałe dziewięć pudełek, taśma do pakowania i flamastry do opisywania kartonów. Bez słowa pokwitowałam odbiór i zamknęłam drzwi, a następnie

podzieliłam pudełka i zajęłam się pakowaniem pozostałości po życiu Dominika.

Moje wspomnienia o nim były jak zaciskane w dłoni perły. Wiedziałam, że im więcej czasu minie, tym bardziej będą przypominały dym, rozmywały się na brzegach i odpływały.

Wtedy jednak nie żywiłam jakichś szczególnych sentymentów wobec jego rzeczy. Dom mógłby spłonąć na popiół, a mnie byłoby wszystko jedno. Przecież bez niego te wszystkie rzeczy nie miały znaczenia.

Zaczęłam od najprostszych. Buty wizytowe, krawaty i spinki do mankietów, czyli przedmioty, których nie nosił, aż sytuacja go do tego zmusiła i które nie wydawały mi się częścią jego.

Wręcz przeciwnie, potrafiłam sobie wyobrazić jego szyderczy uśmiech na widok tych dowodów rzeczowych służbowych konferencji, dni otwartych i ślubów dziwnych znajomych, które właśnie znikwały w głębi brązowych kartonowych pudeł zaklejanych srebrną taśmą.

Mój pęd do działania został gwałtownie zahamowany, gdy opróżniłam półki z pozbawionych znaczenia przedmiotów i doszłam do ubrań, które faktycznie były dla niego ważne albo które nosił na co dzień. Rzeczy, które wciąż nim pachniały.

Zapachem ciepłym, męskim i kojącym. Miał tyle czarnych ubrań! Czarne dżinsy, czarne spodnie od garnituru, czarne kaszmirowe swetry, czarne szaliki, czarne rękawiczki ze skóry. Ubrania żywego

Dominika doskonale nadawały się dla martwego, więc zostawiłam je w jego garderobie.

Przeszłam do półek w korytarzu z zamiarem przejrzenia jego książek i przeniesienia przynajmniej niektórych do magazynu. Dominik był kolekcjonerem i doszło do tego, że liczba zgromadzonych przez niego książek zaczynała utrudniać funkcjonowanie.

Rozmawialiśmy nawet o dobudowaniu pomieszczenia, które mogłoby pomieścić jego wciąż rozrastającą się kolekcję. Wiedziałam, że to pasja, której nigdy nie porzuci i stanowiła część jego osobowości w takim stopniu, że nie śmiałabym tego zmieniać, nawet gdyby było to możliwe (wiedziałam, że nie jest).

Otworzyłam jakąś książkę na chybił trafił, przysunęłam do twarzy i wzięłam głęboki wdech. Szczególny zapach starych książek był jak kopniak w brzuch. Ten sam zaatakował moje zmysły za pierwszym razem, kiedy przyszłam do tego domu.

Przypominał mi Dominika; kiedy zamykałam oczy i wdychałam powietrze, jego duch pojawiał się przy mnie w tak żywej, trójwymiarowej postaci, że równie dobrze to naprawdę mógłby być on.

Wyjmowałam książki jedna po drugiej i zdejmowałam z półek: szmatławce thrillery, dziwne powieści detektywistyczne w tanich, miękkookładkowych wydaniach, a także groszowe koszmarki, często z cypatyimi blondynkami na okładkach i wytłuszczonymi zdaniami w stylu: „Wystarczyło jedno spojrzenie i poprzysiągł, że ją zdobędzie”.

Były też ciężkie tomiszczą poświęcone literaturze, w twardych oprawach i ze złożonymi brzegami, grube powieści fantastyczne, albumy fotograficzne o lśniących stronach, nietypowo wielkie księgi zawierające stare mapy, lekkie jak piórko magazyny poetyckie z fruującymi luźno kartkami oraz ciężkie biografie pisarzy, odkrywców i muzyków.

Jedna za drugą lądowały na podłodze z głuchym hukem albo łopotem, aż w końcu byłam już nimi otoczona. Wtedy upadłam wśród nich na kolana, zwinęłam się w kłębek i zaczęłam szlochać.

– Kim ty byłeś, Dominiku? – chciałam krzyknąć.

Ja rzadko coś czytałam, nie licząc kupowanych od czasu do czasu gazet albo łapanych w pośpiechu thrillerów, które miały mi umilić czas spędzony w samolocie, na lotniskach i w pokojach hotelowych.

Czemu on otaczał się tyloma wymyślonymi światami? Widziałam, że ułożył je w jakimś porządku. Nie miałam jednak pojęcia w jakim. Nagle klucz, według którego układał książki, wydał mi się najważniejszą rzeczą na świecie. Czemu nigdy nie spytałam?

To były pierwsze moje łzy od czasu jego śmierci. Popłynęły szybko i gęsto, aż nie została ani jedna do wypłakania. Zmiażdżona i wyczerpana przytuliłam policzek do stronic jakiejś powieści i odpłynęłam w niespokojną drzemkę.

Zaczęłam sypiać w różnych pokojach albo tam, gdzie akurat byłam, kiedy mnie zmorzył sen. Ani razu nie zasnęłam tylko w gabinecie Dominika, na łóżku, na którym położył mnie za pierwszym razem, kiedy się tu kochaliśmy, po moim nagim występie w krypcie,

kiedy był tak podniecony moją muzyką, że wziął mnie na kamiennym murze jeszcze przed powrotem do domu.

Jego gabinet zawsze kojarzył mi się w równym stopniu z żądzą, co z bezdomnością. Nie był to tylko pokój, w którym pierwszy raz kochaliśmy się naprawdę, ale także ten, który najbardziej mi się z nim kojarzył. Spędził tu najwięcej samotnych nocy, wystukując na klawiaturze słowa, które tyle dla niego znaczyły.

Instynktownie czułam, że ten pokój to jego terytorium. Ale teraz był to również pokój, w którym umarł i nie mogłam znieść przebywania tam. Bez niego cały dom był pusty. Ale w gabinecie było bardziej niż pusto. Tak jakby zostawił po sobie czarną dziurę, obszerną jaskinię nieobecności tak dojmującej, że gdybym zbyt długo stała w pobliżu, mogłaby mnie wessać do środka.

Rzadko coś mi się śniło, ale jeśli już, to boleśnie. Chętnie powiedziałabym, że sypiałam jak zabita, ale to wyrażenie sprawiało, że się wzdrygałam, nawet słysząc je tylko w swojej głowie.

Spałam jak ogłuszona, przesypiałam znacznie więcej godzin, niż potrzebował normalny człowiek, mimo kawy, którą wypijałam w wielkich ilościach i bez pomocy nagrań krzyków wielorybów, fletni Pana ani proszków nasennych. Kiedy już coś mi się śniło, sny były albo pełne przemocy, albo fantastyki, ale zawsze śniłam o nim.

O jego rękach na moim gardle, kiedy mocno mnie ujeżdżał albo w talii, kiedy przyciskał mnie do podłoża. Nawet o tych chwilach, w najgłębszych odmętach naszych miłosnych sesji, kiedy sprawiał, że

się dławiłam albo pluł mi w twarz, gdy przed nim klęczałam i robiłam, co w mojej mocy, żeby połknąć jego fiuta aż do nasady.

W ciągu dnia wspominałam jego delikatność i czułość, ciepło jego ciała, kiedy leżeliśmy obok siebie na łyżeczkę albo to, jak jego dłoń pasowała do mojej, kiedy szliśmy obok siebie. Ale w nocy moją wyobraźnię wypełniała jego czarna strona. Podświadomość dawała mi do zrozumienia, w jakim stopniu ta część była mi niezbędna.

Poderwał mnie cichy dźwięk z zewnątrz. Było zimno i ciemno, bo zasnąłam w ciemności i z wyłączonym ogrzewaniem. Otworzyłam drzwi wejściowe i wyjrzałam. Rześkie wieczorne powietrze owionęło moją naznaczoną łzami, opuchniętą twarz i orzeźwiło mnie jak zimna woda.

Na progu stał wiklinowy koszyk zakryty od góry ściereczkami. Ostrożnie je odsunęłam. W środku były muffiny i jeszcze ciepły pudding z chleba i masła. Dzięki Bogu, że to nie dziecko, pomyślałam i niemal zachichotałam. Wzięłam koszyk i ostrożnie zaniosiłam do kuchni, lawirując ostrożnie między stosami książek.

Wyjęłam szklany pojemnik z puddingiem i postawiłam na blacie przy zlewie, gdzie będzie stał, aż krem stężeje, a okruchy wyschną i zaczną się oddzielać od naczynia. Sama wróciłam do przedpokoju i odstawiłam wszystkie książki na półki.

Zaraz po śmieci Dominika zalała mnie powódź kwiatów i kartek, ciepłych zup i zapiekanek z chlebową kruszonką w kolorze karmelowym, które Chris i moja siostra albo zjadali, albo wyrzucali,

albo starannie dzielili na porcje i wkładali do zamrażalnika, gdzie przebywały do tej pory.

Teraz prezenty zdarzały się rzadziej, z większymi przerwami, ale wciąż przybywały, a ja po prostu stawiałam je w kuchni, czasem tylko skubiąc posypkę z muffinów albo objadając krawędzie biszkopta do kolejnej filiżanki kawy.

Nie to, że nie doceniałam tych drobnych gestów sympatii. Wiedziałam, że ludzie chcą mi okazać troskę. Nie mieli co mi powiedzieć, więc piekli i przysyłali. Ale w tych pierwszych tygodniach nie mogłam jeść i dosłownie nie byłam w stanie żuć.

Kęsy stawały mi w gardle. Żyłam na kofeinie i słodyszach. Nie zamierzałam się głodzić, ale jedzenie było trudne. Podniesienie ręki do ust było zbyt dużym wysiłkiem.

Głód przychodził i znikał, tak samo jak napady sprzątanania. Pewnego ranka wypatrzyłam w spizarni paczkę precli. Jadaliśmy je z Dominikiem w weekendy, posmarowane serkiem topionym, a czasem odrobiną dżemu. Były nieświeże, ale nie spleśniałe.

Pod tylną ścianką lodówki był jeszcze nieotwarty pojemniczek z serkiem Philadelphia, któremu akurat kończył się termin ważności. Podgrzałam precla, grubo posmarowałam i połknęłam stanowczo za szybko, tak że prawie nie poczułam smaku, a gorącym ciastem poparzyłam język.

Przygotowałam kolejną kanapkę i zjadłam. Następnie otworzyłam kredens i wyjęłam wszystkie smarowidła, jakie były. Ulubiony dżem śliwkowy Dominika, moją pastę czekoladową i masło orzechowe.

Następnych precli już nie podgrzewałam, tylko odrywałam kawałki ciasta, moczyłam w słoikach i pakowałam do ust.

I tak bez końca, aż zdałam sobie sprawę, że stoję przed tosterem z pustą torebką zaciskaną w jednej ręce i z ostatnim kęsem pieczywa w drugiej. W ustach miałam sucho, a brzuch był wyдутy.

Ostatni kęs wrzuciłam do kosza, przepłukałam usta i położyłam się na kanapie z ramionami splecionymi na brzuchu. W końcu zasnęłam. Kiedy się obudziłam, byłam wciąż pełna, a dzień się skończył. Zmusiłam się do wstania, weszłam po schodach do sypialni, położyłam się na łóżku i poszłam dalej spać.

Tak mijały tygodnie. Wiedziałam, że jestem wrakiem człowieka, w środku i na zewnątrz. Było mi wszystko jedno. Ubierałam się porządnie, tylko kiedy wychodziłam, co nie zdarzało się często, ale nawet wówczas miałam na sobie to, co znalazłam pod ręką.

Związywałam włosy w luźny koczek i nie zwracałam sobie głowy makijażem. Po domu chodziłam w starej sukience albo w majtkach i podkoszulku, w wygodnych rzeczach.

Czasem przez kilka dni się nie kąpałam, a czasem wchodziłam pod lejący z prysznicą wrzątek, a potem ześlizgiwałam się po ścianie na podłogę i leżałam pod strumieniem wody, aż stawała się całkiem zimna.

A później nagle, w walentynki, obudziłam się o zwykłej porze i zapragnęłam zjeść śniadanie. Nie słodczyce czy precle, tylko porządne śniadanie, takie, jakie regularnie jadałam w domu, w Nowej Zelandii.

Jajka po benedyktyńsku, idealnie ugotowane, tak że żółtko było wciąż płynne, podane z chlebem na zakwasie, szklanką schłodzonego soku z pomarańczy i kawą z mlekiem. Wzięłam prysznic, ubrałam się i poszłam do najbliższego sklepu po produkty na pierwszy porządny posiłek od dwóch miesięcy.

Zmotywowana tym porannym działaniem postanowiłam zapakować ostatnie rzeczy Dominika, oprócz książek, które ostatecznie miały zostać na półkach.

Lauralynn przyjechała, akurat kiedy zaczynałam.

– Boże, miał koszmarny gust. Próbowалаm coś z tym zrobić.

Zdobiona srebrna spinka do mankietów, która jakimś cudem trafiła do jego codziennej garderoby, wysliznęła mi się z palców i upadła na podłogę, pękła na pół i poturlała się po drewnianych deskach pod kanapę.

– Naucz się pukać!

– Zostawiłaś otwarte drzwi – wyjaśniła stłumionym głosem. Klęczała teraz na czworakach i na oślep gmerała pod kanapą. – Powiem Viggowi, żeby tu odkurzył – dodała, podniosła się i wytarła zakurzone dłonie o spodnie.

Viggo stał się nieodłącznym elementem życia Lauralynn. Mieszkali teraz razem niedaleko Belsize Park. Ich związek był pod wieloma względami podobny do mojego z Dominikiem, chociaż trochę z drugiego bieguna.

Viggo był wokalistą w zespole i jego publiczny wizerunek w niczym się nie różnił od typowej, ekscentrycznej gwiazdy: miał

wiecznie rozczochrane włosy, nerwowe ruchy chudych rąk i nóg, i wąskie džinsowe rurki, które opadały nisko na jego kościstych biodrach.

Podejrzywałam jednak, że za zamkniętymi drzwiami ich domowym i seksualnym życiem trzęsła Lauralynn. Miała dość pejczy, żeby wyposażyć porządną stajnię.

Kiedyś dominowałyśmy razem mężczyznę, a ja byłam jednocześnie podniecona i zszokowana uczuciami, które się we mnie obudziły, kiedy obserwowałam, jak Lauralynn krąży wokół niego z pejczem w ręce, a długie jasne włosy opadają jej na ramiona jak fale.

Nie pożałowałam kobiet i nigdy nie przeszło mi przez myśl szukanie w sobie choćby cienia chęci dominacji, ale jej charyzma była jak syrenia pieśń i niemożliwością było jej czegokolwiek odmówić.

Wyciągnęła do mnie złamaną spinkę.

– Przepraszam, mam nadzieję, że nie byłeś do niej przywiązana.

– Co ty, nie ma sprawy. On tego nie znosił.

Bezceremonialnie wrzuciła więc spinkę do kosza i zaczęła wykladać na blat zawartość torebki. Kawa. Żelki Haribo. Duża butelka ginu.

Poczułam gulę w gardle. Tym razem nie z powodu Dominika, tylko dobroci Lauralynn. Ona też dobrze mnie знаła i nie przysłała kwiatów, kartki z życzeniami, nie piekła zapiekanki i nie ofiarowała mi żadnej z tych rzeczy, które lądowały potem w koszu.

Przynosiła to, czego potrzebowałam, nawet jeśli nie było to dla mnie dobre. Zwykła zjawiać się niespodziewanie w chwilach, kiedy

najmniej miałam ochotę na towarzystwo, a więc wtedy, kiedy prawdopodobnie najbardziej go potrzebowałam. Była czujną obserwatorką i miała oko na moje samopoczucie – tego byłam pewna.

Wciąż trzymała u siebie klucz, którego nie zwróciła po tym krótkim okresie, kiedy dzieliła z Dominikiem dom. Ona i Viggo byli na tyle mili, że wpadali, żeby pootwierać okna, kiedy wyjeżdżaliśmy, a raz wpuścili nas do domu, kiedy niechcący zatrzasnęliśmy klucze w środku.

Do wewnątrz mogli więc wejść tylko ona albo posłany przez nią Viggo. Robili to czasem, kiedy byłam na spacerze i zmywali górę brudnych naczyń albo wyrzucali z lodówki jedzenie, które do niczego się już nie nadawało.

– Musi sobie pani chlapanąć – powiedziała, wróciwszy z kuchni z niską szklanką pełną lodu, z ginem i odrobiną toniku. – Oraz wziąć ciepłą kąpiel.

– Brałam rano prysznic – zaproponowałam jak krnąbrne dziecko.

– Masz brudne włosy – powiedziała i zmarszczyła nos, lustrując mój oklapły kucyk. Jestem pewna, że gdyby tylko mogła, wzięłaby mnie na ręce i wpakowała pod kran.

Wiedziała, czym jest żałoba. Kilka lat temu zmarł jej brat i chociaż nigdy o tym nie rozmawiałyśmy, instynktownie czułam, że rozumiem, przez co przechodzę.

– Ale nie przyszłam cię dręczyć – dodała. – Ani kazać ci sprzątać. Choć Bóg jeden wie, jak bardzo by się przydało...

Czekałam na dalszy ciąg.

– Tak naprawdę potrzebuję twojej pomocy. – Odwróciła się do mnie, ustawiła na stole butelkę ginu i szklanę, a potem sobie naląa.

Miała czarne dżinsy z wysokim stanem, które podkreślały niezwykłą długość jej nóg i okrągłe pośladki. Jasne włosy spięła na samym czubku głowy, co dodawało jej centymetrów. Kucyk zakołysał się, kiedy się odwracała, żeby znów na mnie spojrzeć i sprawdzić, co odpowiem.

– Jasne, zrobię, co mogę. Chociaż nie bardzo sobie wyobrażam, żebym w tym momencie mogła komukolwiek pomóc.

– Ale umiesz jeszcze grać, nie?

Nie spodziewałam się tego pytania. Od śmierci Dominika nie dotknęłam skrzypiec.

– Nie próbowałam. Od tamtej pory. Ale zawsze umiem...

Muzyka była moim azylem, a sam fakt, że mogłam przesunąć smyczkiem po strunach, był jak balsam na moją duszę. Zastanowiłam się nad tym, dlaczego od śmierci Dominika nie przyszło mi do głowy, żeby chociaż dotknąć któregoś z instrumentów.

Może muzyka za bardzo mi go przypominała, bo była tak ważnym czynnikiem naszego pierwszego spotkania i miłości. Ale wiedziałam, że on chciałby, żebym grała.

– Dobrze – powiedziała Loralynn, odrzuciła głowę do tyłu i dopiła gin. Odstawiła szklanę i otarła usta wierzchem dłoni. – Viggo ma przyszłym tygodniu koncert. Prywatny występ w małej sali, ale będą ludzie z branży. Tyle że... Nie do końca rockowe typy. Pracuje

nad solówką, szuka czegoś nowego, ale nie składa mu się to wszystko. Potrzebuje czegoś odkrywczego, czegoś innego. Ciebie.

– Mnie?

– Tak. Grałaś już na rockowej scenie. Mówi, że byłaś zjawiskowa.

Wydawało mi się, że to było milion lat temu, ale miała rację. Kapela Chrisa, Groucho Nights, grała kiedyś przed Viggim i Holy Criminals w Brixton Academy, a Chris zaprosił mnie jako gościa. Potem występowałam z nimi na każdym koncercie europejskiej trasy. Dominik i ja nie byliśmy wtedy razem i emocje tamtych dni były mocno przyćmione tęsknotą.

– Dobrze – zgodziłam się. – Pomogę.

– To świetnie – odparła – bo Viggo czeka na ciebie w studiu. – Zerknęła na zegarek, mały srebrny z owalnym cyferblatem. – Powiedziałam mu, że będziesz za czterdzieści pięć minut, więc lepiej się pośpiesz. A ja to dokończę.

– A gdybym się nie zgodziła?

– Jesteś całkowicie przewidywalna, Summer, nawet jeśli o tym nie wiesz – dodała.

Szybko włożyłam czyste czarne legginsy, balerinki i białą koszulę z długim rękawem, a na wierzch kurtkę do jazdy na rowerze; rękawiczki, na szyję szalik i poszłam do drzwi.

Nie brałam instrumentu. Viggo miał dziesiątki skrzypiec na każdą okazję, wiedziałam, że dobierze mi coś, co najlepiej pasuje do jego planu. Prawdopodobnie będą to skrzypce elektryczne.

Szybko przebierałam nogami, pedałuując do domu Vigga. Pierwszy raz od Gwiazdki siedziałam na rowerze, od tamtego popołudnia, gdy grałam recital i umarł Dominik. Droga była bardzo oblodzona, a nawet w rękawiczkach dłonie cierpły mi z zimna, ale dobrze było przemieszczać się na dwóch kołach.

Lauralynn miała rację. Podejrzewałam, że tak naprawdę Viggo wcale nie potrzebował mojej pomocy, a cała ta akcja miała na celu wywabienie mnie z domu, ale kiedy otwierał mi drzwi, był znacznie bardziej rozczochrany niż zwykle, a oczy miał czerwone, jakby od dawna nie spał.

– Dzień dobry – powiedziałam radośnie, a potem zdałam sobie sprawę, że jest już pewnie po południu.

Czas nie miał dla mnie specjalnego znaczenia, bo nie pracowałam od dziewiątej do siedemnastej. Ostatnie tygodnie działały jak akordeon i godziny rozciągały się zupełnie bez mojego udziału albo przyśpieszały i spowalniały, zależnie od mojego nastroju. Im gorzej się czułam, tym dłuższy był dzień.

– Summer, cześć – powiedział i zmusił się do uśmiechu, odgarniając z twarzy ciemne włosy. – Wejdz.

Nie zaproponował mi nic do picia ani zwyczajowych towarzyskich uprzejmości. Poprowadził mnie od razu do studia, gdzie ćwiczył materiał. Prawie biegłam, żeby za nim nadążyć, gdy sunął długimi korytarzami w stronę pomieszczenia w piwnicy, w którym zrobił studio. Miał dzinsy w kolorze ciemnych winogron, które stanowiły smugę koloru na tle białych ścian, które nas otaczały.

– Kiedy ten występ? – spytałam, kiedy podawał mi instrument.

Tak jak się spodziewałam, chciał, żebym grała na elektrycznych skrzypcach. Dał mi Bridge. Wzięłam i zaczęłam brzdąkać dla rozgrzewki. Miały ładny ton, ale od czasu krótkiej trasy z Groucho Nights nie grałam na takim instrumencie i wiedziałam, że zajmie mi trochę czasu, zanim się przyzwyczaję. Moje palce na strunach były sztywne jak kawałki drewna.

– W przyszłym tygodniu – odparł. – W środę. Mały koncert, ale próbuję robić coś sam i będzie kilku dziennikarzy. Boże, wiem, że w ogóle nie brzmię jak gwiazda rocka, ale naprawdę mi zależy, żeby dobrze wyszło.

Publiczny wizerunek Vigga znajdował się lata świetlne od wersji prywatnej. Teraz wydawało mi się niemożliwe, że jego sceniczna postać mogła mnie kiedyś uwieść.

Ten Viggo, na którego widok kobiety mdlały i piszczały i facet, który siedział teraz naprzeciwko mnie, gapił się w podłogę i kopał w nogi krzesła czubkiem buta, kiedy omawialiśmy mój udział w projekcie, wydawali się zupełnie różni.

W końcu stanęło na tym, że otworzę koncert riffem z *Ucznia czarnoksiężnika*. Technicznie wymagający kawałek, odpowiednio oryginalny i wpasowujący się w typową dla niego sceniczną dramaturgię fantasmagoryczną.

– Jest dobrze, Sum, nie przejmuj się – mówił, kiedy próbowałam okiełznać elektryczne skrzypce. Moje ręce poruszały się sztywno,

miałam wrażenie, że przesuwam palce w smole, a nie w powietrzu. – To wróci.

– Nie mam nut – tłumaczyłam się. – To trudny kawałek do grania z pamięci...

Wściekle pedałowiałem, wjeżdżając pod górę. Rękawiczki miałam w kieszeniach, a szalik przez zapomnienie zostawiłam u Vigga. Było już ciemno i w ciągu kilku minut ręce tak mi zgrabiały, że zmiana przerzutek była bolesna. Wiatr chlastał obnażoną szyję.

Zapomniałam wziąć oświetlenie, więc po ciemnych bocznych uliczkach jechałam na pamięć, korzystając tylko z wbudowanych w ramę roweru światełek bezpieczeństwa. Przed oczami stanął mi Dominik, łajający mnie za lekkomyślność. Zawsze się martwił, kiedy jeździłam rowerem po Londynie.

Pieprz się, pomyślałam z goryczą. Łzy popłynęły mi po twarzy i w policzki było teraz jeszcze zimniej. Palce prawie przymarzły mi do kierownicy, więc nawet gdybym miała na to siłę, nie próbowałbym ścierać łez. Kiedy tylko pomyślałam te słowa, zalały mnie fale żalu i poczucia winy. Chciałam móc je cofnąć, choć wiedziałam, że on i tak mnie nie usłyszy. Nie wierzyłam w duchy ani żadną formę życia po śmierci.

Ale czy żałoba i szok mogły mi odebrać umiejętność gry?

Jakoś tam wiedziałam, że histeryzuję. Dawno nie ćwiczyłam, a z powodów niezrozumiałych nawet dla mnie uparłam się na graniu wirtuozerskiego utworu, który byłby wyzwaniem nawet w moich najlepszych dniach. Ale wtedy o tym nie myślałam.

Emocje szalały jak tornado i nie znałam innego sposobu na wyrażenie ich. Miałam tylko Dominika i skrzypce, a teraz wydawało mi się, że i jedno, i drugie mnie opuściło.

Rzuciłam rower z boku domu, nie kłopotząc się przypinaniem go ani wprowadzaniem do środka. Bailly był tam gdzie zawsze, oparty o ścianę w pokoju, który teraz był moją sypialnią. Wcześniej naszą. Wszystkie światła były zgaszone. Lauralynn widocznie skończyła swoją robotę i wyszła, ale nawet nie sprawdzałam.

Wbiegałam po dwa schodki naraz, złapałam futerał ze skrzypcami i odwróciłam się, żeby wyjść. Kątem oka złapałam jednak swoje odbicie w lustrze. Włosy miałam rozczochrane od wiatru i ściągnięte z tyłu gumką. Praktyczne, ale nie czułam się w tym do końca sobą.

Chociaż moje włosy czasem mnie wkurzały, to jednak te gęste, rude loki były jedną z cech, które mnie utożsamiały, czyniły mnie mną. Rzadko nosiłam spodnie, chyba że wymagała tego okazja albo tak sugerowała wygoda. A kurtka rowerowa była luźna i totalnie nieatrakcyjna. Nie poznałam siebie.

Moje ręce działały same. Zdarłam z włosów gumkę i pozwoliłam im rozsypać się po ramionach. Potem zdjęłam balerinki, legginsy, majtki, stanik i kurtkę. Byłam naga. Podniosłam futerał i przycisnęłam go do nagiej skóry.

Kiedy podeszłam do frontowych drzwi, wyhamowałam i złapałam mój długi szary puchowy płaszcz. Będę mogła go zdjąć, kiedy dotrę do celu, ale w nim przynajmniej nie zostanę aresztowana za nieobyczajne zachowanie. Nawet w chwilach największej skłonności

do autodestrukcji wciąż miałam resztki rozumu. Z powrotem włożyłam adidasy i natychmiast wyszłam.

Niepotrzebnie się przejmowałam, bo ani jeden przechodzień się nie zatrzymał, żeby na mnie spojrzeć, kiedy zmierzałam na Heath, do estrady, mimo że mój wygląd i muzyczny bagaż mogły w ciemności sprawiać makabryczne wrażenie.

Estrada. Tutaj pierwszy raz grałam dla Dominika. Tutaj kazał mi stać i w pełnym świetle dnia grać nago *Cztery pory roku* Vivaldiego. To było wyzwanie. Tutaj też przyprowadziłam go wkrótce po tym, jak razem zamieszkaliśmy.

Raz i na zawsze, choć nasz związek mógł wydawać się niecodzienny, ustaliliśmy, że pasujemy do siebie idealnie, jakby natura stworzyła nas tak, abyśmy mieli na siebie trafić. I tutaj zakopał dla mnie bransoletkę z kłódeczką. Teraz miało to być miejsce, gdzie odnajdę tę część siebie, którą pochowałam wraz z jego śmiercią. Chciałam ją odzyskać.

Zajęłam miejsce pośrodku estrady, zrzuciłam płaszcz i zaczęłam grać.

Jedna za drugą nuty trafiały na swoje miejsca i wkrótce zapomniałam o bożym świecie. O odrapanych kostkach, lodowatym wietrze, który jak rozwścieczony smagał nagą skórę mojej zamarznętej dłoni, zapomniałam o nagości i o tym, jaki widok musiałam przedstawiać dla przypadkowego przechodnia.

Dziwaczna kołysanka, którą grałam, otoczyła mnie kojącym doznaniem obecności i nieobecności jednocześnie. Koncentrowałam

się tylko na następnej nucie, która miała wyjść spod moich palców i byłam równocześnie skrajnie świadoma i absolutnie zagubiona.

Moja żaloba tymczasowo wyparowała, w każdym razie ze sfery świadomości, jakby muzyka przeniosła mnie w nowy wymiar tęsknoty, którego wcześniej nie znałam, nie uświadamiałam sobie. Nie możemy być niczym więcej niż sumą elementów.

Grałam.

Złapałam oddech, przesunęłam palce ze strun na prożek i triumfalnie uniosłam smyczek. W końcu udało mi się pokonać utwór Dukasa. Na końcu smyczka powiewało samotne włosie, którego nie zauważyłam, kiedy w dzikim szale zaatakowałam muzykę.

Czułam się, jakbym miała gorączkę i zanim zdążyłam choćby mrugnąć, nocne zimno uderzyło mnie frontalnym ciosem, owionęło lodowatym całunem i rozsiało po całej skórze gęsią skórkę. Położyłam skrzypce na estradzie i sięgnęłam po płaszcz, ale już się trzęsłam. Ferwor muzyki chronił mnie, kiedy grałam, ale jego moc już się dawno rozmyła.

Ciaśniej otuliłam nagą skórę materiałem i zapięłam zamek. Kucnęłam, żeby podnieść skrzypce i ostrożnie umieściłam je w bezpiecznym futerale, a potem wstałam i zaczęłam się oddalać od estrady, żeby dojść do ścieżki, która biegła jakieś sto metrów w dół i miała zaprowadzić mnie najpierw do stawów, a potem do domu.

Chmura zasłoniła księżyc i znalazłam się w kompletnych ciemnościach.

I wtedy usłyszałam głos.

– Brawo, brawo...

Męski głos. Schrypnięty, godny wykształconego mężczyzny, jak z BBC, z nutą eleganckiego akcentu. Spojrzałam przed siebie i wyteżyłam wzrok. Z ciemności wyłaniała się rozżarzona końcówka papierosa.

Zadrżałam.

Zatrzymałam się.

– Nie gryzę.

Nie poruszyłam się, za to coraz wyraźniej docierało do mnie, jak bardzo jestem bezbronna w obliczu tej wielkiej, pustej nocy.

Wypełniający mnie strach paradoksalnie obudził we mnie sprzeczne uczucia, których tak często doświadczałam w pierwszym roku spotkań z Dominikiem. Wtedy nierozważnie, ale dobrowolnie rzucałam się w niebezpieczne sytuacje, a niepokój był jednocześnie pragnieniem i magnesem dla połamanej części mnie. Byłam jak ćma ciągnąca do płomienia.

Czułam zapach dymu z papierosa, docierający do mnie poprzez welon londyńskiej nocy. Kwaśny, ale aromatyczny. Potężny i pachnący. Może cygaro? Albo jakiś egzotyczny tytoń?

Kropeczka czerwonego żaru przeszywająca ciemność i dzieląca mnie od nieznanego rozrastała się z każdym tego wdechem.

– Nie bój się, podejdź bliżej, muzyczny duchu – powiedział.

Miałam wybór?

Kiedy podchodziłam, księżyc pojawił się na niebie i odległe srebrne światło przedzierało się przez zasłonę chmur.

Wysoki, z okazałą brodą, potężnie zbudowany, ubrany w gruby wełniany płaszcz nieokreślonego koloru i dżinsy. W oczach miał iskierkę rozbawienia.

– To był dopiero koncert, młoda damo. – W jego głosie słyszałam nieprzyjazną ironię.

Ile mógł widzieć z tej odległości?

Na pewno nic.

– Co pan tu robi?

– Mógłbym powiedzieć, że wyszedłem z psem, ale nie będę obrażał pani inteligencji.

Rozejrzałam się. W pobliżu nie było śladu psa. Jeszcze raz spojrzałam na nadętego mężczyznę i pomyślałam, że gdyby już miał mieć psa, byłby to ogromny malamut, kudłaty i potężny. Moja wyobraźnia rozpoczęła już snucie opowieści.

Zauważył moje milczenie i powiedział:

– Byłem ciekawy.

– Ciekawy?

– Nie wiem, czy pani wie, ale w tych stronach jest pani kimś w rodzaju miejskiej legendy.

– Legendy?

– Tak jest. Od dawna krążą opowieści o pięknej, rudowłosej skrzypaczce, która wygrywała tu koncerty. Ostatnio nie było słyhać nowych doniesień, ale... Muszę przyznać, że im nie wierzyłem.

– Widział pan, jak grałam? Teraz?

– Nie widziałem nic a nic. Teraz, jak już panią widzę, tym bardziej żałuję. Ale słyszałem czysto i wyraźnie. Dziwię się, że ta muzyka nie zgromadziła tłumu.

Rozejrzałam się i wejrzałam między drzewa, które prowadziły na polanę. Nie było żadnego tłumu. Tylko my.

– Podobało się panu? – dociekałam.

– *Uczeń czarnoksiężnika* – powiedział. – Czarująco trafny wybór. Lubi pani igrać z ogniem?

Ten obcy mężczyzna, stojący naprzeciwko mnie, emanował nieewidentnym autorytetem, z trudem maskowaną brutalnością i pewnością siebie. Byłam pod wrażeniem, że rozpoznał utwór.

W tych czasach wszyscy słuchali rocka i innych popularniejszych gatunków, coraz mniej ludzi znało klasykę. Szczególnie że ten utwór Dukasa był oryginalnie napisany na orkiestrę, nie na skrzypce i dziko improwizowałam wokół wiodącej melodii.

Poczułam się zaintrygowana.

– Nazywam się...

Wszedł mi w słowo.

– Nie chcę znać pani nazwiska. Jestem przekonany, że niedopowiedzenia dodają smaczku całej sytuacji. Dlaczego też miałbym podawać pani moje nazwisko? Czy anonimowość nie czyni tego spotkania ciekawszym?

Pokiwałam ze zrozumieniem głową.

– Ale jeśli pozwoli mi pani na odrobinę arogancji, mógłbym stwierdzić, że cechuje mnie ciche i intuicyjne zrozumienie takich kobiet jak pani...

Obejrzał mnie od stóp do głów, bez mrugnięcia, jakby oceniał mnie centymetr po centymetrze, prześwietlał wzrokiem materiał długiego płaszcza i pasł się wizerunkiem mojego nagiego ciała.

– Nie jest pani pospolitą ekshibicjonistką – mówił dalej – i nie przyszła pani tutaj, żeby olśniewać masy swoją grą.

Wstrzymałam oddech.

On rozumiał. Mimo że rozmawialiśmy przez kilka minut, wiedziałam, że w jakiś pozbawiony logiki sposób ten mężczyzna zna prawdziwą mnie. Dostrzegł jądro ciemności, które kryłam w sobie. Ofiara zawsze rozpoznaje drapieżnika. Takiej umiejętności nabiera się z czasem.

– Ma pani swoje demony, młoda damo. Nawet muzyka wygrywana z taką maestrią ich nie przepędzi. To dlatego tu panią przyniosło... Chciała się pani ich pozbyć. Ale ich nie można zgubić. Zostają tylko egzorcyzmy. – Jego oczy były jak negatyw rozbłysku flesza. Osądzające. Wydające wyrok. – Czyżbym się mylił? – spytał.

Nie od razu odpowiedziałam. Poczułam w nogach słabość, myśli mi się kłębiły, było zupełnie inaczej niż cały czas od chwili śmierci Dominika.

Mężczyzna wyciągnął do mnie rękę. Nie miał rękawiczki. Wzięłam ją. Złapał mnie za nadgarstek. Nie opierałam się. Palce miał

twarde, pokryte odciskami, rozgrzane. Trzymał mnie mocno i emanował autorytetem, którego natychmiast zaczęłam pragnąć.

Podszedł bliżej. Czułam ciepło jego ciała otulające mnie jak pole siłowe. Spojrzałam na niego. Był ode mnie o co najmniej trzydzieści centymetrów wyższy. Starannie przystrzyżona broda była jak kobierzec intrygujących i osobistych wzorów w kolorze pieprzu i soli. Głowa otoczona ciemną czupryną stanowiła ukoronowanie nocy. Zwykle nie lubiłam bród.

– Chciałbym się pani przyjrzeć. Proszę rozpiąć płaszcz.

Posłuchałam.

– Hm... – powiedział, przyglądając się mojej nagości. Znowu nie odczuwałam zimna. Stałam. *Natura morte. Summer morte.* Dziewczyna w naturze. Naga Summer. – Absolutnie zjawiskowa. Bardzo smakowita. Doprawdy nad wyraz – szepnął głosem o oktawę niższym, którym wyrażał uznanie. Patrzył stanowczo i oceniająco.

– Czego pani chce? – spytał.

– Nie wiem – odparłam niepewnie. – Po prostu nie wiem.

– Mogę pani pomóc to odkryć – powiedział. – Pójdzie pani ze mną?

Każda inna kobieta odrzuciłaby zaproszenie. Ja też powinnam.

Ale nie zrobiłam tego. Stałam jak wrośnięta w ziemię, całkiem obnażona przed kompletnie obcym mężczyzną, którego spokój i opanowanie oznaczały w równym stopniu niebezpieczeństwo, co przyjemność.

– Może zechciałby pani zapiąć płaszcz. Przecież nie chcemy, żeby się pani przeziębila.

Złączyłam poły płaszcza i przycisnęłam do siebie futerał ze skrzypcami, choć była to najslabsza z tarcz.

Gdzieś z tyłu głowy majaczyło mi się pragnienie, żeby Dominik tu był i mi doradził, zasugerował, żebym wybrała inną drogę niż tę nieuchronną. Ale wiedziałam, że to się nie wydarzy. Dobrze znane ścieżki niosą ze sobą pewność i spokój, nawet jeśli nie powinno się nimi iść.

Nieznajomy nadstawił ramię, co w normalnej sytuacji byłoby przejawem galanterii, ale wiedziałam, że teraz jest dyskretnym przypomnieniem, że to, co robię, robię z własnej woli.

Przyjęłam je.

– Doskonale – powiedział. Chodziło mu o moją potulność czy o słabość? Prawdopodobnie o jedno i drugie.

Ramię w ramię ruszyliśmy ku stawom, a potem wyszliśmy na otwarty parking, na którym stał tylko jeden samochód. Było to smukłe audi, wypolerowane tak, że odbijało cienkie srebrzyste promienie spływające z ciemnego nieba na karoserię.

Mężczyzna otworzył przede mną drzwi, obszedł samochód od strony maski i dopiero potem otworzył swoje drzwi, naciskając guzik przy kluczyku. Potem usadził się w głębokim fotelu kierowcy pokrytym żółtą skórą. Całą drogę przebyliśmy w milczeniu.

– Wygodnie?

– Tak.

– Gotowa?

– Na co? – spytałam, chociaż świetnie wiedziałam, że pytam kompletnie niepotrzebnie.

– Na wyzwanie. Jest pani tego świadoma. Widziałem to w pani oczach, w sposobie, w jaki pani tu szła.

– Chyba tak.

– Boi się pani, co się teraz może stać, prawda? Ale jednocześnie kusi to panią, zżera panią ciekawość, nie może się pani odwrócić i odejść, nie dowiedziawszy się, co dla pani zaplanowałem...

Niech go szlag. Dlaczego musiałam być jak otwarta książka?

– Przyszła pani na Heath tylko w płaszczu i ze skrzypcami?

– Tak.

– Bez ubrania, torebki, pieniędzy?

– Tak. Czy to problem?

– Zupełnie nie, tam, gdzie panią zabieram, nic nie będzie pani potrzebne.

– Dobrze. – Byłam gotowa. Bałam się.

Zaczynało we mnie pęcznieć zjełczałe ziarno poczucia winy, rosło z każdą minutą, w lędźwiach czułam fale wilgoci i podniecenia, pełne nadziei i niemogące się doczekać, aż to wszystko się stanie. Zastanawiałam się niepewnie, czy kiedy wreszcie dotrę na drugą stronę, będę potrafiła narysować grubą linię pod uczuciami, które wywołała we mnie utrata Dominika.

W samochodzie pachniało tym samym tytoniem, którego aromat czułam wcześniej. Mężczyzna włączył silnik. Wpadło mi w oko, że

jego auto miało automatyczną skrzynię biegów, a bmw Dominika – „nasze” bmw – ręczną. Ciekawe, że nagle przychodzą do głowy takie pozbawione znaczenia szczegóły.

Audi się rozgrzewało, cienka warstwa pary zaczynała znikać z przedniej szyby, a mężczyzna mówił do komórki, którą wyjął ze schowka na rękawiczki. Coś z kimś ustalał, chodziło o jakiś konkretny pokój.

– ...tak, mam ochotniczkę – skończył.

Patrzyłam na jego profil. Miał zakrzywiony nos i w jego surowej atrakcyjności było coś diabelskiego. Może wypielegnowana broda i błyszczące włosy? Położył rękę na kierownicy, drugą przesunął dźwignię i samochód ruszył z cichym pomrukiem. Zerknęłam na zegarek. Była chwila po północy.

Puste ulice północnego Londynu śmigają obok nas, kiedy szybko, ale pewnie mknęliśmy przez ciemne boczne ulice i niechlujnie oświetlone główne arterie z niekończącymi się ścianami zaniedbanych sklepów i nudnych wystaw, migających słabo w ślad za nami.

Rozpoznałam Camden Town, wyglądające teraz jak miasto widmo. Stragany, na których w weekend rozłoży się targ, stały jak zahibernowane, a puby już dawno wypłuły z trzewi hordy klientów i zmusiły ich do powrotu do nijakiego życia.

Skreśliśmy w lewo na zatłoczonym w ciągu dnia skrzyżowaniu przy stacji metra i ruszyliśmy w stronę Kentish Town. Miejski krajobraz był tu jeszcze bardziej opustoszały i ponury.

– Żadnych pytań? – spytał mój kierowca, bo cały czas milczałam. Miałam pusty umysł i skupiałam się na opanowaniu nerwów.

– Raczej nie. – Miałam nadzieję, że mówię pewnie i nie zdradzam oznak strachu.

Samochód zwolnił. Ostro zjechał na prowizoryczny parking, powstały dzięki niedawnej rozbiórce pobliskiego budynku. Stały tam zaparkowane już inne samochody.

W cieniu palił papierosa stróż, pewnie dbający o bezpieczeństwo. Mój towarzysz pomachał mu, kiedy wysiedliśmy. Odwróciłam się do niego tyłem i schyliłam się po futerał ze skrzypcami, ale poczułam na ramieniu rękę.

– Nie będą potrzebne – powiedział mężczyzna. – Nie oczekuję, że będzie pani grała, jakkolwiek wybitny może być pani talent.

Chciałam zaprotestować, ale nacisk na ramieniu wzmógł się.

Wyciągnął rękę i podałam mu futerał, a on zamknął go, wraz z drogocenną zawartością, w bagażniku.

– Będą tu bezpieczne – podsumował.

Poszłam za nim.

Szliśmy pustą ulicą. Skręciliśmy za róg i zauważyłam migający neon. Przedstawiał obrys szokująco różowej palmy. Mój towarzysz znów się odezwał.

– Wie pani, co się teraz z panią stanie? – dociekał.

– Tak sędzę.

– Zostanie pani użyta.

– Tak.

– Ostro. Mocno. Wielokrotnie. Nie będzie odwrotu, rozumie to pani?

– Tak.

– Dobrze. Nie chciałbym, żeby zaszło jakieś nieporozumienie.

– Na pewno nie – zapewniłam go, a w swoim głosie usłyszałam dreszcz zniecierpliwienia.

Podeszliśmy do drzwi, nad którymi wisiał paskudny neon. Nieznajomy zapukał i brzęczyk wpuścił nas do środka. Na wysokości oczu zauważyłam tabliczkę, którą udało mi się odczytać w ciemności. „Sauna prywatna, wstęp wyłącznie za zaproszeniami”.

Weszliśmy. W przedsionku było wilgotno, pachniało środkami dezynfekującymi, chlorem i potem unoszącym się w powietrzu jak zawieszona na stałe niewidzialna chmura.

Był tam kontuar, przy którym wprowadzający mnie tu mężczyzna wpisał nas do księgi pod okiem znudzonego recepcjonisty w białym, jakby szpitalnym, kitlu. Z głośników dobiegał stłumiony szum muzyki, przypominającej taką graną w supermarketach.

Recepcjonista sięgnął w głąb kontuaru i wyciągnął dwa duże ciemne ręczniki. Nieznajomy zwrócił mu jeden.

– Ona nie będzie potrzebowała ręcznika – ogłosił.

Wydawało mi się, że na twarzy młodego mężczyzny zauważyłam grymas rozbawienia.

– Tak jest.

Do mnie nieznajomy powiedział:

– Szatnia jest na dole, prysznic także. Chcę, żebyś się umyła. Będiesz oczekiwana w saunie.

Piwnica była zastawiona odrapanymi metalowymi szafkami. Połowa była już zamknięta, ale pozostałe otwarte, a z drzwiczek wystawały kluczyki z przywiązanymi sznurkami.

Mężczyzna nakazał mi zdjąć puchowy płaszcz, co zrobiłam, a on schował go w jednej z wolnych szafek. Znów byłam naga. Tym razem przyjrzał mi się z dociekliwością sędziego. Pierwszy raz miał okazję zobaczyć mnie w pełnym świetle.

– Buty – zarządził. Spojrzałam w dół i zdałam sobie sprawę, że teraz mam na sobie tylko adidasy, więc zrzuciłam je ze stóp. – Odwróć się – dodał. – Chcę zobaczyć twoje pośladki.

Odwróciłam się. Przesunął dłońmi po mojej pupie, muskał skórę, sprawdzał jej jędrność i napięcie. Z tej części mojego ciała byłam dumna. Usłyszałam pomruk aprobaty. Kiedy w końcu zabrał rękę, gwałtownym ruchem przesunął dwa palce w dół i włożył je między moje nogi.

– Już jesteś mokra, co?

Bardzo chciałam stąd zniknąć, ale ciało zdradzało mnie w dobrze znany sposób.

Zaczęłam się pocić. Cienka przejrzysta warstewka pojawiała się jak rosa na moim brzuchu i udach. Atmosfera w klubie była duszna i krępująca. Gorąco z pobliskiej sauny w zdradziecki sposób wślizgiwało się nawet do szatni, gdzie staliśmy.

Wysunął palce z mojej cipki.

– Odwróć się jeszcze raz – rozkazał.

Stałam do niego twarzą. Spojrzał w dół. Zmarszczył brwi.

– Zaniedbałaś higienę – orzekł.

Wiedziałam, o co mu chodzi. Kiedy miałam Dominika, bardzo dbałam o gładkość moich sfer intymnych, ale od czasu jego śmierci zapomniałam o tym, zresztą, było mi wszystko jedno. Nie było nikogo, kto miałby na mnie patrzeć.

– Tam są prysznice. – Wskazał w stronę wąskich drzwi po mojej prawej. Słyszałam szum płynącej wody. – I maszynki jednorazowe. Umyj się. I chcę, żebyś był całkowicie ogolona. – W jego minie widziałam cień irytacji, jakby już obmyślał, jaka wyrefinowana forma kary powinna mnie spotkać, jeśli nie wrócę tak gładka, jak na to liczył.

Z szarej betonowej ściany sterczało kilka dysz prysznicowych i pojedyncze kurki, a pod nimi była płytka rynna, to cały teren prysznicowy. Całkiem otwarty, bez śladu prywatności.

Miejsce zatrzymane w prehistorii, nawet mniej niż totalnie podstawowe wyposażenie siłowni. Kiedy podeszłam, dwaj mężczyźni przestali się namydlać i spojrzeli na mnie. Obydwaj się uśmiechnęli.

Zignorowałam ich i odkręciłam kurek. Woda oblała mnie jak ciężka kurtyna, ale nie byłam w stanie wyregulować temperatury i dopuścić trochę zimnej. Zazgrzytałam zębami i zaczęłam się szorować, najszybciej jak mogłam. Weszło jeszcze dwóch mężczyzn, zaczęli na mnie patrzeć. Spuściłam wzrok w wyrazie fałszywej skromności i dalej nie zwracałam na nikogo uwagi.

Kiedy w końcu wyszłam spod strumienia ukropu, zauważyłam, że jest tu też nieznajomy. Rozebrany i zakryty przewiązaniem w pasie ręcznikiem. Był zaskakująco owłosiony i zaniepokoiła mnie przelotna myśl, że nie umiem sobie wyobrazić, jak by to było przesunąć palcami po jego włosach na piersi. Jak by to wyszło w porównaniu z innymi mężczyznami, których znałam.

Przez chwilę stałam jak wmurowana, zagubiona w myślach, w jakiś sposób obojętna na otoczenie i rozwijającą się sytuację. Kątem oka widziałam, że kilku mężczyzn się dotyka, a niektórzy już mieli erekcję.

Brodaty nieznajomy podał mi plastikową maszynkę do golenia. Zaczęłam golić odrastające włosy łonowe. Mimo braku lusterka musiało mi pójść nieźle, bo kiwnął głową z aprobatą, kiedy skończyłam.

Przesunął dłonią po moich wargach, żeby ocenić ich gładkość, a potem stanowczym naciskiem na ramiona zmusił mnie do ukucnięcia z szeroko rozstawionymi nogami, trochę tak, jakbym robiła siusiu, a on wsunął mi rękę między nogi i przesunął od przodu aż do odbytu, żeby sprawdzić, jak daleko sięgnęłam.

Potem wyciągnął rękę i pomógł mi wstać.

Ociekałam wodą, ale nie podał mi ręcznika, żebym się wytarła. Wyobrażałam sobie, że wyglądam dość żałośnie, ale widocznie taką mnie chciał.

Wyszliśmy z łaźni, przeszliśmy przez szatnię i poprowadził mnie labiryntem wąskich korytarzy, aż para unosząca się w powietrzu

dowiodła, że zmierzamy w stronę sauny. Znajdowała się za drzwiami z nieprzejrzystego szkła. Zatrzymaliśmy się, a za naszymi plecami usłyszałam odgłos kroków. Mężczyźni, którzy patrzyli na mnie pod prysznicem, szli za nami. Przestałam oddychać.

Kiedy tak staliśmy przed zaparowanymi drzwiami do sauny, jego opiekuńcza ręka opuściła mój łokieć.

Kropla wody spłynęła mi po czole, zatrzymała się na czubku nosa, a potem rzuciła się w misję samobójczą na kamienną posadzkę.

– Ręce na plecy – polecił nieznajomy.

Zakuł mnie w kajdanki.

Otworzył drzwi.

Ciężkie kłęby białej pary wyleciały mi na powitanie, a ciężka ręka na ramieniu przepchnęła mnie przez próg. Nic nie widziałam, ale cierpki zapach dotarł do mojego nosa i zakaszlałam. Szłam po śliskich płytkach. Nie byłam w stanie ocenić, jak duże jest to pomieszczenie, czy jak normalna łazienka, czy gigantyczna jak Tardis.

Zgubiłam się wśród chmur. Uwięziona pomiędzy syczącą z każdego kąta parą i oddechami nieznanego mi liczby pocących się osób zajmujących saunę. Nie miałam wątpliwości, że to sami mężczyźni.

Mogłabym mieć zasłonięte oczy i nic by to nie zmieniło. Moje płuca powoli przyzwyczajały się do podstępного upału, a uszy do otaczających mnie szeptów.

– Na kolana.

Uklękałam, przy podłodze para była gęstsza.

– Oprzyj się na rękach.

Opadłam na wilgotne płytki.

– Rozchyl nogi.

Poczułam, że ręcznik nieznajomego upadł na podłogę obok mnie, ocierając się o mój bok.

Wsunął we mnie palec. Badał moją wilgotność i ciasność.

Drugi palec testował mój zwieracz. Przedarł się przez zaciskający się pierścień i zagłębił we mnie.

Zagubiona w unoszącej się parze, zakopana pod jej warstwami, usiłowałam sobie wyobrazić tę scenę. Oddalić się od niej i spojrzeć z perspektywy przypadkowego gapia.

Jakkolwiek bym patrzyła, było to obsceniczne.

Ręka przygięła moją głowę w dół. Tytoniowy oddech owiewał moje ucho i nos, muskał policzek.

Przeszył mnie jego kutas.

3. Nie oglądaj się teraz

Mimo uciążliwej wilgoci w saunie było jednocześnie sucho. Suchość uwięzła mi w gardle i unosiła się, choć niewidzialna, zawisając między wirami cienkiej, białej, sunącej w powietrzu chmurzastej pary.

Sztywny penis nieznajomego wdarł się we mnie z zaskakującą gwałtownością. Zaskoczył mnie, zaatakował, rozciągnął szybciej, niż bym oczekiwała na tym etapie. Byłam za sucha. On był za duży. Poczułam bolesne natarcie na szyjkę macicy, jakby tępy nóż przeszył mnie jednym wyćwiczonym ruchem.

Chociaż oczekiwałam tej penetracji, ucieszyłam się z niej nawet, uczucie było tak nieprzyjemne, że aż jęknęłam. Zagłębił się we mnie tak szybko! Bez wahania. Skórka jego fiuta była jak papier ścierny na delikatnym naskórku moich obolałych warg, a cała okolica intymna zaczęła mnie nieprzyjemnie palić.

Ból był jak piętno i myślałam, że na pewno jego też musi moja suchość boleć, ale nawet jeśli tak, nie okazywał tego ani nie zwolnił tempa natarć. Nie powinno mnie zaskoczyć, że mój krzyk zachęcił go jeszcze do wzmożenia pchnięć i powrotów, co robił teraz w piekielnym rytmie tłoka.

W lewym oku zebrała mi się łza, bo kolejne warstwy bólu zbierały się na pierwotnej fali, ale nie tyle rozdmuchały ten pierwszy płomień, ile wysłały go dalej, w bezlitosnych koncentrycznych natarciach, które doprowadziły do tego, że czułam się, jakby torturze było poddawane każde zakończenie nerwowe mojego ciała.

Tymczasem byłam pornograficznym obrazem wystawionym na głodne spojrzenie Bóg jeden wie, ilu mężczyzn stojących trochę dalej, za zasłoną białych unoszących się cieni i oglądających ten upiorny spektakl. Czekali na swoją kolej.

Nieznajomy zignorował makabryczną suchość mojego wnętrza i po każdym jego natarciu paliło mnie coraz bardziej, atakował mnie, otwierał, rozwierał, naznaczał jako swoją seksualną zdobycz, swoje terytorium.

Uświadomiłam sobie również, że brał mnie bez zabezpieczenia. Ale za późno już było, żeby żałować.

Miałam strasznie ściśnięte gardło, kiedy próbowałam przełknąć ślinę, a ponieważ całe moje skierowane w dół ciało poruszało się wraz z pchnięciami nieznajomego, prawie się zadławiłam. Wydałam kolejny żalospny odgłos, który, jak sobie wyobraziłam, tylko wywołał na jego ustach uśmieszek, bo cały czas najeżdżał na mnie od tyłu.

Kolana mnie bolały, jego ciężkie ciało mnie miażdżyło, jądra obijały się o mój tyłek.

Łza skapnęła.

Dominik nigdy nie przestaje na mnie patrzeć, nawet kiedy nos ma zanurzony w mojej cipce. Jego język dotyka mnie rytmicznie, zęby lekko skubią lechtaczkę, a wargami podgryza moje miękkie, nabrzmiałe wargi sromowe. Ciepło i zrozumienie w jego brązowych oczach przynoszą mi spokój.

Jego usta dyrygują doznaniem mojego ciała, pogrywa z pierwotnym podnieceniem wzbierającym głęboko w moim brzuchu. Robi to mądrze, z typowym dla niego znawstwem, intuicyjnym zrozumieniem mojego ciała, sprawia, że czuję się jednocześnie jak zakochana kobieta i niewolnica swoich żądz.

Delikatność, z jaką wypełnia tę pustkę we mnie i sprawia, że czuję się spełniona i pożądana, pomaga mi osiągnąć stan, kiedy seks wykracza poza czysto fizyczny splot kutasa, cipki i zapętlonych kończyn. Mój kochanek, mój pan, moja opoka...

Czas się zatrzymał, moje ciało kołysało się pod wpływem natarć fizycznej żądz, wejście we mnie płonęło i nie byłam w stanie

zapewnić sobie żadnej ulgi, skóra na zewnątrz i w środku bolała jak otwarta rana posypana solą, płonęła jak doprawiona chili.

Ale zaczynałam poddawać się bólowi. Mężczyzna dał mi mocnego klapsa w pośladki i wyobraziłam sobie cień jego ręki, pięć palców odcinających się wyraźnym różem na mojej białej skórze jak graffiti oznaczające prawo własności.

Klaps przywrócił mnie do rzeczywistości i wszystkie dźwięki w pomieszczeniu nagle się wzmogły: *staccato* jego oddechu, miarowe *pizzicato* kapiącej wody, syk pary, napalone oddechy męskiej widowni. Brodaty nieznajomy natarł po raz ostatni z wściekłą intensywnością, warknął, uwolnił potok cieczy i zalał mnie swoimi sokami.

Poruszał się teraz wolniej, ale jego kutas pozostał twardy, zatopiony głęboko we mnie. Zaczął oddychać spokojniej, a w dziwnym pomieszczeniu rozległa się stłumiona wrzawa. Natężył się dogłębny niepokój, ciężko zawisł na moich myślach. Aż za dobrze wiedziałam, że to dopiero początek.

– Tego chciałaś? – spytał, a jego głos przeszył otaczającą nas białą mgłę jak nóż.

– Tak.

– Tak, i co dalej? – nalegał.

Spanikowałam, usiłując zrozumieć pytanie. Potem do mnie dotarło.

– Tak, panie... – jęknęłam i zalała mnie fala wstydu, bo zdałam sobie sprawę, że sama się wpakowałam w tę sytuację, a do tego pewnie na nią zasługiwałam.

Płaciłam teraz za te krótkie miesiące spokoju, którymi dane mi było cieszyć się z Dominikiem. To była moja kara.

– Teraz lepiej – powiedział i jeszcze raz uderzył mnie w pośladek.

Mokra ręka wydała głośny odgłos w starciu z moim białym wilgotnym ciałem. Mocno zaboląło.

Wyszedł ze mnie.

Czekałam na następny etap. Na czworakach, w pełni obnażona, z zapraszającymi fałdami rozchylonej cipki zalanyymi mieszaniną wydzielin, nienaturalnie nawilżonymi. Cofnął się i stanął do mnie przodem. Złapał mnie za włosy i siłą podciągnął moją głowę tak, żebym miała usta na jego wysokości.

– Wyliz mnie do czysta.

Jego sterczący kutas wszedł mi do ust, natarł na moje gardło. Smakował kwaśno, ale wiedziałam, że to w równym stopniu jego smak, jak i mój. Mieszanina naszych soków jakimś cudem dała intensywną w smaku mieszankę, zdradzając przy tym fakt, że nie pasowaliśmy do siebie.

Przesunęłam językiem po jego grubym członku, prowadzona topografią żyłek i zagłębień, ale on znów nadział mnie na siebie, a jego jądra obijały się od moich spękanych ust. Pociągnął mnie za włosy bliżej i napierał na moje gardło. Prawie go ugryzłam w odruchowej reakcji na dławienie się i pragnienie powietrza.

Zanim wyszedł z moich ust, z niezadowoleniem uderzył mnie w twarz.

– Hm... – powiedział. – Chyba wyszliśmy z wprawy?

Miał rację.

Ból i przyjemność ramię w ramię powstają z wnętrza mnie, wprawne palce Dominika wykręcają mi brodawki, a on spokojnie obserwuje reakcję na mojej twarzy.

Krew napływa z okolicznych naczyń i arterii do aureoli, zaciemniając terytorium wokół różowych czubeczków piersi, a w odpowiedzi brodawki twardnieją, kłębuszki nerwów pęcznieją niepostrzeżenie pod dowodzeniem jego rąk.

To doznanie przypomina powolne crescendo, w którym pierwotna oś bólu zostaje złamana potężną falą litościwej ulgi, wibrującej w całym ciele, aż ja staje się bólem, przyjmuję go. I przyjemność. Kończyny rozluźniają się w torebkach stawowych, a serce dryfuje w morzu spokojnej akceptacji.

– Więcej? – pyta, a opuszki jego palców zaciskają się mocniej na brodawkach, wykręcając je jeszcze o niewidoczny gołym okiem ułamek milimetra w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Dyszę.

– Tak... Proszę... Więcej.

Chcę mu powiedzieć, żeby zabrał mnie jeszcze dalej, poza ten mur bólu, kiedy przestanę myśleć i rozplynę się pod jego dotykiem, będę

jak naczynie z wodą, z pustą głową, jak bezmyślny supel doznań pozostający pod jego kontrolą.

Drugą ręką bierze mnie pod brodę i unosi moją twarz tak, żeby zajrzeć mi w oczy. Uśmiecha się tajemniczo. Patrzy jak obserwator i czciciel. W mojej brodawce rodzi się szarpnięcie obezwładniającego bólu, bo znów ją wykręca, trzymając między kciukiem i palcem wskazującym.

Wydobywa ze mnie ból powoli jak magik wyciągający kolejny fantasmagoryczny fant z rękawa albo kapelusza. Docieram do tego miejsca. Gdzie nie istnieje nic więcej.

Zamykam oczy i poddaję się jego cudownym torturom, staję się sumą wszystkich tych niewypowiedzianych doznań, sunących po delikatnej powierzchni mojej skóry, eksplorujących moją geografie rozkoszy.

– Więcej – szepczę. – Więcej, więcej, więcej.

Serce bije mi coraz szybciej. Czuję, jakbym się zbliżała do granicy, zza której nie ma powrotu.

Rozluźnia palce i krew napływa z powrotem do moich piersi, a emocje opadają, kiedy z wdziękiem wracam na powierzchnię tej dziwnej planety, którą ze mną zwiedzał. Mój mężczyzna. Potrafi zamienić ból w złoto.

Na polecenie nieznanego z brodą dwóch z obecnych w saunie mężczyzn podnosi mnie z podłogi, żeby położyć mnie na przykrytej dużym ręcznikiem ławce. Mimo to geometryczny wzór listew wbija mi się w plecy.

Kłęby pary rzedną i teraz widzę, że w pomieszczeniu jest sześciu mężczyzn. Niektórzy są nadzy, inni nieskutecznie zakrywają erekcje zawiązanymi w pasie ręcznikami.

Patrzę na ich twarze, spocone, nalane, drapieżne i nie wiedzieć czemu, myślę o nich jak o widowni, jakbym stała na scenie, miała występować i nie mogła nie zastanawiać się nad tym, jaki utwór wybrać na tę okazję.

Ten, który mnie tu przyprowadził, musiał dać jakiś znak, bo zaczęli się do mnie zbliżać i szybko mnie otoczyli.

Pokryte odciskami ręce zaczęły ugniatać mi piersi z pozbawioną finezji żądzą, ktoś inny włożył mi palce do ust, inni zajęli się cipką, rozsunęli mi nogi, zaczęli mnie pieprzyć.

Kątem oka widziałam, że nieznajomy patrzy, a pełne usta miał napięte, jakby oglądał spektakl i zastanawiał się, jaką rolę chciałby przydzielić każdemu z mężczyzn.

Obce dłonie dotykały mnie całej, w środku, na zewnątrz, i chociaż nie mogłam wzbudzić w sobie obrzydzenia wywołanego ich niezdarnością i szorstkością, nie mogłam też przywołać choćby atomu przyjemności, który mógłby obudzić znajomą woltę ciała i umysłu, zastygających w miejscu. Czulałam się po prostu jak widz uwięziony w stanie najwyższej obojętności, oddalony, zdystansowany.

Do odgłosów syczącej pary i kapiącej wody dołączyły krótkie oddechy i niezrozumiałe pomruki – chór nieokiełznanej żądzy.

Nieostrożny ruch między wargami cipki wywołał zadrapanie, palce ścisnęły moje brodawki, inna ręka wsunęła mi się między nogi,

sięgnęła do odbytu i bezlitośnie skubała napiętą skórę krocza. Drżałam.

Jeden z mężczyzn przesunął się za ławkę, na której mnie bezceremonialnie położyli i kucnął mi nad głową. Jego ciężkie jądra uderzały mnie w twarz, kiedy wkładał mi kutasa do ust i zaczął się rytmicznie poruszać.

Zmieniłam pozycję, żeby przyjąć go wygodniej i się nie zadławić. Moja bierność zdawała się ich ośmielać, choć zdaje się, że i tak cała sytuacja była reżyserowana przez stojącego z boku nieznajomego. Jakiś mężczyzna zainstalował się między moimi rozłożonymi nogami i wszedł we mnie.

– Tak... – usłyszałam jego szept.

Wciąż byłam mokra od wydzielin po poprzednim pieprzeniu, więc ten wszedł we mnie jak ostry nóż w miękkie masło. Za nim ustawiła się kolejka.

Mówiłam sobie, że to tylko seks, ale mój umysł zaczął wyrywać się spod kontroli i musiałam tłumić pożądanie, które sytuacja zaczęła we mnie budzić. Nie chciałam się dobrze bawić. Nie powinnam mieć z tego przyjemności.

Pierwszy mężczyzna doszedł szybko i opadł na mnie na chwilę. Jego oddech śmierdział jakimś fast foodem. Wszedł i szybko zastąpił go kolejny, z krótszym, ale zdecydowanie grubszym fiutem, który poranił mi wargi, wchodząc.

Jeden po drugim mężczyźni wykorzystywali mnie, zajmując pozycje między moimi nogami, by zaspokajać żądze.

Straciłam rachubę. Większość wracała po więcej, więc co chwilę ktoś mnie podnosił, przekładał, obracał, rozsuwał mi nogi, ustawiał od pozycji misjonarskiej po na pieska i każdej pomiędzy, żeby mogli się mną cieszyć i w pełni zrealizować scenariusze swojej ograniczonej wyobraźni. Czułam się bezwładna, zmęczona, rozciągnięta ponad wytrzymałość.

Ich twarze mi się rozmazywały. Ich kutasy, przenoszone z cipki do ust i z powrotem, w piekielnym ciągu penetracji, zaczęły mi się jawić jako kłęb twardych mięśni i ścięgien, aż w końcu wszyscy zlali się w jedno, w niewyróżniającego się niczym penisa, pulsującego jak okrutne serce, którego jedynym celem było mnie sobie podporządkować.

Kiedy poczułam, że to musi być koniec, jakieś ręce wzięły mnie pod pachy i podniosły. Ułożono mnie w kolejnej pozycji i cały najazd trwał dalej, tylko że teraz atakowali w grupie i musiałam akceptować dwa kutasy w sobie, potem trzy; niezmordowany marsz potwornych improwizacji.

Czy tego właśnie chciałam? Takiego upodlenia, które mogłoby zmyć moje grzechy i wymazać wspomnienia?

Dominik ma nieprzeniknioną twarz i bierze do ręki pejcz. Kulę się w oczekiwaniu. Znów sprawi, że wyruszę wąską, brukowaną złotem dróżką pomiędzy bólem a przyjemnością, rozpaczą a nadzieją.

Ręce mam przywiązane do wezglowia łóżka czerwoną jedwabną liną, którą kazał mi kupić na oczach wszystkich w sklepie w Islington,

mimo że sprzedawczynie i klienci świetnie wiedzieli, jak zostaną wykorzystane. Supły są ciasne. Ja leżę na brzuchu.

Jest letni wieczór, okno jest otwarte, lekki wiatr szumi w gałęziach pobliskiego drzewa przy ścieżce oddzielającej nas od Heath. Jęzor powietrza chytrze oblizuje moje odkryte pośladki.

Zaciskam zęby.

On czeka.

Chce, żebym błagała?

Czuję wilgoć rodzącą się między moimi udami. Nie umiem nad tym panować. Dominik o tym wie.

Czuję delikatny zapach. Moje nozdrza łowią nuty i podejmują nieudaną próbę rozszyfrowania go. Perfumy? Jedzenie? Oddech? Jego? Mój? Zielona nuta przypomina świeżo skoszoną trawę, jest też coś owocowego, słodkiego oraz zapach ani trochę nie nieprzyjemny, choć gorzki. W chwili kiedy mój mózg zaczyna go analizować, zapach znika i zastępuje go kolejny. Czy te pomieszane aromaty to zapach mojej żądz, moich uczuć?

Pejcz, który Dominik trzyma w ręce, zrobiony jest z rączki i kilku przymocowanych do niej rzemieni. Drewno ma kolor ciepłej rdzy, pasuje do niego włosie na końcu rzemieni. Zależnie od sposobu użycia może być źródłem bólu albo pieśczoły.

Czekam.

Dominik nadal nic nie mówi.

Dociera do mnie, że to wojna, kto się pierwszy odezwie.

Czuję, że się porusza.

Kawałek materiału muska delikatną skórę mojego lewego pośladka, a ja drzę, tak jakby w cudowny sposób pejcz został podłączony do prądu, jak za dotknięciem jakiejś fantastycznonaukowej różdżki. Rzeka pożądania płynie mi między nogami.

Przeciąga rzemieniem po mojej skórze, powoli, pozwala mi muskać mnie zmysłowo, niemal laskotać podnieconą skórę, w której ożył już każdy nerw i która łaknie jego dotyku.

Wycofuje się.

Znów wciąga mnie z powrotem w bezduszną ciszę.

Odsuwa się, podnosi pejcz i pozwala końcówkom muskać podeszwy moich bosych stóp.

W mojej głowie formują się słowa, ale nic nie mówię. Wiem, że on na to czeka. Opieram się jego pragnieniu. Chociaż nie widzę jego twarzy, wiem, że na jego ustach błąka się słaby uśmiezek. Piękna maska wyraża pożądanie. To sposób, w jaki okazuje mi miłość.

Słyszę w ciemności, że zmienia pozycję.

Włoski na końcu pejcza znów przesuwają mi się po krzyżu, jakby szukając konkretnego miejsca. Tonę w swoich sokach.

Serce bije mi wolniej i dostosowuje się do tempa oddechu. Mam sucho w ustach. Tak bardzo go pragnę. Marzę o smagnięciu skóry, które pobudzi mnie do życia, zasili moje emocje, uczyni mnie całą.

– Dominiku... – szepczę.

Pochyla głowę i czuję jego oddech na policzku.

– Tak?

– Zrób to, błagam cię.

Cofa się, a zanim pejcz opadnie, słyszę w powietrzu świst.

Zmieniają się między moimi nogami i w obolałych ustach, bezmyślne automaty, obcy, mężczyźni. Jestem jak szmaciana lalka. Manipulowana, wykorzystywana, rozkołysana pośród ataków jak gałąź pośród ich nieludzkiej postaci miłości.

Para zniknęła po tym, jak ktoś wyłączył maszynę w saunie i wszystko stało się krystalicznie wyraźne. Poplamione płytki na ścianach w brudnym odcieniu bieli, tłuste krople wody skapujące z sufitu, kłębówisko mokrych, porzuconych ręczników na podłodze, owłosione nogi mężczyzn, którzy mnie otaczają, blady krajobraz mojego ciała. Czuję się połamana, zdeptana, wszystko mnie boli, każdy centymetr moich zdolności obronnych został połamany, wisi na krawędzi.

Oko cyklonu.

Słyszę głos nieznajomego.

– Jak się czujesz?

– Nie wiem. Jestem... skołowana.

– Skołowana?

Mam popękane usta. Słowa nie współpracują z mózgiem.

Wspomnienia tej jatki już się zamazują i znikają pod podskórnym doznaniem przyjemności i ostrego bólu, fizycznego i psychicznego. Gdzieś głęboko jest czas miniony, lepszy. Staram się zrozumieć.

– Nie umiem wyjaśnić – protestuję słabo.

Co mu miałam powiedzieć? Że mimo że zostałam obscenicznie i teatralnie wykorzystana, nie udało mi się powstrzymać przeżywania

tej rozpusty, w której były niewątpliwie dobre momenty? On wiedział, że jeśli się do tego przyznam, będę stracona na więcej sposobów niż ten jeden.

Pomógł mi wstać.

Całe ciało moje płonęło z bólu.

Musiałam wyglądać żałośnie. Mokre włosy opadały mi w wilgotnych strąkach na ramiona. Spojrzałam w dół. Na ramionach miałam zadrapania, zresztą, na całym ciele. Świeżo ogolone wargi sromowe były niemal szkarłatne i nienaturalnie opuchnięte. Rozdygotane nogi całe w siniakach.

– Więc powiem ci to, czego nie umiesz wyrazić – szepnął mi do ucha. – Tego chciałaś, podobało ci się to i każdego dnia, który nadejdzie, będziesz myślała o tej nocy i raz za razem przeżywała ten dreszcz.

Będziesz jednocześnie zawstydzona i podniecona, ale choć będziesz się bardzo starała z tym walczyć, gdzieś z głębi ciebie będzie dochodził nieracjonalny, żebrzący głosik, zachęcający cię, żebyś się na to zgodziła jeszcze raz. Żebyś jeszcze raz została boską szmatą. I w końcu się złamiesz, sięgniesz po telefon, zadzwonisz do mnie, a ja to załatwię.

– Nie zadzwonię...

– Zadzwonisz.

Mówił z łagodnością diabła. Wiedziałam, że ma rację. W ułamku sekundy przeniknął przez moją słabość i wiedział, jak ją wykorzystać.

Odesłał gestem kilku mężczyzn, którzy jeszcze byli w saunie, aż zostaliśmy tylko we dwoje w tym się coraz bardziej ziębnącym pomieszczeniu. Obejrzał mnie uważnie, oceniając mój stan.

– Na kolana – rozkazał.

– Nie mogę już – powiedziałam. – Nie mogę...

Próbowałam kucnąć, ale miałam za słabe nogi i upadłam na ręce.

Spojrzałam na niego.

Trzymał w ręce sflaczałego penisa.

Strumień moczu uderzył mnie w twarz. Był szokująco ciepły. Naznaczył mnie. Jak swoje terytorium.

Szybko zamknęłam usta i mocz spłynął mi po policzkach i po brodzie, a ja biernie przyjmowałam dalsze upokorzenie.

Kiedy już opróżnił pęcherz, wyciągnął do mnie rękę i pomógł mi wstać.

– Następnym razem będziesz miała otwarte usta – ogłosił.

– Nie – wymamrotałam cicho, raczej do siebie, w bezpiecznej ostoji mojego umysłu. Nie miałam odwagi na przeciwstawienie mu się prosto w oczy.

Zaprowadził mnie do opustoszałych pryszniców, gdzie zmyłam z siebie tę noc, w każdym razie – na ile mogłam.

Odzyskałam mój porzucony płaszcz i ciasno się nim owinęłam, zanim opuściliśmy budynek. W bladym świetle świtu szłam z nieznanym na parking. Spytał, czy gdzieś mnie podwieźć.

Odrzuciłam propozycję, chciałam tylko dostać skrzypce z jego bagażnika. Chciałam iść do domu na piechotę, wiedziałam, że muszę

oczyścić umysł. Poza tym wolałam, żeby nie wiedział, gdzie mieszkam. Po drugiej stronie ulicy otwierał się sklep spożywczy. Na zewnątrz ktoś rozstawiał skrzynie z owocami i warzywami. Poczułam, że mam ochotę na jabłko.

Mężczyzna podał mi wizytówkę. Nie było na niej nazwiska, tylko numer telefonu. Przysięgłam sobie, że nigdy do niego nie zadzwonię, ale nie miałam dość przekonania, żeby ją wyrzucić, jak tylko jego audi zniknęło na ulicy prowadzącej do Camden Town.

Pogrzebałam w kieszeniach i znalazłam funtową monetę. Kupiłam za nią błyszczące, czerwone jabłko i rozpoczęłam długą drogę powrotną do Hampstead.

– Lubię patrzeć, jak jesteś związana – mówi Dominik z iskierką rozbawienia w ciemnych, brązowych oczach.

– A ja lubię być związana.

– Dobrze ci z bezbronnością?

– Z utratą kontroli.

– Byciem pożartą przez wilki.

– Rzuconą na pastwę.

Jest we mnie, porusza się z wyrafinowaną powolnością, a jego aksamitny kutas bada każdy zakamarek moich wewnętrznych ścian, wrażliwych. Poznaje mnie.

Delikatnie zwilża językiem moje wargi. Unosi się lekko i sięga do mojej szyi.

– Lubisz niebezpieczeństwo – mówi.

– Lubię. Sprawia, że czuję, że żyję.

Zwinnymi palcami dotyka mojego gardła.

– Któregoś dnia możemy się posunąć za daleko.

– Nie szkodzi.

Oddycham płyciej. Czuję, że on we mnie rośnie. Czy kiedyś zawiąże mi na szyi linę?

Nasze gry.

Zamknęłam za sobą drzwi i odwiesiłam klucze i płaszcz na wieszak w przedpokoju. Byłam naga, nie licząc adidasów, ale nie było mi zimno. Tak jakby ciepło z sauny przeniknęło mi do kości i nawet długi spacer do domu go nie zniwelował. Wyobrażałam sobie, że mam akurat dobrą temperaturę, żeby założyć na mnie hodowlę bakterii. Perfekcyjne szalki Petriego w nieudanym eksperymencie naukowym.

Weszłam do salonu. Dom wyglądał tak samo, jak kiedy wyszłam, tylko że nie było już ostatnich kartonów z rzeczami Dominika. Lauralynn zapakowała je i zabrała. Zostawiła coś na blacie w kuchni razem z liścikiem. Podeszłam, stąpając ostrożnie, jakbym znajdowała się na miejscu zbrodni i nie chciała zniszczyć dowodów.

Pomyślałam, że może chciałabyś to mieć, Lx

To był zegarek Dominika. Kupiłam mu go na ostatnią „rocznicę”. Żartowaliśmy, że ponieważ mieliśmy tyle początków, nie wiemy, kiedy świętować. Więc wybrałam sobie dzień i po prostu kupiłam mu prezent. Nosił go od tamtej chwili cały czas.

Podniosłam zegarek i przesunęłam palcem po grawerunku na odwrocie cyferblatu. Nic takiego, tylko data naszego pierwszego spotkania, kursywą, i nasze inicjały. D.S.

To był nasz wewnętrzny żart, bo przypadkiem pierwsze litery naszych imion symbolizowały też rodzaj związku, jaki tworzyliśmy: *dominance* i *submission*. Kiedy powiedziałam to Dominikowi, tylko wywrócił oczami. Nienawidził akronimu BDSM.

Na mojej skórze pokrytej potem metal był zimny jak lód. Przypomniało mi się, że nigdy nie byłam dobra w kupowaniu prezentów – w przeciwieństwie do Dominika. Zawsze umiał wybrać coś, co było jednocześnie zaskakujące i niesamowicie do mnie dopasowane. Uroczym symboliczne.

Moje prezenty zawsze wyglądały na wybrane z katalogu. Bo i też nigdy nie poznałam go tak, jak powinnam. To on był biegły w słowach, w romantycznych niespodziankach. Ja okazywałam miłość w jedyny sposób, jaki znałam. Ciałem.

– *Ćśś – mówi. – Rozluźnij się. Odpuść.*

Przyspila mnie do materaca, na brzuchu. Leży na mnie, jego klatka piersiowa na moich plecach, jego oddech na mojej szyi, szepcze mi do ucha. Puls mi szaleje, gdy delikatnie odgarnia mi z gardła kosmyk włosów.

Napiera erekcją na mój odbył. Stanowcza, twarda, niezbywalna obecność między moimi pośladkami, czekająca na pierwsze oznaki poddania się, na to, aż powitam jego kutasa w tamtej dziurce.

Mój nieskończenie cierpliwy dominant Dominik, który nie oczekuje ode mnie uległości, tylko przyzwolenia. Nie słownego, tylko wyrażonego ciałem i kośćmi, mięśniami i ścięgnami, tymi częściami mnie, które nie umieją kłamać, których nie można zmanipulować tak,

żeby oddały coś, czego tak naprawdę nie chcą. On nie chce po mnie sięgnąć, chce, żebym się na niego otworzyła.

Leży cierpliwie, z wyczuciem balansując na mnie ciężarem ciała, lekko napierając, milimetr za milimetrem, wystarczająco, ale nie nadmiernie.

Włosy na jego ręce laskoczą mnie, kiedy pochyla głowę i całuje mnie w policzek. Mam twarz odwróconą w bok. To czuły pocałunek. Nie widzę go dobrze z tej pozycji, ale wiem, że potem się uśmiecha.

Muszę się dostać do tego miejsca w mojej głowie. Do bezpiecznego miejsca. Tego, które wie, że to Dominik i chce, żeby Dominik miał całą mnie, żeby mnie posiadał. Chcę mu dać wszystko.

Rozluźniam się.

On warczy.

Jego kutas wślizguje się we mnie, jakby był stworzony, żeby tam pasować, chociaż jestem tam ciasna, a on wydaje się niemożliwie duży.

Moje ciało wpuszcza go w siebie.

Mój Dominik.

Odkładam zegarek. Ściszałam go tak mocno, że maleńkie pokrętka, które wprowadzały go w ruch, zostawiły czerwone wgłębienia w mojej dłoni. Nie mogę dotykać niczego, co należało do Dominika, gdy moje ciało wciąż jeszcze cuchnie brodatym nieznajomym i mężczyznami z sauny. Na myśl o nich nawet nie płaczę. To mi się wydaje tak nierzeczywiste. Jak zły sen.

Czubkiem buta zsunęłam but z drugiej nogi, a potem powtórzyłam to już nagimi palcami, żeby nie musieć rozwiązywać sznurówek. Nie przyszło mi do głowy, żeby przed wyjściem włożyć skarpetki i piasza droga do domu boleśnie obtarła mi stopy.

To bardzo dobrze, pomyślałam. Ból poranionych stóp, wynik czegoś tak zwyczajnego jak spacer bez skarpetek, dawał mi zastępczy powód do myślenia, coś, co pozwalało mi przestać zwracać uwagę na pozostałe części mojego ciała, które bolały z poważniejszego powodu i znacznie bardziej.

Kiedy w końcu weszłam pod prysznic, woda była jak balsam. Nastawiłam temperaturę na maksymalnie wysoką i szorowałam się szczotką, aż moja skóra była czerwona i piekąca.

Owinęłam się grubym, białym, miękkim szlafrokiem. W lustrze wyglądałam nienagannie: szopa rudych loków, teraz czystych i wysuszonych, szła koloru na tle białej skóry. Jedyna oznaka tego, że byłam kobietą w szkarłacie.

Obudziłam się niemal dobę później. Leżałam na łóżku owinięta szlafrokiem, dokładnie w tym miejscu, w którym ostatecznie padłam. Miałam za sobą sen pełen koszmarów, obrazów i nierzeczywistych przygód mieszających się z anonimowymi twarzami, splątanymi kończynami, znanymi mi i nieznanymi ciałami oraz dyskretnie zarysowanymi wizerunkami bólu.

Spojrzałam na cienki złoty łańcuszek od Dominika, ten ostatni prezent, z małą złotą kłódeczką. Dzięki Bogu, że nie miałam go na

sobie w saunie. Wzięłam go do ręki i schowałam w bezpiecznej szufladzie koło łóżka. Żeby go nie zbrukać kontaktem z moim ciałem.

W kuchni znalazłam bochenek białego chleba tostowego i worek słodczy, które przyniosła Lauralynn. Nie był to ortodoksyjny posiłek, ale byłam głodna, więc się nie przejmowałam.

Posmarowałam kromki masłem, do środka wcisnęłam pokryte cukrem żelki i zwinęłam jak hot dogi, a potem łykałam jedną kromkę za drugą, prawie nie gryząc.

Może jak zrobię się już bardzo gruba, nie będę musiała się przejmować, że tacy mężczyźni jak brodaty nieznajomy będą stawać mi na drodze, kiedy nago gram na Heath, pragnąc mnie i uruchamiać moje seksualne mechanizmy. Wiedziałam jednak, że to mrzonki. Oni pragną kobiet takich jak ja ze względu na myśli i pragnienia, nie tylko ciała.

Wzięłam butelkę ginu i wylałam do zlewu. Problem z alkoholem to ostatnie, czego mi teraz trzeba. Kwaśny zapach atakował mój zmysł węchu, kiedy patrzyłam, jak ciecz znika w odpływie.

Żałowałam, że nie mogę zniknąć w ten sam sposób i przeklełam tę część mnie, która chciała żyć. Szlag by to trafił, czemu nie miałam natury samobójczynie? Śmierć wszystko by ułatwiła. Ale w sercu pozostałam bezlitośnie pragmatyczna i żywa.

Muzyka i praca. Tam muszę szukać ukojenia. Bez Dominika to wszystko, co mam. Później zadzwoniłam do agentki i poprosiłam, żeby ustawiła mi trasę w jakichś małych salach jak najszybciej.

Protestowała, wyjaśniała, że to złe posunięcie z punktu widzenia dalszej kariery, a także delikatnie sugerowała, że nie jestem jeszcze gotowa do podjęcia takiego wyzwania, biorąc pod uwagę ostatnie okoliczności. Chodziło jej o to, że nie minęło dość czasu od śmierci Dominika. Ale ja nalegałam i w końcu się zgodziła. Powiedziała, że łatwiej będzie wybrać sale w Europie, bo w Anglii wszystko jest rezerwowane na długo naprzód.

W Brukseli poszłam do Muzeum Instrumentów Muzycznych urządzone w starym domu towarowym i odbyłam rozmowę z mężczyzną w średnim wieku, którego poznałam w sali strun, a potem pieprzyłam go w męskiej toalecie. Pobiegłam na występ z jego zapachem na skórze i zagrałam dla małej widowni, wciąż mając w sobie jego spermę.

Niecałe czterdzieści osiem godzin później, w Amsterdamie, pozwoliłam się porwać smagłemu Rosjaninowi, który ledwie mówił po angielsku i którego poznałam, snując się w takiej właśnie intencji po dzielnicy czerwonych latarni. Nalał mi do cипki szampana i wypił go ze mnie w swoim luksusowym apartamencie w hotelu Kempinski, nie przejmując się pobożewiskiem na łózkę.

Pewnie był dość bogaty, żeby kupić cały ten hotel. Kiedy już mnie dosiadł, doszedł za szybko, a potem nie mógł odzyskać erekcji, co go tak sfrustrowało, że wyrzucił mnie z pokoju na wyłożony miękkim dywanem korytarz, a za mną poleciały moje ubrania.

W Berlinie flirtowałam bezwstydnie z jednym z inspicjentów, a po recitalu uprawiałam z nim seks w teatralnych podziemiach wśród

połamanych mebli i zwojów zakurzonej liny, którą nie chciał mnie związać.

Srebrzystowłosy arystokrata z Paryża wysłał mi do garderoby ogromny bukiet kwiatów, a ja zgodziłam się pójść z nim po występie na kawę. Cechowała go specyficzna elegancja i był specjalistą od muzyki barokowej. Mógł o niej mówić całymi godzinami.

Chętnie robił zdjęcia i zawiązywał mi oczy. Spędziłam z nim cały dzień, a na koniec dał mi na pamiątkę broszkę z bursztynem i poprosił, żebym została jego mistrzynią, ale wykręciłam się zobowiązaniami w innym kraju.

W Rzymie rozpoznał mnie kelner w restauracji. Po lunchu zabrał mnie do piwniczki z winami i cały czas szeptał pod nosem różne sprośności, kiedy brał mnie analnie. Wiedziałam, że połowa personelu kuchni patrzy, jak krótka spódniczka w kwiaty, którą miałam na porannym występie, oraz moje majtki lądują w okolicy moich kostek.

Na południu Barcelony znalazłam w późne wiosenne popołudnie ustronną plażę dla nudystów i wypatrzyłam dwóch młodych tubylców, którzy szli przez wydmy. Nie padło między nami ani jedno słowo, tym bardziej że nie znałam hiszpańskiego.

Pochylili się nade mną, zasłaniając mi słońce i z przyjemnością patrzyli na moje ciało. Specjalnie się nie zakrywałam i wkrótce potem oni też się rozebrali i położyli na piasku po obu moich stronach.

Mieli piękne kutasy. Wzięłam każdego do ręki. Później pieprzyli mnie w milczeniu. Spoceni, rozgrzani i roześmiani poszliśmy popływać, aż zabrakło mi tchu, więc wygramoliłam się z wody i

poszłam z powrotem na plażę, gdzie wypiliśmy sześciopak piwa, który jeden z chłopaków miał w plecaku.

Wkrótce miałam pełny pęcherz i musiałam zrobić siusiu. Na migi pokazałam więc, że idę na wydmy albo do wody, ale oni zaczęli się śmiać, kręcić głowami i wskazywać na piasek. Kucnęłam więc i pozwoliłam im patrzeć. Chyba się nawet zarumieniłam, z taką fascynacją obserwowali ten akt fizjologiczny.

Potem wytarłam się wierzchem dłoni i wstałam, ale oni wymienili porozumiewawcze spojrzenia, jeden stanął za mną i wziął mnie pod ramiona, drugi złapał mnie za kostki i zanieśli mnie na brzeg, a potem, krzycząc, *uno, dos, tres!*, wrzucili mnie do wody.

Wkrótce do mnie dołączyli i udawali, że mnie myją. Ich dłonie i palce maniakalnie poruszały się po moim ciele i w jego wnętrzu, a oni śmiali się histerycznie. Kiedy wróciliśmy na piasek, ten wyższy wsadził mi kutasa do ust, a ja ssałam, aż zrobił się twardy. Potem znów mnie zerznęli. Nawet nie spytałam, jak mają na imię.

W Montpellier, w tramwaju, poznałam Jeana-Jacques'a. Jakiś czas potem ukradł mi z pokoju torebkę, kiedy myłam się po seksie. Nigdy nie nosiłam przy sobie dużo gotówki, więc zgłosiłam tylko kradzież kart kredytowych, a paszport był bezpieczny w sejfie hotelowym, zabezpieczonym hasłem w postaci mojej daty urodzenia, które zawsze wybierałam ja i na pewno setki innych osób.

W Nicei mój kochanek na jedną noc wziął mnie od tyłu, gdy stałam przy oknie i obserwowałam, jak morze oblizuje brzeg plaży przy promenadzie. Kiedy to robił, usłyszałam w głowie fragment

kompozycji Musorgskiego. Nazajutrz uparłam się, żeby zmienić plan koncertu i powiedziałam, że muszę zagrać ten kawałek, mimo że nie został umieszczony w programie wydrukowanym z okazji mojego recitalu.

W Dubrowniku albo w Zagrzebiu poderwałam cygańskiego skrzypka, z nadzieją że dwoje muzyków w jednym łóżku stworzy jeszcze słodsza muzykę, ale seks był bez fajerwerków, a na koncercie następnego dnia pomyliłam się, grając Mendelssohna, bo myślami byłam gdzie indziej. Miałam przeświadczenie, że nikt z nielicznie zgromadzonej widowni nie zauważył.

Trasa się kończyła i wróciłam w końcu do Londynu. Nie miałam specjalnej ochoty, ale wygrał brak innych planów. Byłam też zmęczona życiem na walizkach i w codziennie nowych pokojach hotelowych.

Na zewnątrz byłam wciąż taka sama. Wiedziałam jednak, że w środku jestem zdruzgotana. W kieszeni szarego płaszcza wiszącego w przedpokoju miałam wizytówkę tajemniczego nieznajomego z jego numerem telefonu. Drażniła mnie.

Codziennie byłam sama, gubiłam się w sprzecznych myślach i kończyło się tak, że prawie schodziłam na dół, żeby ją znaleźć. Potem się opamiętywałam, ale wiedziałam, że w końcu się złamię. Wizytówka działała jak czerwona płachta na byka.

Dominik bierze mnie w ramiona i kładziemy się obok siebie na łóżeczku, tak naturalnie jak dwie morskie istoty wtapiające się w wody tego samego morza.

On mnie mocno obejmuje i po raz ostatni przytula.

Właśnie skończyliśmy się pieprzyć. Nic niezwykłego, ale było dobrze. Całowanie w łóżku. Buziak na dobranoc zmienia się w pocałunek pełen pasji, z otwartymi ustami, roztańczonymi językami i napierającymi na siebie wargami.

Dominik wciąga się na mnie i wzdycha z rozkoszy, biorąc kutasa do ręki i wsuwając go delikatnie między wargi mojej cipki. Jestem już mokra, więc wchodzi od razu, a ja obejmuję go i przywieram do jego ramion jak zdesperowana kobieta rozbitek, chwytająca się burty łodzi ratunkowej albo tratwy. Kołyszymy się w tył i w przód, a potem on dochodzi.

Leży na mnie, aż zrobi się miękki i mija chwila desperackiej pasji. Wie, że jest ciężki. Wiercę się pod nim.

A później, najlepsze ze wszystkiego. Spokój po burzy. Cisza po dniu hałasu. Koimy się wzajemnie, jesteśmy razem.

– To cudowne, że tak doskonale do mnie pasujesz – mówię, odpływając już w sen. I mam na myśli to, że pasuje. Nie: dopasowuje się, będąc we mnie. Pasuje do mnie, a ja wiem, że pasuję do niego.

– Kocham panią, panno Zahova – odpowiada sennie. – Jesteś doskonała.

– Ja też cię kocham – odpowiadam.

Ale nie jestem pewna, czy mnie słyszy. Chyba już śpi.

4. Winorośle! Liany!

– Słyszałam, że pojawiły się niepokojące plotki na twój temat, kochanie... – powiedziała Lauralynn. – Coś ty wyrabiała w trasie?! Nie zamierzam cię oceniać, a twoje prywatne życie to twoja sprawa, ale takie historie szybko się rozchodzą.

Jeśli będziesz w to brnęła, wpakujesz się w kłopoty. Wystarczy, że ktoś wpuści jakiś łakomy kąsek do brukowców i wylądujesz na trzeciej stronie jako „Artystka nimfomanka kurwi się po całej Europie”. Jeśli nie coś gorszego, gdy twoi towarzysze zdradzą pikantne szczegóły, a znając cię, jestem pewna, że twoje zachowanie było dalekie od standardu.

– O czym ty mówisz?! – zaprotestowałam. Lauralynn wpadła do domu sekundę po tym, jak otworzyłam jej drzwi. Miała na sobie luźny dres i była spocona. Musiała szybko wbiec na wzgórze. Nigdy jeszcze nie widziałam jej w stanie tak bliskim wściekłości. – Zresztą, mam w dupie swoją karierę. Nie ma dla mnie znaczenia.

Spojrzała na mnie ze złością jak nauczycielka rozczarowana krnąbrnym zachowaniem dziecka. Wyglądało na to, że moje anonimowe przygody w Europie nie były aż tak dyskretne, jak miałam nadzieję i współpracujące ze mną ekipy się o nich dowiedziały.

Wieści dotarły nawet do Simona, dyrygenta, mojego dawnego kochanka, który wrócił już do Afryki Południowej, ale skontaktował się z moimi londyńskimi przyjaciółmi, żeby ich poprosić o interwencję.

Byłam w Londynie od dwóch tygodni i większość czasu spędzałam, snując się po wielkim, pustym domu w pidżamie albo starym, puchatym szlafroku, który dobre czasy miał już za sobą.

Żeby przeżyć, zamawiałam egzotyczne potrawy z dostawą do domu. Nie mogłam się na niczym skupić, nie mogłam czytać ani nawet oglądać filmów w telewizji. Byłam duchem we własnym domu. Który kiedyś był naszym domem. Jego domem.

W głowie mieszały mi się zamazane wspomnienia tego, co robiłam w Kentish Town i seksu, który uprawiałam w całej Europie przez ostatni miesiąc. Uświadamiały mi, w jakim jestem stanie. Nie wstydziłam się, ale miałam silną świadomość, że w środku jestem wypalona i ten przygodny seks w żaden sposób nie poprawił sytuacji.

– Oj, Summer, proszę cię! – Lauralynn rozpięła szarą bluzę i rzuciła na jedną z kanap w gabinecie, dokąd za mną poszła, po drodze zerkając z obrzydzeniem na biurko zastawione pudełkami po fast foodach, których nie wyrzucałam, bo mi się nie chciało. – Dorośnij!

– O co ci chodzi? – spytałam. Byłam jednocześnie wzruszona i wkurzona tym, że aż tak się o mnie troszczy.

Cisza, która nastąpiła, raptem zawisła nad nami obiema.

– Summer... – powiedziała Lauralynn, a w jej głosie słyszałam szczery smutek.

Wyciągnęła do mnie otwarte ramiona, jakby chciała mnie objąć.

Podbiegłam do niej i zatopiłam się w ciepłym, miękkim ciele, owinęłam się wokół niej, położyłam jej policzek na ramieniu.

Owionął mnie ziołowy, jesienny zapach jej włosów, które ocierały mi się o twarz.

Stałyśmy tak bardzo długo. Słowa były zbędne.

W kuchni, przy wspólnej kawie, rozmowa została w końcu nawiązana.

– Nasza wspólna znajoma z branży wspominała mi, że zamierzasz jechać w kolejną trasę. – Miałyśmy tę samą agentkę. – Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

– Granie trzyma mnie przy życiu – odparłam.

– A jak przestajesz grać, znowu dostajesz świra.

– Więc, co mi radzisz?

– Gadaliśmy o tym z Viggiem. Przejmujemy dowodzenie. Weź trochę rzeczy i przyjedź pomieszkać z nami. Na trochę. Jesteś dla siebie zagrożeniem, a ten wielki dom jest zbyt duży dla jednej osoby. Potrzebujesz odpoczynku. I zdecydowanie musisz mieć towarzystwo.

Wprowadzenie się do Belsize Park, urządzonego w stylu rockowym i pełnego tajnych pomieszczeń i skarbów, było jak powrót do przyszłości.

Viggo miał być zajęty przez najbliższe dwa tygodnie w studiu na mieście, z muzykami wynajętymi do swojego rockowo-klasycznego projektu. Czułam się dotknięta, kiedy nie zaprosił mnie do dalszego udziału. Nagraliśmy materiał do improwizacji na temat *Ucznia czarnoksiężnika*, zanim wyjechałam w trasę, ale on się upierał, że chce innego muzyka do każdego utworu, tylko że nie chciał mi nawet powiedzieć, kogo jeszcze wybrał ani jakie utwory zamierzał grać.

Większość czasu spędzałam z Lauralynn. Byłam jej bardzo wdzięczna za to, że nie zadawała pytań i nie próbowała mnie uzdrawiać, na co nie miałam najmniejszej ochoty. Snułyśmy się po domu, sprzątałyśmy i nie dotykałyśmy tematu zawartości naszych serc, rozmowa nigdy nie wykraczała poza codzienne głupoty.

Kiedy Viggo skończył nagrania, powstał plan wyjazdu na wakacje w jakieś ciepłe miejsce. Może na plażę. Byle daleko. Z radością zostawiłam im wszystkie szczegóły.

Spałam w pokoju w żartach nazywanym przez Lauralynn penthousem. Była to średniej wielkości sypialnia na ostatnim piętrze, znajdująca się na dużym strychu, zaadaptowanym, zanim jeszcze Viggo się tu wprowadził.

W nocy patrzyłam przez dachowe okno nad moim łóżkiem na gwiazdy rojące się na późnowiosennym niebie i słuchałam dźwięków nocy, a także odgłosów domu: niewiadomego pochodzenia skrzypnięć, szeptów, oddechów drewna i bulgotów wody. Miałam problemy ze snem, czasem leżałam całymi godzinami w oczekiwaniu na spokój umysłu. Zmęczenie walczyło ze strachem przed tym, co tej nocy przyniosą koszmary.

Chmura zasłoniła gwiazdy i księżyc, a ciężar nocy stał się wręcz nieznośny. Przekładałam się z boku na bok, stopy wplątywały mi się w prześcieradło, czułam, że coś mi przygniata pierś.

Odrzuciłam kołdrę i wstałam. Słyszałam tylko własny oddech. Spłoszony. Wystraszony. Wyszłam na podest schodów i zaczęłam

schodzić, ostrożnie, schodek za schodkiem. Staralam się nie zrobić żadnego hałasu.

Sypialnia Lauralynn i Vigga znajdowała się piętro niżej. Drzwi były uchylone. Stałam przed nimi w krótkim podkoszulku i bawełnianych majtkach, w których zwykle sypiałam i ostrożnie je pchnęłam. W pokoju było całkiem ciemno, w wykuszowych oknach wychodzących na duży ogród na tyłach domu wisiały ciężkie zasłony.

Na palcach podeszłam do łóżka, domyślając się raczej ich uśpionych kształtów pod kołdrą. Gdy się zbliżyłam, zobaczyłam nagie ramiona i zasłuchałam się w nieregularny rytm ich oddechów. Viggo co jakiś czas lekko pochrapywał, co przypomniało mi czasy naszego przelotnego związku.

Oczy przyzwyczały mi się do ciemności i teraz widziałam lepiej. Łóżko było duże, Viggo leżał na brzuchu, rozłożony na płasko, prawie zwisał z lewej krawędzi. Spod kołdry wystawało kilka palców u nóg, a ciemne loki rozsypały się po poduszce. Lauralynn leżała na plecach, nieruchoma, piękna jak odaliska, z delikatnym uśmiechem błędzącym po rozchyłonych, pełnych ustach.

Przemknęło mi przez myśl, jak Dominik i ja wyglądaliśmy, śpiąc, potok emocji zawirował i zaczął wzbierać w moich oczach, bo zdałam sobie sprawę, jak daleko od siebie śpią moi przyjaciele, których podglądałam w ustroniu ich łóżka. Dominik i ja zawsze spaliśmy blisko, przytuleni, skóra przy skórze, zrywając granicę intymności, a bicie jego serca kołysało mnie do snu, gdy zostawałam na jawie dłużej niż on.

Umarł sam.

Nie było mnie przy nim.

Ta myśl mnie druzgotała.

Zdjęłam majtki i koszulkę, na darmo próbowałam zetrzeć łzy, ściągnęłam kołdrę ze śpiących ciał przyjaciół i położyłam się między nimi, a potem z powrotem naciągnęłam kołdrę, żeby ułożyć się w ich ciepłe.

Obydwoje się poruszyli, kiedy doświadczyli mojej obecności. Viggo się odwrócił i przysunął do mnie bliżej, ocierając się tyłkiem o mój, ale spał dalej. Lauralynn otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Nie musiałam nic wyjaśniać. Dobrze wiedziała, że nie przyszłam na seks. Łzy płynące na poduszki, na których leżałam, były wystarczającym dowodem.

– Cśś... – powiedziała. – Podniosła rękę i starła mi łzy z policzka.
– Wszystko będzie dobrze. Tylko daj sobie czas...

Przysunęła się do mnie i zamknęła między ich nagimi ciałami. Mruknął, ale się nie odsunął.

Objęła mnie ramieniem i naciągnęła na nas kołdrę, żebyśmy obydwie znalazły się we wnętrzu ciepłego kokonu. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, żeby kojące ciepło ich ciał zadziało.

– Śpij, skarbie – szepnęła Lauralynn.

Powitałam noc.

– Mamy już plan – powiedziała Lauralynn następnego ranka, wkrótce po wspólnym śniadaniu.

Zaraz po obudzeniu byłam w szoku, kiedy stwierdziłam, że znajduję się między nagimi ciałami moich przyjaciół, obydwójga już przytomnych, ale nieruszających się, żeby mnie nie stresować. Czekali, aż sama się obudzę. Kiedy otworzyłam oczy, oboje nachylili się nade mną i każde pocałowało mnie w policzek, na powitanie poranka.

Wzięliśmy we trójkę prysznic, jakby była to najnaturalniejsza rzecz na świecie. Mieliśmy za sobą skomplikowaną przeszłość i już dawno przyzwyczailiśmy się do widoku swoich nagich ciał.

– Będzie tam ciepło? – spytałam.

– No jasne!

– Kiedy?

– Jutro!

– Tak szybko?

– Nie ma na co czekać.

Później mieliśmy pojechać do mnie, żebym wzięła ubrania, ale Lauralynn poinstruowała mnie, żebym nie brała za dużo, bo część podróży spędzimy na małej łódce, na której będzie obowiązywało ograniczenie bagażowe.

Zaintrygowała mnie, ale nie chciała powiedzieć nic więcej.

Po tym, jak spakowałam letnie ciuchy i kilka par bikini, poszłam do gabinetu i otworzyłam gablotkę z chińskiego drewna, w której trzymałam skrzypce. Dźgnęło mnie poczucie winy, bo minęło kilka tygodni od powrotu z trasy europejskiej, a ja w ogóle nie ćwiczyłam.

Lauralynn została w kuchni i na ochotnika podjęła się wyrzucenia opakowań po jedzeniu i opróżnienia lodówki, żeby w czasie mojej obecności zawartość nie zgniła.

W jednej ręce trzymałam Bailly'ego, a w drugiej drugie ulubione skrzypce, nowocześniejsze, ale smukłe, wykonane we Włoszech, których ciepły ton doskonale pasował do większości mojego repertuaru. Zastanawiałam się, które zabrać.

Rozwazałam wszystkie za i przeciw. Były wysoko ubezpieczone, więc to nie odgrywało roli, ale Bailly miał oczywiście wartość sentymentalną. Stwierdziłam, że głupotą byłoby brać jedno i drugie. Nie wykorzystałabym ich, bo zamierzałam ćwiczyć co najwyżej godzinę dziennie.

– Nie.

Do gabinetu weszła Lauralynn i złapała mnie na rozważaniach.

– Co?

– Nie bierzesz żadnych.

– Dlaczego?

– Bo to mają być wakacje. Nie chcę, żebyś myślała o muzyce. Cały cymes polega na tym, żeby cię od niej odciągnąć.

– Ale...

– Nie ma „ale” i nie ma „jeśli”. – Lauralynn była niezwykle surowa. – Ja też nie biorę wiolonczeli – dodała. Zamierzałam wspomnieć, że nic dziwnego, jej instrument był znacznie cięższy od mojego. – Wiem, że czujesz się niespełniona, kiedy nie grasz, ale

muzyka cię pożera, rozgrzewa ci krew i przywraca cię do życia. A to tylko krok do pokus...

Zamierzałam zaprotestować i się kłócić, że przesadza, bo na pewno tam, gdzie jedziemy i tak będą pokusy, piasek, słońce, egzotyczne drinki, ale w głębi duszy czułam, że ma rację.

Zostawiłam skrzypce w domu.

Tej nocy znów spałam z Lauralynn i Viggim, wtulona w ich ciepło. Wydawało mi się to zupełnie naturalne.

Rano pojechaliśmy taksówką na lotnisko.

Przez ostatnie miesiące widziałam już dość lotnisk i zmęczyłam się podróżowaniem, więc wlokłam się za Viggim i Lauralynn jak w półśnie, kiedy mijaliśmy kolejne terminale, punkty odprawy, celników i piszczące barierki.

Jak tylko usiedliśmy w fotelach klasy biznes, łyknęłam tabletkę nasenną i ocknęłam się tylko przelotnie, żeby zjeść plastikową w smaku potrawkę z kurczaka, chleb, anemiczną sałatkę i muffina, które postawiła przede mną stewardesa wyglądająca, jakby obudziła się w środku koszmarne snu o znienawidzonej pracy.

Potem zamówiłam Krwawą Mary, którą piłam zawsze w samolocie, chociaż najczęściej składała się tylko z wódki, soku pomidorowego oraz soli i pieprzu z małych torebeczek, bez całej reszty.

– Lecimy do Rio? – spytałam Lauralynn.

Wydawało mi się, że zamiast warg mam dwie gumowe parówki, a w ustach całkiem mi wyschło. Wcisnęłam guziczek, przywołujący

nabzdyczoną stewardesę, i poprosiłam ją o wodę. Skutki uboczne leków, alkoholu i długiego lotu.

– Tak, ale tylko przejazdem. Tam, dokąd zmierzamy, nie ma lotniska. Zresztą, w ogóle niewiele jest.

Zamierzałam spytać, jak długo tam zostaniemy i czy była tam kiedyś, ale zanim zdążyłam coś powiedzieć, spadła na mnie kolejna fala zmęczenia i porwała w sen. Głowa opadła mi niewygodnie na ramię Lauralynn, a nogi zgięłam jak konik polny, żeby nie wbijać ich w oparcie siedzenia przede mną. Viggo też był w innym świecie, bo w słuchał w wielkich słuchawkach rockowych skarbów z iPod'a.

Dwie noce spędziliśmy w Rio, akurat dość, żeby odpocząć po podróży i zacząć się relaksować.

– Przecież ja w ogóle nie pracowałam – marudziłam, gdy Lauralynn nalegała, żebym spała, jak długo chcę, jadła późne śniadanie, a potem robiła niewiele więcej poza lenieniem się.

Drugiego wieczora zjedliśmy wczesną kolację na balkonie w Zaza: *ceviche* z surowego tuńczyka z pikantnym kokosowym majonezem z wasabi, które z każdym kęsem rozpalało mi na języku przyjemny ogień. Lauralynn zamawiała jeden niewiarygodny koktajl za drugim: truskawki z bazylią, czarną i białą czekoladą, karambolą, chili, marakują i pieprzem. Viggo był wiernym wyznawcą krwistych steków i frytek, a egzotykę zostawiał nam.

Na dworze kłębili się ludzie, którzy przyszli coś zjeść. Sączyli drinki albo czekali na stolik. Zaczął zapadać zmrok, więc urlopowicze i tubylcy opuszczali plażę. Ulicami sunął pochód skąpo ubranych

mężczyzn, kobiet i dzieci z tanimi rakietami do tenisa, piłkami do siatkówki i leżakami – rekwizytami sobotniego popołudnia. Tylko kilkoro miało ręczniki.

Duże krople słonej wody przywarły do obnażonych klatek piersiowych i mięśni brzucha wysklepionych jak w reklamach. Góry od bikini bezskutecznie próbowały okiełznać pełne piersi, które kołysały się w rytm kroku właścicielek. Skąpe stroje do pływania należały się nie tylko młodym i wysportowanym.

Owłosione, okrągłe brzuszyska zwisały nad gumkami ledwie dostrzegalnych kąpielówek, a pod nim stykały się koślawe kolana kościstych nóg. Tyłki bywały tak jędrne, że wydawało się, że wyszły prosto z planu jakiegoś teledysku, ale na ulicy spotykały się z pośladkami, które czas świetności miały już dawno za sobą: były luźne, obwisłe i pomarszczone. Demokratyczny przegląd ciał.

Miasto pulsowało seksem. Sklepy z bielizną widziałam na każdym rogu, po pięć, sześć między każdą przecznicą. Upał był taki, że ciężko się oddychało. Nawet powietrze wydawało się dyszeć, desperacko wciągając powietrze z mojej skóry.

Tego samego wieczoru zignorowałam radę wyraźnie podkreśloną we wszystkich przewodnikach i po zmroku sama poszłam na plażę. Było niesamowicie wilgotno i ciepło, a nisko na niebie wisiały chmury. W pobliżu rozległ się grzmot.

A może to tylko silnik motoru, które często śmigają obok mnie? Spadł deszcz, a krople chłodziły moje stopy w sandałach. Światła

latarni rozstawionych wzdłuż równoległej do plaży drogi oświetlały piasek.

Po południu złote pola Ipanemy były zatłoczone rzędami ciał i parasoli. Teraz wszyscy siedzieli w barach, domach i restauracjach, zostało tylko kilku maruderów zebranych przy stolikach piknikowych stojących przy kioskach z napojami i wodą kokosową sprzedawaną z wielkich zielonych muszli.

Ekipa sprzątaczy w zielonych podkoszulkach, z grabiami i kubłami na kołach zbierała to, co zostawili urlopowicze. Było tu jak w kuchni po imprezie, tylko na znacznie większą skalę. Imponujące resztki popołudniowego hedonizmu.

– Nie jest tu jak w Nowej Zelandii, co? – usłyszałam za sobą. Moje wyjście nie pozostało niezauważone. Lauralynn przyszła za mną na brzeg.

Upał do niej pasował. Porzuciła zimową naturę z taką łatwością, jakby się urodziła w tropikach. Miała na sobie luźne szorty w kolorze khaki, zmysłową bluzkę z białego jedwabiu, która nie starała się ukrywać faktu, że jej piersi pod spodem są nagie, i złote sandałki.

Paznokcie u nóg miała pomalowane na pomarańczowo, a włosy ściągnięte w luźny kucyk. Już po jednym dniu udało jej się złapać złotą opaleniznę. Podejrzewałam, że kiedy drzemałam w pokoju, ona leżała nago na plaży i wystawiała skórę na pastwę słońca.

– Nie, w ogóle nie jest jak w domu – odparłam. Plaże, które stamtąd znałam, były puste.

– Widziałaś kiedyś tropikalną burzę?

Rozczapierzony piorun przeciął fioletowe niebo i na moment oświetlił Sugar Loaf, Two Brothers, Pedra de Gavea i inne góry i skałki, których nazwy podawał nam taksówkarz, wiozący nas tu z zatłoczonego lotniska.

– Kilka – odpowiedziałam. – Na wakacjach w Australii. – Wciągnęłam zapach powietrza. – Tu jest podobnie, ale nie pachnie drzewami gumowymi. Tak jakby wróciła tylko połowa wspomnień.

Takie samo wrażenie wywoływał fakt, że byłam na wakacjach bez Dominika. Pierwszy raz od lat wyjechałam bez niego, nie licząc podróży służbowych. Bardzo się starałam o tym nie myśleć, ale nie mogłam sobie nie wyobrazić, co by mu się podobało, a co nie, z czego by się śmiał i w jaką grę grał.

Na pewno dobrze by się bawił, zmuszając mnie do paradowania po plaży w najbardziej kusym bikini w brazylijskim stylu, jakie by znalazł, wiedziałam. Wyobrażałam sobie jego minę, uśmiezek błąkający się na ustach, kiedy by obserwował gapiących się na mnie mężczyzn oraz to, jakby mnie potem ukarał za kuszenie ich.

Łzy napłynęły mi do oczu, ale zdołałam je przełknąć.

Lauralynn wzięła mnie za rękę i lekko uściśnęła, żeby mi dodać odwagi, jakby wiedziała, o czym myślę i co czuję. Jeśli tak było, nic nie powiedziała.

– Uwielbiam burzę – oznajmiła za to. Wyciągnęła ręce do przodu i wystawiła twarz do wiatru, jakby miała się zerwać do biegu, przemknąć przez plażę i wskoczyć do wody.

Odwróciłam się do niej i pocałowałam ją w policzek.

– Ja też – zgodziłam się – ale powinniśmy już wracać.

– Tak – potwierdziła. – Dzisiaj wyjeżdżamy. Samochód przyjedzie za godzinę. Dlatego przyszedłam.

Już nawet nie pytałam, dokąd jedziemy. Postawiła sprawę jasno, że to ma być niespodzianka, a pozwolenie jej na dyrygowanie mną było mi na rękę. Od śmierci Dominika musiałam podjąć mnóstwo decyzji i wiele rzeczy zorganizować. Ulżyło mi, że mogę się tego wszystkiego pozbyć.

Pierwszy etap podróży pokonaliśmy samochodem. Najpierw jechaliśmy pełną zakrętów trasą przez oświetlone, zatłoczone ulice, a potem wpadliśmy w ciemność, bo zostawiliśmy za sobą miasto. Kilka godzin później dotarliśmy do portu promowego i w szklanej kabinie przepłynęliśmy na małą wyspę; tak przynajmniej sądziłam.

Nie zdążyłam nawet wypatrzeć znaku z nazwą miejscowości, bo jak tylko wysiedliśmy, podjechał po nas kolejny elegancki samochód. Moje torby zostały załadowane do bagażnika, kierowca wskazał, że mam usiąść z tyłu, a potem zatrzasnął drzwi i ruszyliśmy. Lauralynn siedziała z przodu i z rąk do rąk przechodziły jakieś papiery.

Paszporty? Pieniądze? Zastanawiałam się nad tym, ale nic nie rozumiałam z ich szeptanej rozmowy. Viggo siedział obok mnie, całkiem zobojętniały. Mimo że droga była krótka, i tak zasnął, a jedynymi oznakami jego istnienia były ciche chrapnięcia i ciepło bijące od jego ciała.

Z białego, rozklekotanego pomostu wsiedliśmy do łódki, nie większej niż ta, z której razem z tatą łowiliśmy ryby w weekendy

spędzane nad morzem niedaleko Te Aroha. Było w niej dość miejsca dla sześciu siedzących osób, choć kolebała się niepokojąco, ale nic więcej.

Rozumiałam już, dlaczego Lauralynn się upierała, żebym nie brała walizek. Nas troje, nasze bagaże i nasz towarzysz, który pomagał nam wsiąść, a teraz desperacko szarpał za linkę przy silniku, który najlepsze dni miał już najwyraźniej za sobą, zajmowało tyle miejsca, że ledwie mogliśmy się wygodnie usadowić.

Kiedy wypłynęliśmy, kapitan naszej małej jednostki wyburczał zwięzłe powitanie. Miał na imię Tony, o dziwo mówił z angielskim akcentem. Obstawiałam okolice Essex. Nie spytałam go, jak to się stało, że kieruje małą łódką w odciętej od świata części Brazylii. Dał każdemu z nas puszkę zimnego piwa z turystycznej lodówki i torebkę słonych orzeszków. Jego białe spodenki lśniły w świetle księżyca, ale twarz krył w cieniu.

Unikał kontaktu wzrokowego i patrzył albo na silnik, albo w podłogę łódki. Widziałam, że ma mocną szczękę i pełne usta z cienkim wąsikiem nad górną wargą jak piracka wersja Rhetta Butlera. Ręce miał bardzo duże i spracowane. Kiedy podniósł wzrok, przyłapał mnie na patrzeniu na niego i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając rząd zadbanych białych zębów.

Odwrociłam się. Na początku podróży zrobiłam to, co Viggo: zrzuciłam sandały i położyłam się na plecach na jednej z metalowych ławek biegnących wzdłuż burty, głowę układając na plecaku. On trzymał głowę na kolanach Lauralynn, a ona głaskała go po włosach.

Jedynymi dźwiękami przerywającymi ciszę były warkot silnika i chlupot wody obijającej się o łódkę. Początkowo było to tylko łagodne obmywanie burty, ale im dalej się oddalaliśmy od lądu i im szybciej płynęliśmy, tym większe były fale, aż wreszcie wdarliśmy się na ocean i kapitan dał znak, że powinnam przenieść się na rufę, jeśli nie chcę być mokra.

Woda była ciepła, a kiedy oblizałam wargi, ze zdziwieniem zauważyłam, że krople, które zrosiły mi twarz, nie były słone, tylko słodkie. Zadarłam głowę, szukając rozwiązania tej dziwnej zagadki, ale zobaczyłam tylko niebo upstrzone gwiazdami, tyłoma, że horyzont wyglądał jak materiał obsyty cekinami, których wystarczyłoby na ubranie wszystkich tancerek z Moulin Rouge i jeszcze by zostało.

Patrzyłam oczarowana, a one wydawały się lśnić i przyjmować różne kształty, z których żaden nie kojarzył mi się z lekcjami z astronomii, które miałam w liceum.

Mogłabym przysiąc, że widziałam powoli kołyszącą biodrami kobietę, podnoszącą ręce nad głowę jak baletnica pod wieczkiem pozytywki, ale kiedy mrugnęłam i znów spojrzałam, kształt zniknął, a miejsce, w którym znajdowała się jeszcze przed chwilą, było zupełnie normalne, tyle tylko, że obsypane lśniącymi gwiazdami.

Odwróciłam się do Loralynn i otworzyłam usta, żeby się odezwać, ale zaraz je zamknęłam, bo słowa, którymi chciałam wyjaśnić, co widziałam, umknęły. A poza tym ona wpatrywała się w wodę. Jej postawa i ustawienie głowy wskazywały, że patrzy na coś

konkretnego, a nie po prostu w przestrzeń, więc zmieniałam pozycję, żeby spojrzeć w tę samą stronę.

Morze lśniło miriadami kolorowych, błyszczących ławic. Wyglądało to, jakby gwiazdy pospadały z nieba i unosiły się na wodzie. Ryby były albo bardzo blisko powierzchni, albo bardzo głęboko, tak czysta była woda. Blask, którym emanowały, rozświetlał jej powierzchnię pod nami, zasilając światłem fale, które sprawiały wrażenie, jakbyśmy unosili się tuż nad wodą, a nie sunęli lekko w niej zanurzeni.

Lauralynn odwróciła się do mnie i wyciągnęła rękę, którą z całą pewnością zanurzała przy burcie. Ręka promieniała. Palce miała pokryte nieziemską poświatą, jakby moczyła je w neonowej farbie.

– Co to za miejsce?! – spytałam.

– To jeszcze nic – odparła. – Poczekaj, aż dopłyniemy.

Na twarzy miała wyraz nieskończonego zadowolenia z siebie, aż Tony, umiejscowiony na dziobie, odwrócił się i przemówił do niej słowami, których nie zrozumiałam, ale sądząc po jej reakcji, chodziło o to, żeby nie przechylała się przez burzę, bo wszyscy wylądujemy w oceanie. Ona coś mu odpysknęła, a on otworzył sobie piwo, a jedyną pozostałą puszkę podał mnie.

– Nie wiedziałam, że znasz portugalski – powiedziałam, rozkoszując się świeżym smakiem zimnego lagera, choć wiedziałam, że później tego pożałuję. Zastanawiałam się, czy nie lepiej byłoby zachować trzeźwość, żebym była pewna, co widziałam, a czego nie.

– Bo nie znam – odparła.

Nie rozwodziła się nad tym dłużej, a ja nie pytałam. Obydwoje zaczęli mówić po angielsku, a choć byłam rozdrażniona tym lingwistycznym wykluczeniem, to nie na tyle, żeby marudzić.

Może to alkohol, który dostał się do mojego krwiobiegu, ale pierwszy raz od bardzo dawna, nawet nie pamiętałam, od kiedy, byłam spokojna i nie zamierzałam tracić na wyjaśnienia ani chwili z tego uczucia szczęścia. To nie miało znaczenia, naprawdę, dokąd jedziemy ani dlaczego. Lauralynn była moją najbliższą na całym świecie przyjaciółką i ufałam jej bez zastrzeżeń.

Ukołysana dobrym samopoczuciem postanowiłam się odprężyć i przyjmować wszystko, co się wydarzy, a na dodatek się tym cieszyć. Zapadłam w jakąś dziwną półdrzemkę i unosiłam się w niej, aż silnik zamilkł, a po zmianie rozmiaru i kierunku fal domyśliłam się, że zmierzamy w kierunku brzegu.

– Stąd już możecie popłynąć – oznajmił Tony, sugerując, że powinnam wyskoczyć z łodzi.

Usłyszałam dwa głośne pluski. To Viggo i Lauralynn już się rozebrali i wskoczyli do wody. W naszą stronę płynęły kolejne osoby, może po to, żeby wziąć bagaże albo doholować łódź.

Tak czy owak, zrobiłam, jak mi polecono i ściągnęłam przez głowę lekką, bawełnianą sukienkę, którą miałam na sobie. Po krótkim wahaniu zdjęłam też majtki i stanik. Co za różnica, jeśli jeszcze jeden mężczyzna zobaczy mnie nago? Zresztą, szybki rzut oka wystarczył, żeby się przekonać, że Tony już się zajmował silnikiem.

Woda była chłodniejsza, niż się spodziewałam i gęstsza, niż powinna. Kleista jak mleko. Było to odświeżające i z tego nura wynurzyłam się w znacznie lepszej formie, niż się spodziewałam, biorąc pod uwagę, że nie spałam od... jak dawna?

Dotarło do mnie, że nie mam pojęcia, która jest godzina ani jak długo płynęliśmy. Nie byłam nawet pewna, czy jesteśmy nadal w tej samej strefie czasowej. Stałam na piasku, więc się podniosłam i rozejrzałam w poszukiwaniu Vigga i Lauralynn, ale nigdzie ich nie było.

Wtedy usłyszałam muzykę.

Najpierw myślałam, że zmysł słuchu płata mi figła. I że to nie melodia, tylko miarowe pluskanie fal, wiatr gwizdzący w gałęziach, a może nawet dzwonki z bambusa zawieszane w progu domku letniskowego gdzieś w okolicy. Ale nie, nie mogłam się mylić. To nie były jedne skrzypce, tylko wiele.

Dźwięk był bogaty i gęsty, wydawał się pierwotny. Struna sięgała głęboko w moją duszę i ciągnęła mnie naprzód. Nie potrafiłam nazwać melodii, ale rozpoznawałam akordy z moich ukochanych utworów. Niesamowite powitanie, jak fanfary.

Słyszałam *Ucznia czarnoksiężnika*, początek *Wiosny z Czterech pór roku* Vivaldiego, odrobinę Debussy'ego, nutkę Griega, cień Shearwater i Arcade of Fire, a na koniec kuszący fragment ze Strawińskiego. Tak jakby niewidzialny flecista z Hameln grał tylko dla mnie.

Poza tym nie widziałam nic, ani śladu Lauralynn i Vigga, więc poszłam za muzyką. Nawet gdybym doszła do wniosku, że nie jest to najlepszy pomysł, stopy i tak poniosłyby mnie w tamtą stronę.

Dobiliśmy do zatoki w kształcie półksiężyca, za którą wyrastały góry. Złota plaża prowadziła do tropikalnej dżungli. Zielonej, soczystej. Księżyc w pełni wisiał nad Wyspą jak wielki reflektor. Roślinność miała niemal limetkowy kolor z nieziemską białą poświatą, jakby rosły tu całe rzędy tropikalnych choinek.

W każdej chwili spodziewałam się zobaczyć Tytanię albo Puka, którzy wychyną z cienia i porwą mnie ze sobą. Miałam bose stopy, ale szło mi się przyjemnie. Kiedy doszłam do gęstwiny sękatych korzeni, mogłam mieć tylko nadzieję, że wszystkie węże, robale i inne niebezpieczne istoty śpią bezpiecznie w swoich legowiskach, głęboko w lesie i nie czekają podstępnie wśród korzeni, aż się nad nimi pojawię.

Szłam naprzód z pełną świadomością, że jestem sama i całkiem bezbronna; naga, nawet bez instrumentu, za którym mogłam się schować tak jak poprzednio w podobnych okolicznościach. Nie bałam się jednak. Wyspa otuliła mnie dziwnym poczuciem radosnego spokoju i odprężenia, tak jakby całe to miejsce było żywą istotą, a ja przebywałam ukryta bezpiecznie w jego wnętrzu, jak dziecko otulone w chuście.

Wiatr owiewał mi skórę, gęsty, ciężki, łagodny. Powietrze wyspy masowało mnie, niosło naprzód. Muśnięcia wiatru jak palce przesuwały się po moich ramionach i pieściły przestrzeń między

piersiami, aż stwardniały mi brodawki mimo że było ciepło i wilgotno. Niewidzialne ręce sunęły niżej, aż dotarły do delikatnej skóry na moich udach.

Reakcja na to dziwne doznanie nie przypominała gwałtownej iskry, ale raczej stopniowe rozgrzewanie się czajnika, od zimna do wrzątku. Wreszcie ogień podniecenia powstał z głębi mnie i mnie unieruchomił, a równowagę utrzymałam tylko dlatego, że złapałam się gałęzi nad głową.

– Lauralynn? Viggo? – zawołałam. Nikt nie odpowiedział. Słowa wyfrunęły mi z ust jak dźwięki piosenki i dołączyły do strun kołyszących się w gałęziach drzew i ciągnących mnie dalej w głąb.

Nagle zdałam sobie sprawę, że to, czego dotykam, to nie gałąź drzewa, tylko winorośl. Była jaskrawozielona, gładka jak świeżo ogolony policzek, cudownie chłodna i odświeżająca, a miejsca na mojej skórze, których dotykała, zaczęły lekko mrowić.

Dotknęłam jej końcem języka i poczułam smak mięty. Zauważyłam, że muzyka była głośniejsza i bardziej natarczywa. Zbliżyłam się do zielonej pętli i znalazłam kolejną, a za nią następne, z każdym krokiem dłuższe i grubsze, ale równie gładkie w dotyku.

Na początku tylko się kołysały, popychane z różnych stron wiatrem, a ja się o nie opierałam, aż w pewnym momencie roślina uniosła mnie w powietrze i już nawet stopami nie dotykałam ziemi. Wydawało się, że leżę w hamaku. Całym ciałem ocierałam się o wydzielającą dziwny miętowy zapach łodygę. Może zawierał się w niej jakiś narkotyk, który przez skórę trafiał do mojego krwiobiegu?

Zamknęłam oczy, rozkołysany ruch stał się intensywniejszy, a razem z nim wygrywana na strunach kołysanka. Nie wiedziałam już, czy to łodygi mnie pieszczą, czy akordy, które stanowiły o niemal całym moim istnieniu, ale coś dotykało mojego ciała, co początkowo wydawało się całkiem niemożliwe, ale po chwili stało się zupełnie naturalne, normalne, nieuniknione.

Rozluźniłam się jeszcze bardziej i mój umysł wszedł w hipnotyczny stan, który osiągałam tylko wówczas, gdy Dominik znajdował odpowiednią równowagę między bólem a przyjemnością i spychał mnie poza ich granicę, poza to, co mogłam znieść. Albo wtedy, gdy grałam tak szaleńczo, że zatracałam się w ruchach smyczka.

Jęknęłam. Muzyka grała, nuty zbliżały się do moich uszu i budziły w moim wnętrzu nowe fale przyjemności. Każda melodia znajdowała własną drogę z mózgu do ciała, aż przesywało mnie elektryczne pożądanie.

Poczułam delikatny ucisk na kostkach i nadgarstkach. Były spętane, a moje ręce i nogi zostały rozciągnięte tak daleko, jak się dało, nie odbierając mi przy tym komfortu. Odświeżający chłód, który początkowo tylko owiewał moją skórę, zalał mnie teraz, płynąc poprzez żyły i w jednej chwili poczułam się niewiarygodnie żywa i tak czysta, jakbym odbyła chrzest w rzece. A łodygi winorośli nadal wiły się i więziły mnie w pajęczej nici zwojów.

Zamknęłam oczy i odprężyłam umysł w takim stopniu, że nie byłam już w stanie odróżnić jednego fizycznego doznania od

drugiego. Nie odstępowało mnie tylko poczucie świeżości, które fruwało po moim ciele oraz coraz delikatniejszy dotyk, który kojarzył mi się z nieskończoną orkiestrą rąk i języków figlujących ze mną, głaszczących, liżących i masujących każdą część mnie, od cipki po opuszki palców.

W moim umyśle zaczęły się rodzić obrazy. Wspomnienia pasujące do każdego muśnięcia. Ponieważ nie byłam w stanie stwierdzić, co się dzieje w tej chwili, odpowiedzi szukałam w przeszłości. O tam, ten dotyk, to palec wskazujący Dominika, jadący w górę mojego nadgarstka aż do łokcia, drażniący, świadomy, że wkrótce dojedzie do piersi i zacznie znęcać się nad moimi brodawkami w ukochany przeze mnie sposób. Ciągnąć, wykręcać, ścisnąć, doprowadzać każdą z nich do stanu takiej twardości, że miałam ochotę krzyknąć.

Mocne liźnięcie na łechtaczce to jedna z nielicznych bezimiennych kobiet, z którymi byłam w ciągu ostatnich lat. Potem za mocne pchnięcie, należące do anonimowego mężczyzny, jednego z tych, których spotkałam przypadkiem i którego twarz była przez cały czas zamazana, ale rozmiar, kształt i doznanie jego kutasa we mnie pozostało niezapomniane.

Rozpoznałam też subtelne skubanie w ucho, mogące należeć do Viggę, a może nawet do Lauralynn. Niespodziewany, fachowy, wścibski język przy odbycie, to mógł być tylko Dominik, znów on. Znał mnie tak dobrze, że zawsze wykonywał ten ruch, którego chciałam.

Obrazy wybuchały przed moimi oczami jak filmowa parada seksu z moich wspomnień i fantazji, współgrających z muzyką, która grała znów głośniejsze, aż zawładnęła moim umysłem, w którym nie miałam już miejsca na nic poza seksem i tą melodią. Wizje były tak żywe, tak prawdziwe, że nie byłam pewna, czy wciąż mam zamknięte oczy, czy może otworzyłam je i te sceny rozgrywają się wokół mnie, w dżungli.

Z czasem stawały się mroczne. Wracały nie tylko dobre wspomnienia, ale też zwykłe i złe. Byli mężczyźni z sauny i koszarne pchnięcie za długiego członka brodatego nieznajomego, które uderzyło mnie w szyjkę macicy.

Były pocałunki i twardy język Victora, kolegi Dominika, którego poznałam dawno temu i który należał do złych dominantów. Był mały i okrutny, a ja w tamtym czasie byłam zbyt opętana żądzą i zmanipulowana zaklęciem jego mocy, żeby widzieć, jaką robił mi krzywdę. Gdy się zorientowałam, było już prawie za późno.

Widziałam długie, smukłe kończyny mojej dawnej przyjaciółki Charlotte, jej opalone nogi oplatające Jaspera, mężczyznę, którego bez wahania zatrudniła, a który potem został jej stałym kochankiem.

Mojego trenera pływania, który przyłapał mnie na masturbowaniu się w szatni. Wrócił jego cuchnący starymi papierosami oddech, kiedy mnie całował. Poczułam miękkie, delikatne dłonie Simona, dyrygenta z Afryki Południowej, który był cudownie miły i oszałamiająco przystojny, ale na dłuższą metę zbyt delikatny dla mnie.

Każda z tych myśli i każde z seksualnych doświadczeń przelatywały przez moją głowę jak film na przyspieszonych obrotach,

a ja nie tylko odbierałam fizyczne doznania, ale także widziałam to z daleka, jakby z bocianiego gniazda. Twarze wszystkich tych, których pieprzyłam i którzy pieprzyli mnie.

Wspomnienia niosły zapomnienie. Świadomość, że to już było, że to przeszłość. Że im bardziej staram się zapanować nad bólem, odpychając go, tym cięższy będzie się stawał. Przyjemności, w których uczestniczyłam, miały kolce, ale ponieważ już były i minęły, przekonałam się, że mogę pozostawić wspomnienia za sobą, ale już nie cierpieć.

Usta Dominika przyciśnięte do moich w ostatnim pocałunku. Nie odsunęłam się, żeby uniknąć cierpienia, które przyniesie otrzeźwienie ani nie starałam się przylgnąć do niego tak desperacko, jak bym chciała. Całowałam tego ducha z wzajemnością, aż zniknął, zastąpiony nowym zestawem wizji, seksualnych fantazji, a może przyszłych doświadczeń, jeszcze niedokonanych.

Widziałam grupę kobiet o długich włosach, tworzących krąg, w którym każda miała głowę między nogami poprzedniczki, a wszystkie drżały w jednym tempie. Kolejna grupa: trzech mężczyzn na zmianę liżących cipkę i odbyt kobiety, która co prawda starała się stać, ale przytłoczona przyjemnością zaczęła opadać, aż w końcu runęła na ziemię.

Samotny mężczyzna z kutasem tak grubym i dużym, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie widziałam, masturbujący się nad nagimi piersiami młodej kobiety, klęczącej przed nim, aż eksplodował

białym, gorącym sokiem, który rozlał po jej dekolcie. Wtedy upadł na kolana i zlizął go z jej różowych, sterczących brodawek.

W kolejnym zakątku umysłu – a może kątem oka? – zobaczyłam dwóch mężczyzn, każdy z krótko przyciętą brodą, którzy z pasją się całowali. Ich wargi były zespolone w równoczesnym ruchu, a ręce trzymali wzajemnie na swoich kutasach, ciągnąc i uciskając w tym idealnym rytmie, w którym tańczyły ich języki.

Młoda kobieta z unoszącymi się w powietrzu włosami tak jasnymi, że niemal białymi stała całkiem naga, trzymając za rękę rudowłosego mężczyznę. On patrzył na nią, a ona na to wszystko, co się działo wokół niej i mnie; na jej szokująco karmazynowych ustach błąkał się tylko cień uśmiechu. Była cała w tatuażach.

Obserwowałam tłum ludzi zaangażowanych w niesienie przyjemności. Słuchałam ich jęków rozkoszy, patrzyłam na ten arsenał ciał we wszystkich kształtach i w każdym wieku, dających jeden drugiemu prostą przyjemność i hedonistyczne spełnienie w tym dzikim, bezwstydnym zapomnieniu.

Mocna dłoń nieubłaganie pełzła spomiędzy moich nóg do cipki. Wargi sromowe miałam śliskie od soków, nacisk na nie stopniowo rósł, a potem ręka przesunęła się do tyłu i rozchyliła mi pośladki. Poczułam ucisk na odbytu, jakby dwa czy trzy palce.

Później wróciły do cipki. I do tyłu, i do przodu, do tyłu i do przodu, tak jakby nacierał na mnie duży, twardy fiut, który nigdy nie sforsował wejścia, ale ocierał się całą długością o srom i krocze, aż w

końcu miałam ochotę krzyknąć i błagać o coś, co mnie wypełni i ostro mnie zerznie.

Poruszałam biodrami jak metronom, w stopniowo wzmagającym się rytmie. Nacisk na moją łechtaczkę był coraz szybszy, a potem nagle doszłam w eksplozji dreszczy. Całe moje ciało pulsowało, zszokowane, ale fale wychodziły nie z cipki, tylko ze splotu słonecznego, każda silniejsza od poprzedniej, aż osiągnęłam rytm *crescendo*, a napięcie było tak silne, że myślałam, że się rozpadnę.

W końcu fale zaczęły opadać, wycofywać się jak fale przyływu i poczułam, że pożądanie stopniowo słabnie, wizje zbladły, napięte kończyny rozluźniły się i przestały drżeć. Winorośle puściły moje nadgarstki i kostki, ale nadal podtrzymywały mnie w powietrzu. Albo stały się miększe, albo ja się do nich przyzwyczaiłam, bo teraz czułam, jakbym płynęła na chmurze.

Rozluźniłam mięśnie, skupiłam się na powrocie do rzeczywistości i chciałam dociec, czy to był sen, czy naprawdę uczestniczyłam w jakiejś orgii, ale wciąż byłam w stanie hipnotycznego, rozkosznego spokoju i nie mogłam zmusić się do ruchu ani nawet do zastanowienia się nad tym, gdzie jestem, gdzie są moi przyjaciele i co się w ogóle stało. Odpłynęłam w sen.

Obudziłam się, leżąc nago na piasku. Moje ubranie spoczywało kawałek ode mnie, starannie złożone w kupkę obok znoszonych sandałów. Głowę miałam ułożoną na czystym, miękkim ręczniku, choć nie pamiętam, żeby ktoś mi go podkładał jako poduszkę ani

nawet żebym widziała go na łódce. Usłyszałam odgłos chlapania i usiadłam. Viggo i Lauralynn pływali kilka metrów ode mnie.

– Chodź, śpiąca królewno! – zawołała Lauralynn. – Już prawie czas się zbierać, to ostatnia kąpiel.

Potałam dłońmi czoło i starałam się sobie przypomnieć, gdzie byłam poprzedniej nocy, jak wróciłam z dżungli na plażę albo chociaż, która jest godzina i jaki wypada dzień. Woda wzywała. W świetle dnia była przejrzysta i nasycona zielenią jak szmaragd. Wstałam, strzepałam z pleców piasek, a potem podeszłam do brzegu i dałam nura w toń.

– Oj! – zawołałam, kiedy uderzyła we mnie pierwsza fala. Okrzyk ten miał oznaczać stan między szokiem a przyjemnością.

Ciało Lauralynn było niewidoczne, bo nurkowała pod falami jak delfin. Odwróciłam się do Vigga, który dryfował na wodzie jak rozgwiazda, a burza rozczochranych włosów unosiła się wokół jego twarzy jak tarcza zegara. Wyglądał jak rockowe wydanie Posejdona, tyle że był szczuplejszy.

– Ta woda – powiedziałam do niego – pachnie miętą.

– I smakuje – odparł. – Otwórz usta.

Otworzyłam. Smak nie był mocny, ale słodki i lekko miętowy. Nie pozostał ślad po soli. Zapiekł mnie język.

– Co to za miejsce? – spytałam. – Wczoraj byłam pijana?

– Nie wczoraj – odpowiedział, a potem podciągnął kolana pod brodę i fiknął koziołka, żeby zawisnąć twarzą w twarz ze mną. – Jesteśmy tu od trzech dni.

Lauralynn wyskoczyła z wody między nami i skapała nas oboje w zielonym deszczu.

– To tak, jakby chcieć tłumaczyć muzykę. Albo seks. Pewnych rzeczy nie da się wyjaśnić. Trzeba się nimi po prostu cieszyć. I nie myśleć za dużo.

Miała rację, jakkolwiek było to wszystko dziwne. Pokiwałam w milczeniu głową, przewróciłam się na plecy, dryfowałam na powierzchni i patrzyłam na morskie ptaki, wiszące nad wodą, a potem wznoszące się w niebo.

Wkrótce potem przyplłynął Tony, żeby nas zabrać i wróciliśmy na ląd, a później spędziliśmy jeszcze dwa tygodnie w Rio, zanim powróciliśmy do Londynu, cechującego się zupełnie inną magią. Podczas niekończącego się lotu do domu, Lauralynn raz za razem odmawiała odpowiedzi na moje pytania o Wyspę i dziwne rzeczy, które mnie tam spotkały. Nie chciała nawet powiedzieć, czy mi się to nie przyśniło.

Tak czy owak, ta przerwa przepędziła smutek i czułam, że mogę zacząć nowe życie.

5. „Summer in the city”

Zanim wróciliśmy do Londynu – Lauralynn i Viggo zarządzili jeszcze przystanek w Los Angeles, żeby obgadać najnowsze projekty z miejscowymi wytwórniami – było już lato.

W przeciwieństwie do takich miejsc jak Paryż i wielu innych, które o tej porze roku pustoszeją i zmieniają się w szkielety miast

zasiedlone przez turystów i gości z innych stron kraju, Londyn w tym czasie aż kipiał od aktywności i energii, którą pompowała w niego świeża krew.

A co najważniejsze, po wakacjach albo, co bardziej prawdopodobne, po tym, co spotkało mnie na Wyspie, czułam się odrodzona, jakbym porzuciła dawną siebie i stała się nową wersją Summer, która właśnie zajęła do wielkiego miasta.

Przeglądałam gazety i oszałamiała mnie liczba niesamowitych wystaw, które chciałam zobaczyć, słyszałam o fantastycznych filmach, które aż się prosiły o obejrzenie, czytałam o nowych restauracjach, których menu było tak niezwykle, a kombinacje składników i smaków tak dziwne, że – jeśli wierzyć krytykom kulinarnym – trzeba ich było spróbować. Wyglądało na to, że mój pobyt na Wyspie obudził we mnie zupełnie prozaiczne apetyty.

Coś wisiało w powietrzu, coś cudownego.

Rio de Janeiro i Wyspa, mimo hipnotyzującej atmosfery i hedonistycznych możliwości, stały się ostoją, w której moje zmysły były pieszczone, pielęgnowane subtelnie, a łagodne macki przyjemności kołysały moją duszę, ale tutaj było prawdziwe życie, eksplozja możliwości, które pobudzały mój umysł, nie tylko zmysły, a ja czułam się bardziej żywa niż od wieków. Londyn aż wibrował z ekscytacji, tak mi się wydawało. Chciałam brać w tym udział, zachłannie i radośnie.

Wsiadłam do metra przy Hampstead i dojechałam do Borough, bo chciałam zjeść śniadanie na targowisku, zanim wyruszę spacerem

Thames Path, żeby dotrzeć na South Bank. Obudziłam się wcześniej, zupełnie jak nie ja i przyjechałam na targowisko, zanim zaczną szturmować je tłumy. Ubrani w biało-czerwone fartuchy sprzedawcy sera, mięsa i innych specjałów z różnych regionów oraz zagranicy jeszcze rozkładali stoiska.

Garstka prawdziwych klientów, nie turystów, wyposażona w płócienne torby z recyklingu, w których zamierzali zabrać zakupy do domu, pewnymi dłońmi i bystrymi oczami przeczesywała stragany i wypatrywała najsoczystszych, najdojrzałych owoców i warzyw o najlepszym smaku.

Monmouth Coffee, najlepsza kawiarnia w okolicy zdaniem mojego uzależnionego od kofeiny podniebienia, miała się otworzyć za jakieś pół godziny, ale wiedziałam, że wkrótce potem kolejka do drzwi będzie zakręcać za rogiem i ciągnąć się aż do przecznicy. Usiadłam na jednej z białych ławek i czekałam. Najpierw zaspokojenie nałogu, potem poszukiwanie jedzenia.

Zakupy na Borough Market były dla mnie rodzajem rytuału. Dla kogoś o moim temperamencie, dla niewolnicy zachcianek, tak bogata oferta złożona z samych pyszności zachwalanych przez żywiołowych sprzedawców była przetłaczająca. Zacząć od dużej łubianki soczystych truskawek dopiero co dojrzałych i wędrować wzdłuż stoisk, pogryzając jedną po drugiej?

Czy przejść prosto do opcji na ciepło i wybrać domowego wołowego lub indyczego burgera z cebulową galaretką i ostrym

sosem albo duszoną wieprzowinę z jabłkowym chutneyem w ciepłej, lekko podpieczonej brioszce?

Wiedziałam, że na końcu targowiska będzie stoisko z grillowanym serem halloumi, pudełka z egzotycznymi sałatkami spryskanymi sokiem z limonki i wielkie koła serów, których można próbować na kawałkach bagietki.

Będą też beczki oliwy i przypraw, w których można zanurzać różne przysmaki, a na deser drewniane misy napełnione ręcznie robionymi czekoladkami, rachatlukum o niebywałych smakach i kolorach i półmiski słodkich ciast, biszkoptów, tart, naleśników oraz różnej wielkości bochnów chleba i napoleonek dwa razy większych niż moja ręka.

Ślina napływała mi do ust. Moja wyobraźnia kulinarna była jeszcze bardziej wyostrzona niż zwykle. Niemal czułam truskawki rozpływające mi się w ustach i sok spływający po brodzie. Czułam się, jakbym przypadkiem zaplątała się do fabryki czekolady Willy'ego Wonki i połknęła jedną z pigułek zamieniających niczego się niespodziewająco Verucę Salt w jagodę.

– Kiedy otwieracie? – spytałam baristę, który wycierał blaty.

Pokazał mi kartkę na drzwiach, którą jakimś cudem przegapiłam. Wynikało z niej, że przede mną jeszcze drugie pół godziny czekania. Odwróciłam się i zaczęłam się rozglądać wśród pobliskich kawiarenek i stoisk, wypatrując innej opcji. Po drugiej stronie ulicy dostrzegłam tabliczkę oferującą kawę po turecku i dwóch mężczyzn, którzy już kogoś obsługiwali.

Niedaleko czekała kobieta. Było w niej coś, co ją wyróżniało. Nie chodziło tylko o ostentacyjnie wytatuowane ręce i łydki, przeczące jej konserwatywnemu stylowi. Nie pasowała do reszty porannych zakupowiczów i sprzedawców.

Może dlatego że nie było w niej widać śladu zniecierpliwienia i nie grzebała nerwowo w smartfonie jak większość, jeśli tylko z nikim nie rozmawiali albo nic nie robili. Jakimś cudem wydawała się oddzielona od pozostałych. Przyjrzałam się jej uważniej. Wydawało mi się znajoma, tak jakbym ją już kiedyś widziała, ale nie wiedziałam gdzie.

Miała na sobie sukienkę w kolorze jasnocytrynowym z rękawami zasłaniającym tylko ramiona i niewielkim wycięciem pod szyją. Materiał spływał z jej ciała jak jedwab, a nie bawełna. Turkusowe sandały związane miała wokół kostek niebieskimi wstążkami, jakieś trzy centymetry pod rąbkiem sukienki. Cienki zielony pasek zaznaczał talię. Nie miała sylwetki klepsydry, była smukła i wiotka.

Duży kapelusz z miękkim rondem zasłaniał jej oczy i nos, ale widziałam za to, że ma szerokie usta pomalowane na czerwono lśniąca szminką. Spod kapelusza opadały jej na ramiona włosy tak jasne, że prawie białe. Na kimś innym ta mieszanka kolorów mogłaby wyglądać krzykliwe, ale na niej każdy odcień wyglądał tak dobrze, że mimo niecodziennego efektu wyglądała subtelnie.

Mężczyzna przy stoisku dokończył transakcję i podszedł do niej z dwoma małymi styropianowymi kubeczkami zawierającymi, prawdopodobnie, espresso. Była albo oczarowana widokami i

odgłosami targowiska, albo tak zatopiona we własnych myślach, że nie zauważyła go, dopóki nie dotknął jej łokcia.

To był delikatny dotyk, raczej muśnięcie niż trącenie w celu zwrócenia uwagi. Natychmiast uśmiechnęła się szeroko, tak jakby tylko jego obecność dawała jej szczęście. Na kawę w ogóle nie zważała, dopóki nie włożył jej kubeczka do ręki. Wzięła go wówczas, ale wcześniej przesunęła opuszkami palców po szczęce i ustach mężczyzny, a potem szybko go pocałowała.

Oboje się roześmiali, bo wszedł im w paradę jej wielki kapelusz, a kiedy podniosła rondo, zobaczyłam resztę jej twarzy. Była blada jak duch i nie miała chyba żadnego makijażu poza czerwonymi ustami, które teraz dotykały warg mężczyzny. Z tej odległości nie widziałam koloru jej oczu, ale obstawiałam, że są niebieskie albo szare.

Wyglądała na taki typ kolorystyczny. Typ królowej śniegu. Piękna w dyskretny, elegancki sposób. Nie umiałam zgadnąć, ile ma lat. Z jednej strony nie widać było żadnych oznak wieku, ale z drugiej jej styl nie był młodzieńczy, cechowała ją dojrzałość.

Tatuaze wydawały się tak integralną jej częścią, że kiedy już przyjęło się do wiadomości ich istnienie, w ogóle nie rzucały się w oczy, choć było ich bardzo dużo i stały w kontrze do jej stylu.

Teraz przyjrzałam się mężczyźnie. Był wysoki, w każdym razie wyższy od niej. Miał pewnie więcej niż metr osiemdziesiąt. Włosy kasztanowe, może nawet rude, ale w tym świetle trudno to było stwierdzić. Mimo że dzień zapowiadał się na gorący, ubrany był w białą koszulę, a nie podkoszulek i w jasnobrązowe chinosy.

Pierś miał szeroką i ruszał się jak ktoś wysportowany, ale nieprzesadnie napakowany mięśniami. Stopy miał bose, a na nich parę loafersów w odcieniu karmelu. Pasowali do siebie jako para. Nie musieli nic mówić, zbędna była wymuszona gadka o niczym, żadne nie zerkało na telefon ani nie odwracało wzroku.

Kiedy jedno się ruszało albo chociaż przenosiło ciężar z jednej nogi na drugą, drugie przesuwało się w tę samą stronę, jakby uderzała w nich ta sama fala.

Poczułam ucisk w gardle. Dominik i ja też tacy byliśmy, wiedziałam o tym. Nie zaskoczyłoby mnie, gdybym się dowiedziała, że oddychaliśmy w tym samym rytmie, skoro tak dobrze pasowały do siebie nasze ciała. Odkąd byłam sama, od czasu jego śmierci, zwracałam uwagę na inne pary.

W większości przypadków nie smuciły mnie ani nie wytrącały z równowagi, bo bardzo nieliczne wyglądały na szczęśliwe. Naprawdę szczęśliwe. Widywałam ludzi siedzących przy jednym stoliku w restauracji przez kilka godzin i niezamieniających ze sobą choćby słowa. Inni się kłócili albo co najwyżej tolerowali wzajemnie, podczas gdy ich oczy błędziły w stronę innych kobiet i mężczyzn.

Byli też tacy, którzy przytłoczeni wychowaniem małych dzieci nie mieli czasu na zajmowanie się nikim poza maluchem przyczepionym do ich rąk albo nóg. Może kiedy byli sami, wszystko wyglądało inaczej, ale nie licząc gorącego pożądania łączącego młode pary i weekendowych kochanków, rzadko widywałam uczucia

okazywane sobie w sposób, który może łączyć tylko ludzi związanych absolutną intymnością.

Zauważyłam, że żadne z nich nie ma torby ani nawet torebki. Nie wyglądali na zakupowiczów ani turystów. Wydawało się raczej, że na kogoś czekają i zabijają czas.

A potem, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, kobieta do mnie pomachała. Rozejrzałam się, pewna, że musiała zauważyć kogoś znajomego, stojącego niedaleko mnie, ale na ulicy nie było nikogo. Znow pomachała. To nie mógł być przypadek.

Wstałam i do niej podeszłam.

Jedną ręką zdjęła kapelusz, a drugą przeczesła włosy, a dopiero potem wyciągnęła ją do mnie. Zgadłam, oczy miała niebieskie. Uścisnęłam jej rękę. Miała chłodną skórę, a dłoń lekką i smukłą, ale uścisk mocny i profesjonalny.

– Ty jesteś Summer – powiedziała. To nie było pytanie, tylko stwierdzenie. – Ja mam na imię Aurelia – dodała. – Aurelia Irving.

– Andrei – przedstawił się mężczyzna o brązowych włosach. Miał duże i delikatne dłonie, znacznie cieplejsze niż jej.

Z tej dwójki to Aurelia była dominantką. Ale nie w sposób określający seksualność. Nie byli jak Lauralynn i Viggo. Nie jak podwładny i szefowa. Ich związek składał się z warstw, których nie potrafiłam rozgryźć.

– Usiądź, proszę – powiedziała Aurelia i wskazała mi zielone plastikowe krzeselko przed kawowym stoiskiem. Było to jednak prośba w takim samym stopniu, jak jej pierwsze skierowane do mnie

słowa były pytaniem. Zrobiłam, co poleciła. – Nie pamiętasz nas – dodała.

– Przepraszam – powiedziałam z żalem i pokręciłam głową. – Wydaje mi się, że was kojarzę, ale nie mogę sobie przypomnieć. Poznaliśmy się? – Pewnie byli znajomymi kogoś znajomego, doszłam do wniosku. Może to jacyś dawni przyjaciele Dominika, a można ona była muzykiem?

Kiedy grałam, zatraciałam się w muzyce tak bardzo, że zapomniałam zwracać uwagę na innych członków orkiestry. Odruchowo spojrzałam na jej ręce, ale wbrew obiegowej opinii to niewiele mówiło. Ona miała dłonie smukłe i delikatne, ale silne, wiedziałam po uścisku. Nie nosiła pierścionków.

Odwróciłam się do Andreia. Patrzył na mnie z zainteresowaniem, jakby szukał we mnie czegoś, czego nie okazywałam na pierwszy rzut oka, ale wyraźnie czekał, aż przemówi Aurelia.

– Niedawno odwiedziłaś miejsce, w którym czasem urządzamy przyjęcia albo odpoczywamy. I gdzie odpoczywają niektórzy nasi artyści. Trenują tam albo planują nowe układy. To wyjątkowe miejsce.

– Wyspa? – spytałam.

Przesunęłam się na skraj krzesła, bo bardzo chciałam usłyszeć, jakie tajemnicze wydarzenia miały tam miejsce. Od powrotu rzadko widywałam Lauralynn i Vigga, bo byli zajęci pracą przy jego projekcie, a jak już się spotykaliśmy, Lauralynn i tak nic nie chciała mówić.

W końcu przyjąłem, że to był tylko sen, może efekt działania jakiejś trującej rośliny albo narkotyku, który znajdował się w piwie. Cokolwiek się stało, efekty nie były groźne. Wręcz przeciwnie.

Wciąż czułem w sobie tamten spokój, którego doświadczyłem, a dni wydawały mi się znacznie jaśniejsze. Oczywiście tęskniłem za Dominikiem i nadal przechodziłem żalobę, ale otrząsnęłam się z chmury depresji, która wisiała nade mną od czasu jego śmierci.

– Tak, Wyspa. My też tam byliśmy. – W reakcji na moją minę podniosła rękę, jakby chciała mnie zapewnić, że mam tak niewiele wspomnień z tamtego pobytu. – To trudne, nawet dla osób współpracujących z nami od dawna, upewnić się, co jest prawdą, a co nie, więc nie przejmuj się tym, proszę. To miejsce ma swoją magię, ale przysięgam, że byłaś tam bezpieczna. Zerkaliśmy na ciebie od czasu do czasu.

– Zerkaliście na mnie? – Coś dziwnego musiało być w mojej twarzy, bo Andrei się roześmiał.

Opierał się na krześle, zrelaksowany i uśmiechnięty, a między palcem wskazującym a środkowym gniótł pusty już kubeczek po espresso. Nie wiem, czego we mnie szukał, ale wyraźnie to znalazł. Albo się poddał. Odwrócił się do stoiska i dał znak, że zamawia jeszcze jedną kawę, a po kilku minutach ja też miałam w dłoni kubek. Spróbowałam. Kawa była cudownie gęsta i mocna.

– Ze względu na charakter naszej pracy – wyjaśniła Aurelia – nasi wykonawcy muszą być bardzo utalentowani oraz wszechstronni pod innymi względami.

– Najlepsi na świecie – wtrącił się Andrei i pokiwał głową, żeby podkreślić wagę swoich słów.

– Ale muszą mieć coś jeszcze. Nie chodzi nawet o szerokie horyzonty czy duży popęd. Poszukujemy utalentowanych osób obdarzonych swoistą mocą seksualną. Magicznych, można by powiedzieć, ale nie do końca o to chodzi.

– Zależy od punktu widzenia – dodał Andrei, a potem popatrzyli na siebie i wymienili uśmiechy współników zbrodni.

– O jakiej pracy mówimy? – dociekałam.

Zamierzałam odesłać ich od razu do agentki, która prowadziła negocjacje w sprawie moich występów, ale byłam zbyt ciekawa, żeby się nie dopytać przed zakończeniem rozmowy.

Lauralynn miała rację w sprawie plotek, pomyślałam z leciutkim tylko cieniem złego przeczucia. Charakter moich znajomości w Europie nie przeszedł bez echa, ale na pewno nie spodziewałam się, że dostanę w związku z nimi propozycję pracy. Miałabym grać w klubach go-go czy jak?

– Musisz zrozumieć, że na tym etapie niewiele możemy zdradzić.

– Oczywiście – odparłam, przyzwyczajona do tego, że artyści często kryją się za maską tajemniczości, żeby się na wszelki wypadek zabezpieczyć przed porażką. – Ale nie możecie oczekiwać, że zgodzę się na coś, nie wiedząc nic więcej. Szczególnie że te imprezy wydają się być poniekąd... alternatywne.

Aurelia pokiwała głową i mówiła dalej.

– Jesteśmy związani z organizacją, która urządza niezwykle ekskluzywne imprezy erotyczne. Zwykle dla bardzo ograniczonej liczby gości. Jedynie dla najbogatszych, najdyskretniejszych i najbardziej zdeterminowanych albo zainteresowanych, którzy chcą nas znaleźć. Czasem nazywamy się Siecią.

Gdybyś zdecydowała się na występ, zapewniamy stuprocentową anonimowość. Wynagrodzenie jest bardzo dobre. Zresztą występowałaś już na jednej z naszych imprez, choć dopuszczona byłaś jedynie do, jakby to ująć, wierzchołka góry lodowej.

Próbowałam przypomnieć sobie, o jaki występ mogło chodzić i po przegrzebaniu wspomnień przypomniałam sobie koncert w posiadłości w północnym Londynie, gdzie widownia była skąpo odziana, pikantnie albo po prostu ekstrawagancko, a po występie szybko poprowadzono mnie do wyjścia.

Potem zastanawiałam się, co się działo dalej. Zapamiętałam ten koncert, bo zwykle grałam dla dam noszących kardigany i sznurki pereł, dla studentów muzyki i dla hipsterów odzianych w podarte dżinsy i tweedowe garnitury wygrzebane w lumpeksach, mające sprawiać złudne wrażenie, że modę mają za nic.

Byli też biznesmeni w garniturach, prosto z pracy. Rzadko zdarzała się sala pełna swingersów, gotów i innych dziwadłał, to na pewno.

– Nie potrzebuję pieniędzy – powiedziałam jej. Zaczęłam się jeżyć i niecierpliwić.

– Nasze występy... są inne. Nie obleśne czy wulgarne. To sztuka erotyczna najwyższej próby.

Wzruszyłam ramionami.

– Ale nie dlatego się z tobą kontaktujemy.

– No dobrze – powiedziałam. Obracałam w palcach kubek, tak jak wcześniej Andrei. Ciemne, gorzkie mielone ziarna osiadły na dnie i wiedziałam, że kilka precyzyjnych manewrów pozwoli mi wypić jeszcze parę łyków bez nabrania w usta fusów. – Więc czemu?

– Chcielibyśmy, żebyś znów wystąpiła na Balu, ale tym razem jako integralny element spektaklu, a nie tylko otwierający wieczór. Bal odbywa się mniej więcej co dwa lata. Następny planujemy za niecały rok, w nietypowym, ale fascynującym miejscu w Ameryce.

Oczywiście hojnie zapłacimy i pokryjemy koszty podróży, a chociaż samo wydarzenie zajmie jedną noc, oczekujemy aktywnego zaangażowania zarówno przed, jak i po Balu. To poważne zobowiązanie...

– Czy będę mogła wybrać muzykę? – spytałam.

– Oczywiście – odpowiedziała Aurelia. – To jest poza dyskusją. Zagrasz solówkę, jaką będziesz chciała, ale jeśli wolałabyś grać z orkiestrą, to również sfinansujemy. Masz całkowitą wolność odnośnie do każdego aspektu występu.

Poczułam, że skóra mnie mrowi z podniecenia. Susan, moja agentka, oszaleje, jak się dowie, że choćby rozważam zgodę na występ bez konsultacji z nią i bez jej zaangażowania w analizę kontraktu i całą papierkową robotę.

Ale na jedną noc, plus jeszcze to, co mętnie nazywali zaangażowaniem przed i po, pewnie będę mogła zniknąć w ramach wakacji. Zawsze chciałam zobaczyć pustynię. Pojawiły mi się przed oczami obrazy arabskich nocy, w żywych kolorach i trójwymiarowe.

– Co to jest Bal? – spytałam. – Mówiliście, że jest związany z Wyspą? Z tym, czego tam doświadczyłam. Myślałam, że byłam pijana albo że mi się śniło...

– Nie, nie byłaś pijana – powiedziała. – A co do śnienia... Nie do końca. Kiedy umysł jest w stanie takiej relaksacji, jakiej doświadczyłaś, każda myśl i każde doznanie jest wyostrowane, stokrotnie, a może bardziej... Mogę? – spytała i zasugerowała, że chce mnie wziąć za rękę.

– Oczywiście – powiedziałam i wyciągnęłam rękę przez stół.

Ta kobieta była jak czarownica. Zachwycająca. Rozumiałam, czemu Andrei tak angażował się w jej każde słowo i gest. Mogłaby zahipnotyzować nawet najbardziej zadeklarowanego kobieciarza.

Aurelia ujęła rękę, którą jej podałam i odwróciła ją wnętrzem do góry. Lekko musnęła palcami drugiej dłoni mój nadgarstek i zaczęła mówić:

– Normalnie, kiedy nie śpisz – wyjaśniała – taki dotyk jest niczym więcej, jak tylko dotykiem. – Pokiwałam głową. – Ale teraz – powiedziała – zamknij oczy. Rozluźnij się. Wyobraź sobie, że znów tam jesteś i w zielonej wodzie płyniesz do brzegu. Wszędzie panuje spokój. Morze jest pełne ryb, ale one nic ci nie zrobią. Twoje stopy zapadają się w piasku i idziesz do dżungli. Jesteś całkiem sama, ale

nic ci nie grozi i spokojnie stąpasz po korzeniach. Przypomnij sobie drogę do winorośli, na których spałaś.

Kiwałam głową, aby dać znać, że słucham i mentalnie wykonuję jej wskazówki. Zaczęłam napierać plecami na oparcie krzesła, na którym siedziałam, rozluźniłam kończyny.

Mój umysł zaczął błędzić, a głos Aurelii brzmiał jak przez megafon, intonowała głębokim głosem, dźwięcznym jak dzwon. Spomiędzy gałęzi drzew słyszałam muzykę. Pojawiła się w mojej pamięci, ta mentalna kołysanka, rozluźniająca mięśnie i wprowadzająca w stan jeszcze głębszego relaksu.

– Teraz – powiedziała – skup się na moim dotyku.

Tak zrobiłam i nagle, zamiast delikatnego jak piórko muśnięcia na nadgarstku, poczułam dwie pary dłoni wędrujące po całym moim nagim ciele. Jedna smukła, blada, druga mocna i silna, niewątpliwie należące do Aurelii i Andrei.

Moje ciało zareagowało natychmiast i niepowstrzymanie. Poczułam między udami znajomą wilgoć, a przez żyły przemknęła mi silna fala pożądania, pozostawiając mnie słabą i bez tchu. Byłam pewna, że jestem czerwona. Natychmiast otworzyłam oczy, częściowo zszokowana, częściowo zawstydzona.

Wciąż siedziałam pośrodku Borough Market, w znajomym otoczeniu. Aurelia się do mnie uśmiechała. Może to nawet był śmiech.

– Nie zrobiłam nic ponad dotknięcie twojego nadgarstka – powiedziała i puściła moją rękę.

– A ja się nawet nie ruszyłem.

Wyglądało na to, że oboje świetnie wiedzieli, co sobie wyobrażałam.

– Widzisz – podsumowała Aurelia. – Nie ma żadnych sztuczek. Tylko wyostrzone zmysły i świadomość dostępna jedynie nielicznym, gotowym na przyjęcie pożądania. O to chodzi w Balu. Celem naszej pracy jest kultywacja radosnej i dzikiej seksualności, pozbycie się wstydu, który tylu ludziom przyćmiewa intymność...

Bal to święto seksu. Żeby to było możliwe, stymulujemy zmysły. Wzrok, dotyk, powonienie i oczywiście słuch. Chcemy, żebyś podnieciła ludzi swoją muzyką. Zrobiła to, czego sama doświadczyłaś na Wyspie, tylko na znacznie większą skalę. To byłoby niezapomniane doznanie, dla ciebie i dla wszystkich obecnych.

Wpatrywali się we mnie w napięciu.

Odwróciłam wzrok i spojrzałam na dno kubka, a potem znów na nich.

– To interesująca propozycja – powiedziałam – ale muszę ją przemyśleć.

– Nie ma sprawy – odparła Aurelia. Na jej twarzy zobaczyłam ulgę, tak jakbym w jej pojęciu już się zgodziła. Otarła palce o przód sukienki i z kieszeni wyjęła białą wizytówkę z ręcznie wypisanym numerem telefonu; ładnym pismem, na niebiesko. – Daj sobie czas.

Wzięłam kartonik, wciąż rozgrzany ciepłem jej piersi, i wsunęłam do kieszeni, natychmiast myśląc o mężczyźnie z sauny w Kentish Town. O co chodziło z tymi wszystkimi nieznanymi i ich wizytówkami?

Wstali jednocześnie i ja też się szybko podniosłam, żeby ich pożegnać. Moje plastikowe krzeselko zaskrzypiało. Uścisnęliśmy sobie ręce, a Aurelia skinęła głową w moją stronę, tak jakby dawała mi coś do zrozumienia.

Znów usiadłam, a oni odeszli. Złapali się za ręce w ciągu kilku sekund od wstania od stolika. To był odruch. Nie wiedziałam, kto pierwszy wyciągnął rękę. Wiatr zaplątał się w sukienkę Aurelii i lekko uniósł jej dół, odsłaniając apetyczne łydki aż po wgłębienia pod kolanami. Wpadł mi w oko kolejny duży tatuaż.

Przyszedł kelner i postawił przede mną jeszcze jeden kubek z kawą. Wyjaśnił, że Andrei zamówił go i opłacił wcześniej, chociaż nie zauważyłam, żeby to robił.

Rozmyślenia na temat dziwnych nieznajomych i ich propozycji przerwało mi burczenie w brzuchu. Byłam tak pochłonięta rozmową, że zapomniałam o śniadaniu, a teraz mój żołądek błagał o jedzenie. Wzięłam kawę, zatrzymałam się przy najbliższym stoisku z hamburgerami i zamówiłam wołowego burgera z serem i dodatkowym sosem, a potem ruszyłam do domu.

Przypięłam wizytówkę Aurelii do lodówki magnesem. Postanowiłam, że będę mieć jej propozycję gdzieś w tyle głowy, dopóki tego porządnie nie przemyślę. Do tej pory zajmę się rozkoszowaniem się letnim Londynem, leniwymi dniami poza domem, a także relaksującymi porankami w łóżku.

Było już późno, ale ja jeszcze nie wstałam. Nie spałam już, tylko wygrzewałam się w półśnie i unosiłam się na falach lenistwa. Z

najwyższych gałęzi drzew za moim oknem docierały śpiewy ptaków, a w najgłębszych zakątkach mojego mózgu zaczął się kształtować nieuchwytny zapis wydawałoby się przypadkowych melodii.

Rozłożyłam się pod cienkim białym prześcieradłem jak rozgwiazda. Wyciągnęłam rękę, żeby wziąć butelkę wody, którą trzymałam na podłodze przy łóżku, i napiłam się.

Zadzwonił telefon.

Niechętnie strząsnęłam z siebie resztki sennych pajęczyn powstrzymujących mnie przed przebudzeniem.

– Halo?

– Czy rozmawiam z panią Zahovą?

– Hm...

– Z Summer Zahovą?

– Tak.

To był mężczyzna. Anglik, ale bez żadnego regionalnego akcentu. Głos niski i mruczący. Kuszący.

– Świetnie. Nazywam się Antony Torgerson. Antony bez „h”. Wysłałem pani kilka maili, ale wiem, że była pani za granicą. Pani agentka dała mi ten numer.

Czyli facet jest w porządku, pomyślałam, bo agentka nie dawała mojego numeru byle komu.

– Rozumiem.

– Być może słyszała pani o mnie? – Nie słyszałam. – Jestem reżyserem teatralnym. Rozumiem, że pani zajmuje się spuścizną Dominika...

Resztę jego wypowiedzi przyćmiła czarna chmura. Coś mnie ścisnęło w gardle.

– Ach...

– Chodzi mi o jego drugą powieść. *Dzienniki skrzypcowe*. Jestem jej wielkim fanem.

Staralam się ogarnąć. Podciągnęłam okrycie pod szyję, zasłaniając nagie piersi, tak jakby mógł wiedzieć, po drugiej stronie linii telefonicznej, że jestem naga.

– Książka nie odniosła sukcesu – zauważyłam. – To była komercyjna porażka.

– Wiem – odparł mężczyzna. – To kolejny powód, żeby dać ludziom szansę na ponowne spotkanie z nią.

Dominik przypisywał to niepowodzenie złemu momentowi wydania i wahnięciom zainteresowań czytelników. Ukazały się nieliczne recenzje, choć przecież fabuła była niebanalna, a Dominik uważał, że książka jest napisana znacznie lepiej niż pierwsza, która odniosła przecież wielki sukces. Ot, jedna z tych niewytłumaczalnych spraw.

– W jaki sposób? – spytałam.

– Sądzę, że można by ją świetnie zaadaptować na scenę, jestem o tym przekonany.

Zaintrygował mnie, choć miałam wątpliwości. Fabuła była nielinearna, a książka miała kilku głównych bohaterów. W przeciwieństwie do pierwszej, porażająco romantycznej, do której

stałam się nieświadomą inspiracją, tą nie zainteresowała się branża filmowa.

– Tak pan myśli?

– Zdecydowanie.

– To ciekawy pomysł – powiedziałam. – Ale czego pan oczekuje? Praw do adaptacji? Jeśli tak, to nie ze mną powinien pan rozmawiać. Proszę się skontaktować z wydawcą...

Nie chciałam brać udziału w żadnej transakcji. Nie chciałam, żeby pamięć Dominika ani jego książki były brukane tak brudnymi sprawami. A ja akurat miałam pieniądze i nie potrzebowałam żadnych dodatkowych funduszy, bo spontaniczna trasa po Europie okazała się zaskakująco lukratywna.

– Już z nimi rozmawiałem – odparł mężczyzna. – Ale zależy mi na pani błogosławieństwie jako spadkobierczyni Dominika, zrozumienia i aprobaty dla moich planów i nadziei wobec tej adaptacji – powiedział. – Chciałbym mieć panią po swojej stronie, zanim cokolwiek zacznę podpisywać. Zależy mi też na pokazaniu pani kilku pomysłów, a także na pani udziale na przykład w castingach.

Wydawało mi się, że jest szczerze przejęty. Nie byłam przekonana, czy chcę się w to angażować, bałam się przywołania starych upiorów i zburzenia wątplęgo spokoju, jakim uraczyła mnie Wyspa. Moje milczenie mówiło samo za siebie.

– Czy zgodziłaby się pani na spotkanie? Na drinka? Może swobodniej by się pani poczuła, a ja mógłbym pokazać, że mam jak

najlepsze intencje – powiedział. – Znacznie łatwiej byłoby mi to wyjaśnić osobiście.

Co miałam do stracenia? Chciał mi tylko powiedzieć, jaki ma pomysł na przeniesienie drugiej, trudnej książki Dominika na scenę. To może się okazać nawet ciekawe. A ponieważ motywem przewodnim były przekłete skrzypce, może miał pomysł na wstawki muzyczne?

Zgodziłam się na spotkanie.

Wróciłam pod kołdrę. Ptasię trele ucichły. Spojrzałam na sufit i zaczęłam nieuważnie przyglądać się cieniom rzucanym przez wpadające przez otwarte okno ostre promienie słońca i pokrywającym nierówny sufit mozaiką geometrycznych wzorów.

Miałam nadzieję, że uda mi się znów zasnąć i choć na chwilę pozbyć się myśli o życiu i rzeczywistości, które mnie zaprzętały, ale nie dałam rady. Dziwna oferta Aurelii i Andreia oraz telefon w sprawie książki Dominika nie dały mi spać.

Dziwny zbieg okoliczności: otwierała się przede mną droga do przyszłości, a jednocześnie druga, w przeszłość. Mogło mnie to albo zmiażdżyć, albo zadziałać jak egzorcyzmy. Którą powinnam wyruszyć? A może obydwoma i w ten sposób odzyskać spokój?

Telefon znów zadzwonił. Zostawiłam go tak, nie chciałam żadnych nowych informacji. Ucichł. I zaczął dzwonić ponownie, tak jakby osoba dzwoniąca uznała, że za pierwszym razem dodzwoniła się pod zły numer i dopiero teraz wybrała prawidłowy.

Moja siostra Fran.

Chciała mnie zabrać na tańce dziś wieczorem.

O tak, miałam ochotę tańczyć!

Pot liczący dziesięć lat, a może więcej, spływał jak wosk po plakatach dawno zapomnianych punkowych grup zdobiących ściany w boksach wokół podziemnego parkietu.

Byłam pijana.

Ani na smutno, ani na wesoło, raczej na dystansowo, bo czułam jakbym z daleka obserwowała swoje coraz mniej skoordynowane kroki i odrobinę zbyt gwałtowne ruchy. Hałas był niemożliwy i nic nie mówiłam – w przeciwieństwie do moich towarzyszy, którzy cały czas trajkotali piskliwymi głosami, choć nikt nie był w stanie usłyszeć choćby słowa.

Zachowywałam się, jakby patrzyła na akwarium, na pyszczki ryb za ochronnym szkłem, dziwnie się wyginające, kiedy ryba brała oddech. Minęły wieki, odkąd ostatnio tyle wypłam. Zresztą nigdy nie piłam specjalnie dużo, co jakiś czas lampkę wina z jakiejś okazji albo pół kufła piwa dla towarzystwa, ale Dominik nie przepadał za alkoholem, a kiedy byliśmy razem, łatwiej mi było przyjąć jego nawyk.

Do nieszczęścia doprowadziła mnie seria drinków w jaskrawych kolorach, a las miniaturowych parasolek na wykałaczkach ścielił się gęsto na naszym owalnym stoliku wśród pustych szklanek.

Były urodziny Fran i z tej okazji postanowiła spróbować wszystkich drinków z karty. Chris, z którym nadal się przyjaźniła, choć nie byli już razem, miał się bardziej na baczności, choć jego

gesty były coraz bardziej zamaszyste, a z chwili na chwilę jego śmiech stawał się coraz rubaszniejszy.

Muzyk, którego imienia nie pamiętałam, przyjaciel Chrisa, klepnął mnie w ramię i wskazał na parkiet. Jasne, czemu nie?

Wstałam niepewnie, chociaż cały czas byłam jakieś sześć drinków za Fran, Chrisem i pozostałymi. Próbowałam już szmaragdowo-niebieskiego, szkarłatno-różowego, wściekle zielonego i ostro pomarańczowego, ale przede mną była jeszcze głęboka purpura, kanarkowy żółty i brąz w odcieniu kupy, które stały na mojej części stolika i czekały, aż zbiorę się na odwagę, żeby kontynuować procentową drogę ku zatraceniu.

Przepychając się łokciami, dotarliśmy na wolny skrawek parkietu, ale w ciągu kilku sekund otoczyła nas grupa ciał i zostaliśmy rozdzieleni, a metalowe disco dudniło w bezlitosnym rytmie. Cała sala kołysała się w jego rytmie. Stroboskopowe światła migały jak rozszalałe roboty w czasie apokalipsy, a każdy rozbłysk białego światła przemykał przez las poruszających się głów i ciał objijających się o spływające potem ściany.

Przez dudnienie zaczął się przebijać cichy rdzeń melodii jak fala powstająca z prehistorycznych głębin, mój umysł automatycznie przestawił się na wyższy bieg, a ja instynktownie skupiałam się na wypełzającym sercu muzyki.

Przez rozgrzaną mgłę widziałam tańczącą młodą dziewczynę z charakterystycznym dołeczkiem w policzku, która niczym pajak machała rękami wychodzącymi z drżącego jak w konwulsjach ciała.

Miała na sobie obcisłą czarną spódniczkę mini, a pomiędzy eksplozjami światła zauważyłam, że pod pachami ma gęszcz czarnych włosów. Następny błysk mnie oślepił, ona zniknęła w gęstniejącym tłumie tancerzy, ale ta nieapetyczna wizja wryła mi się w mózg.

Inny tancerz, mężczyzna, cały w czarnej skórze, podskakujący jak kukielka i dudniący w podłogę jak mastodont. Towarzyszyła mu górująca nad nim eteryczna blondynka w białym podkoszulku i obcisłych džinsach z dziurami na kolanach; jej cień spowijał go jak duch, ale i oni zniknęli w jednej chwili, w ciągu jednego uderzenia rytmu.

Zastąpili ich nowi, mężczyźni, kobiety, a każde stanowiło oddzielny świat, trzęsący się, drżący, zastygający w czasie, nieruchomiejący na nanosekundę, a następnie dziko gestykulujący jak błędny ognik w ataku szału. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio byłam tak pijana. Roześmiałam się.

Nigdy nie byłam świetną tancerką. Ostatnio tak szczerze tańczyłam w Nowym Orleanie, kiedy Dominik kazał mi tańczyć nago w dziwnym klubie. Z całą pewnością moja nagość rekompensowała niedostatek gracji. Moje ciało od zawsze z wielką łatwością wtapiało się w muzykę, a skrzypce stawały się przedłużeniem moich nerwów, którymi wędrowały wszystkie uczucia.

Taniec wywołał teraz podobne emocje. Rozluźniłam ręce i nogi. Sięgnęłam w głąb po uśpioną melodię zatopioną w szalejącym wokół mnie piekielnym metalowym disco, które dopiero po chwili zaczęło się ze mną komunikować.

Świat, tłum, inni tancerze zniknęli i zostałam sama w moim własnym świecie. W prywatnej przestrzeni. Tańczyłam, chwiałam się, wyzwalałam, parodiując elegancję, za pośrednictwem której szukałam piękna i transcendencji. Wyobrażałam sobie, że gram na Baillym i panuję nad podrywającymi się z głębin ostrymi dysonansami *Święta wiosny* Strawińskiego, dyryguję piskami samotności, które rwą się z uwięzi.

Trzęsłam się, kołysałam, kręciłam, śpiewałam do siebie, szeptałam, tańczyłam.

I tańczyłam.

I tańczyłam.

I w pewnym sensie miałam świadomość, że w końcu udało mi się uziemić mrok i już niczego więcej nie potrzebuję. Nawet seksu.

Didżejowi musiał się skończyć set i muzyka gwałtownie zamilkła, ale ja nie zwróciłam uwagi, tańczyłam dalej. Zamknęłam oczy i sunęłam po śliskim parkiecie jak na kołach, jak łyżwiarka po łożu z chmur.

– Hej, Summer! – zawołała Fran, a wtedy wyjrzałam przez zasłony z mojego prywatnego świata i okazało się, że byłam niemal ostatnią osobą na parkiecie. Wróciłam do siebie, usiadłam z powrotem przy stoliku w naszym boksie i zaczęłam się zastanawiać, drinka jakiego koloru wybrać. Oczywiście musiał mieć parasolkę.

Przed spotkaniem próbowałam sobie wyobrazić, jak sądząc po głosie, może wyglądać Antony Torgerson. Nie oczekiwałam jednak wysokiego, smukłego ciemnego blondyna w niebieskiej sztruksowej

marynarce, rozpiętej pod szyją białej koszuli i nienagannie skrojonych drogich dżinsach, który przekroczył próg Patisserie Valerie na rogu Charing Cross Road i Great Newport Street i rozglądał się po obydwu salach, aż mnie zobaczył.

Na pełnych ustach rozlał mu się szeroki uśmiech, gdy ruszał w moją stronę. Nosił wypolerowane na błysk brązowe buty. Ja piłam kremowe cappuccino i zagryzałam kawałkiem ciastka z jagodami. Miał mocny uścisk dłoni.

– Mam pani płyty – powiedział. – Muszę przyznać, że jestem raczej rockowym typem i niewiele wiem o muzyce klasycznej, ale potrafi pani wyczarować ze swoich skrzypiec niebywale rzeczy.

– Dziękuję. – Choć nie byłam pewna, czy komplement nie jest nieco dwuznaczny.

Zawołał kelnerkę i zamówił podwójne espresso i croissanta.

– Pracowałem prawie całą noc i spałem tylko kilka godzin, więc to moje śniadanie – wyjaśnił. Było wczesne popołudnie.

Spojrzał na mnie. Włosy z boku głowy miał przystrzyżone, a pośrodku dłuższe i zaczesane do góry. W odcieniach od ciemnego blond do jasnobrązowego.

Na kimś innym taka fryzura mogłaby wyglądać szczeniacko i pretensjonalnie, ale jego wizerunek uzupełniała doskonale, dodając do ostrych rysów szczyptę niezbędnego zniewieścienia.

Podtrzymałam jego spojrzenie, bo przykuła mnie hebanowa czerń jego oczu, roziskrzona i niemal sztuczna. Możliwe, że nosi soczewki? Albo jest jednym z tych nielicznych osobników z natury obdarzonych

jasnymi włosami i czarnymi oczami. W każdym razie efekt był niebywały.

– Wygląda pani inaczej niż na okładkach płyt – powiedział.

– Tamte zdjęcia były robione dawno temu – wyjaśniłam. – I miałam rozpuszczone włosy. – Dzisiaj były związane z tyłu.

– Nie chodzi o włosy – zaprotestował. – Ani o upływ czasu. To coś innego.

– No wie pan, mała magia Photoshopa... – uśmiechnęłam się subtelnie.

Jednym potężnym łykiem wciągnął kawę i wgryzł się w puszystego croissanta.

– Proszę powiedzieć, co pan wymyślił. W sprawie powieści Dominika.

– Już mówię.

Strząsnął ze stolika okruchy croissanta, zamiatając połą marynarki, żeby zrobić miejsce na plik kartek, który wyciągnął z kieszeni.

Zaczął wyjaśniać.

Książka śledziła historię pewnych skrzypiec, od momentu wycięcia ich z drewna przez kilka następnych stuleci, skupiając się na ich nieco paranormalnej zdolności do wpływania na życie osób, które je dziedziczyły. Czasem wydawało się, że skrzypce rzucają na właściciela klątwę, wpływają na jego żądze, niszczą związki i spychają z ustalonej ścieżki życia. Prawie jak historia o duchach, w

której ich rolę odgrywał instrument muzyczny, a nie przerażająca istota z piekielnych głębin.

W efekcie książka składała się z epizodów i gdy tylko czytelnik dawał się uwieść jakiemuś bohaterowi, historia przeskakiwała do następnego, nie pozwalając się z nikim zżyć ani z nikim współodczuwać. Dominik był tego świadomy, ale nie umiał znaleźć wyjścia z tej sytuacji, żeby przy okazji nie podkopać idei przyświecającej książce.

Na scenie taka epizodyczna struktura nie sprawdzi się lepiej, doszedł do wniosku Antony.

– Więc czemu jest pan zainteresowany tym projektem?

– Ha! – Machnął ręką, żeby podkreślić znaczenie tego, co powie.

– Bo znalazłem sposób.

Musiałam wyglądać na zdziwioną.

– Oprócz skrzypiec, co jest osią historii? – spytał mnie jak nauczyciel uczennicę.

Nic nie mówiłam, nie łapałam jego toku myślenia, ale z fascynacją obserwowałam powstającą w nim falę niewidzialnego ognia, który nadawał wyrazu jego rysom.

– Muzyka! – oznajmił z triumfem.

– Muzyka?

– Tak. To racja bytu skrzypiec, czyż nie?

Uprzejmie pokiwałam głową.

– Zatem zamiast skupiać się na jednym z przypadkowych bohaterów, którzy na przestrzeni lat wchodzą w posiadanie skrzypiec i

sztucznie wyciągać go przed szereg, spowalniając przy tym całą akcję – mówił dalej Antony – uczynimy głównym bohaterem muzykę. Tę nić, która wszystko wiąże. A sztukę będą w tym samym stopniu tworzyć słowa, co dźwięki. – Promieniał. – To nie będzie opera – wyjaśnił – ani musical.

Zaczynałam wczuwać się w jego zamiary.

Jego entuzjazm był zaraźliwy. Wyciągnął jedną z kartek i pokazał mi serię prostych szkiców ewentualnych scen. Każda odzwierciedlała inny okres historyczny w dziejach skrzypiec.

– Każdy będzie też reprezentowany przez inny rodzaj muzyki.

Kuszący koncept.

Zaczęłam się nad nim zastanawiać.

– To mogłoby zadziałać – przyznałam. – Ale co z muzyką? Nie ma takich utworów w muzyce klasycznej, które byłyby... – zamilkłam w poszukiwaniu odpowiedniego słowa, które oddałoby moje myśli – organiczne. Tak, wystarczająco organiczne. Jeśli muzyka ma odegrać główną rolę, musi mieć jakąś naturę przenoszącą się ze sceny na scenę, z postaci na postać, na kolejnych właścicieli skrzypiec. To nie może być tylko *the best* of klasycznego kanonu.

– Oczywiście – uśmiechał się. – Wiedziałem, że mnie pani zrozumie.

– A zrozumiałam?

– Czytałem gdzieś, że inspiracją do książki były pani skrzypce. To prawda?

– Cześćciowo – przyznałam. – Dominik wglębił się w ich historię, ale muszę przyznać, że dużo improwizował, żeby udramatyzować historię. Pisarze tak robią.

– Rozumiem.

– Ale podoba mi się pana wizja.

– Jest ambitna – stwierdził Antony.

Zapadła cisza. Przy stoliku obok dwoje starszych niemieckich turystów kłóciło się, którego ciastka spróbować, aż w końcu uznali, że zamówią wszystkie trzy, jakie wpadły im w oko i się nimi podzielią.

Niespodziewanie Antony wziął mnie za rękę.

Była niewiarygodnie ciepła.

– Summer, czy chciałabyś zaangażować się w ten projekt?

– Miałabym doradzać w kwestii muzyki?

– Nie. Więcej... Uważam, że tylko ty możesz to zrobić.

– Co?

– Napisać muzykę. Wiem, że byłabyś idealna.

Wciąż trzymał moją dłoń,

Czułam jego głód, jego ogień.

Były mi dziwnie znajome.

6. Pająk o dwóch sercach

Chociaż jego serce należało do teatru, parę lat temu Antony wyreżyserował kilka filmów. Sztuka, którą wystawił, okazała się wielkim hitem zarówno zdaniem krytyków, jak i widowni.

Poproszono go o przeniesienie jej na ekran, co zaowocowało kolejnymi lukratywnymi kontraktami w Hollywood.

Dwa filmy, które nakręcił później, też się podobały, ale jego ta praca coraz bardziej frustrowała, bo schematyczna natura projektu uniemożliwiała mu poprowadzenie historii zgodnie z jego zamiarem. Poza tym producenci bez przerwy się wtrącali, hamowali i ograniczali najbardziej innowacyjne pomysły.

W rezultacie od tamtej pory odrzucał wszystkie dalsze propozycje filmowe i poświęcał czas i energię teatrowi.

– W końcu rozumiem, że mają dać mi spokój i przestać mi wciskać kiepskie scenariusze, a ja szczęśliwie zostanę jednym z zapomnianych ludzi kina – wyjaśnił.

Pieniądze, które wówczas zarobił, umożliwiły mu kupno drogiego mieszkania na ostatnim piętrze imponującego budynku na Isle of Dogs, którego okna wychodziły na Tamizę i większość atrakcji Londynu.

To było nasze trzecie spotkanie od czasu tego w Patisserie Valerie, ale po raz pierwszy zaprosił mnie do miejsca, gdzie mieszkał i pracował. Widok z dużych wykuszowych okien był olśniewający i zupełnie inny niż z Hampstead Heath, a ostatnio z pierwszego piętra mojego mieszkania wychodzącego na Clapham Common, gdzie się wprowadziłam po sprzedaży domu, co doradzali mi wszyscy przyjaciele.

Ku mojemu zaskoczeniu Dominik sporządził testament i zapisał dom mnie, tak jak inne swoje rzeczy. Zostawiłam sobie tylko kilka

pudeł z książkami, bo nie było mowy, żeby wszystkie zmieściły się w moim nowym mieszkaniu, a za radą Viggę resztę jego zbiorów przekazałam bibliotece uniwersyteckiej, która wyraziła zainteresowanie także jego zapiskami.

Był szary, jesienny dzień, a ja piłam kawę za kawą, siedząc naprzeciwko Antony'ego przy niskim szklanym stoliku, na którym zostawił notatki i fragmenty powstającego scenariusza.

Początkowo myślałam, że moje zadanie będzie polegało na wybraniu odpowiednich utworów muzycznych z repertuaru klasycznego, które miały oddać nastrój poszczególnych etud dziejących się w różnych epokach, przez które wędrowały przeklęte skrzypce. Ku mojemu zaskoczeniu, a nawet początkowej irytacji, po zapoznaniu się z pierwszymi propozycjami Antony szybko odrzucił ten pomysł.

– To zbyt przewidywalne – powiedział.

W jego oczach widziałam, że był mną rozczarowany, spodziewał się więcej. Dotknęło mnie to.

– Ja tylko gram. Jestem wykonawcą, to wszystko.

Wstał. Miał na sobie biały luźny podkoszulek i te dżinsy, co zwykle. Nie golił się przez kilka dni i ciemny zarost pokrywał jego brodę i policzki. Wyglądał na szczuplejszego, niż kiedy widziałam go po raz pierwszy. Był zawadiacki.

– Stać cię na więcej. Słyszałem, jak grasz. Widziałem cię raz na koncercie – wyznał.

Wcześniej nic o tym nie mówił.

– Kiedy?

– Nieważne – odpowiedział. – Ale płonęłaś. Byłaś dosłownie w transie. To było niesamowite... I bardzo seksowne...

– Ach...

– Chociaż jednocześnie rozpraszające – dodał – i w zasadzie do dziś nie wiem, co grałaś. – Uśmiechnął się nieśmiało.

– Cieszę się, że ci się podobało.

– Miałem nadzieję wskrzesić tamtą Summer Zahovę.

– Może liczyłeś na zbyt wiele?

– Oczekuję tego, co najlepsze.

– Więc może masz jakieś sugestie?

Podał mi kilka kartek. Scena, w której instrument trafia do drugiego właściciela i kilka szkiców scenografii, która nastąpi potem.

– Weź to i idź do domu. Poczytaj. Przyswój. Przemyśl. I zadzwoń, jak na coś wpadniesz. – Odwrócił wzrok i zakopał się z powrotem w swoich papierach. Zostałam odprawiona.

Beznamiętnie.

Wahałam się chwilę. Co to miało być?! Czy on myślał, że będę się zjawiać na każde jego kiwnięcie palcem?

Wstałam. Zostawiłam kartki na szklanym stoliku, odwróciłam się do niego tyłem i wyszłam z mieszkania. Miałam nadzieję, że zawoła i przeprosi za obcesowość. Ale chyba nawet nie spojrzał w moją stronę, gdy wychodziłam i trzaskałam drzwiami. Para szła mi uszami.

Pobiegłam wzdłuż korytarza i ściągnęłam windę. Trwało trochę, zanim przyjechała, a kiedy drzwi się otworzyły, wyszła niska,

kształtna młoda kobieta w sukience w kwiatki, z ciemnymi, powiewającymi włosami i z dekoltem do pasa. Popatrzyła na mnie.

– Ach, skrzypaczka? – rzuciła trochę niecierpliwie i z wyższością.

Byłam w coraz gorszym nastroju. Najbardziej sarkastycznym tonem, na jaki było mnie stać, odpowiedziałam:

– A pani...?

Uśmiechnęła się szeroko. Miała nienaturalnie białe zęby.

– Alissa.

To mi nic nie mówiło.

– I jak dalej?

Drzwi zaczęły się zamykać, więc ruszyłam do przodu i zablokowałam je lewą stopą.

– Może będę cię grała! – krzyknęła, kiedy weszłam do kabiny. – Jestem aktorką... – Drzwi się zamknęły, zanim zdołałam zadać dalsze pytania.

Nie od razu wcisnęłam guzik ze strzałką skierowaną w dół, tylko stałam, zatopiona w myślach.

Próbowałam zapanować nad gniewem. Aż mnie roznosiło, nie tylko z powodu zachowania Antony'ego, ale także z powodu domysłów aktorki, która sądziła, że może zagrać mnie i ta myśl wydawała jej się z jakiegoś powodu szalenie zabawna. Antony wprowadził do sztuki postać wzorowaną na mnie, jako że byłam ostatnią właścicielką skrzypiec.

Postanowiłam, że jeśli Antony Torgerson chce, żebym pracowała przy jego produkcji, musi mnie traktować inaczej. To musi być

współpraca. Na moich warunkach. Ale wiedziałam też, że aby to było możliwe, muszę zrobić na nim spore wrażenie, wrócić z pomysłami do wykorzystania, z muzyką doskonałą.

Winda ruszyła w dół.

W metrze trwały weekendowe prace, a ja nie mogłam znieść oczekiwania na autobusową komunikację zastępczą. Sto lat szukałam taksówki, a zanim dotarłam do Clapham, zdążyłam już ochłonąć.

Wyszło słońce, a w Common zaroilo się od liczących na pewnie ostatnie promienie słońca w tym roku. Małe dzieci ganiały wśród drzew, pary rozkładały się na kocach, a drogą jechała lodziarka, wabiąc młodych i starszych klientów – to wszystko pomogło mi odbudować wewnętrzny spokój.

Czemu oczekiwania Antony'ego i pojawienie się Alissy tak mnie wyprowadziły z równowagi?

Wróciłam na Isle of Dogs następnego dnia rano. Wczesnie. Z łóżka pobiegłam pod prysznic, a stamtąd do szafy, gdzie wskoczyłam w pierwsze lepsze dzinsy, jakie mi wpadły w rękę i w bluzę do joggingu, którą prawdopodobnie przydałoby się wyprać przed ponownym włożeniem. Pojechałam w dół aż do rzeki.

Leniwy świt wstawał nad Londynem. Z budynku Antony'ego wychodził akurat jakiś prezes w prążkowanym garniturze i z neseserem, więc wślizgnęłam się bez użycia domofonu, którym mogłabym się zapowiedzieć. Korytarz na najwyższym piętrze był wyłożony dywanem, ostoją ciszy, więc nie wydając żadnego odgłosu, podeszłam do jego drzwi i zadzwoniłam.

Przez noc postanowiłam się wycofać z wszelkiego zaangażowania w projekt i przysłałam życzyć Antony'emu powodzenia. Doszłam do wniosku, że nie jestem odpowiednią osobą do tej pracy. Jestem tylko skrzypaczką, co najwyżej obdarzoną talentem, nie twórcą.

Na początku z mieszkania nie dochodził żaden dźwięk. Stałam tak, czując się zupełnie nie na miejscu i myślałam, że Antony'ego może tam wcale nie być. Już podnosiłam rękę, żeby zadzwonić jeszcze raz, gdy usłyszałam ze środka ruch.

Kroki zbliżające się do drzwi. Otworzyły się i stanęła w nich Alissa z rozczochranymi włosami i ubrana tylko w męską koszulę ledwie zakrywającą jej pupę. Mimo drobnych rozmiarów jej bose nogi wydawały się nieskończenie długie.

Uśmiechnęła się triumfalnie.

– Ach, to ty? – powiedziała. – Nie wiedziałam, że masz przyjść.

Zabrakło mi słów.

– Powinnam uprzedzić i zadzwonić. – Od razu zaczęłam się zastanawiać, czy ona tu mieszka, czy tylko została na noc.

– On jest w łazience – wyjaśniła. – Nie słyszałby dzwonka. Ja ledwie go usłyszałam z sypialni. – Wskazała na siebie, bez słów informując mnie, że wyciągnęłam ją z łóżka. – Ale nieważne, wejdź.

Odwróciła się na pięcie, a ja weszłam i zamknęłam za sobą drzwi. Kiedy szliśmy wąskim korytarzem prowadzącym do części dziennej urządzonej w stylu loftu, nonszalancko podniosła rękę i przeczesła włosy palcami, podejmując nieudaną próbę ułożenia roztrzepanych loków. Koszula się uniosła i odsłoniła półkule pośladków.

Były równo opalone na podobny kolor, co nogi. Wiedziałam, że ten nadprogramowy błysk ciała nie był przypadkowy.

– Interesy? – spytała.

– W pewnym sensie...

Myślałam, że zaprowadzi mnie do salonu, gdzie poprzednio próbowaliśmy z Antonym pracować, ale skrzyła w prawo i weszła prosto do sypialni, do której drzwi wcześniej były zamknięte.

W przeciwieństwie do reszty mieszkania, które cechowała pustka, czystość formy i umeblowanie niemal ostentacyjnie pozbawione osobowości, w sypialni panował wściekły bałagan, po całym pokoju porozrzucone były ubrania Alissy, które miała na sobie poprzedniego popołudnia, a z łóżka pod przeróżnymi kątami zwisała pościel.

Czułam w powietrzu zapach seksu, ten piżmowy aromat podszyty owocowymi nutami perfum Alissy. Jej zapach był wszędzie, zbyt bogaty i za kwiatowy jak na mój gust.

Wskazała mi krzesło w kącie, z przewieszoną parą jedwabnych majtek, i zaprosiła do zajęcia miejsca.

– To nie potrwa długo – powiedziała i ściągnęła męską koszulę, w którą była ubrana. Piersi miała nienaturalnie wysoko. Było w nich coś sztucznego, ale ja nie mogłam nie patrzeć na jej bujne, niedepilowane, ciemne łono.

Wślizgnęła się pod kołdrę, która akurat nie leżała na podłodze. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Goli się – powiedziała w końcu, wskazując na drzwi po mojej prawej, które musiały prowadzić do połączonej z sypialnią łazienki.

– Ach.

Miałam ochotę zadać milion pytań. O charakter ich znajomości, ile trwa, gdzie i kiedy się poznali, a nawet, choć to niezdrowa ciekawość, jak lubią się pieprzyć, a raczej, żeby być bardziej precyzyjną, jak on lubi się pieprzyć, ale oczywiście nic nie powiedziałam.

Zza drzwi łazienki nie docierał prawie żaden dźwięk, ani buczenie elektrycznej golarki, ani nawet słabe pluskanie wody w umywalce.

Czekałyśmy w stanie niewypowiedzianej wojny o to, która pierwsza przerwie milczenie. Prowokowałyśmy jedna drugą do powiedzenia czegoś, czego będzie potem żałowała.

Wydawało mi się, że do siebie nie pasują. Poznałam wiele nietypowych par, ale nie o to chodziło, po prostu nie mogłam ich sobie wyobrazić razem. Antony był niewątpliwie mężczyzną o silnych pasjach, podczas gdy Alissa wydawała się nieco sztuczna, jakby zawsze coś grała, odgrywała emocje, manipulowała.

Byłam też coraz bardziej przekonana, że jej cycki i te drażniące brązowe brodawki wyglądające znad pościeli niechlujnie naciągniętej najwyżej do pasa nie były prawdziwe. Wydawały się zbyt okrągłe, przeczyły grawitacji, a ich gładkiej, brzoskwiniowej doskonałości jakoś brakowało charakteru.

W końcu drzwi do łazienki się otworzyły i Antony wyszedł. Miał na sobie tylko biały ręcznik przewiązany w pasie. Nie widział mnie, podszedł od razu do łóżka i zrzucił ręcznik, żeby dołączyć do Alissy, a wtedy uświadomił sobie, że ja też tam jestem.

Stał do mnie tyłem i widziałam jego twarde, jędrne, wysklepione pośladki o mięśniach mocnych jak u biegacza. Rozejrzał się z zaskoczeniem, ale nie zrobił żadnego gestu, żeby się zakryć, a ja zauważyłam, że ma długiego, grubego fiuta, już twardniejącego.

– Powinnaś była mnie uprzedzić – powiedział do Alissy, patrząc na nią z wyrzutem, a potem przenosząc wzrok na mnie.

W końcu się schylił i podniósł koszulę, którą wcześniej ona miała na sobie, a potem ją włożył. Wciąż widziałam spod niej jego purpuroworóżową żołądz, ale on nie zwracał uwagi, na to, jakie robi na mnie wrażenie.

– Przepraszam – powiedział – nie wiedziałem, że tu będziesz.

– Mogłam zadzwonić – odparłam.

– Mogłaś.

Nie był obrzezany. Tylko to przychodziło mi do głowy.

– Mówi, że ma jakąś sprawę służbową – powiedziała Alissa, a w jej delikatnych rysach tliła się psotna iskierka. – Chociaż trochę na to wcześnie, nie uważasz?

– Przepraszam – powiedziałam. – Pewnie byłam już cała czerwona. Co mnie napadło? Jak mogłam przyjść bez zapowiedzi o tej porze dnia? Zdałam też sobie sprawę, że jestem zazdrosna o Alisę. Wyobrażałam sobie w tym łóżku siebie z Antonym. Kręciło mi się w głowie.

– Stało się coś ważnego? – spytał.

Przemowa, którą sobie przygotowałam, jadąc tu na rowerze, wyleciała mi z głowy. Wszystkie te słowa, że pieniądze nie mają dla

mnie znaczenia, więc powinien zwolnić mnie z zobowiązań i zająć się adaptacją książki z moim cichym błogosławieństwem, bo ja nie dam rady spełnić jego oczekiwań.

– Nie – powiedziałam.

Wpatrywał się we mnie. Wyczuwał moje zagubienie? A może požądanie?

Czułam, że muszę coś powiedzieć.

Wtrąciła się Alissa.

– Czy nie zdajesz sobie sprawy, Antony, jak krępujący dla tej biednej dziewczyny jest twój cudowny kutas wystawiony na widok publiczny? Może powinniśmy zająć się innymi interesami i wskoczyć we troje do łóżka? Mogłoby być zabawnie. Reżyser, aktorka i skrzypaczka? – To brzmiało jak początek sprośnego dowcipu.

On wciąż się nie zasłaniał.

Ja stałam jak wmurowana.

– Przyjechałam, bo chyba mam czarodziejskie rozwiązanie, jak włączyć muzykę do sztuki – wypaliłam jakimś cudem.

Wydawało mi się, że mówi to ktoś inny. Ja nawet nie używałam takich słów! Czarodziejski?! Co to niby miało być?!

Prawie nie zwracając na mnie uwagi, spojrział na młodą kobietę leżącą w jego łóżku.

– Chyba już czas na ciebie, Alisso. Masz przesłuchanie w Cottage Swiss?

Przyjęła do wiadomości, że została odprawiona, więc wstała z łóżka i poleciała do łazienki. Antony i ja zostaliśmy sami, pogrążeni w

niezręcznej ciszy. Alissa opłukała twarz, wróciła, i wciąż prowokując nas nagością, zaczęła zbierać swoje rzeczy rozrzucone po całej sypialni, a potem się ubrała.

Czyli z nim nie mieszka. Gdyby mieszkała, ubrałaby się w świeże rzeczy z szafy, stwierdziłam. Zdziwiło mnie, z jaką ulgą przyjął ten wniosek.

Wyszła, zaszczycając nas oboje cmoknięciami w policzki.

– Bawcie się dobrze, dzieciaki – powiedziała z ostentacyjnym luzem osoby, która opuszcza towarzystwo.

Stukanie jej obcasów w końcu umilkło. Antony na mnie spojrzał.

– Chyba teraz jest lepszy moment na omówienie tego, z czym przysłaś – powiedział. – Spodziewam się, że wiele będzie do przedyskutowania...

– Tak – pokiwałam głową.

– Niedługo jestem umówiony na miście z impresariem i szefem castingu, z którymi być może będę pracował.

– Rozumiem.

– Może moglibyśmy przelożyć to na jutro? O dowolnie wczesnej porze. Nie mogę się doczekać nowych pomysłów.

– W porządku. – Odprowadził mnie do drzwi.

Z trudem zmusiłam się do profesjonalnego uścisku dłoni zamiast złapać za jego dyndającego fiuta. Miałam dwadzieścia cztery godziny na wymyślenie czegoś.

Następnego ranka był ubrany. To dobrze. Zeszłej nocy przyszła żądna zemsty jesień i Londyn okrył się kurtyną szarości. Zrobiło się chłodno i przyjechałam nie na rowerze, ale taksówką.

Mimo pogody czułam, że płonę. Myśli, dźwięki, niesformułowane do końca melodie, szkice i obrazy podsuwane mi przez muzykę szalały w moim mózgu. Nie spałam całą noc.

Ręka, którą prowadziłam smyczek, bolała, a nadgarstek prawej ręki miałam jakby przepuszczony przez maszynkę do mielenia mięsa. Podbródek też bolał i z trudem trzymałam się na nogach, wykończona fizycznie i psychicznie.

Wczoraj, zaraz po powrocie do domu, po tej dwuznaczej konfrontacji, zebrałam wszystkie skrzypce, stosik partytur, wgrałam do iPod'a wybór klasycznych utworów i postanowiłam wymyślić coś, co przykuje uwagę Antony'ego. Zmusi go do akceptacji albo uległości.

Najpierw próbowałam dopasować już istniejącą muzykę do scen, które mi opowiadał i które miał nadzieję przenieść na deski sceniczne, ale nic nie pasowało. Analogie, które powoływałam do życia w mojej ograniczonej wyobraźni, były nudne i nieinspirujące. Potrafiłam operować tylko na frazesach, nawet kiedy w ramach eksperymentu wyszłam poza mój repertuar. Podcinało mi to skrzydła, ale jednocześnie rzucało wyzwanie.

Kiedy zrobiło się ciemno, wlewałam w siebie kolejne porcje kofeiny, zaciągnęłam zasłony mojego studia i wtedy doznałam olśnienia. Dotychczas próbowałam połączyć obrazy z dźwiękami. To

zły proces. Musiałam przywołać nastrój, emocje. To było tak oczywiste, że chciało mi się krzyczeć.

Zamknęłam oczy i przywołałam tę noc, kiedy leżeliśmy z Dominikiem na łyżeczkę, a on pod osłoną ciemności zaczął monotonicznie opowiadać mi rozdział powstającej właśnie książki, w którym jeden z właścicieli Bailly'ego dochodzi do wniosku, że te skrzypce są przeklęte. To jak mówił, jego mroczny, melodyjny głos i pasja, która go przepęniała, były tak hipnotyczne i dotknęły mnie tak dogłębnie, że rzuciły na mnie czar. Musiałam to przywołać.

Właśnie wtedy pojawiły się wizje cudów, które sobie wyobraziłam i których byłam świadkiem na Wyspie.

Wypląnęły na powierzchnię i wypełniły mój umysł; delikatne i szorstkie uściski, leniwe kopulacje, wojna ciał, nieskrępowana żądza przenosząca się z pary na parę, trójkąty i inne cudowne kombinacje płci, rozmiarów i kształtów, rżnięcie jakby pod napięciem, które miałam szczęście śledzić w moim śnie na jawie.

Z masy wijących się ciał powstawała muzyka, spowijała niewidzialnym ciepłem plażę i dżunglę. Niemal cielesna pieszczota winorośli, która mnie usidlila; pożądanie wypaliło swoje piętno w krajobrazie i powietrzu. Zresztą nie wiedziałam już, czego doświadczyłam, a co sobie tylko wymyśliłam.

Czy faktycznie widziałam w akcji Lauralynn, Vigga i innych? W głębi mnie zrodziła się iskra. Początkowo nieśmiała, ale rozrastała się z furją. Złapałam Bailly'ego i grałam melodię z *Ucznia czarnoksiężnika*, ale zamiast niewolniczo trzymać się partytury, po

jakimś czasie zaczęłam improwizować, a nawet się wygłupiać, dałam się ponieść, odkrywałam nowe lądy, muzyka wyrzuciła mnie na plażę pełną kompletnie nowych dźwięków, z których część była autorstwa Dukasa, a część Summer Zahovy i to było całkiem dobre połączenie.

Ewidentnie. Grałam dalej, improwizowałam, a przed moimi oczami wyłaniała się scena, jacyś aktorzy poruszający się jak w transie, jak tancerze, plan wirował po swojej osi w rytm mojej gry, kolory tańczyły walca, ciała unosiły się w powietrzu, a rytm był hipnotyczny i egzotyczny.

Odłączyłam się od rzeczywistości i dotarłam do sedna.

Grałam.

Bez ustanku.

Męskie palce ściskające moje brodawki.

Andante.

Plaśnięcie otwartej dłoni w mój tyłek, wywołujące doskonały, błyskawiczny ból.

Allegro.

Moja małżowina uszna, a na niej zęby, szybko zastąpione językiem błędzącym po jej zagłębieniach.

Moderato.

Ciepłe, niezmordowane wargi, pasące się między moimi udami.

Furioso.

Wzbierające we mnie oczekiwane, powolne ukłucia orgazmu.

Wciągnęłam powietrze. Opadłam na biurko i złapałam kartkę z notatkami Antony'ego z kolejną sceną. Odruchowo zapisałam

pierwsze nuty melodii Musorgskiego, a kiedy wyobraźnia mnie poniosła, zboczyłam pasażem zapożyczonym od innego rosyjskiego kompozytora, którego w tej chwili nie mogłam zidentyfikować, i poszłam inną drogą. Galzunov? Glinka?

Pokój, w którym się znajdowałam, zniknął.

Byłam z powrotem na Wyspie, wzrok i pozostałe zmysły miałam przeładowane przyjemnością i niekończącymi się wizerunkami pożądania.

Pizzicato.

To nieopisane doznanie bycia penetrowaną po niekończącej się grze wstępnej, uczucie otwarcia i wypełnienia.

Byłam w łóżku z mężczyzną, który trzymał mnie mocno, kontrolował mnie, dyrygował mną z niebywałym znanstwem i cierpliwie wywoływał pożądanie z piekielnych głębi.

W tym stanie, w którym byłam, nie rozpoznawałam, co to za mężczyzna.

Dominik?

Antony?

Diabelski nieznajomy z sauny w Kentish Town?

Mieszanka wszystkich mężczyzn, jakich kiedykolwiek znałam i którzy obcowali ze mną cieleśnie? Konglomerat kochanków rozmytych przez wichry przeszłości?

Ostatni akt, współczesna sceneria, w tle wojna, a w efekcie moich muzycznych poszukiwań dzwoniące mi w uszach echo z symfonii Mahlera, sielankowe nuty zmieniające się w wojownicze *staccato*.

A może to Szostakowicz? Muzyka odmalowywała pole bitwy, rozmach wojsk na lodowych polach, za pośrednictwem zamaszystych, agresywnych pociągnięć.

Tak, to było dobre. Właściwe. Tak to powinno brzmieć. Inny nastrój muzyczny dla każdego aktu. Parada emocji, które nadadzą temu życie.

Kiedy udało mi się już dobrać właściwą emocję dla każdej ze scen i z aktów, o których do tej pory rozmawialiśmy, byłam cała mokra z podniecenia.

Pozostał tylko jeden problem. Czy uda mi się odtworzyć te dźwięki i nastrój, nagrać je w studiu? Nie sądziłam. Wiedziałam aż za dobrze, że w warunkach studyjnych nie jestem w stanie oddać tych samych uczuć z taką samą energią, z takim ogniem.

Było tylko jedno rozwiązanie.

Szalone.

Kompletnie niedorzeczne.

Będące wyzwaniem nie do odparcia.

Zaproponuję, że będę grać tę muzykę, improwizować ją od nowa na każdym przedstawieniu.

Tego jeszcze nie było.

Kolejny powód, żeby to zaproponować.

Antony wpuścił mnie, korzystając z domofonu, a kiedy wysiadłam z windy, drzwi do jego mieszkania były już otwarte.

Weszłam.

– Coś takiego chcę zrobić. – Położyłam futerał, otworzyłam i wyjęłam instrument.

Antony mnie obserwował.

Miał na sobie te same co zwykle džinsy i biały podkoszulek opływający jego smukłe ciało, aż proszący się, żeby wsunąć dłonie pod spód i przesunąć nimi po jego piersi... Miał całą szufladę identycznych T-shirtów?

Kiedy wychodziłam z mieszkania, byłam w takiej gorączce, że w pośpiechu wyjęłam z szafy letnią sukienkę, w ogóle nie biorąc pod uwagę aury na zewnątrz. Przeszłam aż na koniec dużego pokoju, do którego mnie wprowadził, żeby liche promienie słońca wpadające przez okno w wykuszu oświetlały mnie od tyłu.

I zagrałam.

Przed każdym wykonaniem mówiłam kilka słów wprowadzenia na temat sceny, której ma ono odpowiadać. Wiedziałam, że tam, gdzie stoję, moja sukienka jest prawie przezroczysta. Nie uczyłam się żadnej z improwizacji na pamięć, ale to nie był problem.

Zaczynałam od oryginalnej melodii stanowiącej inspirację, a potem dawałam się jej ponieść, odlatywałam na jej skrzydłach, skręcałam to tu, to tam, w dziwnych kierunkach, w które prowadziły mnie skrzypce: w ślepe uliczki, na bulwary, nad oceany i krajobrazy.

Antony uśmiechał się coraz szerzej.

Kiedy zakończyłam finałowy utwór i oderwałam smyczek od strun, a ręka bezwładnie zawisała mi przy boku, Antony wstał. Podszedł do mnie, wyjął mi z ręki Bailly'ego i położył go ostrożnie na

jednym z obitych skórą krzeseł stojących za nami. Cały czas kołysałam się w tył i do przodu w rytm milczącej już muzyki, którą wciąż słyszałam w wyobraźni.

Jego usta znalazły się na moich, zanim zdołałam się odezwać. Moje wygłodniałe ciało zareagowało instynktownie, jakbyśmy mówili tym samym językiem, znanym tylko nielicznym. Dopasowane do siebie, spragnione, pełne pasji ciała, które zawsze łaknęły dotyku i rozdmuchania płomyków w tych piecach, w których zarzyło się nieustannie, nawet bez kontekstu. Zadarłam mu podkoszulek i złapałam gładką, nagą, twardą tarczę jego piersi.

On natychmiast chwycił moją sukienkę. Spróbował zdjąć mi ją przez głowę, ale wąska talia nie przedostała się przez barierę piersi. Zaczął więc rozpinąć guziki, jeden, drugi, ale potem złapał za krawędzie otworu i szarpnął.

Trzy mocne pociągnięcia i uzyskał na tyle dużą dziurę, że sukienka opadła na podłogę, a za nią rozsypały się tanie, plastikowe guziczki. Nie miałam na sobie stanika ani majtek, a poprzedniego wieczora pod prysznicem, w reakcji na widok zarośniętej Alissy, z małostkową wściekłością ogoliłam się na gładko.

Dumnie zadarłam brodę. Spodziewałam się, że cofnie się o krok, żeby zobaczyć mnie w całej, nagiej okazałości, skomentuje jakoś albo cynicznie uniesie brew, dając do zrozumienia, że zauważył, że przyjechałam do niego bez bielizny i świeżo wygolona.

Ale Antony był mężczyzną czynu, nie wzrokowcem. Już chwycił mnie za piersi i ciągnął za i tak twarde brodawki z tą samą brutalną

niecierpliwością, z którą mnie rozbierał. Jęknęłam, a on pociągnął mocniej, wykręcił i szczypnął.

– Podoba ci się – powiedział. Nie było w jego głosie aprobaty czy czegoś innego, po prostu stwierdził fakt.

– Tak – odparłam, ale nie byłam w stanie zdobyć się na tak samo obojętny ton.

Mówiłam na przydechu, głosem wyrażającym pożądanie. Nawet gdybym z jakiegoś innego niż wstyd powodu chciała ukryć to pragnienie, nie byłabym w stanie. Moje ciało uniemożliwiało mi bycie kimkolwiek innym, niż byłam. Czyli kobietą pasji.

Niektórzy mogliby powiedzieć, że dziwką i niech mówią. Seks był mi przypisany, tak samo jak księżyc i gwiazdy należały do nocnego nieba, a od libido mogłam próbować uwolnić się z takim samym powodzeniem jak od mojego cienia.

Przyciągnęłam Antony'ego do siebie, szybkim ruchem rozpięłam mu dżinsy i złapałam jego nieobrzezanego kutasa. Był cudownie długi, gruby i z każdą sekundą twardszy. Zacisnęłam wokół niego palce i przesunęłam dłoń po całej jego długości, nasuwałam skórę do góry i na dół, sprawiając, że był jeszcze twardszy. Na końcu perliła się kropla preejakulatu.

Ale na to było za wcześnie. Stanowczo za wcześnie. Chciałam go w sobie. Zanim dojdzie, będziemy się pieprzyć, nawet jeśli w tym celu będę musiała pchnąć go na podłogę i dosiąść przy tych wielkich oknach, na oczach każdego, kto w niedalekim budynku miałby przy sobie lornetkę.

Nie wiedziałam o Antonym dość, żeby znać jego seksualne preferencje, poza tym, że był ewidentnie gotowy na rżnięcie, nieważne, że być może mieliśmy razem pracować i że niecałe dwadzieścia cztery godziny wcześniej nakryłam go z inną kobietą.

Moja seksualna natura czyniła mnie uległą, ale tylko przy kimś, kogo rozpoznawałam jako swojego dominanta. W przypadku codziennych, pozbawionych emocji numerków byłam skłonna szukać spełnienia na takich samych warunkach jak mój partner.

Zebrałam na palec krople jego soków, podniosłam do ust i zlizalam. Zauważyłam, że nie miał na sobie bokserek. Pod ubraniem był równie nagi jak ja.

Jęknął.

– Summer – powiedział, kiedy obejmowałam go za szyję i przyciągałam w dół do pocałunku. – Twoja muzyka... była doskonała. Niewiarygodna.

Ustami przerwałam potok jego słów. Nigdy nie byłam zwolenniczką gadania w czasie seksu. Zbyt łatwo można idealny nastrój zepsuć niedoskonałymi słowami.

Złapał mnie za tyłek i podniósł, a ja oplotłam go nogami w pasie. Kiedy się zachwiał i zatoczył do tyłu, prawie wpadając na szklany stolik kawowy, pomyślałam, że ten ruch lepiej się sprawdza w hollywoodzkich filmach.

Dotarliśmy do kanapy. Roześmiałam się, ale zanim dźwięk zdołał do końca wybrzmieć w moich ustach, on wsunął rękę pod moje plecy

i przekreślił mnie jednym ruchem tak, że wylądowałam twarzą w poduszce.

Zamilkłam, zaparło mi dech w piersi i powolnie przyswajałam tę nową, drapieżną manifestację pożądania, a tymczasem on zareagował na mój bezruch podniesieniem mojej nogi. Leżałam twarzą w poduszce i nie wiedziałam, co planuje, poza tym, że miałam nadzieję i oczekiwałam jego kutasa we mnie.

Gdy mnie w końcu przeszył, chwila wejścia była bardzo wyraźna. Był tak gruby i duży w mojej ciasnej dziurce, że aż westchnęłam. Naparł na mnie, ja się na niego nadziałam, i korzystając z dziwnego ustawienia mojego ciała i oplecionych wokół niego ud, prowadziłam go.

Byłam desperacko spragniona. Rozpaczliwie chciałam poczuć się wypełniona, przepelniona, wezbrana od sztywności jego fiuta.

Pieprzył mnie tak, że w głowie nie pozostała mi ani jedna myśl, składałam się wyłącznie z cipki i kutasa. Poczułam, że jeśli jego szaleńcze natarcia na moją szyjkę macicy jeszcze chwilę potrwają, dojdę, ale właśnie wtedy zadarł mi nogę jeszcze wyżej, ponad moją talię, tak że kolano miałam na wysokości ucha i wszedł mocno, a potem jeszcze mocniej.

Z trudem wydałam z siebie pozbawiony tchu dźwięk, inny od dzikiego dyszenia, które wymuszała poduszka wciskająca mi się w twarz, a on złapał mnie palcami za gardło i zaczął dusić, gdy jego penis napierał na ścianki mojej cipki.

Kiedy wreszcie doszedł, byliśmy plątaniną mokrych od potu kończyn i w łapczywej czkawce łapaliśmy powietrze, ale on, zamiast obrócić mnie na plecy i na tym skończyć, przycisnął twarz do mojej dziurki, pełnej naszych zmieszanych z sobą soków, i zaczął lizać.

Naciskał językiem na moją łechtaczkę tak mocno, że krzyknęłam, a wtedy odsunął się, odczekał dosłownie chwilę i z powrotem zanurzył twarz między moimi nogami.

Wyglądało na to, że Antony lubił być górą. A w każdym razie lubił sprawiać swojej partnerce przyjemność, może niekoniecznie, zanim zaznał swojej, ale z pewnością przed odejściem.

Cały czas czułam jego nos między moimi udami. Wierzgałam i odskakiwałam, ale on trzymał mnie mocno, tak że nie byłam w stanie uniknąć intensywności jego ciała przyciskającego się do najwrażliwszych części mnie. Przestałam nad sobą panować, miotalam się, a on wydawał się być z tego zadowolony i jeszcze bardziej zaangażowany w swoje działanie.

– Ach! – jęknęłam.

Milcząca Summer się odezwała. Ale nie mogłam się nie odezwać, kiedy czubeczek jego języka drażnił się z moją łechtaczką tak jak teraz. Chociaż wiedziałam, że to tylko ruchy języka, doprowadził mnie do takiego stanu, że każda minuta, w której dotykał mnie ustami, odczuwana była przeze mnie milion razy intensywniej, niż na to zasługiwała.

– O cholera – powiedziałam.

Było wspaniale! Jeszcze nigdy żaden język nie zrobił mi tak dobrze, chociaż bardzo nie chciałam się do tego przyznać. Jego język poruszał jakieś magiczne struny moich najintymniejszych sfer, a ja na to pozwalałam.

Zawładnął mną.

Znów mnie polizał.

Rozszerzył moje nogi jeszcze nawet bardziej i przesunął językiem od wejścia do cipki aż do początku odbytu. Rozchylił mi pośladki i lizał. Nie raz, ale wiele razy.

Twarz miałam wciąż wciśniętą w jego kanapę, a oddech utrudniała mi poduszka, której materiał wciągałam do ust z każdym wdechem. Prowadził mnie prosto do tej cienkiej jak ostrze noża granicy między rozkoszą a nadmierną stymulacją i wywoływał doznania tak nieziemsko przyjemne, że ocierały się o ból.

Zaczęłam wierzgać i szarpać zębami niewinną niczemu kanapę, byle tylko nie krzyknąć. Nie wiedziałam, jak szczelne są tu ściany ani w jakim stopniu Antony przejmuje się sąsiadami. Poza tym nie chciałam za pierwszym razem zachować się jak bohaterka filmu porno.

Tym samym dotarło do mnie, że już myślałam o drugim razie.

Wsunął dłoń pod moje biodro, znalazł złączenie moich warg, potem łechtaczkę i zaczął okręcać ją palcami, podczas gdy jego język badał wnętrze cipki.

Coraz szybciej poruszał palcami, język wchodził we mnie i wychodził, aż w końcu nie mogłam już się dłużej powstrzymać. Zaczęłam ocierać się o jego twarz, a on zanurzał język jeszcze głębiej.

Mimo niewygodnej pozycji cały czas pieścił palcami moją łechtaczkę. Musi go boleć szczeka, przeszło mi przez myśl, ale przelotnie, bo moje ciało płonęło i nie mogłam utrzymać myśli w głowie dłużej niż przez ułamek sekundy.

W następnej chwili już jęczałam i darłam sofę paznokciami, bo doznałam rozległego, ryczącego orgazmu, który trwał, jak mi się wydawało, kilka minut, chociaż w rzeczywistości było to pewnie kilka sekund.

Przy każdym spazmie lizał łechtaczkę, eksploatując każdą falę do maksimum. Ja wierzgałam i drżałam, a potem wyciągnęłam ramiona za plecami, tak że wyglądały jak skrzydła samolotu, żeby złapać go za ręce. Potrzebowałam intymności dotyku, chciałam, żeby mnie przechwycił i sprowadził z powrotem na ziemię.

W odpowiedzi przesunął moje ramiona naprzód, żeby odzyskały naturalny kąt, splótł palce z moimi i wczołgał się na mnie. Kiedy to zrobił, poczułam jego fiuta od wewnętrznej strony mojej nogi: znów był twardy. Podniosłam tyłek i wsunęłam się pod niego, żeby nakierować go do wejścia.

Odgarnął mi na bok włosy i przycisnął twarz do mojej, zacisnął palce na moich dłoniach i w tej samej chwili wszedł. Był twardy, a ja byłam ciasna, mokra i wrażliwa po orgazmie, więc wydawał się

jeszcze większy niż za pierwszym razem. Wydawało mi się, że wypchnął z mojego ciała cały zapas powietrza.

Przekręciłam głowę i pocałowałam go. To był dziwny pocałunek, bo przygnieciona jego ciałem mogłam mu się oddać tylko w połowie, ale sprawił, że desperacko zapragnęłam poczuć jego usta na moich, więc wierciłam się, żeby znaleźć lepsze ustawienie.

Policzki i szczękę miał mokre od moich soków i pachniał moją cipką, moim najpierwotniejszym zapachem. Ten zapach i smak wywołały we mnie kolejną falę pożądania i napadłam na niego z całą siłą, jaką tylko zdołałam z siebie wykrzesać, a potem drugi i trzeci raz, aż zadrżał i opadł na moje plecy.

Przycisnął policzek do mojego. Oboje mieliśmy spocone, lepkie twarze, pokryte dziwną mieszanką moich i jego soków ze śliną i z potem. Cały czas trzymał moje dłonie i nie dawał żadnych sygnałów w przeciwieństwie do wielu innych kochanków, że chciałby się ze mnie wyplątać i poszukać własnej przestrzeni.

Wydawało się, że wciąż chce czuć moje ciało blisko siebie, co mi pasowało, chociaż cichy głos w głowie nieustannie mnie napominał, że jeśli taka intymność, jego pierś na moich plecach, miękki kutas spoczywający w rowku między moimi pośladkami i nasze splecione palce będzie się powtarzać, moje serce wkrótce ożyje.

Obudziłam się, kiedy zaczął zapadać zmierzch. Zasnęłam przyciśnięta do niego, ale na którymś etapie on wstał i zastąpił swoje ciało miękkim, szarym kocem. Przekręciłam się i usłyszałam ten dziwny zgrzyt nagiego ciała przesuwającego się po skórze.

Antony siedział w fotelu, niedaleko mnie, a jego twarz wyrażała najczystsza koncentrację. Jak oszalały zapisywał kolejne kartki komputerowego nieliniowanego papieru w formacie A4. Kiedy jedna strona była już zapisana, zrzucał ją ponad podłokietnikiem na rosnącą na podłodze nierówną kupkę.

Wiedziałam, co to za nastrój. Widziałam go u Dominika, wiele razy także u siebie, a poza tym u Vigga i Lauralynn.

W zasadzie u każdej twórczej osoby, kiedy udawało jej się wejść w rzadki stan nieskrępowanej inspiracji, w którym słowa, nuty, obrazy, czy co tam kogo przepęśniało, rodziły się bez wysiłku, jakby człowiek był tylko narzędziem w rękach twórczej siły wyższej. Antony jakby podłączył się do źródła teatralnego natchnienia, które prowadziło jego rękę w celu przemienienia idei w rzeczywistość.

Nic o kalibrze mniejszym niż pożar czy tornado nie zmusiłoby mnie do wyrwania go z tego stanu. Wiedziałam jak cenne i cudowne są takie chwile.

Zamiast tego obserwowałam go przy pracy. Był nagi, ale siedział z taką gracją jak ktoś w pełni ubrany. Jedną nogę założył na drugą w taki sposób, jakby miał na sobie smoking i palił fajkę. Jeden łokieć opierał na podłokietniku, w drugiej ręce trzymał długopis, zwykły, czarny, i smarował dużymi, nachylonymi literami po stronicach spoczywających na książce, która spełniała funkcję stolika.

Nie widziałam, co to za książka. Nie byłam wcale pewna, czy jest zapalonym czytelnikiem. Poza bałaganem w jego sypialni, którego sprawczynią, jak sądziłam, była w znakomitej większości Alissa, jego

mieszkanie było schludne. Ascetyczne. Bardziej niż minimalistyczne. Nie widziałam tu żadnych książek ułożonych w stosik ani nawet regału. Być może korzystał z książek elektronicznych. Wyraźnie nie przejawiał miłości do rzeczy.

Patrzyłam na jego ciało. Był tak smukły, że niemal chudy. Nogi miał długie, a brak tkanki tłuszczowej sprawiał, że jego mięśnie wydawały się jeszcze wyraźniej wysklepione. Widziałam zagłębienie z boku jednego pośladka, a także dołeczek zdobiący ich szczyty.

Kiedy ruszał ręką, ujawniał subtelny wznórek bicepsa. Obstawiałam, że nie chodzi na siłownię, nie jeździ na rowerze ani nie pływa. Na pewno biegał, może jeździł na nartach, ale wydawało mi się, że taki pracoholik jak on nie ma wakacji. Włosy na ciele miał jasne i delikatne, na piersi tylko trochę ciemniejsze. Był leworęczny.

Jego twarz była szczupła, prawie mizerna, ale tak wysokich kości policzkowych każdy kot mógł mu pozazdrościć. Warg nie miał ani pełnych, ani wąskich, ale w niespotykane ciemnym odcieniu czerwieni, jak śliwka, w którą dopiero zaczynasz się wgryzać. Były szerokie i lekko unosiły się w nieustającym uśmiechu, jakby cały czas myślał o seksie.

A w każdym razie zawsze, kiedy na niego patrzyłam, nie mogłam nie myśleć o całowaniu go, a może nawet o czymś więcej. Miał długi nos, w środkowej części wąski, ostro zakończony. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie ta charakterystyczna anatomia sprawiała, że był tak doskonałym kochankiem.

Przyszło mi do głowy, że jego twarz była stworzona do tego, żeby na niej siadać i prawie się roześmiałam od tej obscenicznej myśli, która równocześnie wywołała w moich łądźwiach ukłucie podniecenia. Antony był interesującym mężczyzną, do takiego doszłam wniosku.

W jakimś sensie innym od tych, z którymi się pieprzyłam w ciągu ostatnich miesięcy. Miałam wrażenie, że jeszcze go do końca nie rozpracowałam. Ale byłam pewna, że jeszcze będziemy się pieprzyć.

Podniosłam ręce nad głowę i przeciągnęłam się. Kanapa zaskrzypiała, a on podniósł głowę i uśmiechnął się krzywo. W oczach miał ten sam wyraz, który reprezentowały jego wargi. Pełen pasji, aprobaty i przebiegłości.

– W życiu nie widziałem tak rozczochranych włosów – powiedział.

– Wiem. – Usiadłam i odwróciłam się tak, że zawisłam nad krawędzią kanapy z podkulonymi pod siebie nogami. Przeczesałam włosy i niezdarnie próbowałam przyklepać sterczące loki.

– Nie ruszaj – powiedział. – Podobają mi się.

Chwila ciszy. Milczenie było aż namacalne, a ja szukałam sposobu, żeby je przerwać.

– Długo spałam? – spytałam w końcu, chociaż ciemność za oknem wskazywała, że kilka godzin.

– Większość popołudnia – odpowiedział. – Chyba było ci to potrzebne.

Zmrużył oczy, a krzywy uśmieszek zmienił się w szeroki uśmiech. Miałam przeczucie, że nie chodzi mu tylko o drzemkę.

– Zjadłabyś coś? – spytał. – A może chciałabyś się czegoś napić?

Zaburczało mi w brzuchu, co przyjął jako potwierdzenie.

– Nie mam nic w domu – powiedział, a potem odłożył długopis i do połowy zapisaną kartkę papieru i wstał. Jego kutas i jądra zakołysały się kusząco poza zasięgiem moich rąk.

Wrócił z otwartą butelką czerwonego wina i podał mi kieliszek. Nalałam sobie, a on wrócił do kuchni i zaczął otwierać i zamykać szafki, przeszukiwać paczki z jakimiś produktami, a na koniec objawił się ze słoikiem oliwek i z widelcem.

Zamówiliśmy pizzę.

Zanim przyjechała, dokończyliśmy połowę butelki wina i otworzyliśmy drugą. Po wypiciu jej byłam odprężona i wesola. Prawdopodobnie po prostu pijana. Moja sukienka wciąż leżała w kącie. Żadne z nas się nie ubrało, nawet kiedy przyjechało jedzenie.

Trzymaliśmy pudełko z pizzą między sobą na kanapie i jedliśmy, nachylając się nad nim, ostrożnie, żeby nie chlapnąć gorącym serem ani chili na nagie klatki piersiowe.

Antony zamówił do swojej już i tak pikantnej pizzy dodatkowe *jalapeños* i zjadł każdy z cieniutkich kawałeczków papryczki bez skrzywienia ust. Czasem przełykał kęsy, nie gryząc ich, jak człowiek, który nie jadł od tygodnia. Może zresztą nie jadł.

– Mogę skorzystać z twojego prysznicza? – spytałam po oblizaniu palców i stwierdzeniu, że nadal są całe w tłuszczu.

– Oczywiście! – powiedział i przyniósł mi czysty ręcznik oraz zaoferował zapasową szczoteczkę do zębów.

W drodze powrotnej do salonu zdjęłam z haczyka w łazience puszysty granatowy szlafrok i owinełam się nim. Antony leżał na kanapie i kończył wino.

Wstał, kiedy weszłam i zdjął ze mnie szlafrok.

– Nie – stwierdził. – Wolę cię naga.

Złapał moją lewą pierś i mocno ścisnął.

– Tym razem sypialnia – szepnął między pocałunkami i popchnął mnie do tyłu.

Pościel lekko i przyjemnie pachniała jego perfumami i skórą. Zapach był może trochę pomieszany z wczorajszym zapachem Alissy. Czy powinno mnie martwić, że dopiero co spędził noc z inną kobietą? Może. Wiem, że wiele osób tak by zareagowało.

Ale mnie to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, nakręcało mnie do nawet ostrzejszego ujeżdżania, żeby swoim ciałem wybić mu z głowy ostatnie myśli o niej. Było coś jeszcze. Wspomnienie jej długich nóg, nagich piersi, delikatny zapach perfum... Wszystko to mnie podniecało.

Znowu się pieprzyliśmy. Nie było mowy o wzywaniu dla mnie taksówki. Ani tej nocy, ani następnego ranka.

Spaliśmy przytuleni, nie biorąc prysznica.

7. Ten mężczyzna

I tak się zaczęło.

Kiedy mieszkałam z Dominikiem, nasze życie zawodowe było ściśle rozdzielone i biegło dwutorowo. On był człowiekiem słów, ja istotą muzyczną. Te światy nigdy się nie spotykały.

Współgzystowaliśmy, pozwalając jedno drugiemu na całkowitą wolność w obrębie jego świata, a kiedy nadchodziła inspiracja albo wzywały terminy, pozostawaliśmy na wyciągnięcie ręki. On był rannym ptaszkiem i spędzał całe godziny na cyzelowaniu słów, a ja leniwie przewalałam się w pościeli.

Ćwiczyłam i umawiałam się na próby zwykle popołudniami, więc w tym czasie szykował materiały albo po prostu czytał. Ja nie mogłam pracować w czyjejkolwiek obecności, chyba że jakiś utwór miałam grać z orkiestrą, ale wtedy po prostu spotykaliśmy się w sali prób albo, jeśli była taka możliwość, na tej scenie, na której mieliśmy później grać.

Współpraca z Antonym oznaczała ekstremalną bliskość. Cały czas spędzaliśmy razem, jeśli nie w pracy, to pieprząc się. On klarował, przedstawiał pomysły, notował, robił na szybko szkice, które później przekazywał do wyszlifowania scenografowi, a ja łapałam jakiś skrawek to tu, to tam i próbowałam przełożyć go na język muzyki.

Płynęłam pośród nieskończonych zaczątków melodii, które on potrafił wyłapać, przyjrzeć im się z aptekarskim wyczuciem szczegółu, przy czym ciągle mi przerywał, sprzeciwiał się, czasem coś aprobował, ale przez większość czasu oczekiwał czegoś, czego ja

początkowo nie potrafiłam zrozumieć. To była ciężka, wymagająca skupienia praca, rodząca dzikie kłótnie i frustrację.

Antony bardzo pilnował, żeby nie podnosić głosu, ale momentami widziałam, że wręcz kipi w cichej furii z powodu mojego niezrozumienia, nieudanych improwizacji czy dekoncentracji. Nie był cierpliwy. Tak samo jak w łóżku, przyjmował rolę dominanta i znajdował przyjemność w obserwacji moich naturalnie uległych reakcji na jego dotyk i działanie.

Ale nasza sielanka jako kochanków i współtwórców trwała tylko kilka tygodni. Polegiwałam właśnie na leżance, w zwyczajowym negliżu, trochę marząc, trochę odgrywając w głowie melodie.

Skrzypce leżały obok, nietknięte od ponad godziny, moje myśli błądziły w różnych kierunkach, ciało balansowało jak zwykle na granicy, a ja co jakiś czas zastanawiałam się, czy nie byłoby przyjemniej, gdybyśmy dali sobie spokój z pracą na godzinę czy dwie i udali się do sypialni, do wanny, na podłogę w kuchni albo gdziekolwiek.

Patrzyłam, jak zaciska długie palce na długopisie i przypominałam sobie, jak wcześniej tego samego ranka dotykał nimi mnie, jak dyrygował moim pożądaniem w niemal doskonały sposób, wydobywając ze mnie ostre okrzyki tak upragnionego bólu i westchnienia wyrażające ogólny dobrostan.

Był zamyślony.

A potem spojrzał na mnie z dezaprobatą.

– Summer – zaczął. – Potrzebuję jakiegoś muzycznego punktu zaczepienia do środkowego aktu, a ty siedzisz z głową w chmurach i ręką między nogami...

Szybko cofnęłam rękę. Nie zdawałam sobie sprawy, że w zamyśleniu zaczęłam się dotykać. Za głęboko pogrążyłam się w marzeniach. Nie miałam na sobie majtek.

– Przepraszam... – wymamrotałam i szybko wróciłam do rzeczywistości.

– Rozumiem, że w czasie przedstawienia będziesz improwizować, ale potrzebuję od ciebie choćby jakiejś wskazówki, dźwięku, czegokolwiek, co ustawi tę scenę.

– Wiem...

Nie czekał nawet na odpowiedź, tylko perorował dalej, gotując się w środku. Zauważyłam, że ręce ma spokojne, wciąż obejmowały długopis i kartkę papieru. Nie gestykulował z emfazą, co z jakiegoś powodu przydawało jego słowom jeszcze większej mocy.

– Nie mogę iść do sponsorów z niedokończonym projektem. Bez identyfikatorów muzycznych to będzie jak pójście do nich bez scenariusza i liczenie, że uwierzą w moją gadkę.

– Rozumiem – kajałam się.

Podniosłam skrzypce i przyłożyłam do brody w zamiarze zagrania czegoś, ale zamarłam. Nie miałam już ani jednego pomysłu.

– Może przypomnisz mi, jak ma wyglądać scenografia i postacie?
– poprosiłam.

Patrzył na mnie w milczeniu, bo był tak wściekły, że zabrakło mu słów.

– Kurwa, Summer, chyba sobie robisz jaja!

On rzadko przeklinał. Był zbyt dobrze wychowany na brzydkie słowa. Ale kiedy już to robił, był to znak, że został wyprowadzony z równowagi. Rzucił długopis, poderwał się na równe nogi i zaczął krążyć po pokoju, to zaciskając dłonie w pięści, to przeczesując palcami włosy, co jeszcze bardziej mierzwiło ten dłuższy czub pośrodku.

Wyglądał na naprawdę wściekłego, ale jakoś udawało mu się wypowiadać słowa w ten sam co zwykle, obojętny sposób. Tak jakby do perfekcji doprowadził sztukę trzymania emocji na wodzy.

– Naprawdę musisz się bardziej skupić... – zawahał się. – Może powinniśmy pracować i nic ponad to. – Ewidentnie miał na myśli seks. Nie było jeszcze mowy o związku, nawet o zarysie.

Seks był wspaniały, zwierzęcy, spontaniczny, intensywny, ale nigdy nie rozmawialiśmy o emocjach ani nie robiliśmy żadnych planów. Po prostu się działo. Najczęściej, jak to było możliwe. Ale oboje wiedzieliśmy, że pod pokrywką coś buzuje.

Musiałam wyglądać na całkiem zaskoczoną jego żywiołową reakcją. Pewnie miałam minę głupka.

– Słuchaj – powiedział. – Muszę wyluzować. Zostawię cię na godzinę czy dwie. Wyjdę z domu. Przewietrzę głowę. Może jak będziesz sama, łatwiej ci się będzie skupić i będziesz coś dla mnie miała, kiedy wrócę. Dobra?

Pokiwałam głową.

– Nie wyrabiamy się. Muszę mieć coś do pokazania na koniec przyszłego tygodnia. – To ważne – dodał. Tak jakbym nie wiedziała.

Włożył bluzę dresową, która wisiała na oparciu krzesła i wyszedł z mieszkania.

Zatrzasnął za sobą drzwi.

Było ciemno jak w grobie, kiedy wrócił. W międzyczasie opracowałam surowy zarys aktu opartego na koncercie Prokofiewa. Nie byłam całkiem usatysfakcjonowana, ale wiedziałam, że kiedy nadejdzie dzień występu, wykrzeszę z siebie więcej i poprawię to. A potem już tylko czekałam. I czekałam.

Nie należałam do panikar, ale trochę się niepokoiłam, kiedy jego nieobecność wciąż się przedłużała. Nie mogłam zadzwonić, bo wyszedł w takim pośpiechu, że zostawił telefon, który leżał wciąż na szklanym stoliku obok jego notatek.

W końcu przyszedł, koło północy.

Już otworzyłam usta, żeby zadać pytanie, ale zamknęłam je, jak tylko zobaczyłam jego minę. Był ponury i nadęty.

Cisza. Nie powiedział „cześć” ani nie spytał, jak mi poszło w czasie jego nieobecności.

Usiadł i zaczął przewracać papiery.

Nie byłam pewna, czy usiąść obok niego, podnieść skrzypce i zagrać surową wersję tego, co sobie wymyśliłam, a może przytulić go, żeby okazać bliskość. W końcu postanowiłam zaczekać, aż odezwie się pierwszy, ale usiąść obok niego na kanapie.

Gdy usiadłam, już wiedziałam, gdzie był.

Mocny zapach alkoholu, nie do pomylenia z niczym. Dym papierosowy wniknął w jego ubranie i włosy. A znajomy zapach drinków wydzieliał się z jego skóry i przesycał oddech.

Antony nie upijał się na wesoło. Przy tych rzadkich okazjach, kiedy piłam, byłam radośnie wstawiona, pobudzona i trajkotałam, co mnie wkurzało, bo czułam, że nie do końca nad sobą panuję. Antony za to zatapiał się w sobie, a na wierzch wypływały frustracje i dawne żale. On tylko desperacko starał się przytrzymać pokrywkę na tym wulkanie furii i złości.

Do tej pory nie widziałam go pijanego ani naprawdę wściekłego czy przygnębionego. Wyczuwałam tylko te mroczne emocje buzujące w nim, kiedy wypijaliśmy do kolacji kolejne butelki czerwonego wina, a potem się pieprzyliśmy. Miałam jeszcze mniej zahamowań niż zazwyczaj, a on był przerażający i groźny w sposób, który mnie niesamowicie kręcił.

Zobaczył, że na niego patrzę.

– Co? – spytał.

Mówił ostro, z niechęcią, jakby uważał, że to ja zmusiłam go do wyjścia i szukania ukojenia w alkoholu. Co tylko wzmogło moją wcześniejszą irytację, że znalazłam się w takiej sytuacji.

Jakby czytał w moich myślach.

– To nie twoja wina – powiedział. – Czasem presja jest za duża i jeden drink zamienia się w więcej. Wiem, jak to działa. – Nie mówił tego w ramach przeprosin. W oku rozbłysła mu nawet iskierka ironii.

– Może do mnie dołączysz? Możemy wspólnie zgłębić granice samoupodlenia. To by było sprawiedliwie, nie sądzisz?

– Myślę, że coś wymyśliłam – powiedziałam i wskazałam brodą w kierunku skrzypiec.

Wstał i ruszył do kuchni.

– To może zaczekać, prawda? Wszystko może zaczekać – dodał i zniknął za szklanymi drzwiami.

Usłyszałam odgłos otwierania szafek, a potem brzęczenie szkła. Wrócił z do połowy pełną butelką burbona i dwiema szklaneczkami. Potem znów się zwinął i tym razem przyniósł miseczkę lodu i srebrne szczypce. Uniósł brew i się uśmiechnął, tak jakby zachwyciło go własne przywiązanie do detalu. Uśmiech nie obejmował oczu.

– To dobrze robi na natchnienie – powiedział, odsunął papiery i ustawił na stole swój ładunek.

– Nie chcę.

Nigdy nie kręciły mnie sztuczne stymulanty, czy to miękkie narkotyki, czy alkohol, a chociaż piłam więcej, odkąd zaczęłam spotykać się z Antonym, to mój kontakt z alkoholem ograniczał się co najwyżej do dwóch kieliszków wina do kolacji.

Tylko dwa razy, raz z głupiego poczucia wstydu po wyjątkowo ostrej seksualnej akcji z Dominikiem, po tym, jak w końcu się zesłiśmy, a drugi raz po jego niespodziewanej śmierci, wpadłam w ciąg alkoholowy zaprogramowany na szukanie emocjonalnego ukojenia, ale wyszło z tego tyle, że czułam się jeszcze bardziej chora i

nie było mowy o żadnej uldze. Moją jedyną słabością były drogie drinki, ale tylko w ramach świętowania, nie szukania ucieczki.

Antony nie zwrócił na mnie uwagi, napełnił każdą szklanekę po wręby i dodał lód do mojej, ale do swojej już nie.

Spojrzał na mnie i bez słów błagał, żeby do niego dołączyła.

– Nie.

Spochmurniał, podniósł szklanekę do ust i zaczął miarowo pić, jakby była w niej woda, nie burbon. Kiedy wypił, nalał kolejną porcję, po brzegi.

– No dalej... – namawiał. – Jesteśmy współpracownikami, partnerami w zbrodni, kochankami... Okaż trochę ducha...

– Nie jesteśmy kochankami. Jeszcze nie. To tylko seks – odparłam bezlitośnie.

Chociaż w najgłębszej głębi serca nie wierzyłam, że to prawda. A przynajmniej nie wierzyłam aż do teraz.

Zaczęłam znów myśleć. Wcześniej zaczynałam czuć, że łączący nas seks staje się intymniejszy niż „to tylko seks”. Ale może tylko w mojej głowie. Zachowywałam się tak, jak wróżyły niezliczone babskie pisma, dopatrywałam się zbyt wielkiego znaczenia w zwykłym fizycznym akcie.

Wzruszył ramionami.

– Chyba wychodzi na to samo, nie?

– Nie, w ogóle. – Jego obojętność prowokowała mnie do coraz większej zaczepności.

Rozczarował mnie i widziałam teraz między nami przepaść, która będzie tak wisieć, dopóki jedno z nas nie zrobi dwóch kroków naprzód, żeby ją przekroczyć. Wiedziałam też, że duma nigdy mi nie pozwoli na zrobienie tego ruchu.

Ocalił mnie dzwonek.

Zapisał domofon, wytrącając nas z niezręcznej sytuacji.

Oboje milczeliśmy.

Patrzyliśmy na siebie pytająco.

W końcu Antony podniósł się chwiejnie, podszedł do ściany i nacisnął guziczek, nie kłopotząc się nawet pytaniem, kto to może być. Pewnie myślał, mimo późnej pory, że jakiś dostarczyciel albo sprzedawca i nie zamierzał tracić na niego cennego powietrza z płuc.

Wrócił na kanapę i przez następnych kilka chwil wpatrywaliśmy się w siebie, a żal wirował pod powierzchnią naszych oddechów.

Pukanie do drzwi.

– Ty otwórz – rozkazał. On nalewał sobie kolejnego burbona. Four Roses, jak zauważyłam na etykiecie.

Byłam boso. Drewniana podłoga była zimna i doskonale gładka. W mieszkaniu nie było nawet pyłku kurzu, chociaż nigdy nie widziałam, żeby sprzątał albo mówił o wizycie sprzątaczk. Może czekał, aż się oddaliłam, zanim zabierał się do domowych obowiązków.

To była Alissa.

– Och!

– Ty? – Spojrzała na mnie z milczącym przyzwoleniem. – Szybka jesteś – zauważyła i minęła mnie. Miała na sobie ciemnozieloną parkę do kolan i błyszczące skórzane buty na wysokim, grubym obcasie. – Znikam ledwie na miesiąc, jadę w krótką trasę z teatrem, a ty już czujesz się jak w domu. – Popatrzyła na moją pogniecioną białą koszulę i równie zmiętą spódnicę i po tym poznała, że prawie się już wprowadziłam.

Już miałam powiedzieć, że ja i Antony tylko pracujemy nad wspólnym projektem albo że seks tylko się zdarza i że nie zamierzam, szczególnie teraz, kiedy poznałam jego mroczną stronę, zajmować jej stałego miejsca w jego łóżku, ale ona już dotarła do salonu i zobaczyła Antony’ego pokładającego się na kanapie ze szklanką w ręce.

– Ach – mruknęła. – Wrócił na stare ścieżki. Musisz mu zapewniać potężne źródło inspiracji...

Szłam za nią i mogłam tylko pokiwać głową. Wyglądało na to, że zna go lepiej, niż myślałam, że ja go znam.

Wyszła ze swojej parki. Pod spodem miała małą czarną, a w błyszczących butach wyglądała na trzydzieści centymetrów wyższą niż w rzeczywistości. Ani jeden włos nie wykładał się z jej fryzury i wyglądała tak nienagannie, jakby szła na przyjęcie.

Zauważyła napełnioną szklankę, której nie napoczęłam, spojrzała na mnie, potem na Antony’ego, następnie na niski stolik i na szklankę. Oceniała sytuację.

– Nie korzystasz? – spytała.

Nie czekając na odpowiedź, wzięła przeznaczoną dla mnie porcję i zaczęła z niej sączyć alkohol.

– Na zdrowie! – powiedziała.

Antony przez cały czas milczał, nawet nie dał po sobie poznać, że zauważył jej obecność.

– Ja bym się nie martwiła, skarbie – stwierdziła Alissa i odstawiła szklankę. Niewiele wypła. – Miewa takie nastroje. Ale szybko mijają. W końcu to właśnie sprawia, że jest interesujący, czyż nie? Ale zapewniam cię, że widziałam, jak kończył picie pod stołem, a wciąż był zdalny do użytku. Pieprzy po pijaku tak samo dobrze jak na trzeźwo.

Antony nie reagował.

Odwróciła się do mnie.

– Zainteresowana?

Poszłam za jej spojrzeniem i popatrzyłam na niego.

Siedział na skraju kanapy, z łokciami na kolanach, ze szklanką w dłoniach i gapił się bezmyślnie na przeciwległe okno.

Nie miał nic pod szarą bluzą, a luźny dekolt odsłaniał mięśnie ramion i kawałek szyi. Ciemnoblonde włosy miał zmierzwiłone, a linię szczęki lekko zarośniętą. Nie golił się od kilku dni, może nawet tygodni, ale wciąż wyglądał, jakby zapuścił subtelny, stylowy zarost, a nie pełnowymiarową brodę.

Kiedy się wyszykował, był doskonałym przykładem atrakcyjnego dandysa, typowego mężczyzny w garniturze, ale, jak to bohema artystyczna, z fantazją. Jak o sobie nie dbał, można mu było śmiało

przypisać łatkę seksownego niechlujka. Nawet w najgorszych momentach śmiało należał mu się tytuł nieskończenie seksownego.

Alissa znów się odezwała i odwróciłam się do niej. Patrzyła to na niego, to na mnie.

– Wiem – stwierdziła, jakby czytała w moich myślach. – Wystarczy, żeby się porzygać, nie?

Przysunęła się bliżej i aż wbiła mi łokieć w żebro. Pod tym względem była dokładnym przeciwieństwem Antony'ego. Komunikowała się ciałem w takim samym stopniu jak głosem.

Przytaknęłam. Popatrzyłam na niego jeszcze raz, ale on wciąż zdawał się nie zauważać naszej obecności. Wyglądał na znudzonego. Jakby czekał na coś wartego zainteresowania. Aż przez okno wpadnie kamień. Aż rozpęta się trzęsienie ziemi. Cokolwiek.

Więc dałam mu to coś.

Odwróciłam się do Alissy i pocałowałam ją.

Piersi miała tak duże, że napały na mnie, zanim zdążyłam dobrze się dopasować. Odpowiedziała natychmiast, otworzyła usta i przejechała językiem po mojej dolnej wardze.

Dobrze całowała i kiedy zrobiłam pierwszy ruch, czekała już w gotowości do przejścia dowodzenia. Przyciągnęła mnie bliżej, przejechała mi dłońmi po plecach i przytrzymała moją głowę w miejscu, a potem zaczęła całować na poważnie.

W końcu odsunęła się, wzięła szklanekę z resztą burbona i wypiała całkiem sporo.

– Summer, skarbie – przemówiła – jesteś pełna słodkich niespodzianek.

Odstawiła szklanę, znów przyciągnęła mnie do siebie, ale przekreśliła mnie przy tym tak, żebym teraz to ja stała tyłem do Antony’ego i zasłaniała ją sobą. Nasze usta znów się spotkały i poczułam półsłodki, trochę dymny smak burbona.

Namaciała dłońmi rąbek mojej spódnicy. Przebiegła palcami po tyłach moich ud, podciągając cienki materiał i odsłaniając skórę. Nie zatrzymała się, dopóki nie dojechała do pasa i nie odsłoniła przed Antonym mojego gołego tyłka.

Dobrze wiedziałam, co robi. Bawiła się z nami. Z nim, ze mną.

Mała cwana manipulanka, pomyślałam. Ale z drugiej strony... Jej zachowanie uruchomiło we mnie instynkty, które uwielbiałam. Lubiłam, kiedy ktoś mną sterował, czy to mężczyzna, czy kobieta. Lubiłam być na widoku. Nie wiedzieć, co się zaraz zdarzy.

Wiedziałam, że Alissa prowokuje Antony’ego, chce wywołać jakiś odzew i zastanawia się, co on zrobi, jak zareaguje. To było równie niebezpieczne i emocjonujące jak bieg ciemną ulicą po zmroku, jechanie na rowerze bez kasku albo przesuwanie otwartą dłonią nad płomieniem.

– Nie masz na sobie bielizny, co? – powiedziała głośno. – Wycofuję poprzednie słowa. To mnie nie zaskoczyło.

Wbiła mi paznokcie w pośladki. Rozdzielała je rękami, żeby odsłonić odbyt, a jednocześnie cały czas podtrzymywała nadgarstkami spódnice, żeby Antony miał doskonały widok.

Milczałam. Częściowo dlatego że nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć, ale też dlatego, że byłam tak podniecona, że nie potrafiłam sformułować zdania. Nie musiałam być pijana, żeby nie myśleć jasno.

Oczywiście słyszałam głos, który mi podpowiadał, że trójkąt podszyty złością nie był w tej chwili najmądrzejszym posunięciem, ale nie miał takiej siły przebicia jak wzbierający prąd pożądania, ogromna fala żądy, która nie wymagała wiele, żeby ją jeszcze podsycić. Wyrzucała mój rozsądek na odległy brzeg.

Zbliżyłam się, żeby wsunąć prawą nogę między jej uda i napałam lekko na jej łono. Sukienkę miała tak krótką, że nie miałam wiele materiału do podnoszenia. Przesunęłam palcami po tyłach jej ud i złapałam za pośladki. Ona też nie miała majtek.

– Niesamowite, ile mamy ze sobą wspólnego, prawda? – spytała, wciąż mówiąc na tyle głośno, żeby Antony słyszał każde słowo.

W końcu usłyszałam, że odstawia szklanę na stolik, a potem rozległ się szelest jego ubrania, kiedy wstał i podszedł do nas.

Przesunął mi dłoń po ramieniu, a potem złapał mnie za szyję. Drugą ręką napał na wysokości obojczyków Alissy i rozdzielił nas. Jedną dłoń wplótł potem w moje włosy, drugą w jej. Trzymał nas prawie za karki jak psy za obroże.

Stłumiłam jęk, ale chociaż bardzo się starałam, nie mogłabym ukryć pożądania. Czułam, że twarde brodawki ocierają się o moją koszulę. Piersi Alissy też były nabrzmiące. Zagapił się na moje cycki, a potem na jej.

– Żadna z was nie nosi bielizny? – spytał. – Tak się splukaliśmy, że nie stać was na majtki?

– Nigdy nie widziałam sensu noszenia bielizny – odpowiedziałam. Wiedziałam, że mówię niecierpliwie, może nawet bezczelnie.

– O, czyli jednak nie zapomniałaś języka w gębie? – zauważyła Alissa.

– Nie, nie zapomniałam – odparowałam głosem zdyszczanym, lubieżnym, pełnym dwuznaczności.

Antony szarpnął mnie za włosy i przycisnął usta do moich warg. Nie zaczął od delikatnych pocałunków. Natychmiast wcisnął mi język do ust. Smakował burbonem i cierpkim tytoniem. Na szczęście jedno i drugie było świeże. Zawsze miałam słabość do zapachu dopiero co wypalonych papierosów.

– Tego chcesz, Summer? – spytał, gdy się odsunął. – Pieprzyć się? We trójkę? Teraz?

– Tak – odpowiedziałam. Tego właśnie chciałam w tamtej chwili. Łaknęłam tego.

– A mnie nie spytasz? – dociekała Alissa z nutką zazdrości w głosie.

– Czego ty chcesz, to ja już wiem – odparł.

Jego odpowiedź wzbudziła we mnie zazdrość. Już ja mu pokażę, czego ona chce.

Niezdarnie powlekliśmy się do sypialni. Antony był pijany i chwiał się, ja byłam tak podniecona, że moje nogi zapomniały, jak się

chodzi, a Alissa starała się utrzymać równowagę w swoich wysokich obcasach i wytrzymać ciężar nas obojga, ciągnących ją na boki i rzucających na ścianę.

Pchnął nas obie na łóżko.

– Rozbierzcie się – rozkazał, a sam się odwrócił i poszedł z powrotem do salonu.

Chwilę później pojawił się, trzymając za szyjkę butelkę burbona. Oparł się o framugę i wziął duży łyk.

– Chyba coś powiedziałem? – Ja z podkulonymi nogami leżałam na łóżku, a Alissa siedziała na brzegu i mocowała się z butami.

– Na litość boską! – wymruczał, a potem opadł przed nią na czworaki, rozpiął suwaki jej butów i ściągnął najpierw jeden, a potem drugi.

Ze swojej perspektywy, zza Alissy, widziałam jej uda, teraz rozchylone, i Antony'ego, patrzącego w jej krocze. Spodziewałam się, że tam zostanie i zatopi język w jej nagiej cipce, ale nie zrobił tego.

Zamiast tego wstał, złapał ją za łydki i obrócił tak, że wylądowała na plecach obok mnie i z trudem łapała powietrze. Odwróciła do mnie twarz i wsparła się na łokciu.

– Rozbieraj się – nakazał mi Antony. – Tobie nie pomogę. Chcę patrzeć, jak to dla nas robisz.

Alissa zachichotała. Była szczerze podniecona, tak jak ja, ale wiedziałam, że dobrze się bawi, patrząc na moje upokorzenie. Ściągnęłam koszulę przez głowę, a potem z powrotem usiadłam,

rozpięłam guzik przy spódnicy, uniosłam biodra, zsunęłam ją z nóg, a potem kopnęłam na podłogę.

– Teraz lepiej – stwierdził. Pusta, obojętna maska zniknęła z jego twarzy. Teraz jego ciemne oczy wyrażały dogłębny głód. Pożądanie. Coś się w nim rozszalało. Nie odwróciłam wzroku.

Wyciągnął rękę, złapał moją lewą pierś i ścisnął. Pociągnął za brodawkę. Potem wycofał rękę i uderzył w cycek, tak że wpadł na drugi.

Alissa złapała mnie za prawą pierś i zrobiła to samo.

Zamknęłam oczy i jęknęłam. Doznania fizyczne, trochę ból, a trochę rozkosz, mieszały się z psychicznym wrażeniem, jakie robiły na mnie słowa Antony’ego, jego zachowanie. Żądza mknęła wraz z moją krwią. Cipka pulsowała. Byłam już całkiem mokra.

– Już widzę, czemu mu się podobasz – wysapała Alissa.

Kłęczała z rozchyłonymi kolanami, a jej twarz wyrażała ciekawość dziecka, które właśnie odkryło nowy sposób psocenia. Wciąż miała na sobie małą czarną, a ja nie widziałam sposobu, żeby ją zdjąć. Może zapięcie było na plecach?

Na pewno nie dałoby się jej ściągnąć przez głowę. Równie dobrze mogła zostać namalowana. Rąbek podniósł się jeszcze wyżej i sięgał szczytów ud. Widziałam jej włosy łonowe.

Podniosłam rękę i dotknęłam palcami jej cipki.

– Och – powiedziała i zaczęła poruszać biodrami do tyłu i do przodu, ocierając się o moją rękę.

Była co najmniej równie mokra jak ja, a jej wargi rozchyliły się, gotowe na wejście między nie. Wsunęłam w nią dwa palce. Odchyliła głowę i napała na mnie.

Antony stanął za nią i w przeciwieństwie do mnie postanowił odnaleźć suwak. Rozpiął go do połowy i podciągnął dół tak, że materiał zrolował się w talii, odsłaniając jej cipkę i pośladki.

Długie, czarne włosy spływały jej na blade ramiona, a sukienka odznaczała się w połowie jej ciała jak pas. W połączeniu z lśniącym paskiem jej włosów łonowych, wszystko to dawało efekt czerni kontrastującej z bielą. Była niezaprzeczalnie pociągająca, w serdeczny, seksowny sposób.

Antony przesunął dłonie po jej szyi i piersiach, wykręcił jej brodawki, ale robił to tylko chwilę. Odsunął się. Wziął butelkę i wziął kolejny łyk. Potem złapał mnie za brodę, przerywając stały rytm, w jakim pieściłam cipkę Alissy.

– Otwórz usta – powiedział, machając mi butelką przed twarzą. – Masz trochę do nadrobienia.

Zrobiłam, jak kazał, a potem się zakrztusiłam, bo lał szybciej, niż mogłam przełykać. Burbon palił mnie w gardle.

Alissa wyjęła mój podbródek z jego dłoni i mnie pocałowała. Podniosła moje palce, te dwa, które przed chwilą były w niej, do ust issała, zlizując z mojej skóry swoje soki. Potem znów mnie pocałowała, wyciskając mi na wargach smak swojej cipki. Była słodka. Znacznie słodsza niż burbon.

– Smakuje ci, co? – spytał Antony.

Zanim zdołałam odpowiedzieć, popchnął ją na łóżko, a potem podniósł mnie za włosy i skierował moją twarz w jej cipkę. Alissa chętnie na to przystała. Rozchyliła szerzej uda i wierciła się, żeby ułożyć się wygodniej.

Przechyliłam głowę i zaczęłam ją lizać. Nie miałam dużego doświadczenia w robieniu tego kobietom, więc naśladowałam perfekcyjne ruchy Antony'ego, raz wolne, raz szybkie, raz delikatne, raz gwałtowne, i dostosowywałam technikę do jej reakcji.

Alissa była bardzo reaktywną kochanką, w łóżku równie teatralną jak w życiu, i nie zajęło jej dużo czasu, zanim zaczęła jęczeć i wierzgać biodrami, napierając na moją twarz. Wsunęła mi palce we włosy i trzymała mocno. Antony położył dłoń na moim karku i utrzymywał mnie jeszcze bardziej unieruchomioną, więc tylko co jakiś czas mogłam złapać powietrze przez nos.

– No dalej – powiedział. – Pieprz ją językiem. – Drugą rękę podłożył pod biodra Alissy i uniósł ją. – Poliz jej odbyt – nakazał.

Zrobiłam to.

Oddychała nierówno i słyszałam, że drapie paznokciami w prześcieradło, bo zaciskała pościel w dłoniach jak w szponach.

Była bliska dojścia i jej pożądanie zmieszało się z moim. Złapałam ją za uda i trzymałam nieruchomo, żebym mogła swobodniej lizać ją od krocza do łechtaczki. Zatopiłam twarz w jej cipce, a mój język a to nacierał na nią mocno i sztywno jak kutas, a to lizał krótko i rytmicznie po łechtaczce.

Byłam tak skupiona na swoim zadaniu, że nie zorientowałam się, że klęczę i tyłek mam wypięty w górę ani nie usłyszałam odgłosu rozpinania dzinsów. Poczułam dopiero jego twardego jak kamień fiuta wdzierającego się we mnie.

Siła nacisku popchnęła mnie w cipkę Alissy, dając pozór finalnego, mocnego pchnięcia, a w tej samej chwili ona złapała mnie za głowę i doszła, wierzgając biodrami i napierając na mnie z całej siły.

Antony w ogóle nie zwrócił na nią uwagi i dziko mnie atakował. Jedyne, co mogłam zrobić, to starać się nie ugryźć Alissy, kiedy kołysałam się to do tyłu, to naprzód, popychana między nimi. Siła pchnięć Antony'ego była tak cudowna, że miałam ochotę krzyknąć.

Nagle poczułam na twarzy ciepłą ciecz, która w charakterze mokrej plamy wylądowała na prześcieradle. Alissa głośno wciągnęła powietrze.

– Przepraszam – powiedziała bezgłośnie i wskazała na kałużę.

Pierwszy raz widziałam ją zarumienioną. Odsunęła się, żeby zejść nam z drogi. Nogi miała rozluźnione, a rozkosz na jej twarzy mieszała się ze wstydem. Dochodziła do siebie po orgazmie.

– Nie szkodzi – odszepnęłam, ale nie jestem pewna, czy usłyszała, bo nagle Antony wepchnął moją twarz w mokrą plamę, którą zostawiła za sobą. Zamoczył palce w prześcieradle, a potem wepchnął mi je do ust. Jego kutas wciąż we mnie pompował, a nasze ciała były śliskie od potu.

Przez chwilę nie pamiętałam, że Alissa jest w pokoju. Nic nie mówiła, nie wiem nawet, czy na nas patrzyła. Było mi wszystko jedno. Zapach jej soków wypełniał mi nozdrza i podniecał aż do granicy wybuchu. Antony mnie pieprzył, a twarz miałam zanurzoną w płynach innej kobiety. Sama myśl o tym wystarczyła, żeby pchnąć mnie na granicę spełnienia, bez żadnej dodatkowej stymulacji.

Następnie zmienił pozycję. Wsparł się na jednej ręce, a drugą odszukał moją cipkę. Znalazł lechtaczkę i zaczął pocierać ją palcem.

– Kurwa! – krzyknęłam i doszłam.

Mój okrzyk wywołał jęk Antony'ego. Doszedł we mnie. We dwoje opadliśmy na łóżko i leżeliśmy bez ruchu, aż straciłam czucie w nogach i zaczęłam się pod nim kręcić.

Zsunął się ze mnie bez słowa i poszedł do łazienki.

– Fajnie było! – powiedziała Alissa wesoło, nie kierując tych słów do nikogo.

Usłyszałam odgłos odkręcanej wody i przesuwające się w szynach drzwi prysznic.

– Wezmę sobie coś do jedzenia – ogłosiła Alissa. – Nie masz nic przeciwko, żebym to włożyła? – spytała, biorąc z podłogi moją białą koszulę.

– Jasne, że nie – odparłam.

Choć pewnie przy innej okazji miałabym, ale w tamtej chwili byłam zbyt skupiona na pławieniu się w aurze mojego orgazmu, żeby się nią przejmować. Chociaż byłam od niej wyższa, moja koszula

zakrywała jeszcze mniejszy obszar ciała niż koszula Antony'ego. Odsłonięty był jej płaski brzuch i pokryte ciemnymi włosami łono.

Ześlizgnęła się z łóżka i poszła do kuchni.

Zostałam sama i nie wiedziałam, co z sobą zrobić. Nie byłam gotowa na dołączenie do Antony'ego pod prysznicem i rozmowę o tym, co się dzisiaj stało. Nie miałam też ochoty na podtrzymywanie rozmowy z Alissą w kuchni. Powrót do Clapham i zostawienie ich tu samych także nie wchodził w grę.

W końcu podniosłam kołdrę i wsunęłam się pod nią, unikając mokrej plamy. Alissa wróciła z talerzem chleba i sera i zaczęła jeść tuż obok mnie. Kiedy zjadła, położyła się na boku i od razu zasnęła. Ja jeszcze nie spałam, kiedy Antony wrócił, ale udawałam, że śpię.

Seks i prysznic chyba go otrzeźwiły. Czule objął mnie ramieniem, a ja się w niego tuliłam. Z obu stron był to gest przebaczenia. Jeśli w ogóle było coś do wybaczenia. Wciąż nie byłam pewna, które z nas, jeśli w ogóle, popełniło błąd.

Alissa miękko pochrapywała i wydawała się zupełnie zadowolona ze swojej pustej połowy łóżka.

Niedługo potem zasnęłam. Jak zwykle śniły mi się wymieszane obrazy, muzyka, dotyk wyspowych winorośli na skórze, przebłyski przeszłych i przyszłych kochanków, przekłete skrzypce, puste sceny przed widownią składającą się tylko z oczu lśniących w morzu ciemności. I zawsze twarz Antony'ego, czasem pełna miłości, czasem nie. Zaczęłam się poruszać.

– Cśś... – szepnął i łagodnie pogłaskał moją rękę.

Przyciągnął mnie z powrotem. Instynktownie napałam pośladkami na jego lędźwie. Poczułam, że jego kutas twardnieje. Ja byłam wciąż mokra. Częściowo dlatego że nie myłam się od czasu wcześniejszego pieprzenia, ale częściowo dlatego że te powracające nocne wizje z jakiegoś powodu uruchamiały we mnie głęboko uśpione mechanizmy erotyczne, nad którymi nie panowałam.

Sięgnął po swojego kutasa i wsunął go we mnie.

Pieprzyliśmy się cicho, uważając, żeby nie obudzić Alissy. Tulił mnie w ramionach. Odsunął mi włosy i całował mnie w ucho, kiedy dochodził.

– Śpij, Summer – szepnął. Czułam, że zaraz po orgazmie jego ciało się rozluźniło, ale się nie odsunął. Leżąc w jego ramionach, odpłynęłam w sen.

Ranek przyszedł wcześniej niż zwykle, bo wieczorem zapomnieliśmy zaciągnąć rolety i obudziło mnie słońce. Zerknęłam na zegarek stojący przy łóżku Antony'ego. Nie było jeszcze siódmej, a do tego był weekend. Alissa miała próbę i już poszła. Antony spał spokojnie przy moim boku.

Czy oszukiwałam się, myśląc, że mimo wypowiedzianych w złości słów i gniewnych gestów coś między nami było? Że nawet mimo pijackiego temperamentu, który pokazał wczoraj wieczorem, zdarzały się między nami chwile czułości?

Wiele osób po prostu wyszłoby z mieszkania i przerwało tę romantyczną relację, zanim jeszcze zdążyłaby się zacząć, ale ja nie

czułam, że mam prawa do bycia tak radykalną. Sama miałam dość wad.

Poczułam się jak na pełnym morzu. Bez znajomej gwiazdy, która pomogłaby mi odnaleźć kierunek. Nie wiedziałam, jaki powinien być mój następny krok. Jak w tej piosence, która niewyraźnie grała mi w głowie: „Should I stay or should I go?”.

Chciało mi się siusiu. Wyślizgnęłam się z łóżka, najciszej jak mogłam. Antony się poruszył i coś wymamrotał przez sen. Kiedy wróciłam, leżał na plecach z szeroko otwartymi oczami i obserwował, jak na palcach wracam do łóżka.

– Może powinnam jechać do domu? – zasugerowałam. – Żeby sytuacja się uspokoiła.

– Nie – odparł. – Zostań.

Zostałam.

– A co z...

– Alissą?

– Tak.

– Ona nie ma znaczenia – odparł Antony. – To tylko ambitna aktorka, która zrobi wszystko, żeby dostać rolę. – Jak wy, muzycy, to nazywacie? *Divertimento*...

– A co powiesz o mnie?

– Ty jesteś kompletną partyturą, Summer.

Wolałabym być całą symfonią. To brzmiałoby znacznie lepiej. Ale wyłudzacze nie narzekają, prawda?

Z aluzji Alissy wynikało, że picie Antony'ego i jego gwałtowna reakcja na niepowodzenie nie były niczym nowym. Jednak wydawało mi się, że ma wszystko pod kontrolą i w następnych tygodniach gniew ani dół nie pojawiły się ani razu.

Żadne z nas nie poruszało tematu i dalej pracowaliśmy nad projektem. Alissa też się nie pojawiła z propozycją dalszych łóżkowych igraszek. Antony wspomniał, że wyjechała w drugą turę trasy po Anglii z niewielką grupą grającą na przemian Szekspira i Czechowa. Nie wiedział, jakie role grała.

A jednak ja się pilnowałam w jego obecności i nabrałam zwyczaju wracania na noc do Clapham, zamiast zostawać tu i spać w penthousie na Isle of Dogs. Wciąż uprawialiśmy seks, ale łatwo było zniknąć pod pretekstem sprawdzenia partytur, które miałam w domu, zabrania świeżych ubrań i zyskania przestrzeni intelektualnej. Nigdy nie protestował.

Sztuka zaczynała nabierać kształtu, a ja miałam już skompletowaną prawie połowę muzycznych odniesień, punktów wyjścia do moich improwizacji. Antony był z nich chyba zadowolony. Wszystkie oddawały nastrój, jaki obmyślił i występowały jako integralny element sztuki, nie dodatek.

Jak na razie, finansował wszystkie wydatki z własnej kieszeni. Wolał mieć do końca opracowany pomysł, nim zacznie szukać sponsorów.

Jego dobry przyjaciel, chudy Irlandczyk Mark Bruen, który opracował scenografię do kilku poprzednich produkcji Antony'ego

oraz do jednego z amerykańskich filmów, wpadł raz z wizytą, a potem towarzyszył nam w kilku sesjach.

Tydzień później powrócił z niebywałą konstrukcją z maleńkich drewnianych deszczulek, kartonu, papieru i kleju. Była to miniaturowa scena, obrotowa, która objawiała nowe wnętrza, zależnie od miejsca, z którego się do niej zajrzało.

Jak niewiarygodnie piękny i wysmakowany domek dla lalek, miejscami ręcznie malowany, pełen lilipucich mebelków i ludków z zapalek, którym zaczęliśmy nadawać imiona. Czuliśmy się z Antonym jak dzieci w sklepie z cukierkami. Nagle nasz projekt stał się czymś rzeczywistym!

Po Marku przyszedł Wally, burkliwy mieszkaniec Północy, specjalizujący się w milczeniu, ewentualnie w kiwaniu głową, który zgodził się dołączyć do ekipy i zaprojektować światło, które ożywi scenę. Antony, z moją od czasu do czasu pomocą, wyjaśnił mu koncept i przybliżył atmosferę sztuki, którą chcieliśmy ucieleśnić, a Mark słuchał z twarzą wyrażającą całkowity brak zainteresowania, jakby był w ogóle niezaangażowany w projekt. Nie robił nawet notatek.

Kiedy powiedziałam to Antony'emu i zakwestionowałam jego wybór, zbył moje obawy śmiechem.

– On tylko tak wygląda – powiedział. – To milczek, ale w środku machina już ruszyła. Nie bój się, zawsze ma dobre pomysły. Zobaczysz.

Musiałam zdać się na jego doświadczenie. Oświetlanie moich koncertów i recitali było siłą rzeczy szcątkowe, a ja nie miałam w tej kwestii najmniejszego doświadczenia.

Wszystkie słowa były już napisane, z wyjątkiem ostatnich poprawek, a muzyka w połowie gotowa, częściowo przelana na papier, ale co ważniejsze, wyryta w mojej głowie.

Wiedziałam, że nad nią panuję i że nie zajdzie sytuacja, gdy w panice zatrzymam się w środku przedstawienia, szukając inspiracji. Prokofiew, Vivaldi, Chaczaturian, Sibelius, Rimsky-Korsakow, Smetana oraz intra zapożyczone od Counting Crows, Luny i Noir Desir były moimi drogowskazami na tej drodze.

Potrzebowaliśmy jeszcze aktorów.

I budżetu. W tej sprawie Antony zwrócił się do doświadczonego księgowego, który miał wziąć pod uwagę każdy najmniejszy szczegół i oszacować koszty. Kiedy po raz pierwszy wspomniał, że ta cała zabawa będzie przerażająco droga, wypaliłam, że nie oczekuję zapłaty za żaden z występów.

On ledwie uniósł brew i szybko zerknął na Antony'ego, jakby zrozumiał, że relacja między nami nie jest już tylko zawodowa. Gdyby była tu moja agentka, błagałaby mnie, żebym jeszcze raz dokładnie przemyślała sprawę, i wyciągnęłaby z rękawa sto powodów, dlaczego powinnam.

Zaczęły się przesłuchania.

Pierwszą partię ról obsadziliśmy szybko. Dyrektor castingu, który nieraz już pracował z Antonym, zawęził wybór. Niektórzy aktorzy

pasowali do napisanych ról z niepokojącą dokładnością i w chwili, gdy zaczynali czytać swoje kwestie, postać natychmiast nabierała życia, a my z drugiej strony stolika obserwowaliśmy, jakby za wciśnięciem niewidzialnego guziczka przechodzili do innego wymiaru słów.

Inni początkowo nie pasowali do swoich postaci, na pewno nie pod względem fizycznym, ale jak tylko otwierali usta, uosabiali rolę idealnie. Inni po prostu nie pasowali i to wiedzieliśmy od razu: twarz, postura, głos, nic nie grało, mimo że byli utalentowani.

Ale najważniejsza aktorka była nieuchwytna.

Rola Edwiny Christiansen.

Młodej kobiety, od której imienia zostaną kiedyś nazwane skrzypce Bailly'ego, zagubiona dusza, na której życie instrument wpłynął w największym stopniu. Skrzypce ukradły jej duszę.

Nikt nie pasował.

Nie mogła być ani światowa, ani nieśmiała, ani stara, ani młoda, ani krucha, ani waleczna. Ale musiała mieć w sobie tego wszystkiego po trochu i o wiele więcej.

Paradowały przed nami różne aktorki. Niektóre były znane, nawet mnie, zdobywczyni nagród teatralnych i telewizyjnych, inne dopiero zaczynały. Przychodziły i czytały głosami delikatnymi i śmiałymi, kuszącymi i stanowczymi, były seksowne albo zachowywały się jak królowe lodu, niektóre nawet chciały udowodnić, że umieją grać na skrzypcach.

Przez wzgląd na mnie Antony mówił, że na tym etapie nie jest to konieczne, bo wiedział, że prawdopodobnie wypadną błado, a ja zostanę postawiona w niezręcznej sytuacji, musząc je ocenić.

Ta rola była ostatnim kawałkiem układanki, który nie chciał trafić na miejsce.

Chociaż nigdy nie zrobił tego w mojej obecności, wiedziałam, że Antony zaczął znów pić. Już nieźle go znałam. Robił się coraz bardziej niecierpliwy, opryskliwie reagował na moje sugestie i, czasem, na moją ignorancję wobec świata teatru. Próbowałam nie zwracać na to uwagi.

Bez jego wiedzy zadzwoniłam do Lauralynn z pytaniem, czy nie zna aktorki z talentem muzycznym. Myślałam, że może udałoby się znaleźć prawdziwą artystkę z jakimś doświadczeniem scenicznym, zamiast szukać w odwrotnej kolejności. Ale nikt jej nie przychodził do głowy.

Czas upływał.

Alissa wróciła ze swojej trasy. Antony musiał jej wspomnieć o problemach ze znalezieniem odtwórczyni roli Christiansen.

Zaoferowała swoją kandydaturę. Poprosiła, żeby nazajutrz zorganizował dla niej formalne przesłuchanie. Kiedy się o tym dowiedziałam, zadygotałam ze złości.

Nie ma mowy, żeby mogła zagrać tę rolę. Po prostu nie. Zupełnie do niej nie pasowała. Miała złą sylwetkę, niewłaściwą twarz, nieodpowiedni temperament (a wiedziałam coś o jej temperamencie od czasu naszego trójkąta...).

Poprosiłam Antony'ego, żeby odwołał przesłuchanie.

Grała małe role w jego wcześniejszych projektach, zdradził, i okazała się zaskakująco różnorodna. Może powinniśmy dać jej szansę. Obiecał, że to, że kilka razy pieprzyła się z nim, a potem z nami nie wpłynie na jego decyzję. Nic nie zaszkodzi wysłuchanie jej, popatrzenie, jak wchodzi w rolę, prawda? Mogła nas przecież zaskoczyć.

Niechętnie, ale się poddałam.

8. Przestrzeń między nutami

Obudziłam się wcześnie. W mieszkaniu Antony'ego na ostatnim piętrze cisza była aż ciężka. Przez okna w wykuszach nie wpadał najcichszy gwizd wiatru z zewnątrz, szum ulicy ani dziwaczna muzyka rzeki płynącej w dole i opasującej Isle of Dogs otuliną spokoju. Nie słychać było nawet cichych ptasich treli.

Zdecydowałam się zostać na noc.

Antony przyciskał ramię do moich pleców, a lekki ruch jego palców zostawiał ślad na mojej skórze. Ciepło krążące między naszymi ciałami było jednocześnie ukojeniem i niezamierzoną prowokacją.

Z jednej strony chciałam czuć to delikatne muskanie i rozkoszować się nim, rozpląnąć się w lekkiej jak babie lato zmysłowej zwyczajności, ale z drugiej coś we mnie domagało się ostrzejszego dotyku, bardziej seksualnego. To była żądza, potrzeba.

Leżałam przy nim i zastanawiałam się, czy by go nie obudzić na seks, wtulić się bardziej i przywrócić go na jawę, częściowo przebudzając, co szybko zaowocowałyby poranną erekcją i moglibyśmy jeszcze przed śniadaniem pieprzyć się na łyżeczkę.

Ale spał tak spokojnie, że nie mogłam się do tego zmusić.

Przewróciłam się na bok i zwróciłam twarzą do niego. Namacałam to zagłębienie, gdzie pas łączy się z biodrami, zaraz na szczycie pośladków. Drgnął lekko pod moim dotykiem, ale się nie obudził. Miał lekko uchylone usta, przyciśnięte do poduszki, i odprężoną twarz.

Nie golił się od prawie dwóch miesięcy i trzymany pod kontrolą zarost, który nosił wcześniej, zmienił się w niezaprzeczalną brodę. Pasowała do niego. Ciemna obwódka wokół warg sprawiała, że usta wydawały się czerwiejsze niż zwykle. Pod dotykiem zarost był nieoczekiwanie jedwabisty i lubiałam to trochę miękkie, trochę kłujące doznanie pod palcami, kiedy obejmowałam jego policzki dłońmi i całowałam go.

Udało nam się dopiero co odbudować równowagę między nami: nienazwana słowami kolaboracja wyrażanych pragnień i dotkliwych potrzeb. Pod wieloma względami nasze demony były do siebie niepokojąco podobne, chociaż przejawiały się pod różnymi postaciami. On karmił rządzącą nim bestię pracą. Mojego potwora koił seks. Więc pracowaliśmy razem i pieprzyliśmy się z sobą.

Ale to nie zawsze wystarczało. Albo jemu, albo mnie. Bywało, że przez wiele dni i nocy z rzędu nie spał, otoczony morzem

wyrywanych ze skoroszytu kartek, na których coś skrobał, choć wiedziałam, że kiedy przypływ natchnienia się odwróci i wszystko wróci do normy, nie będzie w stanie tego odczytać.

Był wychudzony i wycieńczony, z sińcami pod oczami jak nasmarowanymi węglem. Wtedy wiedziałam, że muszę go zostawić i mieć nadzieję, że w jakimś momencie tego zamroczenia zdoła odpocząć, zjeść coś, a przynajmniej zostawić w spokoju barek.

Ale były też takie poranki jak ten, kiedy budziłam się z desperacką tęsknotą; przypominała trochę podrażnienie, trochę ból, jak swędzące miejsce, do którego nie można dosięgnąć albo drzazgę, której nie można wyjąć. W takich chwilach chciałam tylko, żeby ktoś mnie rzucił na łóżko i zerznął. Wypełnił. Im ostrzej, tym lepiej.

Bestie, które kierowały Antonym i mną, zapewniały nam najlepsze rzeczy, jakie poznaliśmy w życiu – wrażliwość, którą ja objawiałam muzyką, a on pisaniem sztuk i reżyserią – sprawiała też ból. Wiedziałam też, że łączyło nas wspólne umiłowanie ryzyka, mieliśmy natury poszukiwaczy wrażeń. Chcieliśmy iść prosto do krawędzi i żyć, balansując na niej.

Nic nie przerażało mnie bardziej niż poczucie, że zaczynam się statkować. Ale w ciągu ostatnich miesięcy nauczyłam się, że nic nie wypełni całkowicie pustki, którą czasem czułam. Potrafiłam wtedy zająć czymś myśli, wyprzeć ją na jakiś czas, ale ona nigdy nie odchodziła. Zaczęłam o niej myśleć jak o swoim cieniu.

Znalazłam sposoby na radzenie sobie z nią, żeby już nie biegać po nocy ulicami półnago, z cichą nadzieją, że wypatrzy mnie ktoś taki,

jak tamten mężczyzna z sauny w Kentish Town. Wizytówka, którą mi dał, została dawno podarta i wylądowała w śmieciach.

A przynajmniej tak podejrzewałam, bo nie wpadłam na nią, odkąd wyprowadziłam się z domu w Hampstead, gdzie przez wiele tygodni leżała na stoliku w przedpokoju i za każdym razem, kiedy schodziłam ze schodów, wpadała mi w oko i budziła wspomnienia, o których lepiej byłoby zapomnieć. Może Lauralynn ją wyrzuciła i tym samym wyświadczyła mi nieplanowaną przysługę, uniemożliwiając mi skorzystanie z pokusy.

Nauczyłam się wracać myślami do pobytu na Wyspie, więc i teraz tak zrobiłam. Żaden dźwięk ani niczyja obecność w mieszkaniu nie były w stanie przywrócić mnie do rzeczywistości, oddech Antony'ego owiewał mój policzek jak delikatny wiaterek, więc z cudowną łatwością puściłam wodze pamięci i fantazji.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że znów spoczywam w sieci winorośli, a ich gładkie odnóża przyciskają się do mojej skóry jak zimne ręce. Zapach mięty wypełnił mi nozdrza, poczułam go też na języku. Czy to był zapach? Czy może tylko wyobrażenie? Nie byłam pewna. Ale w mojej fantazji to nie miało znaczenia.

Pomiędzy gałęziami drzew sączyła się muzyka. Chciałam za nią pójść, ale nie mogłam się ruszyć, unieruchomiona tak samo jak wtedy, gdy trzymały mnie pędy winorośli.

Nie byłam w stanie wyruszyć na poszukiwania źródła dźwięków, więc przywołałam je do siebie, koncentrując każdą tkankę mojego istnienia na poszczególnych warstwach wyspowej symfonii,

wsluchując się w każdą nutę chóru, jakbym przesiewała piasek w poszukiwaniu złota. To było jak prucie tkaniny po jednej nici.

Nie czułam już bawełnianego prześcieradła pod sobą ani kołdry, która nakrywała mnie do pasa. Cała poświęciłam się temu snowi na jawie, który wywołałam i równie dobrze mogłam być już w dżungli, zdana na wyobraźnię. Przesunęłam rękami po brzuchu i piersiach. Skóra mnie zamrowiła. Moje wyzwolone nogi zaczęły się poruszać, kołysałam biodrami.

Nagle poczułam rękę na jednej z moich dłoni, którą wciąż trzymałam na piersi, a potem lekki ucisk. Antony delikatnie dotknął moich ust. Otworzyłam oczy. Jeszcze się nie obudził do końca i nie trafił z pocałunkiem prosto w usta, składając go połowicznie na policzku i brodzie.

– Summer... – szepnął. Miał zamknięte oczy. Złapał mnie za nadgarstki i pociągnął, żebym wczołgała się na niego.

Zrobiłam to. Kutasa miał jeszcze miękkiego, ale rósł. Usiadłam na jego lędźwiach i zaczęłam się o niego ocierać, przyspieszając erekcję. Wtulił twarz w moją szyję.

– Ruszałaś się przez sen – zamruczał.

– Coś dziwnego mi się śniło – odpowiedziałam.

– Kręciłaś biodrami – mówił dalej – więc to był chyba sen erotyczny. Trzeba było mnie wcześniej obudzić. Chętnie bym ci potowarzyszył.

Wydawał się rozbawiony.

– Nie obudziłam cię – zaprotestowałam. Bardzo się starałam go nie obudzić.

Zaśmiał się. Pocałowałam go, żeby się zamknął.

Był już twardy, więc wzięłam go do ręki i nakierowałam w siebie.

– Och – jęknęłam. Zamknęłam oczy i nasunęłam się na niego. Już byłam mokra.

Mówią tak o heroinie, że podobno pierwszy haj jest najlepszy. I nie było na ziemi drugiego tak przyjemnego doznania, jak ta chwila, kiedy kutas Antony’ego po raz pierwszy we mnie wchodził. Usiadłam gwałtownie i poczułam, jak się we mnie zagłębia.

Położył mi ręce na biodrach i zakołysał w tył i w przód.

Rzadko się tak pieprzyliśmy, żebym to ja ujeżdżała jego. Zwykle on był na górze, albo leżeliśmy obok siebie lub w pozycji na pieska. Spojrzałam na niego, wykorzystując tę niecodzienną perspektywę. Miał zamknięte oczy, a jego twarz wyrażała ból.

Jęczał i usiłował się powstrzymać od dojścia we mnie. Miał napięte mięśnie rąk i ramion, widać było wszystkie zagłębienia i wybrzuszenia górnej połowy jego ciała. Wystające obojczyki. Ściągnięta pod skórą wyglądające jak napięte liny. Obnażone i bezbronne gardło.

Objęłam dłońmi dolną część jego szyi i zacisnęłam. Otworzył gwałtownie oczy i uśmiechnął się. Zacisnęłam mocniej, a on nakrył dłonią moją rękę i zachęcił, żebym ścisnęła jeszcze mocniej.

Dobrze znałam jęk, który teraz wydał. Odgłos poddania się. Wyzwolenia. Nie mógł się już dłużej powstrzymać, więc napałam na niego biodrami w ostatnim, głębokim natarciu i zacisnęłam ręce na

jego szyi, a on doszedł i rozluźnił się jak latawiec, który nagle stracił nośność.

Poczułam przyływ wielkiej czułości. Czułam pod sobą jego zupełnie bezwładne ciało, a on wyglądał łagodnie, niemal jak dziecko. Pochyliłam się, nakryłam jego pierś sobą i schowałam twarz w zagłębieniu między szczęką a ramieniem.

Znów zapadliśmy w drzemkę, złączeni w tej dziwnej pozycji. Wdechy i wydechy braliśmy jednocześnie, w porannym chórze właściwym wszystkim parom.

Na moją stanowczą prośbę przesłuchanie Alissy nie miało odbyć się w mieszkaniu Antony'ego, w dużym pokoju, który ochrzciłam naszym warsztatem pracy. Sypialnia znajdująca się niedaleko stała się naturalną odskocznią, gdy przytłaczał nas nastrój pracy albo gdy potrzebowaliśmy się rozluźnić.

Upierałam się, że musimy zachować dystans i uczciwie ocenić, czy Alissa nadaje się do tej roli, a wydarzenia, które miały miejsce w jego apartamencie, na pewno wpłynęłyby na naszą opinię. Umówiliśmy się więc w Soho, w piwnicy klubu muzycznego, z której Antony kiedyś korzystał.

Przyjechaliśmy pół godziny wcześniej, odebraliśmy klucze z kawiarni obok, tak jak było umówione i zeszliśmy po drewnianych schodach oświetlonych pojedynczą żarówką bez klosza. W powietrzu wciąż unosiły się zapachy poprzedniej nocy: stężałe opary piwa mieszały się z lepkim odorem ciał stłoczonych na niewielkiej

przestrzeni. Pod niskim sufitem unosiły się duchy słów i melodii jak ślady kondensacyjne zostawiane przez samolot.

Odsunęliśmy kilka stołów i krzeseł, żeby zrobić miejsce pośrodku. Antony i ja mieliśmy siedzieć za stołem, na którym stanął mały dyktafon i równie niewielka kamera cyfrowa. Alissa będzie czytała twarzą do nas. Chwilę zajęło nam opanowanie oświetlenia, ale w końcu skierowaliśmy pojedyncze źródło światła na krzesło, na którym miała siedzieć. Nie było sceny jako takiej.

– Jestem taka podniecona – powiedziała, schodząc bez tchu z wąskich schodów, z dużą płócienną torbą w ręce. Ścisnął mi się żołądek, kiedy zauważyłam wystający z niej futerał na skrzypce. Nigdy nie mówiła, że umie grać.

Miała na sobie nieskazitelny kremowy trencz z zamszu, sięgający aż do kostek. Odsłoniła się, zrzucając go z siebie. Ubrana była w najkrótszą skórzaną spódniczkę, jaką widziałam od lat i tylko jakimś cudem fragment zasłaniał jej łono, ale kiedy się odwróciła, pokazała półksiężycę pośladków.

Biała, bawełniana koszula, mająca wyglądać na niedbale narzuconą, była obcisła i prowokująco eksponowała jej kształty. Widać było, że nie ma na sobie stanika. Talię miała przewiazaną cienkim czerwonym paskiem, ciasnym niczym gorset, podkreślającym ostry kontrast między jej obfitą górą a biodrami, jakby wykutymi w marmurze, między którymi znajdowała się subtelna talia osy. Doskonała miniatuurka seksbomby.

Promieniała.

– Tak się cieszę, że daliście mi szansę – powiedziała. – Przygotowałam się do roli – dodała. – Znalazłam nawet drugą książkę tego gościa...

Serce przestało mi bić.

Pierwsza powieść Dominika w oczywisty sposób opowiadała o mnie, ale tylko ja i on wiedzieliśmy, co było prawdziwe, a co wymyślone w poszczególnych scenach.

– Jest tam genialna scena, jak skrzypaczka gra nago – mówiła dalej. – Rany, nieźle mnie to zainspirowało!

Nie byłam w stanie się ruszyć. Antony skupił się całkowicie na powieści o skrzypcach i nie wiedziałam nawet, czy trafił na debiut Dominika i uświadomił sobie moje intymne zaangażowanie w tę książkę. Spojrzałam na niego. Jego twarz nic nie wyrażała.

Alissa mówiła dalej:

– Zaczęłam się zastanawiać nad relacją między skrzypcami i kobietami, które na nich grały, nad tym, jakie to może być zmysłowe – powiedziała. – I...

– Umiesz w ogóle grać na skrzypcach? – przerwałam jej z ledwie zamaskowaną nutą agresji. Założyłabym się o wszystko, że przygotowywała się do przesłuchania w swoim mieszkaniu, stojąc nago przed lustrem i trzymając w rękach skrzypce, a jej twarde i ciężkie cycki podskakiwały w górę i w dół. Aż niedorzecznie.

– Nie, ale przyniosłam sobie. To tylko rekwizyt, ale osadzi mnie w realiach.

Patrzyłam, jak otwiera futerał i wyjmuje instrument. To była tania japońska masówka, na której zaczynają grać dzieci.

– Dosyć tego trucia o metodach grania – zamarudził Antony. – Bierzmy się do pracy. Alisso, monolog z drugiego aktu. Chciałbym go usłyszeć. Potem przejdziemy do sceny między Edwiną a Jamesem z trzeciego aktu. Przeczytam jego kwestie, dobrze?

To tylko przesłuchanie, bez mojego udziału muzycznego. Byłam obserwatorką.

Myślałam, że Alissa usiądzie, ale postanowiła stać i mądrze wykorzystywała język ciała dla podkreślania słów i emocji, co moim zdaniem zakrawało wręcz na manipulację. Antony patrzył, ale jego twarz nic nie wyrażała.

Musiałam przyznać, że była dobra.

Pokazała doskonałą technikę aktorską, miała nawet słaby niemiecki akcent, który podkreślał korzenie jej bohaterki, ale nie czynił jej karykaturą, a do tego z niebywałą łatwością prześlizgiwała się po całej skali emocji.

Nigdy nie była zbyt głośna ani za cicha, z subtelną stanowczością kontrolowała potok słów, a jej ciało balansowało pomiędzy wyrafinowaną elegancją a wystudiowanym chaosem, który zaczynał dominować, gdy skrzypce roztaczały swoją kłutwę jak pajak sieć wokół umysłu Edwiny Christiansen.

Początkowo spodziewałam się, że Alissa będzie eksploatować swoją seksualność, zechce nas oszołomić albo zszokować, będzie szafować bezsprzecznymi walorami cielesnymi, żeby zrobić na nas

wrażenie, ale nie, grała tak, że zapomnieliśmy o jej wyglądzie i stopniowo zaczęliśmy wierzyć w tłumione, ale kipiące uczucia bohaterki, kryjące się za słowami.

Jedyną manierą było chwytnie co jakiś czas jedwabnego szalika, który wyciągnęła z torby i zawiązała na szyi, żeby akcentować konkretne fragmenty tekstu albo swoją interpretację.

Musiałam przyznać, że była urodzona aktorką. W pewnym sensie tak jak ja, choć pod innym względem. Bez żadnej przerwy dla złapania oddechu przeszła w tryb konfrontacji w scenie z Jamesem. Antony czytał swoje kwestie beznamiętnie, podając tylko tekst.

Niechętnie, ale doceniałam jej rzemiosło, chociaż wcześniej miałam nadzieję, że to będzie porażka.

– Przyjemna rola – podsumowała, gdy już zapakowała kolorowy szal, zabazgrany scenariusz i futerał ze skrzypcami z powrotem do głębokiej torby. Tani instrument leżał cały czas na stole i służył jej tylko jako przedmiot, na którym mogła skupić wzrok.

Antony nie wykazał żadnej reakcji, był oderwany od rzeczywistości.

Nie wydawała się przejęta brakiem natychmiastowej odpowiedzi. Do jednej ręki wzięła płaszcz, do drugiej torbę, odwróciła się i podeszła do schodów.

– Fajnie było – powiedziała.

A potem bezczelnie patrząc mi prosto w oczy, jakby świetnie wiedziała, co stało za pierwszą powieścią Dominika, zręcznie

podciągnęła ciasną spódnicę ponad półkole pośladek i pokazała, że przez cały czas nie miała na sobie majtek.

Podejrzywałam to jakimś cudem od początku, ale teraz miałam dowód. Doskonale półksiężycy kołysały się lekko nad jej udami, a ona chichotała przez całą drogę na górę. Cała ta gra robiła się już oklepana. Uśmiechnęłam się.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi wyjściowe na Denmark Street, Antony ożył.

– Myślę, że jest w porządku.

Prawdę mówiąc, ja myślałam, że jest naprawdę dobra. I chociaż bolało mnie przyznanie się do tego, to sposób, w jaki się poruszała i ubierała, kuszący, prowokujący, nieprzykładający żadnej wagi do skromności czy konwencji, wywoływał we mnie ukłucie zazdrości, zaraz obok niechętnego szacunku dla jej postawy i talentu.

Technicznie rzecz biorąc, była do tej roli odpowiednia. Nie popełniła żadnego błędu. Ale mimo wszystko czegoś mi brakowało. Tylko nie potrafiłam powiedzieć czego.

Chyba prawdy.

Jednak trudno byłoby to sformułować. Może nawet nikt nie byłby w stanie oddać tego na scenie. Prawdopodobnie byłam jedyną osobą na świecie, która zauważyła brak tego elementu, tak jak byłam jedyną, która znała tło opowieści Dominika.

W tej chwili byłam o Alisę zazdrosna, a poza tym mnie podniecała. Gdyby nie naruszało to zasady *decorum* narzucanej przez wytyczne przesłuchania teatralnego, głowę dając, że wystąpiłaby przed

nami nago, dając mi do zrozumienia, że wie, kto grał bez ubrania w sytuacjach opisanych w książce. Miała świadomość, że pod wieloma względami jej ciało jest znacznie bardziej spektakularne niż moje.

Antony przerwał moje rozmyślenia.

– Zaproszę ją na próby z kilkoma pozostałymi aktorami. Planuję je na przyszły tydzień. Jeśli dobrze pójdzie, wchodzi do obsady – powiedział.

Pokiwałam głową. Zresztą, czy miałam wybór? W końcu to była jego sztuka, a ja siłą rzeczy zajmowałam się tylko muzyką.

Kolejna piwnica, tyle że znacznie większa i o wiele lepiej oświetlona, czasem używana jako scena dla wykonawców, pod dużym pubem w Maida Vale. Co takiego było w teatrze (albo w Antonym?), że tak ich ciągnęło do piwnic?

Spędziliśmy tam cały tydzień, próbując do przedstawienia.

Casting dobiegł końca. Po wyborze Alissy do jednej z głównych ról Antony dobrał resztę obsady. Z niektórymi aktorami już wcześniej pracował, kilkoro było dla niego nowością, ale w ciągu kilku dni przy długim prostokątnym stole, który tam zainstalowaliśmy, dopasowali się do siebie tak gładko jak dobrze naoliwiona maszyna czy ułożone puzzle. Grali ze sobą z wdziękiem i instynktownie.

Czułam się zbędna: na tym etapie jedyne, co się działo, to bezustanne powtarzanie tych samych kwestii, żeby złapać odpowiednie ton i rytm, dobrać jak najlepiej słowa, bo Antony słuchał całego tekstu po raz pierwszy na żywo i na bieżąco wprowadzał

drobne poprawki, opisywał dynamikę interakcji między aktorami, wskazywał przestoje w toku gry.

Ciągnęło się to strasznie i nudziło mnie, ale widziałam, ile powietrza nabiera sztuka z każdym kolejnym czytaniem. Nie byłam wdzięcznym widzem.

Na tak wczesnym etapie nie musiałam grać, poinformował mnie Antony. Zacznę, gdy tekst będzie wypielegnowany i gotowy. Dopiero wtedy zostanę wezwana, żeby nadać mu ostateczny wymiar.

Dłoń na moim ramieniu. Delikatna. Troskliwa. Otworzyłam oczy.

– Śpisz? – spytał Mark, nasz scenograf.

– Nie, słuchałam.

Miałam zamknięte oczy, żeby maksymalnie skupić się na tej pracy, wyobrazić sobie kształtującą się sztukę, przywołać w głowie słowa i podłożyć pod nie muzykę, warstwa po warstwie. Słyszałam niemal echo wojujących ze sobą melodii, które całemu przedsięwzięciu nadadzą życie, jak zapalona w ciemności zapalka.

– Żmudna praca – dodał. – Ale konieczna. Trzeba zbudować fundamenty, zanim wzniesie się ściany... Takie są reguły teatru.

– Wiem.

Próba trwała. Ale ja już nie byłam w stanie się skupić.

Wymówiłam się jakąś ważną sprawą i wyszłam wcześniej. Antony chciał jeszcze raz przelecieć przez ostatni akt, który wciąż go niepokoił. Nie poszłam do niego, wróciłam do domu, w Clapham, do mojego łóżka.

Spałam niespokojnie.

W moich snach kłębiły się poplątane kończyny, ciała, mężczyźni, kobiety, leśne liany, łoża z piasku w kolorze ochry, grynszpanowe pędy strzelające w odległe niebo. Było mi gorąco, czułam się udręczona. Tonęłam w jakichś obcych rzekach, zakopywano mnie pośród miast pełnych szaleńczych halucynacji.

Przecucia, o których nie byłam w stanie mówić, wydobywały się z głębin i były jak wezwanie do wojska, do śmiertelnego seksu. W głowie krzyczałam, zawodziłam jak zwierzę, potem doszłam, wytryskując potokiem emocji mknących teraz przez moje skrzyżowane kończyny. Ale sny to tylko sny. Kiedy się obudziłam, z trudem łapiąc powietrze, była prawie północ.

Gapiłam się bezmyślnie w sufit i z przypadkowych cieni układałam kształty krajów albo twarzy. Zadzwoił telefon.

– Summer?

– Hm... – To był Antony.

– Wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście.

– Nie słychać.

Skłamałam:

– Obudziłeś mnie.

– Przepraszam. Ale mamy zmianę planów. Wkrótce po tym, jak wyszłaś, zadzwonił Samuel Morris. Coś mu się pozmieniało. Pojutrze będzie w Londynie i chciałby przyjść na próbę.

Morris był znanym impresariem teatralnym, z którym Antony pracował już wcześniej. Zamierzaliśmy pokazać mu sztukę za kilka tygodni, w nadziei że suto ją doinwestuje.

– Chyba nie jesteśmy gotowi?

– W przyszłym tygodniu wraca do Stanów, więc to jedyna szansa – wyjaśnił. – Jeśli chodzi o tekst, wszyscy są nieźle przygotowani, ale to oznacza, że będziesz musiała pokazać więcej improwizacji, niż planowałaś. – Wciąż nie miałam okazji brać udziału w całym przebiegu sztuki, grałam tylko wyrwane z kontekstu fragmenty u Antony’ego w domu, nigdy przy aktorach.

Wciągnęłam powietrze.

– Dam radę – powiedziałam. – Będzie dobrze.

– Na pewno?

– Zaufaj mi.

Wszyscy byli zdenerwowani. Siedzieli wokół dużego prostokątnego stołu, przewracali strony scenopisu i bawili się kubkami z kawą. Ja dostałam krzesło na szczycie stołu, tam gdzie do tej pory siedział Antony.

Na tę okazję wybrałam Bailly’ego, wydawało mi się, że to adekwatna decyzja. Miałam na sobie jedną z moich czarnych sukienek. Antony był ubrany całkiem na czarno, wciąż się nie golił.

Przyjechał Samuel Morris. Był okrągłym, bardzo opalonym mężczyzną, którą to opaleniznę ewidentnie zdobył za pośrednictwem łóżka do opalania, a nie słońca.

Miał na sobie nienagannie uszyty garnitur z materiału Prince de Galles, krzyczący już na kilometr, że ma metkę Burberry. Towarzyszyło mu dwoje niemal identycznych, młodych i smukłych producentów, cechujących się perfekcyjną nijakością godną wypolerowanych kamieni.

Żywiółowo przywitał się z Antonym, objął go mocno i ucałował w policzki, a dopiero potem usiadł na krześle na przeciwległym końcu stołu. Jego przybocznicy ustawili się po obu jego stronach i ani drgnęli.

Antony wszystkich przedstawił. Każdego z aktorów, przywołując też fragmenty ich życiorysów, potem członków ekipy technicznej, którzy do nas dołączyli, a na koniec mnie.

Morris skłonił się w moją stronę.

– Ach, słynna panna Zahova – zauważył. – Wiele o pani słyszałem – uśmiechnął się szeroko. – To zaszczyt, że zgodziła się pani zaangażować w tak intymne przedsięwzięcie... – Nie potrafiłam stwierdzić, czy mówi to ironicznie.

Zamilkł.

Wally, nasz elektryk i geniusz oświetlenia, wyczarował zaimprovizowaną na szybko instalację, którą sterował za pośrednictwem laptopa stojącego na tyłach sali. Dzięki niemu mogłam skierować światło na konkretnych aktorów, natomiast mój koniec stołu, gdzie miałam grać, cały czas był oblatany światłem.

– Zaczynamy? – zasugerował Morris.

– Oczywiście – odparł Antony i skinął na Wally'ego.

Piwnica pogrążyła się w ciemności, tylko ja zostałam w świetle. Wstałam i nogą odsunęłam krzesło.

Chociaż to nie była sztuka ani opera, Antony zgodził się, że powinniśmy zacząć w całkowitej ciemności, z której wydobywałyby się urywki *Groty Fingala* Mendelssohna. Żeby wprowadzić widzów w odpowiedni nastrój.

Ułożyłam skrzypce pod brodą i uniosłam smyczek.

Zamknęłam oczy. Wyparłam piwnicę.

Grałam.

Chociaż panowałam nad muzyką, jednocześnie stawałam się instrumentem, zatracalam się w jego sercu, odwróciłam rzekomą klątwę i panowałam nad nią, wydobywając dźwięki, których krystaliczne tony były doskonałe jak brylanty.

Przeniosłam się gdzieś indziej, unosiłam się jak Ikar w stronę niewidocznego słońca, chciałam zostać pochłonięta przez melodię i jej głębokie, przejmujące echa, przebijające się przez północne fale wściekłego morza, atakującego granitowe ściany legendarnej jaskini, którą Mendelssohn chciał odmalować za pomocą nut.

Mój organizm się wychładzał.

Antony, Morris, Alissa i wszyscy pozostali jawili mi się jak niemile widziani goście, postrzegani przez mgłę niepewności, pozbawieni osobowości świadkowie, pozostające w oddali skrawki ciała, wtapiające się w dźwięki i kolory obłoków wystrzeliwujących spod moich palców.

Byłam muzyką.

Andante.

Niść melodii stawała się coraz cieńsza, zmieniała się w osadzone gdzieś w głębi wrażenie spokoju, słabła i rozpływała się w ciszy, gdy moja improwizacja dochodziła do oczywistego końca.

Wciągnęłam powietrze.

Wciąż wydawało mi się, że jestem całe kilometry stąd, na fali czarów przeniesiona do tego tajemniczego miejsca, gdzie emocje, sztuka i rzeczywistość były jednym i tym samym.

Głos.

Jeden z aktorów. Pierwsze słowa sztuki. Głęboki, ciepły ton w jakimś sensie spełniający funkcję greckiego chóru i przedstawiający przekłete skrzypce. Potem następny, słabnący głos rzemieślnika z zamierzchłych czasów, polerującego drewno, kształtującego części, z których miały powstać skrzypce, pieszczącego ich twarde, wyłaniające się z niebytu ciało.

Potem młoda dziewczyna, jego asystentka, podająca mu materiały i narzędzia, a oprócz tego rzucająca bezsensowne komentarze na temat stanu świata i jej nędznego życia miłosnego. Całkiem ignorowana. Jego ręce raz za razem przesuujące się po drewnie jakby po kobiecym ciele.

Jest wdowcem, a w jego pamięci pojawiają się obrazy utraconej przed dziesięcioma laty żony i jej miękkiego ciała. Asystentka podaje mu naczynie z klejem, dając sygnał, że czas złożyć obydwie połowy skrzypiec, zjednoczyć je po raz pierwszy.

Teraz znów moja kolej, na przerywaną melodię kołysanki, towarzyszącej narodzinom instrumentu.

Wciągam powietrze.

Delikatnie odrywam palec od podstrunnicy, a w tym czasie smyczek wydaje tchnienie.

Gram. I gram.

Nie wiem już, gdzie się kończą skrzypce, a gdzie zaczynają się moje kończyny. Wydaje mi się, że gdybym musiała teraz rzucić instrument na ziemię, nie zrobiłoby mi to różnicy, bo miałabym moc wydobywania takich samych, jeśli nie bardziej uduchowionych dźwięków, dotykając we właściwych miejscach siebie: usta, brodawki, cipka.

Otoczają mnie głosy. Aktorzy, Alissa, brzmiała z jakiegoś powodu nieprawdziwie, nienadążająca już za wyciekającym ze mnie strumieniem muzyki, brzmiała jak fałszywa nuta. Ignoruję ją.

Historia rozwija się, raz powolna, raz szaleńcza, potem czuła i rozszalała.

A ja gram.

Zostawiłam już daleko za sobą sinusoidalne melodie Arama Chaczaturiana i teraz improwizuję na całego, z moich nut układa się czarodziejski dywan, który sunie z jednego nieba do drugiego, rozwijając historię i ciągnąc głosy za sobą. Fantastyczna podróż, wzniosła i egzotyczna.

Czuję, że się pocę.

Z trudem stoję na nogach.

Atakuję. Teraz gorączkowo. Ale z dystansu. Mam absolutną władzę nad światem dźwięków, które świadomie wypuszczam spod palców.

Rozległe morze, nad którym frunę, uspokaja się wreszcie. Widzę krajobraz po bitwie. Ostatni monolog opowiada o kwiatach, przeznaczeniu, życiu. Zdejmuję stopę z pedału, wlokę się przez muzyczną dżunglę, która powołałam do życia, zabieram swoje rzeczy, melodia cichnie, *pizzicato*, *adagio*, *zero*, a kiedy przez piwnicę płyną ostatnie słowa i próba czytana dobiega końca, kończy się także moja muzyka, w perfekcyjnym współbrzmieniu.

Cisza jest ogłuszająca.

Cała się trzęsłam.

Otworzyłam oczy.

Spojrzałam na blat stołu.

Wszyscy na mnie patrzyli.

Cisza trwała.

To nie był koncert ani recital, wiedziałam, że nie muszę się kłaniać.

W końcu zakłęcie złamał Samuel Morris, złączył ręce i zaczął klaskać. Miałam jednak wrażenie, że to chłodne oklaski, jakby odbębniał obowiązek. Aktorzy wciąż na mnie patrzyli. O co chodzi? Nie podobała im się muzyka?

Wciąż uspokajałam się po moim haju, reagowałam z opóźnieniem, zarówno psychicznie, jak i fizycznie, wyczerpana i

pełna obaw, czy jestem w wystarczającej formie, żeby powtarzać taki występ codziennie, kiedy sztuka wejdzie do repertuaru.

Morris wstał, jego asystenci poruszyli się jednocześnie z nim, a on zwrócił się do Antony'ego.

– Możemy zamienić słówko? Na górze?

Antony poszedł za nim, zostawiając nas wszystkich w takim stanie, jakbyśmy się właśnie obudzili po jednorazowym nocnym numerku, nie mogąc znaleźć właściwych słów. Aktorzy szeleścili scenopisami, dotykali pustych kubków po kawie i talerzy z ciastkami. Włożyłam Bailly'ego do futerału i odsunęłam.

– Chyba poszło dobrze – powiedziała w końcu Alissa. A potem, spoglądając na mnie: – A ty byłaś po prostu niesamowita, Summer. Niebywała!

Ale w tym komplementcie było coś obłudnego.

Dziesięć minut później wrócił Antony. Podziękował wszystkim za wspaniałą pracę i zwolnił grupę. Powiedział, że odezwie się za kilka dni.

Alissa wyraźnie nie chciała nas zostawić, ale Antony był sztywny jak kołek i odwrócił się do niej tyłem. Wyraźnie dał do zrozumienia, że chce, żebyśmy zostali tylko we dwoje.

Trzasnęły drzwi prowadzące na ulicę i zostaliśmy sami.

– I? – spytałam niecierpliwie.

Antony bez wahania przeszedł do rzeczy.

– Nie da pieniędzy.

– Jak to?! – zaprotestowałam.

– Chyba zresztą rozumiem dlaczego – mówił dalej.

– Dlaczego?

– Byłaś za dobra – powiedział Antony.

– Nie rozumiem.

– Byłaś niewiarygodna, Summer. Naprawdę. Jakby cię coś opętało. Muzyka była genialna, naprawdę.

– No i?

– On czuje, a ja muszę się z nim zgodzić, że to wprowadza za duże dysproporcje do całej sztuki. Albo sztuka, albo ty, tworząca tak niebywałą muzykę. Inaczej pomiędzy obydwoma połowami jest przepaść...

Jeszcze nigdy nikt mi nie zarzucił, że jestem za dobra.

– Przykro mi – powiedziałam.

– Mnie też jest przykro – odparł Antony. – W każdym razie w sprawie pieniędzy wracamy na początek planszy.

Wzięliśmy taksówkę, bo żadne z nas nie miało nastroju na tłoczenie się w metrze. Zaskoczyło mnie, że Antony w ogóle jest w stanie znieść czyjekolwiek towarzystwo.

– Chcesz, żebym zniknęła? Mam wrócić do Clapham? – spytałam łagodnie, kiedy po telefonie Antony'ego podjechało czarne auto z naklejką samochodu prywatnego. – Nie ma sprawy – mówiłam dalej, bardzo szybko, żeby zamaskować dyskomfort. – I tak mam kilka spraw do załatwienia.

Odwrócił się i pocałował mnie mocno w usta, a potem złapał za rękę i pociągnął na tylne siedzenie.

– Nie – odparł. – Chcę, żebyś została.

Emocje wyrażane przez jego twarz zmieniały się jak w kalejdoskopie. Smutek. Wściekłość. Żądza. Wyglądał tak, jak ja się czułam, zanim podnosiłam skrzypce i zaczynałam grać jak opętana, szłam biegać albo wsiadałam na rower i pedałowałam dwa razy szybciej niż zwykle.

Kiedy usiadłam i poczułam na ramionach zimną skórę, przypomniało mi się, że zostawiłam w piwnicy kurtkę. Wisiała na oparciu krzesła przy stole, tam gdzie odbywała się próba. Byłam tak pobudzona i dezorientowana, kiedy wychodziliśmy, że nawet nie czułam zimna.

Zanim jednak zdążyłam poprosić kierowcę, aby się zatrzymał, żebym mogła po nią pobiec, Antony położył dłonie na moich kolanach i rozszerzył mi nogi. Miałam długą do kostek, luźną czarną sukienkę, tyle tylko, że kiedy szłam na piętnastocentymetrowych obcasach, nie wałała się po ziemi.

Jak idiotka sądziłam, że taki strój doda mi blasku, który bardziej przemówi do sponsorów. Teraz żałowałam, że nie włożyłam butów na płaskim obcasie, żeby aż tak nie zwracać na siebie uwagi.

Antony wsunął dłoń pod skraj sukienki i objął mnie za kostkę. Potem puścił i podjechał dłonią w górę aż do uda.

Jego palce nieuchronnie zmierzały ku cienkiemu materiałowi czarnych stringów, które kupiłam kiedyś w Victoria's Secret przy Broadwayu, na Manhattanie, kiedy jeszcze tam mieszkałam. Dojechał tam i wsunął palce pod gumkę. Ubierałam się w pośpiechu i nie

znalazłam innych majtek, które nie odznaczałyby się pod aksamitną sukienką. Czułam, że jego ruchy wywołują z mojej cipki ciepło.

Przywarł do wnętrza mojej nogi, jakby to była lina, na której wisiało jego życie. Ugniatał moją skórę opuszkami palców. Na tyle mocno, że będę miała siniaki, pomyślałam, ale to mnie w ogóle nie martwiło. Wręcz przeciwnie. Znałam swoją naturę. Im mocniej mnie trzymał, tym bardziej byłam mokra.

Widziałam ruchy głowy kierowcy, który łowił widoki we wstecznym lusterku. Nasze pieszczoty na tylnym siedzeniu nie przeszły niezauważone.

– Wstydzisz się? – syknął mi Antony do ucha.

Pokręciłam głową, ale prawdę mówiąc, czułam się trochę dziwnie. Był środek dnia, a ja byłam absolutnie trzeźwa. Sytuacja nie miała nic wspólnego z macankami po pijaku na tylnych siedzeniach taksówek, rozwożących w nocy do domu.

Przesunął rękę trochę wyżej, wyprostował palce i dotknął nagich warg mojej cipki. Stłumiłam jęk.

– Myślisz, że dasz radę zrobić to jeszcze raz? – spytał.

Chwilę mi zajęło, zanim się zorientowałam, że chodzi mu o muzykę i sposób, w jaki grałam.

Odpowiedział sobie na to pytanie, zanim zdążyłam się odezwać.

– Oczywiście dałabyś radę. Ty aż emanujesz seksem, Summer, widać to we wszystkim, co robisz. Nic na to nie poradzisz. Może zamiast kazać ci grać, powinienem cię zerznąć na oczach Morrisa.

– Wyszłoby pewnie jeszcze gorzej – zażartowałam, ale pożałowałam tego, jak tylko skończyłam mówić. To nie była pora na żarty.

Wyjął rękę spomiędzy moich nóg i potarł czoło. Zastanawiałam się, czy mnie czuje, czy zapach mojej cipki przylgnął do jego palców.

– Jak grałaś, przez cały czas miałem erekcję – powiedział. – Przysięgam na Boga, że jesteś jakąś wiedźmą. – Wyglądał teraz przez okno, gapiąc się bez sensu na sunące powoli samochody, gdy jechaliśmy przez zakorkowany jak zwykle Londyn.

Nie wiedziałam, czy mówi do mnie, czy tylko głośno myśli. Kierowca znów zerknął w lusterko. Bez wątplenia słuchał i pewnie liczył na jakieś lepsze widoki.

Złapałam krocze Antony'ego i przez dżinsy chwyciłam jego kutasa. Przycisnął rękę do mojej, zachęcając, żebym złapała mocniej.

Jechaliśmy tak przez całą drogę do Isle of Dogs: ręka Antony'ego na mojej, zakrywająca jego widoczną pod dżinsami erekcję.

Potem zapłacił kierowcy, który wydawał się rozczarowany, że wysiadamy i będziemy kontynuować nasze poczynania gdzie indziej, wziął mnie za rękę i prawie przeciągnął przez parking do wejścia do wind przeznaczonych tylko dla mieszkańców.

Moje obcasy stukały na gładkiej betonowej podłodze, a kiedy zatrzymaliśmy się przed windą i czekaliśmy, aż drzwi się otworzą, schyliłam się i zaczęłam rozpinać paseczki butów, żeby je zdjąć. Alissa mogła chodzić w takich szpilach cały dzień, jeśli chciała, ale ja wolałam iść bez nich.

Rozpięłam już obydwie sprzączki i miałam właśnie zsunąć buty i dalej iść bosą, kiedy poczułam na czole dłoń Antony'ego. Wplątał rękę w moje włosy, złapał kilka kosmyków i delikatnie pociągnął mnie do góry.

Prawie straciłam równowagę i wpadłam na niego.

Winda dojechała i drzwi się rozsunęły. Położył dłonie pod moimi pośladkami, podniósł mnie i trochę niósł, a trochę pchał mnie przez te kilka kroków, nim dotarliśmy do metalowej poręczy na wysokości bioder, biegnącej we wnętrzu windy wokół luster. Posadził mnie na niej, a ja balansowałam, oplatając go lekko nogami w pasie.

– Buty! – zaprotestowałam. Jeden cały czas miałam na nodze, ale wisiał tylko na jednym palcu. Drugi zsunął mi się ze stopy i został na betonowej posadzce przed windą.

Antony gwałtownie mnie puścił i wyszedł po niego.

Odwrociłam się do lustra, żeby sprawdzić makijaż i przyglądać włosy. Widząc swoje odbicie, doznałam tego dziwnego wrażenia odłączenia od siebie. To samo czułam, kiedy czasem miałam inną fryzurę, na przykład kucyk albo koczek, zamiast burzy włosów opadających mi na ramiona. Czy ta osoba to naprawdę ja?

Sukienka była stara. Kupiłam ją na straganie w Brick Lane za dziesięć funtów, kiedy przyjechałam pierwszy raz do Londynu. Z czarnego aksamitu, do ziemi, ze skromnym dekoltem z przodu, a z tyłu rozcięta na kształt litery V aż do pośladków. Wydawało się, że grozi zsunieniem się i obnażeniem ich. Obejmowała moje kształty w

taki sam sposób jak jeszcze kilka innych, mimo że nie były szyte na miarę.

Kobieta patrząca na mnie z lustra była elegancka, dojrzała i światowa, chociaż ja wcale się tak nie czułam. W środku wciąż byłam tą samą nieobytą, naiwną, porywczą dziewczyną, która znalazła tę sukienkę na straganie, ale reszta mojego świata się zmieniła i teraz nosiłam ją do niebotycznie wysokich szpilek, a nie do starych wiśniowych martensów, które podniszczyłam do tego stopnia, że wylądowały w lumpeksie.

– Och! – wykrzyknęłam zdumiona, kiedy Antony wrócił. Zniknął na jakieś dwie sekundy, ale tak głęboko zatopiłam się w myślach, że czas zwolnił.

Nie spytał, o czym myślałam.

Złapał mnie za to za biodra i obrócił tak, że stałam twarzą do lustra, a potem ucisnął dłonią, żebym się przed nim pochyliła.

Chwytał mnie za nadgarstki i przesunął nimi po poręczy, sugerując, że mam się jej trzymać, a sam zaczął podciągać moją sukienkę aż do talii. Materiał opadał z przodu, odsłaniając przed każdym, kto mógłby iść korytarzem i wcisnąć guziczek otwierający drzwi windy, moje łydki i tyłek przedzielony sznureczkiem stringów.

Staliśmy pod takim kątem, że Antony zasłaniał moje intymne części, ale i tak widok mnie pochylonej i trzymającej się poręczy z uniesioną do góry sukienką, był obsceniczny.

Wydawało mi się, że gdybym została przyłapana w takiej eleganckiej sukni, z odsłoniętymi jedynie tyłami łydek, byłoby to

jeszcze bardziej dramatyczne niż to samo w minispódniczce, takiej, jaką Alissa włożyła na przesłuchanie, obcisłej i zdzirowatej.

Antony dotykał moich pośladków, ugniatał i macał moje ciało. Szybkim ruchem wyciągnął mi spomiędzy pośladków sznureczek stringów. Materiał nie stawiał oporu. Poczułam, że po skórze przesuwa mi się ostra końcówka jego paska.

Szybko go rozpiął i ściągnął trochę spodnie. Stał i przez kilka chwil patrzył na mnie, jak obserwuję się w lustrze, czekając, aż jego kutas, teraz niczym nieograniczony, muśnie moje udo i stwardnieje jak kamień.

Gwałtownie oderwał od mojej skóry prawą dłoń, a ja zamarłam, czując, że wydarzy się coś, czego jeszcze nigdy nie zrobił, a w każdym razie nie mnie. *Spanking*.

Ale potem jakby nagle zmienił zdanie, zawahał się przed zrobieniem tego ruchu i jego ręka łagodnie wróciła na mój pośladek, zjechała niżej, a on wsunął we mnie palec. Zauważył to, co ja już wiedziałam: byłam mokra. I... trochę zawiedziona.

– Nienawidzę cię za to, że pogrzebałaś szanse tej sztuki. I chciałbym ci za to zrobić krzywdę. Ale wiem, że nie możesz nic poradzić na to, że jesteś sobą. Nie panujesz nad tym, prawda?

– Więc zrób mi krzywdę – pokiwałam zachęcająco głową.

Warknął.

– Daj mi klapsa – poprosiłam. Słowa wybrzmiały szeptem. Nie miałam w zwyczaju mówić w trakcie seksu, na co mam ochotę.

Przesunęłam nogi trochę w tył i wygięłam kręgosłup, żeby wyjąć trochę tyłek i go zachęcić.

– Nie – powiedział od razu, a moją cipkę zalała kolejna fala wilgoci. Czułam się idiotycznie, aż tak się płaszcząc i łaknąc ostrego bólu, a zaraz potem cudownego ciepła, które następowało, gdy dostałam klapsa w odpowiednim miejscu, ale to, że odmówił mi tego, czego chciałam, to że miał kontrolę i że mnie upokarzał, nakręciło mnie bardziej niż takie pojedyncze doznanie.

Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Rozdzielił moje pośladki, a ja jęknęłam, nakręcona myślą, że podniecał go obsceniczny widok moich dwóch dziurek i możliwość wyboru; rozważania, czy nie wolałby pieprzyć mnie przed odbyt. Jeszcze nie próbowaliśmy seksu analnego.

Jego dłonie pozostały na miejscu, ja cały czas byłam otwarta, a on ukląkł za mną i zaczął mnie z zapalem lizać, od wejścia do cipki po odbyt. Zrobiłam się jeszcze bardziej mokra. Wsunął we mnie palce, najpierw jeden, potem drugi.

Przycisnął kciuk do mojego odbytu i sprawdzał, czy jestem gotowa. Słyszałam miękki odgłos skóry ocierającej się o skórę: masturbował się, jednocześnie mnie stymulując.

Potem się podniósł, tak jakby doszedł do granicy cierpliwości i nie mógł się dłużej powstrzymać albo już postanowił, które wejście wybrał. Naprężyłam się, nie mogąc się doczekać, aż jego kutas mnie wypełni. Wiedziałam, że to się stanie już za moment.

Kiedy w końcu złapał mnie w pasie, żeby mnie ustabilizować i wepchnął mi kutasa w cipkę, zrobił to z taką siłą, że uderzyłam ramieniem o ścianę windy, ale to i tak mi nie wystarczyło. Podniosłam się i położyłam dłonie na lustrze, żebym mogła też na niego nacierać.

Złapał mnie za szyję i zacisnął palce, odcinając mi dopływ powietrza, tak jak ja jemu kilka dni temu rano. Oboje byliśmy teraz przyciśnięci do bocznej ściany windy. Ja trzymałam się ściany, żeby stać stabilnie, twarz miałam wykręconą w bok, bo trzymał mnie za szyję, sukienkę miałam wciąż zrolowaną na brzuchu, a jego spodnie poniewierały mu się wokół kostek.

Na ułamek sekundy wpadło mi w oko nasze odbicie w lustrze: czoła mokre od potu, miny wykrzywione w wyrazie tak intensywnej przyjemności, że wyrażały niemal ból; rozczochrani i sponiewierani, dwa wcielenia cudzołóstwa.

Nie mogłam złapać tchu, kręciło mi się w głowie, beztróska unosiałam się w powietrzu i przeszło mi przez myśl, że jeśli jeszcze choć chwilę będzie mnie ścisnął za gardło, zemdleję, ale wtedy puścił i zsunął rękę na moją brodę, wpychając mi kilka palców do ust i wymuszając nietypowe *fellatio*. Ssałam.

To, co zaczęło się na tylnym siedzeniu taksówki, zbudowało napięcie, które teraz osiągało apogeum. Wir doznań, myśli, obrazów, jakieś urywki naszych twarzy odbijających się w lustrze i zdjęcia wyświetlające się w mojej głowie – to, jak widziałam się oczami Antony'ego, gdy rozchyłał mi pośladki, kiedy w górę i w dół przesuwiał skórki na swoim kutasie, liżąc mnie jednocześnie.

Echo naszych oddechów, dyszenia, jęków, ciepło zwartych ciał na tak małej przestrzeni, oczy kierowcy taksówki, kiedy próbował dopatrzeć się we wstecznym lusterku widoku mojej dziurki, świadomość, że w każdej chwili drzwi windy mogą się rozsunać i zapewnić któremuś z sąsiadów Antony'ego pornograficzną wizję nas, parzących się jak zwierzęta, doznanie jego kutasa napierającego na mnie raz za razem, jego dłonie na mojej szyi – wszystko to złożyło się na perfekcyjne podniecenie buzujące we mnie, aż poczułam, że każda komórka mojego ciała jest gotowa do eksplozji, a ja rozpadnę się na milion kawałeczków, które rozsypią się po zimnej metalowej podłodze.

Usłyszałam na korytarzu, na zewnątrz, zbliżające się do nas stłumione głosy. W tej chwili doszłam, miażdżąc jego kutasa. Moja cipka zaciskała się jak oszaląła, a całe moje ciało wiło się i drżało.

– Kurwa! – krzyknął mi Antony do ucha, a potem poczułam, że cały sztywnieje i w odpowiedzi eksploduje w moim wnętrzu.

W tej samej sekundzie jego ręka wystrzeliła w bok i nacisnęła guzik ostatniego piętra. Przez moment nic się nie działo i byłam pewna, że drzwi zaraz się otworzą i objawią wnętrze windy wszystkim, którzy tam stali, ale na szczęście kabina szarpnęła i niezauważeni przez nikogo gładko wzlecieliśmy w górę.

Opadł na mnie bezwładnie i staliśmy złączeni, aż dojechaliśmy na jego piętro.

Antony zrobił krok do tyłu, a ja westchnęłam, kiedy jego miękki już kutas się ze mnie wysunął. Uwielbiałam moment wejścia, ale

chwili wyjścia nie znosiłam. Nieważne, jak miękki był we mnie po orgazmie, jego obecność wypełniała, przynajmniej trochę.

Podciągnął spodnie i zapiął rozporek, a ja opuściłam sukienkę i zebrałam z podłogi buty.

– Mało brakowało – powiedział i odwrócił się do mnie.

To pierwszy raz tego popołudnia, kiedy widziałam jego uśmiech. Znalazł klucze i wtoczyliśmy się do jego mieszkania.

– Niech cię, Summer – powiedział. – Ciągłe jestem na ciebie wściekły za to, że tak zawładnęłaś próbą i wszystko zepsułaś. Samym tylko zbyt doskonałym wyrażeniem siebie. Gdybym mógł, chętnie bym się z tego uśmieł.

Zaschło mi w gardle.

– Więc mnie ukarż – odparłam.

Dwa tygodnie wcześniej dostawca przywiózł nową komodę w kolorze ciemnego dębu, którą Antony zamówił przez Internet. Kształt mebla nie pozwolił na wpakowanie go do windy, więc dostawcy musieli wnieść go po schodach aż na ostatnie piętro. W tym celu zaimprovizowali z grubej liny tymczasowe nosidło. Linę zostawili, bo odjeżdżali w pośpiechu.

Wrzuciłam ją do kredensu w pokoju gościnnym. Podałam ją Antony'emu.

Poruszył się przez sen.

– Dzień dobry – powiedziałam i wtuliłam się w niego na łyżeczkę, spragniona ciepła.

– Cześć. – Powoli otworzył oczy, jakby się bał, że oślepi go światło poranka. Ale na zewnątrz wstał kolejny szary dzień. Z pobliskiej rzeki dobiegł dźwięk syreny na barce.

– Masz jakieś plany na dzisiaj? – spytałam.

– Muszę podzwonić, sprawdzić, czy są jeszcze jacyś impresariowie albo inwestorzy, który mieliby ochotę dofinansować sztukę. Ale się nie łudzę. Opinia Morrisa rozniesie się szybko i zniechęci pozostałych.

– A jakieś instytucje, banki?

– To nie ich bajka. Wiem z doświadczenia. Gdybym zaproponował im kolejną adaptację Szekspira we współczesnych strojach albo z jakimś innym smaczkiem, przybiegliby w podskokach, ale trzymają się z daleka od wszystkiego, co choć odrobinę zalatuje innowacją czy eksperymentem.

– Och...

Następne dwa dni były naprawdę niezwykle trudne. Większość czasu Antony wisiał na telefonie albo umawiał się na mieście, ale bez efektów. Zapadł w beznadziejny marazm. Kiedy byliśmy razem, robił, co w jego mocy, żeby zamaskować rosnące rozczarowanie i naturalną niechęć do mnie, bo to w dużej mierze ja byłam odpowiedzialna za klęskę inwestycji.

Był wieczór, tak wyszło, że siedzieliśmy w tym samym pokoju, oboje pogrążeni w ciszy już od godziny, jeśli nie dłużej. Staralam się nie rzucać w oczy i przerzucałam kartki albumów, które zdobiły stoliki do kawy.

W tej chwili zajmowałam się księgą ze starymi mapami. To zawsze poruszało moją wyobraźnię. Otworzyłam na mapie Karaibów sprzed kilku stuleci. Ich pofalowane brzegi wcinały się w błękitny ocean.

Wydawało mi się, że morze wokół tropikalnych wysp jest raczej zielone niż niebieskie, w tym subtelnym odcieniu szmaragdu, który zawsze wydawał mi się kojący i zmysłowy. Wróciłam myślami na Wyspę; i do krótkiej rozmowy z Aurelią i Andreiem.

– Muszę się napić – stwierdził stanowczo Antony.

Wiedziałam, że w tym momencie to ostatnie, czego mu trzeba. Minęły tygodnie od ostatniego picia i wiedziałam, że jeśli kolejny raz wyruszy tą niebezpieczną ścieżką, mogę go stracić. Nie znałam innego sposobu na wybaczenie niż liny.

– Musisz?

Spojrzał mi w oczy i wiedziałam, że on też to wie. Był rozdarty.

Przyjęłam do wiadomości klęskę i spojrzałam z powrotem na stronicę książki. Wyspa. Ta Wyspa. Wpadł mi do głowy strzęp szalonej myśli. Wyglądała, jakby tonęła, opadła już na dno oceanu, a teraz mknęła w górę, bez tchu, żeby wydostać się na powierzchnię jak ludzka torpeda.

– Znam ludzi, z którymi możemy porozmawiać o inwestycji – powiedziałam. – Myślę, że mogliby rozwiązać nasze problemy.

Antony podniósł wzrok pełen nadziei.

9. Namiot pełen luster

Mimo wzlotów, upadków i wszystkiego, co pomiędzy w tym zmysłowym szaleństwie z Antonym (i jego cycatą aktorką), ani na chwilę nie zapomniałam o propozycji, którą złożyli mi fascynująca Aurelia i jej towarzysz, Andrei, na Borough Market. Myślałam często o wizytówce, którą schowałam w rogu szuflady przy łóżku.

Świeciła w ciemności jak latarnia morska, a jej nieustające tętnienie wracało do mnie, ilekroć zamyśliłam się w czasie pracy nad sztuką, jakby chciała mi przypomnieć o istnieniu cudowniejszych form szaleństwa. O nagłej możliwości wybrania innego życia, fascynującego, ale niebezpiecznego, satysfakcjonującego, ale i pełnego znaków zapytania.

Problem w tym, że nie mogliśmy sobie pozwolić na kolejną próbę czytaną w pełnej obsadzie ani żadną próbę kostiumową, żeby posunąć sztukę naprzód zgodnie z wizją Antony'ego.

Jeśli w najbliższym czasie nie dostaniemy zielonego światła i funduszy na rozwój, większość artystów i techników, których zaprosiliśmy do współpracy i którzy gotowi byli do pracy nad tekstem i dalszej realizacji naszych planów, będą zmuszeni podjąć inne zajęcia. Ani pieniądze Antony'ego, ani moje nie wystarczyłyby na utrzymanie tak szeroko zakrojonego projektu.

Wybrałam numer zapisany na wizytówce.

Po trzecim dzwonku włączyła się automatyczna sekretarka z prośbą o zostawienie numeru telefonu i obietnicą, że wkrótce ktoś do mnie oddzwoni.

Zdumiała mnie tak oschła forma kontaktu. Ale w sumie, czego się spodziewałam? Że Aurelia i Andrei będą dzień i noc warować przy telefonie, w nadziei że jednak się odezwę? Powinnam się domyślić, że mieli inne, znacznie przyjemniejsze rzeczy do roboty.

Prawdopodobnie zresztą już dawno machnęli na mnie ręką. Najwyraźniej miałam przerośnięte ego i zbyt wydumane pojęcie o swojej ważności. To występy na scenie i pełen hipokryzji zwyczaj nagradzania artystów brawami mi to zrobił. Byłam rozpuszczona. Należało się już czegoś w życiu nauczyć.

Ale zostawiłam numer, pokładając nadzieję w bzyczącej ciszy na drugim końcu linii. Dzwoniłam od siebie, z Clapham, powodowana pełną niepokoju wiarą, że Antony potrzebuje czasu dla siebie, by uporać się z rozczarowaniem, ale gorączkowo modliłam się, żeby nie zaczął znów pić. Ja zresztą też potrzebowałam przestrzeni, żeby oczyścić umysł.

Mogłam już tylko czekać.

I mieć nadzieję.

Żeby się nie snuć bez sensu, spojrzałam na półkę z moimi skrzypcami i z determinacją sięgnęłam po te, na których zwykle ćwiczyłam. Grałam przez wiele godzin jak szalona, przerabiając wszystkie znane mi ćwiczenia, wędrowałam w górę i w dół po skali, zwiększając cały czas poziom trudności, aż w końcu, pod wpływem odruchu, zagrałam też *Chaconne* Bacha, jeden z najbardziej skomplikowanych utworów solowych na skrzypce, jaki kiedykolwiek

udało mi się wyćwiczyć. Potem za bardzo już bolał mnie nadgarstek i podbródek. Zapadł zmierzch.

Telefon zadzwonił około północy.

Nie odezwała się ani Aurelia, ani Andrei, tylko jakaś starsza kobieta, zdystansowana, obojętna, o przyjemnym akcencie, który rozpoznawałam, ale w tym gorączkowym stanie nie byłam w stanie go umiejscowić.

– Są za granicą – poinformowała mnie.

– Och...

– Ale przekazałam im, że pani dzwoniła i z radością się z panią spotkają.

– Kiedy?

– Jutro po południu. Poleci pani z nami.

– Dokąd?

– Samochód przyjedzie o siódmej rano – mówiła dalej.

– Wiecie, gdzie mieszkam?

– Oczywiście... Będzie pani z powrotem w Londynie przed wieczorem, więc nie ma potrzeby się pakować.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. To było aż nierealne. Ale z drugiej strony wszystko, co dotyczyło Aurelii, jej świty oraz Wyspy takie właśnie było.

– Dobrze – wymamrotałam i połączenie zostało przerwane.

W co do cholery mam się ubrać? Mogła przynajmniej orientacyjnie powiedzieć, dokąd lecimy.

Samochód przyjechał punktualnie. Była to smukła szara limuzyna, metalik, a prowadził ją szofer w dopasowanym do niej kolorystycznie uniformie.

– Proszę pani? – powiedział jedynie, żeby dać znać, że mnie zauważył. Otworzył przede mną drzwi i pojechaliśmy na południe.

Na pasie lotniska w Croydon, maleńkiego przybytku, o którego istnieniu nie miałam dotychczas pojęcia, stał mały prywatny odrzutowiec. Przy schodkach czekała na mnie stewardesa. Blondynka, o idealnej figurze, z przyklejonym uśmiechem, także ubrana na szaro.

Kiedy ruszyła przede mną po schodach w stronę drzwi do samolotu, spódnica sięgała jej ledwie do połowy uda, a ja nie miałam wyboru jak tylko kontemplować rozkołysany ruch jej jędrnego tyłka, który napierał na cienki materiał na wysokości moich oczu.

Wskazała mi fotel, podała kieliszek z ciemnego szkła, w którym pienił się jakiś zielony drink, potem zapięła mi pas i na czas startu usiadła na swoim fotelu, naprzeciwko mnie. Cały czas patrzyła na mnie wodnistoniebieskimi oczami. Była zatopiona w myślach, a pomalowane usta nadawały jej twarzy wyraz nabydyczenia.

Wkrótce znaleźliśmy się w chmurach, zostawiając zielone krajobrazy Anglii. Chwilę lecieliśmy nad wodą, a potem znów nad lądem, składającym się z szachownicy jasnobrązowych pól oraz rzek. W ciągu godziny wznieśliśmy się nad górami pokrytymi śniegiem, a pilot oznajmił, że będziemy schodzić do lądowania na wybrzeżu Morza Śródziemnego.

Na pustym pasie prywatnego lotniska nad brzegiem szmaragdowego oceanu czekała na nas identyczna jak rano limuzyna. Mogłabym też przysiąc, że kierował nią ten sam szofer, który zabrał mnie spod domu w Londynie. Może pochodzili z tej samej linii produkcyjnej.

Willa stała na wzgórzach. Biała, skromna, dyskretnie otoczona koronami dębów i bujnymi krzakami. Brama cicho się za nami zamknęła, a samochód ruszył podjazdem.

Aurelia czekała na w drzwiach. Cała ubrana na biało, skąpana w mocnym popołudniowym słońcu. Jej długie nogi odznaczały się pod cienkim materiałem, umożliwiając mi od czasu do czasu rzut oka na tatuaże. Nigdzie nie widziałam Andreia.

Piliśmy na tarasie lemoniadę ze świeżo wyciśniętego soku. Aurelia siedziała na ławce i w zamyśleniu głaskała mnie po kolanie.

Jej spokój kusił i fascynował. Z jednej strony była odległa, królewska i pewna siebie, z drugiej emanowała szczerym zainteresowaniem i zrozumieniem, czułam je. Była po prostu piękna, nie potrzebowała makijażu ani żadnych sztuczek.

A zaskakujące sploty liści, kwiatów, słów i mitycznych stworzeń, które pojawiały się na nieosłoniętych partiach jej porcelanowobiałej skóry, hipnotyzowały. Tak samo jak te zamaszyste obrazy, które pozostawały ukryte przed moim wzrokiem i których istnienia mogłam się tylko domyślać.

Wydawało mi się zresztą, że wizerunki na jej skórze żyją własnym życiem. W jednej chwili były, w drugiej już nie, albo były, ale kilka centymetrów dalej, jakby płynęły.

– Wiedziałam, że przyjedziesz – powiedziała.

– Czy to nie arogancja?

– Nie. Niektóre rzeczy po prostu muszą się zdarzyć.

Wyłuszczyłam swoją prośbę. Podkreśliłam, że próba, którą chcielibyśmy zorganizować dla niej i jej organizacji, żeby zdobyć ich zaufanie, a w efekcie fundusze, będzie z konieczności bardziej okrojona niż ta dla Samuela Morrisa.

Wyjaśniłam, jakie przedstawienie chcieliśmy wyprodukować oraz że wielu aktorów, którzy mieli z nami grać, porzuciło ten projekt i podjęło inne zobowiązania, nie mogąc poświęcać się sztuce, której szanse na powodzenie były teraz znikome.

Aurelia szybko przerwała ten potok słów, może wyczuwając moją desperację i niechęć do błagania.

– Pan Morris złożył nam raport – stwierdziła. – Pomysł brzmi ciekawie, ale z artystycznego punktu widzenia byłby wyzwaniem.

– Morris?

– To mały światek – powiedziała Aurelia. – Nasza organizacja ma rozległe kontakty, bo szczycimy się nieustannym wyczuleniem na nowych artystów i projekty pasujące do naszej wizji. Kilkakrotnie pomagaliśmy Morrisowi przy finansowaniu jego przedsięwzięć. To nieuniknione, że echa twojego występu na próbie dotarły i do nas. Muszę przyznać, że nie miał wątpliwości, kto był gwiazdą.

– Nie planowałam tego – wtrąciłam. – Miałam tylko zapewnić tło muzyczne.

– W każdym razie chętnie zaangażujemy się w projekt.

Poczułam, jak z ramion spada mi wielki ciężar.

Uśmiech Aurelii pozostał nieprzenikniony.

Wstała z miejsca.

– Przejdźmy się – zaproponowała i podała mi rękę.

Jej delikatny nadgarstek oplatały nieczytelne dla mnie słowa po łacinie. Przeszliśmy na tył willi. Duży pokój otwierał się na taras wychodzący na zarośnięty ogród wypełniony bujną roślinnością i kwiatami. Na pierwszy rzut oka wydawał się zapuszczony i zaniedbany, ale po bliższym przyjrzeniu się doszłam do wniosku, że został zaprojektowany w taki sposób, żeby dawać złudzenie dzikości.

– Piękny, prawda? – spytała, a delikatne zapachy lawendy, róż, bugenwilli, magnolii, wyglądających jak zmutowane mięsożernych orchidei i całej parady kolorowych jak tęcza kwiatów, których nazw nie znałam, przyleciały ku nam i skąpały nas w chmurze odurzających aromatów.

Do ogrodu prowadziły schodki.

Postawiłam stopę na trawie i przypomniało mi się na moment doświadczenie z winoroślami na zaklętej Wyspie. Delikatny jak babie lato dotyk Aurelii prowadził mnie przez labirynt krzaków i rabat kwiatowych.

Bachanalia seksualnych ekscesów, doznania na granicy szaleństwa i niebiańska muzyka, której nie potrafił wykrzesać nawet

mój Bailly, przemknęły mi przez myśl i wyobraziłam sobie, że gram w tym otoczeniu.

– Tak! – powiedziała Aurelia, jakby czytała mi w myślach. – Sztukę można grać gdziekolwiek. Prawdziwy teatr nie jest konieczny, prawda?

– Ale na pewno najpierw musisz ją przeczytać, zobaczyć?

– Już to zrobiliśmy.

Nie ośmieliłam się zapytać jak. Czy Morris z ukrycia nagrał przebieg próby, na zlecenie Aurelii i jej ekipy? Czy może jego decyzja o odrzuceniu sztuki miała zaprowadzić mnie prosto w szpony Aurelii, Andreia i mocy władających Wyspą? Wydawało mi się, że zaciska się wokół mnie jakaś sieć, a życie znów mi się wymyka spod kontroli.

Lawirowałyśmy między pniami drzew, stąpając po kobiercu brązowych, gąbczastych liści. Za radą Aurelii kilka minut wcześniej zdjęłam buty. Dla wygody, ale też żeby poczuć rozkoszną wilgoć ziemi i trawy pod stopami.

– Nie stresuj się, Summer – szepnęła Aurelia. – Będzie dobrze.

Na końcu ogrodu natrafiłyśmy na mały basen w kształcie łyży. Kilka bogato rzeźbionych metalowych krzeseł stało przy pasującym do nich stoliku tuż nad krawędzią.

Woda lśniła w upalnym świetle popołudnia. Pojawił się szofer w szarym uniformie i rozłożył na stoliku kraciasty obrus, a na nim postawił dzbanek z wodą z lodem i dwie szklanki. Potem dyskretnie oddalił się w stronę domu.

– Masz ochotę? – Aurelia wskazała w stronę napoju i basenu.

Usiadłyśmy.

Przedstawiła mi propozycję. Kolejna próba czytana w komplecie nie będzie konieczna. Wystarczy, że Antony i Alissa przeczytają wszystkie kwestie, a ja zagram muzykę, którą stworzyłam na potrzeby spektaklu. Jeśli Aurelia i jej przyjaciele będą usatysfakcjonowani, a ich oczekiwania zostaną spełnione, ich organizacja z przyjemnością sfinansuje ograniczoną liczbę pokazów w Londynie.

Proponowaliby, poddając to pod naszą rozagę, inne miejsce niż teatr, bo na West Endzie i wśród teatrów alternatywnych trudno będzie coś znaleźć z tak niewielkim wyprzedzeniem.

Nie chcieliby też pracować w odgórnie określonym otoczeniu, więc proponują, żebyśmy występowali na scenie bez scenografii, a w zamian za to oni udostępnią swoich tancerzy i artystów, którzy, jak sądziła Aurelia, dodadzą sztuce więcej kolorów i radości niż scenografia.

Kiedy byłam w podróży, ona omówiła to z Antonym, który nie miał nic przeciwko zasugerowanym przez nią zmianom. Wręcz przeciwnie, zdradziła mi, wydawał się usposobiony raczej entuzjastycznie.

Pomyślałam sobie, że na tym etapie będzie pewnie skakał z radości na myśl, że sztuka może zostać wystawiona w jakiegokolwiek formie, ale chociaż wizje Aurelii i Andreia były raczej nieortodoksyjne, przynajmniej nie skomercjalizują całego przedsięwzięcia tak, że nie straci niż z artystycznego ducha.

Umówiliśmy się, że spotkamy się ponownie w najbliższym tygodniu w Londynie na prezentację muzyki i tekstu, poinformowała mnie Aurelia.

– A ty...

– A ja? – spytałam?

– A ty zgodzisz się dołączyć do naszego Balu na trzy miesiące zaraz po ostatnim londyńskim pokazie sztuki. To jeden z naszych warunków.

– Rozumiem.

– Musisz wiedzieć, że zysk z ograniczonej liczby prezentacji w żaden sposób nie pokryje naszej inwestycji w sztukę. Nie, żeby nas to szczególnie obchodziło, ale myślimy długoterminowo...

– Nie jestem pewna, czy moja agentka się zgodzi. Mam zaplanowane inne projekty. Koncerty, trasy...

– Oczywiście, zdajemy sobie z tego sprawę. Ale jestem pewna, że możemy złożyć ofertę, którą twoja agentka przyjmie z przyjemnością.

Wydawała się pewna siebie.

Nalała wody do szklanek.

– Planujemy grać przez cały tydzień – powiedziała. – Zajmiemy się logistyką: miejscem, rezerwacjami, biletami... Zrobimy też dyskretną reklamę. Poinformowaliśmy Antony'ego, że na ostatni, finałowy spektakl wstęp będzie tylko za zaproszeniami.

– Zgodził się?

– To część umowy.

Widziałam po prostu jego minę, kiedy odczytywano mu warunki. Ale wiedziałam, że żebracy nie wybrzydzą, a oboje tyle zainwestowaliśmy w ten projekt, że po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, porażka byłaby wielkim ciosem.

Ogrodowe zapachy stawały się coraz intensywniejsze, wznagały się wraz ze śródziemnomorskim upałem. Wzięłam głęboki wdech.

– Zmęczona? – spytała Aurelia, obserwując mnie.

– Trochę.

– Może popływamy? – zasugerowała i nie czekając na moją zgodę czy reakcję, wstała i szybkim, wprawnym ruchem rozwiązała dwie tasiemki łączące poły białej cienkiej sukienki, która opadła na ziemię.

Aż głośno westchnęłam.

Sieć tatuaży na jej zjawiskowym ciele była jeszcze rozleglejsza, niż się spodziewałam. Z jakiegoś powodu nie zauważyłam ich wcześniej. Może to zależało do światła? Albo była to po prostu kolejna tajemnica Aurelii. Pokrywały jej ciało od nasady szyi do stóp.

Złożone konstrukcje z tuszu i białej skóry jak splecione gałęzie drzew i mitologicznych stworzeń. I słowa: kaligrafie w językach, których nie rozpoznawałam. Obrazy demonów i aniołów w intymnej bliskości. Fauna i flora: nieśmiertelne bestie i kwiaty, też połączone. Tylko twarz, dłonie i stopy były pozbawione atramentowych zdobień.

Przesuwałam wzrokiem po jej ciele. Było całkowicie wydepilowane, a smoczy język zsuwał się od pępka do wąskiej doliny warg, wymalowanych, kuszących, prowokujących i cudownie lubieżnych.

Nie mogłam oderwać wzroku od jej łona.

Aurelia wciąż się uśmiechała, emanowała uprzejmością i akceptowała mój nachalny wzrok.

Byłam oczarowana.

A ona w końcu stanęła nad brzegiem basenu i skoczyła.

Jej głowa przecięła powierzchnię wody.

– Chodź, dołącz do mnie...

Niezdarnie zdjęłam letnią sukienkę i na palcach podeszłam do krawędzi basenu. Przez chwilę stałam nago. Wystawiona na spojrzenia. Sama. Patrzyłam na wodę marszczącą się wokół wymalowanego ciała Aurelii.

– Ty też jesteś piękna, wiesz? – powiedziała.

Schyliłam głowę i skoczyłam, ale wyglądało to bardziej na plaśnięcie na bombę niż zanurkowanie. Aurelia powitała mnie perlistym śmiechem.

Pływałyśmy.

Dwie godziny później odwieziono mnie z powrotem na lotnisko.

Aurelia i jej ekipa wzięli na siebie organizację oraz kwestie artystyczne. Cechowały ją takie takt i dyplomacja, że zmiany przechodziły gładko i bezboleśnie, chociaż można było o nich powiedzieć wszystko, tylko nie to, że były drobne.

Wręcz przeciwnie, Aurelia przedstawiła plany, które radykalnie różniły się od naszych pierwotnych zamiarów, szczególnie w aspekcie ascetycznej scenografii, oświetlenia i tego typu spraw, jednak nie wywołało to wściekłości wśród ekipy, która z nami pozostała.

Wszystkim wydawało się, że ścieżka, którą szliśmy, po prostu w cudowny sposób zmieniła kierunek, a my podążamy nią nadal, nie zauważywszy nawet, że coś jest nie tak.

Czułam, że z moich barków zdjęto wielki ciężar, gdy moje zaangażowanie ograniczyło się już tylko do grania tego, co chciałam i kiedy chciałam, bez zastanawiania się, jak się to wpasuje w scenariusz ani czy spodoba się widzowi. Oczywiście oczekiwano, że to, co zagram, będzie jednak pasowało, ale Aurelia podkreślała raz za razem, że ufa, że przygotuję odpowiedni materiał i uważa, że taki sposób pracy wyjdzie sztuce na dobre.

Był to układ idealny, pomijając moje okazjonalne ataki zwątpienia w siebie i myśli typu: a może jestem świrem, któremu udało się omamić Aurelię i wmówić jej, że jakimś cudem dam radę skomponować muzykę, a nie tylko ją wykonać, co robiłam przecież przez całe życie aż do teraz?

Nawet Antony był tak zadowolony, że przekazał ster komuś innemu. Aurelia go hipnotyzowała. Zauważyłam to, gdy któregoś ranka widziałam ich razem na kawie, omawiających ostatnie szczegóły.

Nalał do filiżanki mleka, chociaż zawsze pił czarną i był nietypowo dla siebie niezdarny: upuścił na podłogę notatki, potknął się, przechodząc przez próg i strasznie się jąkał przy wyjaśnianiu, co chciał przekazać w tej sztuce, choć przemowę na ten temat słyszałam z jego ust już setki razy. Całkowicie to rozumiałam. Na mnie robiła takie samo wrażenie.

Antony, jak mi wyjaśnił, był przyzwyczajony do wycofywania się ze swoich planów, kiedy było to konieczne, bo inwestorzy często przejmowali kontrolę nad przedsięwzięciem i oczekiwali zmian, które zadowolą publiczność. To część pracy w teatrze, a raczej każdej artystycznej inicjatywy oferowanej widowni. Cena, którą trzeba zapłacić, żeby mieć widzów.

Przez następne tygodnie, kiedy sztuka przechodziła ostatnie szlify, prawie go nie widywałam. Scenariusz pozostał, ale Aurelia zasugerowała zmiany w wyglądzie sceny, a także wprowadziła tancerzy i innych artystów, których jeszcze nie widziałam, bo trzymano ich przede mną w tajemnicy. To był szalony pomysł, jeszcze bardziej wariacki niż mój pierwotny plan, ale na jakimś tam poziomie miał głęboki sens.

Aurelia chciała, żeby muzyka była całkowitą improwizacją i uważała, że im bardziej niespodziewane będą dla mnie wszystkie elementy przedstawienia, tym moja gra będzie bardziej spontaniczna, pierwotna i płynąca z mojego wnętrza w reakcji na to, co się będzie wokół mnie działo.

Chciała uniknąć planowania, choćby w najmniejszym stopniu. Zagram to, co pojawi się w moim sercu i w duszy, każdego wieczoru od nowa, eliminując intelektualny wpływ, który chciałby wyrzucić rozum.

Nie powiedziano mi nawet, gdzie odbędą się przedstawienia. Dowiedziałam się, dopiero gdy w wieczór premiery przyjechaliśmy na miejsce. Antony i Alissa brali udział w próbach kostiumowych razem

z Lauralynn i Viggim, którzy też zostali zaangażowani, ona do pracy przy oprawie muzycznej, on przy scenicznej, ale żadne nie pisnęło choćby słowem, jak będzie wyglądała scena ani dokąd udamy się w kolejne wieczory.

Brak wpływu na bieg wydarzeń był dla mnie kojący. W pewnym sensie byłam uległa wobec Aurelii, co przychodziło mi równie łatwo jak uległość w sypialni.

Późnym popołudniem przyjechał samochód i zabrał mnie z Clapham do Clapton. Wcześniej, jak mieszkałam w Hoxton, regularnie bywałam w różnych miejscach w Hackney, ale nie zapuszczałam się dalej na wschód niż do London Fields, na Broadway Market albo żeby popływać w basenach Lido.

W każdym razie z całą pewnością takiej lokalizacji się nie spodziewałam. Jednak znając Aurelię w takim stopniu, w jakim znałam, nie zdziwiłam się, że ona i jej współpracownicy zdołali zaczarować nawet nierówny trawnik w Hackney Down Park, po którym szłam z futerałem pod pachą w kierunku wielkiego namiotu, wskazanego przez szofera.

Kiedy przyjechałam, było jeszcze jasno. Ubrałam się zwyczajnie, w legginsy wyglądające jak obcisłe džinsy z wysokim stanem, buty na płaskim obcasie i długą bluzkę wiążaną na szyi. Miałam ze sobą tylko skrzypce, bo Aurelia uprzedziła, że kostiumy i makijaż będą na miejscu, więc mogę się nie stroić, jak zwykle robiłam przed ważniejszymi występami.

Z zewnątrz namiot wyglądał jak wielki cyrk o sześciokątnej podstawie, ze ścianami z drewna w ciepłym kolorze. Dach namiotu był nakryty wściekle czerwonym aksamitem. Z każdego kąta błyskały wesołe światełka i wyobraziłam sobie, jak zachwycająco będzie to wyglądało po zmroku.

Do rozciętej w połowie kotary, funkcjonującej jako drzwi wejściowe, prowadził czerwony dywan strzeżony przez ochroniarza, którego funkcję pełniła niska kobieta ubrana w czerwono-złotą liberię i czapkę zakrywającą całe czoło, godną motorniczego tramwaju. Zmieniła pozycję, kiedy podeszłam i zauważyłam okazałe mięśnie wybrzuszone pod ubraniem.

Musiała być bardzo silna, czego jej rozmiary w ogóle nie sugerowały. Pokazałam jej identyfikator, a ona machnęła ręką, żebym szła dalej.

W przedsionku wisiały plakaty. Czarno-białe, przypominające trochę arkusz z testu Rorschacha. To, co pod pewnym kątem wyglądało jak wgłębienie w pudle skrzypiec, z innego przypominało wąską talię, a z jeszcze innego sterczące biodro. Wzięłam program i przejrzałam go.

Dzienniki skrzypcowe

Erotyczne, niecodzienne doświadczenie teatralne

Zostawcie przyjaciół i zahamowania, pozwólcie muzyce zabrać was, gdzie zapragnie...

Gości zachęcano do przybycia w strojach koktajlowych lub fantastycznych sukienkach, inaczej ryzykowali przymusowe

przebieranie przy wejściu. Każdy wieczór miał inny temat przewodni. Dzisiejszy brzmiał: marionetki. Inny: menażeria. Każdy miał dostać maskę, której nie wolno było zdejmować.

Z poczuciem winy odłożyłam broszurkę, bo wiedziałam, że nawet czytanie materiałów promocyjnych łamało zasady ustalone przez Aurelię. Weszłam na salę, żeby znaleźć kogoś, kto mógłby mi wskazać, gdzie są garderoby, a w każdym razie miejsce pełniące ich funkcję.

Poczułam intensywny, ostry zapach drewna, który przywołał lawinę wspomnień z dzieciństwa. Podłoga była zasypana trocinami wdeptanymi w nią siłą miliona kroków, więc wyglądało na to, że namiot stał tu od zawsze, choć zbudowano go dopiero w zeszłym tygodniu. Nie było foteli.

Podwyższenie, swoistą sceny, zajmowało przeciwległy kraniec pomieszczenia, a przed nim znajdowało się odgrodzone miejsce dla orkiestry. Od podłogi do sufitu wznosiły się lustrzane kolumny, ustawione pod różnymi kątami, nieprzesłaniające jednak widoku sceny. Na ścianach też wisały lustra. Gdziekolwiek spojrzałam, widziałam swoje odbicie.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, jak to będzie, gdy znajdzie się tu widownia, wszyscy w maskach i przebraniach. Czy bilety w ogóle się sprzedały? Nawet tego nie wiedziałam. Ale miałam nadzieję, że tak. Już się domyślałam, jak niezwykły będzie ten wieczór, jeśli plany Aurelii wypalą. Uczyni widzów częścią przedstawienia, zachęci do zerwania z ograniczeniami.

Nie było wyznaczonych miejsc, więc grupy będą musiały się rozdzielić, a ponieważ będą mieć zakryte twarze i inne niż na co dzień stroje, łatwiej im będzie iść za instynktem, nie obawiając się towarzyskiego ostracyzmu. Wiedziałam, że Dominikowi spodobałaby się forma adaptacji jego sztuki, trochę zdradzonej, ale i wzbogaconej.

Nie licząc luster, nie widziałam żadnej scenografii, wewnątrz było surowe. W centrum uwagi znajdowała się nie scena, ale ludzie wypełniający ją i widownię. Wydawało mi się, że specjalnie nie ma tabliczek kierujących gości do toalety, żeby w ten sposób wymusić na nich poszukiwania. Moja muzyka będzie spoiwem trzymającym to wszystko w kupie. Będę jak Flecista z Hameln, zapraszający ich do udziału.

Jeśli mi się uda.

Nerwowo zabalgotało mi w brzuchu. Zaczynało mnie mdlić. Usłyszałam za plecami znajome kroki, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam idącą od głównego wejścia Lauralynn z dużą płócienną torbą na ramieniu i ciągnącą za sobą wielką walizę. Miała skórzane buty przypominające glany, których nigdy wcześniej u niej nie widziałam.

Wyglądały na stare i znoszone, ale znając Lauralynn, obstawiałam raczej, że to nowiutkie, firmowe buty, nad którymi ktoś ciężko pracował, żeby nadać im efekt zużycia. Granatowe džinsy zjechały jej nisko na biodra, a bawełniany podkoszulek był nietypowo dla niej luźny, ale za to na tyle krótki, że odsłaniał talię.

Nigdy nie słyszałam, żeby cokolwiek ćwiczyła, poza wygibasami, jakie wyczyniała w sypialni, a brzuch miała nadal płaski jak deska. I chyba pierwszy raz miała na sobie stanik.

– No to chodź – powiedziała. – Zostałam wyznaczona na twoją garderobianą. Możemy zaczynać. Zresztą i tak nie powinno cię tu być.

Zaproponowałam, że wezmę torbę, ale kiedy przewiesiła ją na moje ramię, w ostatniej chwili powstrzymałam się od zrzucenia jej na podłogę.

– Jezu, co ty tu masz?! Cegły?

– Makijaż. Dla ciebie.

Okazało się, że to pojemniki z farbą do ciała w kolorach dopasowanych do każdego chyba odcienia skóry, jaki występował na tej planecie. Czworo makijażystów, każdy wyposażony w walizkę pełną pędzli w różnych rozmiarach i paletę z farbami w neutralnych odcieniach skóry dopasowanych do każdego fragmentu mojego ciała pracowicie wymalowało mnie całą, od stóp do głów.

– Stój! – wrzasnęła nagle Lauralynn, kiedy ruszyłam w stronę wielkiego lustra, stojącego na samym końcu naszej zaimprovizowanej garderoby na tyłach sceny za przepierzeniem. – Zamknij oczy!

Zrobiłam, jak kazała, a ona poprowadziła mnie do lustra, a potem włożyła mi do rąk skrzypce. Odruchowo podniosłam je i oparłam brodę na podpórce.

– Teraz otwórz.

Efekt był powalający. Od szyi w dół zostałam pomalowana tak, żeby przypominać Bailly'ego: w ciepłych odcieniach brązu i złota, z

efektem wypolerowania. Każdy prążek, każde znamię występujące na pudle skrzypiec znalazły się też na moim ciele, ostatecznie przypieczętowując wizję zmysłowej więzi łączącej skrzypce z grającą na nich kobietą. Tak naprawdę trudno było powiedzieć, gdzie się kończyłam, a gdzie zaczynały skrzypce, ani kto tu na kim grał.

Tylko trójkąt między piersiami, gardło i twarz pozostały białe. Czerwone policzki i usta były tak mistrzowsko umalowane, że wyglądały naturalnie, ale jednocześnie i kości policzkowe, i wargi błyszczały, pełne i kuszące. Włosy opadały mi na ramiona kaskadą rozwichrzonych loków, co dawało efekt zwykłego rozczochrania, ale uzyskanie go zajęło kilka godzin. Oko nie było pomalowane mocno, ale na ciemny kolor i w kocim kształcie.

Lauralynn także była pomalowana, ale zamiast upodobnić się do wiolonczeli, wyglądała jak drewniana kukielka. Błyszczała, jakby została polakierowana. Włosy miała ściągnięte w ciasny koczek, a róż i cienie do oczu wydawały się w jakiś przedziwny sposób ożywione, wydawała się animowaną wersją siebie. Była całkiem naga, a każdy skrawek jej ciała był pokryty farbą, z wyjątkiem bujnego owłosienia łonowego.

– Wow! – powiedziałam, widząc to. – Przestałaś chodzić na wosk?

Odkąd znałam Lauralynn, zawsze była tam wydepilowana.

– Nie – wyszczerzyła zęby. – To tupecik! Efekt jest jeszcze bardziej pornograficzny, nie?

Faktycznie, miała rację.

Członkowie orkiestry skompletowanej przez Aurelię i Vigga w celu kontrowania moich skrzypcowych solówek zostali potraktowani w ten sam sposób i wszyscy byli nadzy. Większość mężczyzn miała całkowicie wiotkie penisy, a ja nie mogłam się powstrzymać od patrzenia na ich kołyszące się jądra i zastanawiania się, jak duże mogą być fiuty, kiedy stwardnieją.

Jeden tylko, flecista, wyglądający najwyżej na dwudziestolatka, był już w połowie drogi do erekcji. Nie wiedziałam, czy publiczne podniecenie go krępuje, bo spod makijażu na twarzy nie było widać rumieńca. Muzycy zostali wybrani ze względu na zdolności muzyczne, nie na jędrność ich nagich ciał, bo było tu sporo tłuszczu i okrągłych kończyn, ale widziałam także smukłe i jędrne osobniki.

Nie wszystkie piersi, które wpadły mi w oko, były młode. A jednak było w tym piękno, prostota i naturalność obnażonych ciał, nagich i jednocześnie zakrytych. Doskonały makijaż nadał nawet tym starszym niezwykle powab.

Zadzwonił dzwonek, oznaczający pięć minut do rozpoczęcia przedstawienia i w pomieszczeniu wokół nas zaroilo się od ludzi. Nie widziałam ich zza kotary otaczającej scenę, ale wyczuwałam – po natężeniu odbijających się echem szeptów, po oddechach, lekkich i szybkich krokach – że tych ludzi cechuje inna energia niż widownię, dla której zazwyczaj grałam.

Muzyka klasyczna gromadzi specyficznych widzów, ale ci byli inni. Czekali, aż coś się wydarzy, pragnęli zostać częścią wydarzenia, dać się poruszyć muzyce, kołysać się, podskakiwać i wpadać na

siebie. Raczej jak przed koncertem rockowym, a nie recitalem muzyki klasycznej.

Kolejny dzwonek i kurtyna zniknęła. Czerwone aksamitne fale ruszyły w górę, podciągnięte przez system belek i bloczków niewidocznych pod dachem namiotu.

Na widok nagich ciał przed sceną widownia wstrzymała oddech. Odbijały się w starannie rozplanowanych lustrach, tak że orkiestra wydawała się dwa razy większa, a ich nagość była wyeksponowana pod każdym możliwym kątem.

Zaczęłam grać.

Motyw z *Ognistego ptaka* Strawińskiego.

Nastrój w namiocie stawał się coraz cięższy i dziwniejszy, czy to z powodu wymuszonego dress-code'u, czy też stałej obecności Aurelii, Andreia i znajomych już twarzy tancerzy i innych, cichych pracowników Sieci, rozstawionych w namiocie niczym milczący chór grecki.

Viggo został zaangażowany, z pewnością za godziwym wynagrodzeniem, do nagrania moich występów w czasie dwóch wieczorów otwarcia, więc później nie musiałam już grać. Uwolniło mnie to od stresu i dało możliwość zatopienia się głęboko w sztuce, w akcji. Lauralynn zgodziła się wziąć na siebie niektóre sekcje, przełamując tony skrzypiec bardziej męskimi dźwiękami wiolonczeli.

Miks Vigga wzbogacił melancholię mojej muzyki, a nawet wyjaskrawił chwilowe porywy pasji i fantazji, które władały mną czasem w czasie improwizacji, to wtedy traciłam kontakt z

rzeczywistością. To tu, to tam dorzucił elektroniczne przestrzenie dźwięku, które jakimś cudem pasowały jak ulał, jakby czytał w moich myślach.

Stopniowo sztuka nabierała nowego wymiaru i co wieczór była inna, bo Antony robił obfite notatki, które przekazywał następnie Alissie i kilkorgu innym aktorom (z których większość grała teraz dwie czy trzy role), żeby zmienić trochę sposób ich gry.

Z oryginału zaczęły wypadać słowa, kiedy pozbywał się dialogów, a potem znikaly już całe fragmenty, bo sztuka stawała się raczej widowiskiem muzyczno-wizualnym, nie bazowała już na mocy nagich słów. Obserwowałam te zmiany z mieszanymi uczuciami.

Z jednej strony podziwiałam odbywający się na moich oczach proces artystyczny, ale z drugiej żałowałam tych rdzennych elementów tekstu, które przypominały mi Dominika.

Nie było dwóch takich samych przedstawień, a sztuka nieustannie ewoluowała, jakby na bieżąco dostosowując się do reakcji różnorodnej widowni.

Byli zachwyceni.

Bilety rozchodziły się jak świeże bułeczki.

Antony błagał, żeby przedstawień było więcej, ale lustrzany namiot został już wynajęty przez trupę cyrkową z południowej Europy i zaraz po naszym ostatnim występie miał zostać spakowany i odwieziony. Mimo to Antony miał nadzieję, że sława sztuki skusi jakiś teatr z West Endu i będziemy mogli się przenieść.

Zbliżało się ostatnie przedstawienie naszego niezmordowanie rozwijającego się dzieła.

Tydzień minął jak w gorączkowym śnie.

Począwszy od premier aż do teraz, sztuka zmieniła się radykalnie, przechodząc metamorfozę ze spektaklu na spektakl, eliminując tekst i stawiając na emocje, a bezbarwne tło zmieniając w groźącą wybuchem bombę.

Co wieczór, gdy tylko schodziliśmy ze sceny, byliśmy gotowi od razu na nią wrócić, kusilo nas zrobienie jeszcze kroku naprzód i sprawdzenie, jak daleko się posuniemy, zanim coś trzaśnie. To było artystyczne szaleństwo, dyskretnie podsycane przez Aurelię na zebraniach, choć ona i jej przyjaciele zawsze unikali konkretów, otaczając nas przy tym opieką.

Napięcie rosło tym bardziej, że wszelkie seksualne kontakty między Antonym, Alissą i mną stały się niemożliwe z powodu zmęczenia po występach. Wynajęte samochody rozwoziły nas do domów i nie widzieliśmy się aż do następnego poranka, kiedy planowaliśmy rozwój sztuki na dany dzień. Potem nadchodził czas wyjścia na scenę.

Tego dnia przyjechałam późno, bo samochód utkwiał w korku na moście. Biegiem wpadłam do osłoniętego kurtyną miejsca za sceną, gdzie się przebierałam i szykowałam. Miałam nadzieję, że mój dzisiejszy strój będzie prosty, łatwy do włożenia i niewymagający żadnego szczególnego makijażu. Aurelia już na mnie czekała.

Podawała mi suknię. Tak się przyzwyczaiłam do codziennych przedziwnych kostiumów, tak odmiennych od czarnych sukienek, w których zwykle występowałam, że zaskoczył mnie wybór zwykłej sukienki na finałowy wieczór. Kiedy jednak podniosła ją do góry, zrozumiałam, że nie ma w niej nic zwykłego.

Uszyta była z czegoś w stylu elastycznej satyny, niezwykle dobrej jakości, pokrytej małąkimi klejnocikami w odcieniach czerni, zieleni i głębokiego błękitu, które lśniły, gdy padło na nie światło. Z tyłu, na ramionach i wokół kołnierza, doszyte były pióra.

Wyglądało to jak kostium ni ptaka, ni ryby, a kiedy go włożyłam, zdałam sobie sprawę, że materiał jest tak cienki, aż niemal przezroczysty. Przy odpowiednim oświetleniu pod cieniutką zdobioną warstwą będzie widać moje ciało.

– Chciałabym, żebyś to włożyła – powiedziała Aurelia.

Alissa miała na sobie coś podobnego, ale jej suknia uszyta była tak, żeby podkreślić jej apetyczną figurę. Poza tym była w kolorze oliwkowej zieleni, odcieniu doskonale pasującym do jej skóry, a wzór był zdecydowanie węzowy. Siedziała przed lustrem i poprawiała makijaż. Antony stał w przeciwległym kącie i zapinał pasek.

Nie miał na sobie tego – co zwykle zestawu, džinsy plus podkoszulek. Ubrany był w luźne skórzane spodnie i kurtkę, która zakrywała mu ramiona i boki, ale odsłaniała nagi tors. Skóra była miękka i cienka, więc efekt przywoływał na myśl raczej Pana niż harleyowca.

Stał w jasnym świetle lamp zamontowanych w garderobie, a ja podziwiałam jego gładką i twardą pierś. Ten kostium widziałam już wcześniej, odłożony na bok dla aktora grającego główną rolę.

– Peter dziś nie dotrze – powiedziała Aurelia. – Jego rolę zagra Antony. Doskonale zna sztukę, a tak czy owak wszyscy będą patrzeć na ciebie i naszą uroczą Alisę, prawda?

Uniosłam brew. Prawdę mówiąc, wątpiłam w tak nagłą zmianę planów na dowodzonym silną ręką okręcie Aurelii. Poza tym, jak na strój uszyty na kogoś innego, kostium pasował na Antony'ego zaskakująco dobrze.

Obstawiałam, że Aurelia dawno zaplanowała jego dzisiejszy występ. Wiedziałam zresztą, że Antony pracował jako aktor, nie tylko scenarzysta, a ponieważ znał sztukę jak nikt, nie wydawał się zaskoczony propozycją.

Podeszła Lauralynn. Miała na sobie kostium z lśniącej siateczki w kolorze bladego złota, który opinał jej ciało jak lycra. Zaczesane do tyłu włosy opadały jej na ramiona jak pszeniczne fale.

Pomogła mi włożyć suknię.

Powietrze buzowało czymś dziwnym, obawą i niecierpliwością. Te doznania zaciskały mi żołądek i przyprawiały o drzenie.

Lauralynn nachyliła się i pocałowała mnie w policzek.

– Wielki wieczór, co?

Pokiwałam głową.

Podła mi Bailly'ego i wzięła mnie za rękę. Jej instrument czekał już na scenie, przy krześle. Jeden z techników zaczął odliczać i

zapadła ciemność. Wyszliśmy, zajęliśmy pozycje i czekałyśmy, aż podniesie się kurtyna. Miałyśmy zagrać uwerturę do dzisiejszego przedstawienia, wprowadzić wszystkich w nastrój. Na dziś zaplanowałyśmy improwizację na bazie utworu Kreislera.

Na palcach podeszłam do mojego miejsca z prawej strony proscenium. Lauralynn usiadła po lewej stronie, dokładnie naprzeciwko mnie.

Cień spowijający wewnątrz lustrzanego namiotu zaczął się rozpraszać, więc spojrzałam na widownię. W przeciwieństwie do poprzednich wieczorów nie mieli na sobie masek.

Byli całkowicie nadzy i pomalowani tak, że wyglądali jak zwierzęta.

Najpierw moją uwagę zwróciły koty. Kobiety i mężczyźni o długich i zwinnych kończynach. Pantery pomalowane na granatowy odcień czerni oraz złote, miedziane i brązowe jaguary, lwy, tygrysy. Niektórzy mieli na szyjach ozdobne obroże.

Młody mężczyzna w roli leoparda siedział na czworakach i szarpał się na krótkiej, skórzanej smyczy przypiętej do cienkiego srebrnego kółka otaczającego jego szyję. Drugi koniec trzymała wysoka kobieta przebrana od stóp do głów w czerń i szarość.

Na palcach miała grube, rzeźbione pierścienie, a biceps falował jej pod wpływem wysiłku, jaki wkładała w okiełznanie mężczyzny, mimo że jej twarz zdobił wyraz niezmałconego spokoju. Na nadgarstkach, ramionach, nogach i kostkach miała opaski z piórami. Zgadłam, że jest sową.

Wszędzie stały klatki z ludźmi, zachowującymi się tak, jak jakby naprawdę byli niebezpieczni. Krążyli tam i z powrotem, rzucali się na przerwy między kratami, które ich więziły, a czasem wydawali z siebie stłumione skamlenia i ryki.

A więc to są ci specjalni goście Sieci. Tylko na jeden wieczór. Tylko za zaproszeniami.

Czułam się jak na planie jakiegoś filmu klasy B, trochę horroru, trochę pornosa. Nie byłam pewna, czy się z tego śmiać, czy się martwić. Czy może stłumić podniecenie, które zaczęło się tlić w mojej głowie.

Wciągnęłam głęboko powietrze i instynktownie przysunęłam skrzypce do brody i podniosłam smyczek. Patrzyłam, jak Lauralynn opuszcza swój na struny wiolonczeli.

Zaczęłyśmy grać.

Po pierwszej kadencji powinna wyjść na scenę tancerka i przemknąć przez nią w niekończącym się piruecie. Elena była jednym z pomysłów Aurelii. Miała klasyczne baletowe wykształcenie. Była delikatna, ciemnowłosa i przypominała wróżkę.

Kiedy Lauralynn i ja w równym tempie uderzałyśmy w struny, Elena wkroczyła na proscenium.

Była całkiem naga, nie licząc baletek w odcieniu bladego różu. W morzu kolorów, które nas otaczało, jej nienaznaczona farbą skóra wydawała się aż przesadnie naga i pornograficzna. W innych warunkach nie wywołałaby takiego wrażenia. Miała piękne ciało i tak

się na nią zapatrzyłam, że najchętniej opuściłabym rękę ze smyczkiem, przestała grać i tylko się w nią wpatrywała.

Miała drobne brodawki, twarde, pośrodku okrągłych, jędrnych piersi. Wyglądały jak dojrzałe czereśnie otoczone jasnoróżowymi aureolami o szerokości milimetra czy dwóch.

Kiedy wznosiła się na puenty i przygotowywała się do obrotu, mięśnie jej łydek, ud, pośladków i lędźwi drżały, ale kręgosłup był niewzruszony niczym skała. Z gracją podniosła ręce nad głowę i z łatwością kwiatu otwierającego pąki zaczęła się obracać.

Na początku powoli, potem coraz szybciej w rytm naszej muzyki, aż w końcu wirowała jak karuzela. Nie zwalniając, podniosła do góry jedną nogę tak wysoko, że łydką dotykała ucha i cały czas wirowała, z każdym obrotem odsłaniając rozchyloną cipkę. Ruszała się tak szybko, że nie było widać nic poza skrajnie obnażonym ciałem w kolorze ciemnego różu.

Lauralynn była skupiona, widziałam to po jej twarzy. Ja też niemal przestałam oddychać, starając się nie spuszczać Eleny z oczu.

Zaczęła zwalniać, aż w końcu zatrzymała się i ukloniła, zalana kakofonią dźwięków przypominających raczej wycie niż żywiołowy aplauz, ale pewnie mających wyrażać dokładnie to samo, czyli entuzjastyczne przyjęcie naszej uwertury.

Światła znów przygasły i z offu rozległ się głos wprowadzający widzów w akcję, opowiadający historię, którą znałam już tak dobrze, że wydawało mi się, że słyszę ją w głowie, a nie przez głośniki. Teraz

kolej Alissy. Z ciemności wydobył ją reflektor. Stała bez ruchu i w długiej do kostek zielonej sukni przypominała gada.

Tymczasem ja i Lauralynn szykowałyśmy się do fragmentu inspirowanego klimatycznym *crescendo* ze *Święta wiosny* Strawińskiego. Na dźwięk muzyki zaczęła się ruszać jak kobra pod wpływem czaru zaklinacza. Im dłużej na nią patrzyłam, tym głębiej się zastanawiałam, czy ona też czuje zaklęcie, pod którego mocą znaleźliśmy się wszyscy tego wieczoru.

Siedząca naprzeciwko mnie Lauralynn ledwie dostrzegalnie otwierała i zamykała usta, jakby powtarzała pod nosem kwestie. Poczułam, chyba po raz pierwszy w życiu, że odseparowałam się od muzyki, którą właśnie grałam. Tak jakby moje dłonie i ręce tymczasowo oddzieliły się od mózgu i duszy, umożliwiając ciału granie, podczas gdy oczy wpatrywały się w akcję na scenie.

Alissa była jak zwykle pozbawiona zahamowań, ale straciła typowe dla niej skupienie na sobie i jej występ wydawał się wreszcie prawdziwy, niewyćwiczony. Dołączył do niej Antony i albo grał bardziej przekonująco niż kiedykolwiek, albo na niego też padł czar przeklętych skrzypiec, stracił kontakt z rzeczywistością i ślepo podążał za muzyką, tekstem i kwestiami Alissy.

Zagrał swoją rolę perfekcyjnie, ale tylko ktoś siedzący tak blisko jak ja mógł widzieć, że oczy ma szkliste i najbardziej romantyczną scenę pierwszego aktu poprowadził dużo dalej, niż podpowiadał scenariusz: dodał pikanterii pełnym pasji objęciami i pocałunkami.

Zatrzymał dłoń na piersi Alissy, a potem ściągnął jej sukienkę z jednego ramienia i zaczął ssać jej brodawkę. Ona jęknęła, wygięła się pod jego dotykiem, odsłoniła szyję, a włosy spłynęły jej po plecach i muskały pupę.

Od strony widowni buchało ciepłem. Wiedziałam, że siedząc na jasno oświetlonej scenie, nie mogę w ciemności widzieć takich szczegółów, ale czułam, że na wypełnionej po brzegi widowni wszystkim twardnieją brodawki, przypięci na smyczach szarpia się na uwięzi, ci w klatkach jeszcze wścieklej rzucają się na kraty, kutasy sztywnieją, cipki robią się wilgotne, a mój smyczek wznosi się nad strunami i opada, jednocześnie prowokujący i prowokowany przez falę podniecenia, która wznosi się jak przyływ, żeby nas zalać.

Widzowie o tym nie wiedzieli, ale ja zdawałam sobie sprawę, że został pominięty cały blok dialogów, bo Antony kontynuował swoje publiczne zabiegi wobec Alissy. Czy on oszalał? Wydawało mi się, że nie uświadamia sobie obecności ludzi. Że nie widzi nawet mnie. Był tak urzeczony każdym skrawkiem jej ciała, jakby pierwszy raz w życiu widział ciało kobiety.

Delikatnie przesuwał palcami po jej skórze, jakby grał Adama w rajskim ogrodzie, dotykającego płatków róży. Każde muśnięcie było tak powolne, tak świadome, dyrygujące nie tylko podnieceniem Alissy, ale i wszystkich pozostałych, łącznie ze mną. Staął za nią, rozpiął jej suknię i zsunął na tyle, żeby odsłonić jej plecy, pierś i nasadę wzgórka łonowego, tuż przez rozdzielającymi się wargami.

Okazała się naga. Na tę okazję się wydepilowała. Była tak dumna ze swojego owłosienia, że chyba tylko Aurelia mogła ją skłonić do takiego kroku. Ta zmiana wyraźnie zszokowała Antony'ego, który natychmiast wpatrzył się w jej gładkie łono, a za oczami poszły palce i przesunęły się spomiędzy jej piersi w dół.

Jego dłoń zniknęła za jej plecami, a potem wynurzyła się spomiędzy nóg. Po twarzy Alissy przemknął wyraz rozkoszy, bo odnalazł lechtaczkę i zaczął ją pocierać. Głowę oparł na jej ramieniu, a jego mina wyrażała jednocześnie odprężenie i koncentrację, gdy jego palce dalej figlowały pośród jej warg.

To był pierwszy raz, kiedy widziałam ich w tej sytuacji jako obserwatorka, nie uczestniczka. Czułam jednocześnie zazdrość i podniecenie, ale mimo to cały czas grałam, aż Alissa doszła.

Oboje nieświadomie przesuwali się ku przodowi sceny, być może przyciągani magnetyzmem widowni, a kiedy ona doznała orgazmu, a z nim wytrysku, jej soki skropiły twarze tych siedzących najbliżej.

Uwięziony na smyczy leopard szeroko otworzył usta i złapał kropelki, które zrosiły jego usta, a potem kurtyna opadła, sygnalizując koniec tej części przedstawienia i początek przerwy.

Lauralynn, tak jak pozostali muzycy, powinna przestać grać, ale nie mogła, przyklejona do wiolonczeli. Opuściłam skrzypce. Ręka mnie bolała, jak gdybym przesuwała smyczkiem po strunach w jakimś szale, ale nie pamiętałam ani jednej nuty. Kompozycja Strawińskiego pozostała gdzieś daleko poza mną, podążając za moim muzycznym uniesieniem.

Rozsuwając poły kurtyny, na scenę wypadła Aurelia. Miała rozpuszczone, rozczochrane włosy, jakby dopiero co się obudziła. Policzki jej pałały. Tatuaze lśniły i falowały, a ja od razu spojrzałam na ten, który tak mnie fascynował: smoczy język zdobiący jej wargi sromowe. Poruszał się teraz szaleńczo, jakby ją pieścił.

– Summer, Summer! – zwołała bez tchu, rozglądając się po scenie tak, jakby jej oczy nie przywykły jeszcze do ciemności i nie mogła mnie wypatrzeć, siedzącej w kącie.

– Tak? – zawołałam.

Podeszła do mojego krzesła, położyła mi dłonie na ramionach i nachyliła się, a jej piersi zakołysały się na wysokości mojej twarzy. Potem pocałowała mnie w usta. Miała miękkie wargi, ale ruszała się desperacko. Nasze śliskie od śliny języki tańczyły razem.

Odsunęła się. Dźwięki wiolonczeli nadal unosiły się po wnętrzu teatru, słyszalne mimo coraz bardziej szaleńczych odgłosów zza kurtyny. Rozpoznałam Schuberta.

– To było piękne – powiedziała Aurelia. – Absolutnie piękne. Idealne.

– Ale ja nawet nie wiem, co zrobiłam.

– Spójrz – powiedziała i uniosła skraj ciężkiej aksamitnej kurtyny, która oddzielała nas od widowni.

Rzucili się na siebie. Gdziekolwiek spojrzałam, kłębiły się splecione, wymalowane farbą ręce i nogi. Leopard zerwał się ze smyczy i teraz zanurzał kutasa w swojej mistrzyni, której pióra

powiewały w nieładzie, a twarz nie wyrażała już pasywnego znużenia, tylko rozkosz.

Grupa zebr, wymalowanych tak podobnie, że nie wiedziałam, gdzie się która zaczyna i gdzie kończy, kotłowała się razem. Pootwierano klatki i ktokolwiek w nich wcześniej siedział, teraz był na wolności. Wyglądało to jak scena z rzymskiej uczty, orgiastycznego festiwalu rozszalałych zmysłów.

– Ty to zrobiłaś – szepnęła Aurelia. – Twoja muzyka rzuciła zaklęcie, zadziałała jak magia.

Prawdę mówiąc, nie wierzyłam jej. Widownia od samego początku była na granicy wybuchu. Ja nie miałam z tym nic, a w każdym razie niewiele, wspólnego. Tak działała aura Aurelii i tego, co stało za jej organizacją, za Siecią.

Odwróciłam się od kotary i spojrzałam w stronę Antony'ego i Alissy. Przestali się kochać i patrzyli teraz na siebie tak, jakby właśnie się obudzili i nie byli pewni, czy to jeszcze sen, czy już jawa.

Aurelia podchwyciła moje spojrzenie, wyciągnęła ręce, objęła mnie w talii i lekko uścisnęła.

– Idź do nich – zachęciła. – I bądź miła, bo żądza, która ich ogarnęła, powstała z twojej muzyki, tak jak w przypadku pozostałych. – Potem się odwróciła, wślizgnęła się za kurtynę i zniknęła w tłumie.

– Summer? – To Antony. Był nagi.

Spodnie i kurtka leżały w kącie. Wyglądał pięknie, kiedy tak leżał. Jego długie, smukłe kończyny spoczywały spokojnie na drewnianych deskach, był ucieleśnieniem relaksu.

Cały czas nosił brodę, ale na tę okazję starannie ją przystrzygł. Uklękłam i pocałowałam go. Wargi miał wilgotne. Smakowały sokami Alissy, były słodkie. Odwróciłam się do niej, uniosłam jej brodę palcami i teraz złączyły się nasze usta.

– Summer... – powiedziała.

Oboje byli oszołomieni.

Znalazłam sobie miejsce między nimi, wciąż na kolanach i dla zabawy położyłam ręce na ich szyjach. Jednocześnie jęknęli.

Ich dłonie błądziły po moich udach, brzuchu, piersiach. Zamknęłam oczy i nie byłam już pewna, które palce należą do Alissy, a które do Antony'ego. Lekko ściskali moje brodawki, nurkowali między wargami mojego łona, przesuwali języki po moich ustach, w górę i w dół.

Zaskoczona otworzyłam oczy, kiedy rozległ się dzwonek oznaczający koniec przerwy. Jakoś mi się wydawało, że druga połowa już się nie odbędzie. A jednak kurtyna się podniosła, sygnalizując, że przedstawienie będzie trwać.

Światło miało paść na Alissę i Antony'ego pogrążonych w pełnym pasji pocałunku, tak przynajmniej wskazywał scenariusz, ale zamiast tego reflektor padł na naszą trójkę, leżącą na podłodze. Fakt, że Alissa i Antony wymieniali gorący pocałunek, ale oprócz tego ona najeżdżała cipką na moją twarz, a on mnie ujeżdżał.

Dostaliśmy owację na stojąco, a była to dopiero połowa przedstawienia.

Limuzyna Aurelii kierowana przez ubranego w szary uniform szofera o beznamiętnej twarzy przyjechała po mnie nazajutrz rano, o umówionej porze, do Antony'ego na Isle of Dogs, tak jakby wiedzieli, gdzie spędziłam noc. Miała mnie zawieźć na lotnisko.

Bez względu na słodkie ekscesy ostatniej nocy i finałowego przedstawienia za punkt honoru przyjął wywiązywanie się ze zobowiązań. Zgodziłam się przecież pracować dla Sieci przez trzy miesiące. Na dodatek złożyli mojej agentce hojną ofertę finansową, po której z entuzjazmem zachęcała mnie do wzięcia udziału w tym występie bez względu na nietypowe okoliczności i aurę tajemnicy, jaka go otaczała.

Antony głęboko spał, kiedy na palcach wychodziłam z sypialni. Nie chciałam go budzić, zwłaszcza że znikam na długo.

Zatrzymaliśmy się w moim mieszkaniu w Clapham, skąd zabrałam bagaż przygotowany kilka dni wcześniej. Uprzedzono mnie, że mam wziąć ubrania odpowiednie do gorącego klimatu.

W czwartym terminalu na Heathrow było tłoczno i nerwowo. Gdy przyjechaliśmy, szofer wręczył mi żółtawą kopertę zawierającą szczegółowe informacje o mojej podróży. Rozłożyłam kartkę z opisem trasy. Las Vegas. Przeszłam już odprawę i miałam lecieć pierwszą klasą.

Cel podróży mnie zaskoczył. Nigdy tam nie byłam, ale miasto wydawało mi się strasznie kiczowate i ani trochę mnie nie pociągało. Jedyne hazard, jaki uprawiałam, dotyczył mojego życia i emocji,

nigdy jednak nie byłam na tyle zdesperowana ani zamroczona, żeby grać na pieniądze.

Pociągnęłam walizkę na kółkach do bramki.

10. Blaski pustyni

Automaty na pieniądze, zastęp jednoręcznych bandytów i ostre światło – to rzuciło mi się w oczy, gdy wyszłam z samolotu. Czułam się odwodniona, nie tylko ze względu na jet lag. Doznawałam też pustki po wydarzeniach z ostatnich dni i epifanii występu wraz z następującym po niej rozkosznym upojeniem.

Zmierzałam do punktu kontroli emigracyjnej, a zaraz potem znalazłam się w hali odbioru bagażu i wypatrywałam w ogromnym pomieszczeniu właściwej taśmy. Zwróciłam uwagę na pojawiające się i znikające fale jaskrawych kolorów i klikające w różnych rytmach maszyny ustawione pod ścianami i przy słupach.

Towarzyszący temu mechaniczny szcęk mnie irytował, był przypadkowy, pozbawiony melodii i drażnił zmysły z taką mocą, jakbym miała kaca. Na szczęście moja walizka wyjechała w pierwszej kolejności, wyróżniona kolorową naklejką oznaczającą pierwszą klasę. Futerał ze skrzypcami przyciskałam do piersi, jak to miałam w zwyczaju w czasie lotów samolotem. Zaczęłam się rozglądać za wózkiem.

– Nie będzie ci potrzebny – powiedział ktoś.

Odwróciłam się.

Odkąd widziałam ją ostatni raz, kilka lat temu, prawie się nie zmieniła. Jej włosy wciąż sięgały do pośladków, choć teraz poprzetykane były siwizną, a szkarłatna suknia z pogniecionego aksamitu przylegała ciasno do mocnych bioder, kiedy z gracją sunęła w moją stronę.

Była to Madame Denoux, gospodyni klubu w Nowym Orleanie, gdzie oglądałam hipnotyczny spektakl Luby, rosyjskiej tancerki, i gdzie Dominik po raz pierwszy zachęcił mnie do wyjścia na scenę, pozbycia się rozlicznych zahamowań i obnażenia się.

Tak prawdę mówiąc, wcale się nie zdziwiłam, że właśnie ona na mnie czekała.

Wyglądało na to, że od jakiegoś czasu moje życie toczyło się w cieniu Sieci i nie zaskoczyło mnie, że mroczny klub, prowadzony przez Madame, okazał się jedną z macek organizacji Aurelii. W jakimś sensie dodawało mi to odwagi.

Znałam już ludzi, którzy pogrywali mną jak marionetką. Ze ściśniętym gardłem przypominałam sobie, że doświadczyłam znacznie gorszych przejawów manipulacji. Victor. Horror w Kentish Town, który potulnie zniosłam, czy też ściągnęłam na siebie. O innych przykładach wolałabym zapomnieć.

Obok stał górujący nad nią kolejny barczysty szofer w uniformie, tym razem czarnoskóry, ale przepisowo ubrany w szary strój. Zrobił krok w stronę obracającego się taśmociągu i podniósł moją walizkę z taką łatwością, jakby była lekka jak piórko.

Choć dobrze wiedziałam, że nie jest. Pakowałam się w pośpiechu, a poza tym nie wiedziałam, gdzie spędzę te trzy miesiące, więc naładowałam do niej tyle ubrań, że waga na lotnisku w Londynie wykazała zatrważające przekroczenie limitów nawet pierwszej klasy.

– Witaj – powiedziała Madame Denoux z lekkim francuskim akcentem.

– Miło panią znów widzieć, Madame – odparłam.

– Mów do mnie Giselle.

Odwróciła się na pięcie, a ja poszłam za nią i jej gigantycznym szoferem do automatycznych drzwi prowadzących na zewnątrz.

Jak tylko wyszłam, zaatakowała mnie ściana suchego upału. Stałam. Nie mogłam złapać tchu.

Madame Denoux uśmiechnęła się łagodnie.

– Pustynne powietrze... Dość suche. Ale przyzwyczaisz się – orzekła.

W limuzynie była klimatyzacja i gwałtowny kontrast doprowadził mnie do kaszlu. Odjechaliśmy.

Nad żarzącymi się od neonów kanionami Las Vegas zapadał zmierzch. Oaza rozbłyskujących świateł wyglądała nierzeczywiście pośród ciemnej pustyni.

Byłam tu po raz pierwszy, ale czułam, że znam to miejsce dzięki niezliczonym filmom, dokumentom i zdjęciom. W głębokiej ciszy wnętrza samochodu wszystko wydawało się nierealne, a obrazy jak wycięte z czasopism podróżniczych przesuwały się za przyciemnionymi szybami eleganckiej limuzyny jak fototapeta.

Wjechaliśmy na główny deptak, Strip, gdzie błyszczały hotele, atrakcje turystyczne, przedziwne i fantazyjne budowle, między którymi wędrowały stada turystów w różnych odcieniach khaki, spodniach chinos i kwiecistych sukienkach, wszyscy z plastikowymi kubeczkami w dłoniach.

– Na monety i żetony – wyjaśniła Madame Denoux w odpowiedzi na mój pytający wzrok.

W połowie Stripu, tuż przed ścianą jasnego kuszącego światła, samochód gwałtownie skręcił w prawo i jechaliśmy teraz węższymi uliczkami, mijając ciąg mniejszych, nie tak luksusowych hoteli i budynków. Sztuczne oświetlenie zaczęło blednąć.

Zamrugałam, gdy mineliśmy ostatni ciąg zabudowań i połknęła nas ciemność pustyni. W ciągu sekundy przeskoczyliśmy z wybujałej cywilizacji prosto w noc. Mój wzrok przystosowywał się do ciemności. Atramentowy horyzont pocięty był skarłalymi szczytami, płaskowyżami i wzgórzami. Droga zakreślała.

Madame Denoux zauważyła moje zmęczenie.

– Śpij, skarbie. Przed nami jeszcze długa droga. Rozluźnij się.

Zasypiając, uwiadomiłam sobie z ulgą, że Las Vegas nie było celem naszej podróży. Po raz pierwszy od wieków nic mi się nie śniło, a sen był po prostu długą – a przynajmniej tak mi się wydawało – drogą do nicości.

Obudziłam się dużo później, całkowicie spokojna, zwinięta na skórzanym siedzeniu auta. Byłam sama, a jedynym towarzyszącym mi dźwiękiem było mruczenie klimatyzacji. Zamrugałam. Za oknem

widziałam, jak słońce wspina się nad pobliskie wzgórze, białe i wyblakłe na tle dominującej wokół czerwieni.

Przez chwilę poczułam się jak na planie westernu, jakby zaraz miał mnie minąć John Wayne wraz z całą kowbojską kawalerią, wzbijającą pył spod końskich kopyt i zostawiającą za sobą chmury kurzu.

Poruszyłam się. Niechętnie, bo czułam, że objęcia snu ciągną mnie z powrotem w głąb.

– Budzi się nasza śpiąca królewna – powiedziała Madame Denoux, otwórz drzwi. Dosięgnęła mnie fala gorąca. – Mam nadzieję, że się nie gniewasz, że cię tu zostawiliśmy, ale nie chcieliśmy cię budzić.

Wymamrotałam coś niezrozumiałego. Zaszło mi w gardle.

Jakby słysząc moje myśli, podała mi butelkę z wodą. Była cudownie chłodna w dotyku. Piłam zachłannie.

– Gdzie jesteśmy? – spytałam, patrząc na światło poranka, które zaczęło wreszcie docierać do moich rozbudzonych oczu.

– Niedaleko Monument Valley – odparła.

Nazwa była mi znana. Znów z filmów.

– Jesteśmy za Las Vegas, poza rezerwatem Indian Navajo. Tutaj odbędzie się Bal – wyjaśniła.

Wyciągnęła rękę i pomogła mi wstać.

Ciężar temperatury spadł na mnie, jak tylko postawiłam stopy na ochrowym piasku pustyni.

Odwróciłam się, oczekując jakiegoś obozowiska, namiotów, chat, w których się zatrzymamy, ale zamiast nich ujrzałam imponującą budowlę z fasadą udekorowaną greckimi kolumnami. Wyglądała tu absurdalnie jak wielkie wybrzuszenie terenu. Znak w języku hiszpańskim twierdził, że to hotel, Gran Mension Del Desierto. Stał pośrodku niczego.

– Tu się zatrzymasz. Wszyscy tu mieszkamy – poinformowała mnie. – Zabraliśmy już twoją walizkę i skrzypce do pokoju.

Hotelowym lobby zawładnęła ekipa Balu i Sieci. Przed kontuarem odbywały się zaimprovizowane występy i zajmowały całą ogromną wyłożoną terakotą przestrzeń, według mnie przesadnie ostentacyjną i zbędną, biorąc pod uwagę, że miejsce powinno służyć wprowadzeniu gości i ich bagaży, a potem przekierowaniu do odpowiednich pokoi.

Cały środek zajmowało zawieszone pod sufitem koło do akrobacji powietrznych. Pod nim leżał duży, miękki materac, choć na moje oko i tak niewystarczająco obszerny, biorąc pod uwagę wysokość, na jakiej huśtała się kobieta.

Czasem wisiała na rękach, a potem się podciągała, żeby zrobić fikołka wewnątrz obręczy albo powietrzny szpagat w locie. Wyglądała, jakby nie dotyczyła jej grawitacja. Rude włosy miała krótko obcięte, a ubrana była w biało-czarny pasiasty trykot.

Te paski w połączeniu z jej długim, smukłym ciałem sprawiały, że kiedy wirowała, wyglądała jak stylizowany na umaszczenie zebry szyld salonu fryzjerskiego. Po lewej stronie od wejścia dwaj młodzi

mężczyźni ubrani tylko w płócienne spodnie ćwiczyli brzuszki, zaczepieni kolanami o rączkę wózka bagażowego.

Ich jasne włosy zamiatały podłogę, gdy się prostowali, a mięśnie brzucha napinały im się pod skórą pozbawioną choćby grama tłuszczu, gdy składali się jak scyzoryki, osiągając najwyższy punkt i dotykając łokciami pręta, na którym wisieli.

Gdy odwrócili się w moją stronę i jednocześnie spojrzeli w górę w reakcji na entuzjastyczny okrzyk akrobatki po wyjątkowo skomplikowanym manewrze zwieńczonym sukcesem, zauważyłam, że są identyczni. Bliźniacy.

Przy kontuarze stała grupka ludzi z paszportami, czekająca, aż obsługa wyda im klucze do pokoi. Sądząc po lekkich, gibkich ruchach, byli to tancerze, bo oni poruszali się inaczej niż zwykli śmiertelnicy. Kobiety miały smukłe łydki i dziewczęce, wąskie biodra, a mężczyźni szerokie ramiona, wąskie talie i tyłki tak twarde, że mogłabym rozbijać o nie orzechy. Ten rodzaj fizyczności przychodzi tylko z latami treningów.

Westchnęłam. Tak naprawdę minęło tylko kilka dni, ale wydawało mi się, że od dawna już nie miałam okazji pobiegać czy popływać i tęskniłam za rozciąganiem mięśni, mocnym biciem serca i przyśpieszonym tętnem, tym cudownym doznaniem żywotności, które dawały mi ćwiczenia.

Antony biegał codziennie, zwykle po szesnaście kilometrów czy nawet więcej, w deszcz czy słońce, bez względu na to, gdzie był ani

jakie ważne sprawy miał do załatwienia. Nie mówił mi o tym. Raz go spytałam, kiedy zauważyłam, że ma poobijane paznokcie u nóg.

– Hej tam!

Akurat w chwili gdy o nim myślałam! Na dźwięk głosu Antony’ego podskoczyłam na pół metra w górę.

– Jezu! – zawołałam, przyciskając rękę do rozdygotanego serca. Delikatnie dotknął mojego ramienia.

– Przepraszam – powiedział ze śmiechem. – Wystraszyłem cię?

– Nie spodziewałam się ciebie tutaj.

Miał na sobie białą bawełnianą koszulę z rozpiętymi dwoma górnymi guzikami, niebieskie dżinsowe szorty do kolan i brązowe mokasyny, a na czubek głowy nasunął słoneczne okulary. Mimo że był Anglikiem, wyglądał na opalonego. Jego skóra łatwo brązowieła.

– Chciałem zadzwonić, ale wszystko działa się w ostatniej chwili – wyjaśnił. – Poza tym przypuszczałem, że Aurelia da ci znać. Przyjechałem pomagać przy tym show. Poprosiła mnie o pomoc w reżyserii kilku aktów. Prawdę mówiąc, sam do końca tego nie rozumiem. Ktoś zadzwonił wczoraj wieczorem, a ja po prostu wsiadłem do samolotu. A wiesz, że nie lubię tracić kontroli...

Zamilkł na chwilę i przeczesał włosy, strącając okulary. Złapał je tuż nad podłogą.

– Zresztą, praca nad sztuką się skończyła, nic mnie nie trzyma w Londynie. Nie mam innego projektu na oku. Więc, oto jestem.

– Cieszę się, że cię widzę. – Zacisnęłam mięśnie ud.

Przyglądanie się robiącym brzuszki bliźniakom o obnażonych klatkach piersiowych i tyłkom stojących w kolejce tancerzy mocno mnie nakręciło, a obecność Antony'ego rozwiązywała ten problem. Poza tym będę się czuła bardziej jak w domu.

Dość życia spędziłam w podróżach i już dawno straciły dla mnie urok, nawet jeśli teatralna ekstrawagancja Balu i jego członków stanowiła miłe urozmaicenie w łańcuchu takich samych pokoi hotelowych.

– Lauralynn, Viggo i Alissa też są w drodze – dodał. – Potrzebowali więcej czasu na spakowanie się, więc przylecą późniejszym samolotem.

– Czyli będzie jak w Londynie – powiedziałam. – Tylko cieplej.

Nawet się ucieszyłam na wieść, że Alissa do nas dołączy. Początkowa rywalizacja zmieniła się w bezkonfliktowe intymność i zrozumienie, które czasem rozwija się między kobietami, które pieprzą się z tym samym facetem.

Nadal jednak bywałam o nią boleśnie zazdrosna, a już na pewno o jej cycki, które jak mi powiedziała, a ja w końcu zaczęłam w to wierzyć, były w stu procentach prawdziwe. Ich jędrność i niespotykane wysokie osadzenie zawdzięczała losowi wygranemu na loterii, czyli genetyce. Pewnie miało też wpływ wcieranie olejku z witaminą E, które nieustrudzenie fundowała im każdego ranka zaraz po poprawiającym krążenie lodowatym prysznicu.

Antony wziął mnie za rękę i podeszliśmy do kontuaru. Jego małą walizkę na kółkach, zawierającą kilka zmian ubrania i rzeczy osobiste,

zabrano już do pokoju. Nie był typem publicznie okazującym uczucia, ale chętnie splotłam palce z jego palcami, nawet się nad tym nie zastanawiając.

Okazało się, że dostaliśmy oddzielne pokoje, ale żadne nie narzekało, kiedy recepcjonista programował nasze karty do drzwi. Lubiliśmy mieć własną przestrzeń. Potem przebywanie razem stawało się znacznie słodsze. Wypełniliśmy formularze, wzięliśmy klucze i ruszyliśmy do windy. Madame Denoux – Giselle – dała nam czas na rozpakowanie się i odpoczynek. Po kolacji miała zadzwonić i wyjaśnić, czego się od nas oczekuje.

Chociaż pokoje były osobne, znajdowały się naprzeciwko siebie.

– Wejdiesz? – spytał Antony po chwili spędzonej na miotaniu się pomiędzy parą drzwi i zastanawianiu się, czy lepiej rozdzielić się teraz, czy razem się odświeżyć.

Antony nie był tak zdecydowany i nonszalancki jak zwykle. Odkąd Aurelia i Bal storpedowali nasze życie, stracił znudzony, bierny wyraz twarzy, który wcześniej doprowadzał mnie do szału, aż nauczyłam się go akceptować.

– Jasne – powiedziałam. Nie mogłam się zdecydować na otwarcie mojego napakowanego po wręby gigantycznego bagażu. Skorzystam z hotelowych kosmetyków i szlafroka w pokoju Antony’ego, a jak dojdę do siebie, znajdę moje rzeczy.

Otworzył drzwi i weszliśmy.

– Wow! – powiedziałam, rozejrzawszy się. – Nie jestem przyzwyczajona do takiego luksusu. – Pokój był ogromny, zajmował

prawie połowę całego piętra i zawierał aneks kuchenny, długą kanapę, dwa fotele, biurko pod oknem z widokiem na pustynię oraz gigantyczne łóżko.

Sama łazienka, z natryskiem bez brodzika, wanną, sedesem i bidetem miała rozmiar większości pokoi, w których zatrzymywałam się w czasie służbowych podróży. Taki przepych wydawał mi się niestosowny. A może dziwił, bo znajdowaliśmy się w samym sercu pustyni?

Otworzyłam kilka szafek i szybko zlokalizowałam akcesoria do parzenia kawy i herbaty. Znalazłam tylko kawę rozpuszczalną. Nie było ekspresu ciśnieniowego ani nawet przelewowego czy kafetieri. Widocznie nawet Aurelia i jej Sieć nie myśleli o wszystkim. Nalałam wody do czajnika i znalazłam gniazdko, opłukałam też dwie filiżanki.

Antony wciąż stał w progu i wyglądał na zagubionego.

– Jak się czujesz? – spytałam. – Jesteś zmęczony? – Zdałam sobie sprawę, że przecież ja przespałam całą noc, wprawdzie na tylnym siedzeniu samochodu zaparkowanego przed hotelem, ale zawsze, a on dopiero co przyjechał.

– Nie – odparł. – Nic mi nie jest. – Podszedł, wyjął mi z ręki małą porcelanową filiżankę, a potem mnie objął.

Staliśmy tak przez dłuższą chwilę. Przytulał mnie, głaskał po włosach, a ja wdychałam jego zapach, mieszanek perfum, potu, proszku do prania i czegoś jeszcze, tego szczególnego zapachu jego skóry, maskowanego przez chemiczne zapachy żelu pod prysznic i produktów do mycia.

– Przepraszam – powiedział i wycofał się. – Muszę się umyć.

– Ja też.

– To chodźmy razem.

Wztał mnie za rękę i pociągnął do łazienki.

Wcześniej nie był tak czuły ani wylewny, pomyślałam, zdejmując ubranie i odkręcając kurek prysznic. Wrócił do pokoju po szczoteczkę do zębów, którą miał w kosmetyczce, a dzięki temu mogłam podziwiać jego sylwetkę, kiedy szedł. Prysznic był zamontowany w nieosłoniętej niczym części pomieszczenia, nie w kabinie, więc nie było żadnych zaporowanych drzwi oddzielających mnie od miejsca, w którym stał.

Wcale się nie kryjąc, patrzyłam, jak otwiera starannie zapakowaną kosmetyczkę i wyjmując podróżną tubkę pasty. Uda miał potężne i silne, a kiedy odwrócił się do mnie tyłem i schylił się, sięgając po myjki do twarzy, ładnie poskładane i ułożone na półce przy umywalce, podziwiałam jego tyłek, równie twardy i jędrny jak u tancerzy w recepcji.

W każdym pośladku miał urocze wgłębienie. Kiedy się pochylał, mięśnie jego łydek napinały się i zaciskały. Odwrócił się, żeby spojrzeć w lustro, a wtedy w zaporowanym powietrzu łazienki zobaczyłam jego kutasa i wiszące jądra. Był twardy, prawie w stanie półerekcji.

Podziękowałam w myślach temu bogu, bogini czy też przypadkowym zrządzieniom losu, które przydzielały mi samych

przystojnych partnerów. Wiadomo, że wygląd to nie wszystko, ale na pewno nie szkodził.

Antony umył zęby i wszedł pod prysznic.

– Nie, zostań – zaprotestował, kiedy usunęłam się spod strumienia wody, żeby zrobić mu miejsce.

Wycisnął na dłoń trochę hotelowego żelu o zapachu róży, roztarł w rękach, żeby zrobić pianę i nałożył mi na piersi. Potem się pochylił i mnie pocałował, a ja zamknęłam oczy, żeby nie wpadały mi do nich krople wody. Wyślizgnęłam się z jego objęć i lekko wepchnęłam go pod strumień wody, a potem namydliłam dłonie i zaczęłam nacierać jego skórę, szczególną uwagę zwracając na jego aksamitnego penisa, który rósł pod moim dotykiem.

Chciałam poczuć go w ustach, ale nie uśmiechało mi się klęczenie na twardych płytkach.

– Chodź do łóżka – powiedziałam, wyszłam spod prysznic i owinęłam się dużym, puszystym białym ręcznikiem. Jemu podałam drugi.

Zakręcił wodę i poszedł za mną.

Pieprzyliśmy się zwyczajnie, tak po prostu. To był seks zrodzony z pożądania, uczucia i zmęczenia. Wlazłam na łóżko i położyłam się na plecach, a on wsunął się na mnie. Byłam już całkiem mokra, więc od razu sięgnęłam do jego kutasa i nakierowałam do wejścia we mnie, a on w tym czasie całował moje obojczyki, piersi, szyję i usta, żebym wilgotniała coraz bardziej.

Leżeliśmy tak, częściowo złączeni, całowałam go i gładziłam umięśnione ciało, jak zwykle zachwycając się jego miękką skórą. Łapałam go za pośladki i byłam coraz bardziej mokra, aż w końcu wystarczająco, żeby mógł się całkiem we mnie wślizgnąć.

– Och, kurwa... – jęknęłam. Pierwsze pchnięcie było zawsze najlepsze.

Trzymałam go za uda, przytrzymałam na sobie, pchałam jeszcze głębiej, gdy na mnie nacierał, aż doszedł i wykończeni opadliśmy na łóżko. Leżał na mnie jeszcze przez chwilę, oddychając ciężko i trącąc nosem moją szyję.

Ja go przytulałam, trzymałam dłonie na jego ramionach w mocnym uścisku, a potem przesunęłam je wyżej i gładziłam go po karku, muskałam włosy. Pocałował mnie mocno w usta, przycisnął policzek do mojego, cmoknął mnie w ucho, a potem ostrożnie wysunął się, powoli wyjmując ze mnie fiuta. Przekręcił się na łóżku i wyprostował rękę tak, żebym mogła położyć się w zagłębieniu jego ramienia.

– Summer? – powiedział, kiedy już poleżeliśmy chwilę w milczeniu.

– Mm? – odmruknęłam sennie.

Wiedziałam, że coś się święci. Wydawał się bardziej czuły, mniej zdystansowany niż zwykle. I przejęty, jakby miał słowa już na końcu języka i tylko czekał na właściwy moment, żeby je wypowiedzieć.

– Nie rozmawialiśmy wcale. O Alissie. Ani... o wieczorze w windzie. O linie.

Wiedziałam, co ma na myśli. Tamten seks był agresywniejszy niż jakikolwiek wcześniej. Moim zdaniem Antony nie był urodzonym dominantem, ale tego wieczoru był bliski tego, bliższy niż kiedykolwiek, a ja wiedziałam, że reaguję tak naturalnie i instynktownie, że musiał dostrzec moją prawdziwą naturę, którą wcześniej ukrywałam, aby go nie zszokować.

Wiedziałem też, że nie był zaskoczony. Moje zachowanie tamtej nocy na pewno zapowiadały nasze wcześniejsze przygody. Nie obnażyłam całkowicie nowej sfery mojej natury, najwyżej odsłoniłam coś, czego nie był w pełni świadomy albo z czym wcześniej nie zetknął się w tak bezpośredni sposób.

Leżałam w milczeniu, zastanawiając się, co powiedzieć, ale nic mi nie przyszło do głowy, więc tylko mocniej obejmowałam go ramieniem, które położyłam na jego piersi.

Zamilkł, a kiedy i ja milczałam, zaczął mówić dalej.

– Chcę chyba powiedzieć tyle, że żadne z nas nie jest idealne i czasami nie do końca cię rozumiem. Wiem, że nasz związek jest nietypowy. Ale chcę z tobą być. Lubię cię za to, jaka jesteś, nawet za to porąbanie, i jeśli kiedykolwiek będę mógł zrobić coś, żeby ci pomóc, to... zrobię to.

Wiedziałam, że mówi o seksie, o tej mrocznej stronie, której czasem pożądałam, o wyższym poziomie pożądania, który popkultura do znudzenia nazywała nienormalnym w porównaniu z pragnieniami reszty kobiet.

– Ja też cię lubię – odparłam, a potem przekręciłam się tak, żeby klęczeć i pocałowałam go.

Pewnie nie wszyscy byliby zachwyceni taką formą romansu, ale nam to pasowało.

Drzemaliśmy, aż Giselle zadzwoniła, żebyśmy zeszli na kolację, poznali resztę ekipy i wysłuchali, co przyniosą najbliższe tygodnie i czego oczekuje od nas Bal.

Pracowaliśmy ciężko już od kilku tygodni i zaledwie dni dzieliły nas od próby kostiumowej. Główna siedziba, jeden z kilku wybudowanych tu budynków, zapowiadała się niebywale. Stolarze i technicy nadawali jej ostatnie szlify, a Andrei zasugerował, że powinniśmy zrobić sobie dzień wolnego, naładować baterie i wyluzować się przed tą wielką nocą.

Początkowo nie podobał mi się ten pomysł. Byłam zbyt pogrążona w improwizacjach i nie miałam ochoty na kontakt z czynnikami zewnętrznymi, które mogłyby zaburzyć mój proces zatapiania się w muzyce. Wielu tancerzy sugerowało, żebyśmy pojechali do Vegas, pograli i odprężyli się.

Viggo oraz większość scenografów i kostiumologów sugerowała, żebyśmy pojechali do zapory Hoovera, bo to pomniejszy cud świata, a poza tym niezwykle widoki. Antony się wahał, a wyczuwając mój brak entuzjazmu, zasugerował, że przychyli się do mojej decyzji. Z odsieczą przyszła Lauralynn, która zaproponowała wycieczkę na pustynię i piknik w starym stylu.

W końcu, przekonywała, znaleźliśmy się w jednym z najpiękniejszych naturalnych miejsc na świecie, a całe dni tylko ćwiczyliśmy i udoskonalaliśmy nasze występy. W końcu zgodziliśmy się, że nie musimy się ze sobą zgadzać i każde poszło swoją drogą. Tylko kilkoro głosowało za wycieczką.

Blondyni, ci, których widziałam, jak ćwiczyli brzuszki na wózku bagażowym i o których myślałam, że są bliźniakami, a okazali się częścią gimnastycznej grupy ośmioraczków, ku mojemu rozczarowaniu początkowo zdecydowali się na wycieczkę do Vegas. Robili wrażenie, kiedy ćwiczyli w krótkich spodenkach i z nagimi klatami pływali w basenie.

Stanowiliby doskonałą odskocznię, choć niekoniecznie relaksującą. Dwie krótko ostrzyżone dziewczyny, Nina, rudowłosa gimnastyczka i Elena, brunetka z pięknymi cyckami, która otwierała ostatnie przedstawienie sztuki, postanowiły pojechać do zapory Hoovera, a grupka balerin o jędrnych tyłkach, za którymi staliśmy z Antonym w kolejce przy meldowaniu się w hotelu, zostały przy ośmiokątym hotelowym basenie, żeby pić drinki.

Do nas dołączyła Alissa. Ewidentnie nie chciała puścić mnie i Antony'ego samych, ale miała też oko na blond rodzeństwo.

– Na pewno zdobędę przynajmniej jednego, przecież, na litość boską, jest ich ośmiu! – mruzczała do Lauralynn, kiedy ośmioraczki zdecydowały się przenieść kasyno na inny dzień i pójść z nami.

Z wyjątkiem pierwszego dnia, kiedy pozostałych sześciu było na pewno gdzieś w pobliżu, tylko że poza zasięgiem mojego wzroku,

nigdy więcej nie widziałam ich oddzielnie. Mieszkali w tym samym apartamencie, ale każdy miał własną półkę piętrowego łóżka. Żadna z nas nie wiedziała, na czym będzie polegał ich występ, ale każda domyślała się czegoś innego.

– Wyglądają jak stadko mini Davidów Beckhamów, tylko że są młodszy – zauważyła Alissa, bezwstydnie gapiąc się na nich przy kolacji. – Tylko że w okolicy nie ma żadnej Posh Spice.

Nie zauważyłam, żeby którykolwiek patrzył w jej kierunku dłużej, niż nakazywało dobre wychowanie, ale nie miałam wątpliwości, że w końcu przynajmniej jeden, a może wszystkich ośmiu, wylądaje w jej łóżku. Alissa zawsze dostawała to, czego chciała. Uczciwie trzeba jednak przyznać, że nie zwracali uwagi także na nikogo innego. Prawdę mówiąc, nie przejawiali jakichkolwiek objawów seksualności.

Lauralynn zajęła się organizacją sprzętu, jedzenia i picia. Była w swoim żywiole, dyrygując nami i przypominając o odpowiednim stroju i obuwiu, co Alissa uparcie ignorowała.

Wyruszyliśmy przed świtem, zanim dzień wyciągnął ku nam lepkie macki. Lauralynn dzierżyła mapę, chociaż byłam zdumiona, że jest w stanie określić trasę w otoczeniu składającym się z piasku, wydmy i raz na jakiś czas potoczku. Ogłosiła, że będziemy szli przez kilka godzin, zanim dotrzemy do miejsca, które wybrała na piknik.

– Niedaleko są cudowne formacje skalne – poinformowała. – Jaskinie do zwiedzania. I cień, w którym będziemy się mogli schłodzić w środku dnia – zachichotała.

Nie zaskoczyło mnie, że kiedy przyszło do wędrówki przez pustynię, większości naszej grupy zabrakło kondycji. Jeżdżenie na rowerze, bieganie po płaskich drogach chłodnego Londynu albo wyczynianie akrobacji nijak się miało do kilkugodzinnego marszu po pustyni w Nevadzie. Stawialiśmy niepewne kroki na ubitym piasku, nie wiedząc, że w ogóle posuwamy się naprzód, bo na horyzoncie nie było żadnego punktu odniesienia.

Naszą małą ekspedycję prowadzili Lauralynn i Viggo. Ich majaczące się z przodu sylwetki ostro ze sobą kontrastowały: Lauralynn miała kwadratowe ramiona i stanowczą postawę amazonki, jej krok był równy, niezmordowany i wręcz automatyczny.

Viggo był bardziej kobiecy, rozkołysany, chudy jak zapalka i stłamszony jej determinacją, ale jakimś cudem dotrzymywał jej kroku, nie przyplacając tego zauważalnym zmęczeniem.

Antony, Alissa, ośmiu blondynów i ja zostaliśmy z tyłu, wpatrzeni jak zaprogramowani w ich dopasowane do siebie kolorami sylwetki dziarsko maszerujące naprzód i wbrew rozsądkowi żywiliśmy nadzieję, że w końcu zwolnią, co nigdy się nie nastąpiło. Nie wiedziałam, jak moi towarzysze, ale ja szybko się wyłączyłam i parłam naprzód jak taran, niewrażliwa na dzikie piękno krajobrazu.

Na głowie miałam bezkształtny płócienny kapelusz, który wyłowiałam z kartonu z akcesoriami Balu. Inni też takie mieli. Viggo zawiązał sobie bandanę z trudem podtrzymującą strzechę jego włosów, a Antony, ponieważ nie spakował do swej minimalistycznej walizeczki ani jednej przydatnej w takich warunkach rzeczy, musiał

pożyczyć od recepcjonisty czapkę z daszkiem z logo jakiejś marki sprzętu wspinaczkowego, niepasującą do niego pod żadnym względem i której w innych okolicznościach nawet by nie dotknął.

Wykończeni słońcem szliśmy w pełnej napięcia ciszy, próbując nadać za Lauralynn prowadzącą nas w głąb pustyni i nie stracić wiary w jej wrodzone wyczucie kierunku.

W końcu stanęła w cieniu gigantycznych skał, zdjęła z ramion plecak z wodą i wsunęła go między kamienie, z dala od południowego słońca. Kiedy do niej dołączyliśmy, zasugerowała, żebyśmy zrobili to samo, a my posłusznie wykonaliśmy polecenie.

Niedaleko znajdował się strumyk, który być może o innej porze roku płynął, ale w tej chwili w korycie był jedynie piasek i kurz. Po drugiej stronie, za skałami, wznosiła się gigantyczna ściana, strzelająca w niebo jak monolit.

Stanęliśmy, żeby zaczerpnąć tchu. Naprawdę spodziewaliśmy się oazy?

– I już? – spytała Alissa. Z nas wszystkich ona najgorzej znosiła sytuację. Twarz miała czerwoną i opuchniętą, a jej anielskie usteczka były suche jak pieprz. Przesuwała po nich językiem raz za razem, nadaremnie próbując przywrócić im jaką taką wilgotność. Odpuściła już nawet flirtowanie z blondynami, którzy nie byli zainteresowani nikim poza sobą i przez całą drogę nie wypowiedzieli ani słowa.

Usiedliśmy w cieniu skały, przytłoczeni ogromem niebieskiego nieba, na którego tle byliśmy jak kropki, jak pchły szukające wyjścia z

labiryntu, w którym nie było ścian ani korytarzy, przez co stanowił więzienie jeszcze bardziej przerażające.

Byłam coraz bardziej rozdrażniona tą idiotyczną wycieczką i gotowałam się w środku z powodu swojej głupoty. Po co przyjmowałam wyzwanie Lauralynn i godziłam się na jej niemądrą propozycję, najgłupszą ze wszystkich opcji?

Jeśli chodzi o piknik, równie dobrze mogłam zejść te kanapki i owoce na miejscu, w warunkach całkowitego komfortu, w klimatyzowanym wnętrzu jadalni Grand Desert Inn albo w moim pokoju na ostatnim piętrze. Sądząc po minach moich towarzyszy, nie byłam odosobniona w tym sposobie rozumowania. Desperacko pragnęłam prysznic, doznania wody na wysuszonym ciele.

Wyciągnęłam z plecaka jabłko, które wcześniej zapakowałam, wgryzłam się w nie i rozkoszowałam cudownie słodkim sokiem, który ściekał mi po ściankach gardła, przynosząc cięń ulgi.

Siedząca koło mnie Alissa zdjęła męską koszulę w kratkę i została w samym staniku, szukając choć chwilowej ucieczki od upału oraz przemoczonego materiału. Inni też jedli: ciastka, suszone owoce i batoniki energetyczne oraz nieśmiało popijali wodę. Nie wiedzieliśmy, jak długo jeszcze będziemy na pustyni, więc oszczędzaliśmy napoje.

Lauralynn zaczęła się wspinać na jedną ze skałek. Jej długie kończyny rozciągały się we wszystkie strony jak odnóża pająka. Dotarła na samą górę i wciągnęła się wierzchołek.

– Doskonale – powiedziała i zeszła.

Wszyscy na nią patrzyliśmy.

– To tutaj – potwierdziła. Dawno już pozbyła się mapy.

Podążyłam za jej wzrokiem. Jakieś dwieście metrów od nas stało kilka wysokich skał, wśród których wypatrzyłam kuszące cieniem miejsce. Bezlitosna czerwień pustyni zmieniła się tam w patchwork pastelowych odcieni, jakby słońce nie miało tam wstępu i nie mogło go spalić. W polu widzenia miałam tylko kilka pni drzew, ale to nie wyjaśniało tej anomalii.

– Co to? – spytałam Lauralynn.

– Magiczne miejsce – odpowiedziała.

W jej zielonych oczach pobłyskiwała iskierka ekscytacji. Viggo podszedł do niej i wziął za ręce, jakby to miejsce wiązało się z tajemnicą, którą znali tylko oni i zdecydowali się zdradzić ją zwykłym śmiertelnikom.

Usłyszałam niecierpliwe parsknięcie Alissy.

– Co to za gówno?

– Jasne – odparła Lauralynn. – Zepsuj wszystko. Nie ma tu żadnej magii. Po prostu nie byłam pewna, czy je znajdę.

– Przywlekłaś nas tutaj, nie mając pewności, czy trafisz do celu?!
– syknęła Alissa.

– Dokładnie. Ale trafiłam, więc nie ma się czym ekscytować.

Alissa wyglądała, jakby miała zaraz wybuchnąć. Albo przynajmniej rzucić w Lauralynn ogryzkiem jabłka.

– W samą porę – dodała Lauralynn i wskazała w górę.

Zadarliśmy głowy. Wcześniej horyzont był jasnobłękitny i bezchmurny, a teraz niebo zasnuło się warstwą chmur w niebywałych kolorach, najdzikszym kalejdoskopem purpury, różnych odcieni czerwieni i oranżów, jakby dopiero wstawał złowrogi świt.

Powietrze zrobiło się ciężkie, nabrzmiało czymś. Deszczem? Wiatrem? Ostre podmuchy z kilku kierunków jednocześnie sypnęły ostrym piaskiem w nasze nagie kończyny i twarze. Byłam przekonana, że zrobiło się jeszcze goręcej. Na rozgrzanych skałach można by piec chleb.

Lauralynn bez słowa zarzuciła plecak z powrotem na ramiona i zaczęła iść w stronę pastelowego poletka przed nami. Spojrzałam na nią, potem w górę i zamrugałam. Dziwna burza na niebie była niemal lustrzanym odbiciem wzorów na ziemi, gdzie właśnie zmierzała. Miałam chęć podbiec naprzód i ją powstrzymać.

Jej sylwetka zaczęła się rozmywać. Na pewno było to złudzenie wywołane upałem, ale wyglądało jak scena z filmów *science fiction*, w której otwierało się przejście do innego wymiaru. Choć niechętnie, następna ruszyła Alissa. Po każdym kroku zatrzymywała się, patrzyła w niebo i gapiła się chwilę, a potem podbiegała.

Poszłam za nią.

Nikt się nie odzywał, ciszę wymuszało wzrastające napięcie. Każde z nas wyobrażało sobie, co się może zdarzyć, jeśli zostaniemy na otwartym terenie. Bal i tajemnicza Sieć, którzy za tym stali, dokonywali przez ostatnie tygodnie rzeczy niemających prawa się

wydarzyć i wywoływali zjawiska balansujące na granicy normalności, więc wszystko wydawało nam się możliwe.

To, w jakim stopniu umieli wykorzystać nasze zdolności, to, że znali nas lepiej niż my siebie, te hieroglificzne tatuaże na ciele Aurelii ożywające i znikające, jakby żyły własnym życiem...

Dziwne zjawiska pogodowe i niebywałe widoki były tylko kolejnym elementem serii zdarzeń, które ja, i pewno pozostali też, spychaliśmy na tył głowy, nie pozbywając się jednak nigdy towarzyszącego im przeczucia cudowności.

Już od dawna podejrzewałam, że Lauralynn jest zaangażowana w sprawy Balu w znacznie większym stopniu, niż się przyznawała, ale miałam nadzieję, że kiedyś w końcu powie mi wszystko, co wie.

Lauralynn i Alissa szybkim krokiem minęły ścianę, którą wiolonczelistka określiła jako magiczne miejsce i szły dalej, do potężnych skał za nią. Kawałek nawet przebiegły. Kiedy się zbliżyłam, zauważyłam, że ściana nie była wcale tak płaska, jak się wydawała z oddali. Zdobiły ją postrzępione fragmenty skał, dziury i wgłębienia, wszystkie w tym samym głębokim odcieniu zardzewiałej czerwieni.

Zaczęło padać. Zaledwie kilka lekkich kropeł, które zmieszane z unoszącym się w powietrzu piaskiem zostawiały na naszej skórze pomarańczowe strużki. Blondyni już dawno zdjęli koszulki, a pomarańczowe paski na gołym ciele nadawały im wygląd tygrysów, składających się z samych mięśni.

Kiedy w końcu zebraliśmy się w jednym miejscu, żadne z nas nie wiedziało, gdzie iść. Lauralynn skinęła, żebyśmy szli za nią i nagle zniknęła w ścianie. Alissa stała przez chwilę jak wmurowana, a potem wydała okrzyk zdziwienia i zniknęła za nią.

Niepewnie podeszłam bliżej, ale nie wciągnęła mnie żadna międzygalaktyczna dziura przenosząca do innego świata, czego się po cichu spodziewałam. Jakies pół metra dalej odkryłam wąską szparę, która po bliższym zbadaniu okazała się szczeliną na tyle szeroką, że można się było przez nią przecisnąć.

Prowadziła do krótkiego tunelu, a kiedy przekroczyłam próg, na chwilę zapało mi dech, bo znalazłam się w całkowitej ciemności. Żałowałam teraz, że nie zaczekałam na Antony'ego.

– Auć! – wrzasnęła Alissa, kiedy na nią wpadłam. – Patrz, gdzie leziesz!

– To nie blokuj wejścia – odwarknęłam.

Rozejrzałam się i teraz do mnie dotarło, czemu stanęła jak wryta, gdy dotarła do światła.

Znalazłyśmy się w dużej jaskini o wysokim sklepieniu, otoczonej ze wszystkich stron i od góry tą samą, rdzawoczerwoną skałą. Posadzka była gładka, wydeptana tysiącami stóp. Pośrodku był wielki basen z tak czystą wodą, że dno było widoczne jak na dłoni, a zbiornik mógłby się wydawać pusty, gdyby powierzchnia wody nie błyszczała lekko.

– Cholera – powiedział Antony, który wynurzył się za mną. – Niesamowite miejsce! – Zdjął czapkę z daszkiem i trzymał w rękę, a

ja stłumiłam w sobie pragnienie wyrwania mu jej i ciśnięcia gdzieś między skały.

Alissa rozpięła haftki sportowego stanika, a potem powiesiła go na kamieniu. Wpatrywała się w wodę, półnaga, jak gdyby zastanawiała się, jaki potwór może wypłynąć z głębin. Jej ciężkie, przeczące grawitacji piersi lśniły od potu i wyraźnie się odznaczały jako jedyna część wolna od czerwonego kurzu. Wyglądały jak dwie majestatyczne galaretki wyrzucone z salaterek.

W jaskini rozległ się ostry dźwięk, jakby coś spadało, ale to tylko ośmiu blondynów rozpinało jednocześnie spodenki i rzucało na ziemię przy stopach. Otoczyli basen i stali w jednakowej odległości od siebie, a symetrię ich nagich ciał przełamывała Alissa, która też zdjęła spodenki i bieliznę, nadal jednak zastanawiała się – wskoczyć czy nie.

Z zachwytem patrzyłam na ciała tych młodych mężczyzn. Byli piękni. Nie mieli oczywiście tak ujmujących kształtów jak ona i w porównaniu z jej krajobrazem złożonym z gór i dolin wyglądali jak równina, ale płynność ich ruchów i kontrast między miękkością skóry a twardością mięśni pod nią był niesamowicie atrakcyjny.

Podniecało mnie samo patrzenie na nich. Emanowali pewnością siebie właściwą stadu dzikich kotów odpoczywających przy źródle. Mogli się odprężyć, bo wiedzieli, że są zbyt silni i szybcy, żeby zawracać sobie głowę wypatrywaniem zagrożenia.

Alissa odchrząknęła. Nawet nie zerknęła na duże i kuszące kutasy chłopaków, dyndające między ich nogami w stanie półerekcji.

Wydawało się, że ich ciała pozostają w permanentnym stanie *quasi*-podniecenia, chociaż nie wskazywało na to nic więcej.

Wszyscy mieli w penisach kolczyki. Pręcik, grubości mniej więcej rurki do napojów, przebijał żołądzie. Na końcach pręcika był klejnocik, którego z tej odległości nie mogłam rozpoznać. Kremowobiały, z daleka wyglądał jak dopiero co uformowana kropla spermy. Może to była perła?

– Możecie wejść! – zawołała Lauralynn. – Jest całkiem bezpiecznie. – Uśmiechała się, więc podejrzewałam, że odwlekała podanie tej informacji, żeby nacieszyć się widokiem nagich ciał nad basenem. Nie, żeby blondyni się tym przejmowali. Prawdopodobnie właśnie dlatego jeszcze nie wskoczyli, żeby napawać się zainteresowaniem.

– Co to za miejsce? – spytał Antony.

Zaczęłam się rozbierać, co przy tej temperaturze było trudne, bo pot i piasek przesyciły moje ubranie i niemal nie byłam w stanie go odkleić. Antony stanął za mną i rozmawiając, pomógł mi rozpiąć stanik. Kiedy wyswobodził moje piersi, musnął brodawki, tak jakby niemożliwością było pozostawienie ich w spokoju. Lauralynn uśmiechnęła się jeszcze szerzej i nie przerywając rozmowy, cały czas patrzyła na moje piersi.

– To tylko sieć jaskiń, nic takiego. – Wskazała na przestrzeń wokół nas. – Była brana pod uwagę jako lokalizacja Balu, ale organizatorzy zaprotestowali. Kwestie bezpieczeństwa, te sprawy. – Ostatnie słowa były stłumione, bo zdejmowała akurat podkoszulek.

Zachichotałam.

– Kwestie bezpieczeństwa? Nie sądziłam, że Bal przejmuje się takimi szczegółami.

Zaciął mi się suwak w spodenkach, więc podeszła, żeby mi pomóc. Stała bliżej, niż było trzeba i w efekcie ocierała się nagimi piersiami o moje. Natychmiast stwardniały mi brodawki.

– Ach – westchnęła, zmieniając temat. – Masz świetne cycki, Summer.

– Dzięki – odparłam sucho.

– To prawda – zgodził się Antony. Zostawił mnie i obchodził teraz wnętrze jaskini. – Niesamowita akustyka.

– No właśnie – przytaknął Viggo. – Szkoda, że takie miejsce się marnuje. – W oczekiwaniu na Lauralynn siedział na skale. Nie wyglądało, żeby ostre krawędzie wznające mu się w tyłek w jakikolwiek sposób mu przeszkadzały.

– Za dużo niezbadanych basenów – wyjaśniła Lauralynn. – A sufit nie zniósłby powietrznych akrobacji. Wiem, że to wszystko dziwnie brzmi – dodała – ale za każdą magiczną chwilą stoi całe mnóstwo nudnej, technicznej roboty. Na każdego akrobatę przypada jeden księgowy.

– Nie psuj jej tego – przerwał Viggo. – Sztuka sceniczna nie jest już taka sama, jak się wie, gdzie są sznurki.

– Masz rację – zgodziła się Lauralynn. Akurat była na chwilę uległa. Zwykle chciała mieć ostatnie słowo.

Jeszcze raz ścisnęła moje piersi i odeszła.

– Idźcie eksplorować – powiedziała i wskazała odległy kraniec jaskini. – Tam jest więcej basenów. Dopóki będziecie nas słyszeć, jesteście bezpieczni.

– A ja się postaram, żebyście słyszeli przynajmniej ją – dodał Viggo.

Pozostali byli już w wodzie, a wydawane przez nich odgłosy chlapania obudziły we mnie pragnienie dania nura w wodę i doznania jej chłodu na skórze.

Antony ruszył w stronę przejścia, które pokazała nam Lauralynn. On też już się rozebrał i miał na sobie tylko buty. Wyglądał jak karykatura striptizera. Stłumiłam chichot i podbiegłam kawałek, żeby dać mu klapsa w pupę.

– Boże, jaki masz śliczny tyłek – powiedziałam.

Uśmiechnął się, wziął mnie za rękę i przeszliśmy pod naturalnym łukiem sklepienia. Znaleźliśmy się w drugim pomieszczeniu, znacznie mniejszym, w którym było kilka zbiorników połączonych strumieniem.

– Ale z ciebie brudas. – Starł mi z boku trochę rdzawego piasku. – Wskakuj.

W wodzie całowaliśmy się i jak tylko zdołaliśmy się ochłodzić, od nowa rozgrzewaliśmy się ciepłem naszych ciał. Słodkie szaleństwo nabierało rozpędu. Zwiastujące je odgłosy roznosiły się od komnaty do komnaty; z jaskini do jaskini.

Kiedy zebraliśmy się z powrotem przy wyjściu, nad pustynią zapadał już zmierzch, ponad odległymi górami zbierały się

fantastyczne chmury, piasek pod stopami był chłodny, a łagodny wiaterek owiewał wysuszoną skórę.

Część z nas szła już ku ścieżce, ustawiona w równym szyku jak mrówki. Przyszedł czas na powolny spacer do bazy Balu.

Kolejna noc w dużej mierze nieprzespana. Na odpoczynek nie pozwalał mi ani umysł, ani ciało. Ale byłam spokojna, niemal rozluźniona. Przy mnie głęboko spał Antony i tylko jego piersi rytmicznie wznoszące się i opadające były oznaką życia.

Włosy miał rozczochrane, a na szczytach nagich ramion dała się zauważyć delikatna opalenizna. Patrzyłam na niego bez końca, bojąc się, że go obudzę. Myślałam o tym, że nic nie wyszło z naszego planu mieszkania w oddzielnych pokojach: od przyjazdu do Nevady spędziliśmy wszystkie noce razem i utwierdziłam się w przekonaniu, że nasz relatywnie luźny związek z każdym dniem obrasta coraz większym uczuciem.

A ja nie byłam wcale pewna, czy jestem gotowa na coś więcej niż romans. Wciąż czułam się zawieszona w przeszłości. Tak jakby wiele spraw się rozwinęło, ale część mojego serca cały czas mieszkała w Hampstead, w domu, który dzieliłam z Dominikiem.

W przenikliwej ciszy pustynia budziła się do życia, a niebo za oknem zdobiły purpurowe smugi. Sięgnęłam po pierwszy podkoszulek, jaki wpadł mi w ręce oraz delikatne jedwabne majtki i na palcach wyszłam z pokoju, łapiąc po drodze jedno ze skrzypiec, które trzymałam w szafce.

W ogromnym hotelowym lobby światło było przygaszone. Wśród donic z terakoty, gigantycznych roślin, kaktusów i ozdób stojących w cieniu czułam się jak w muzeum.

Otworzyłam drzwi i z klimatyzowanego wnętrza wyszłam na pustynię prosto w zamglony upał dopiero powstający z piasku. Lekki ubiór sprawiał, że wciąż było jednak znośnie, a nawet przyjemnie. Szłam bosą i wiedziałam, że nie powinnam zbyt długo zostać na zewnątrz, bo kiedy ziemia bardziej się rozgrzeje, powrót będzie bolesny.

Szłam przez dziesięć minut w losowo wybranym kierunku, minęłam drogę prowadzącą do Las Vegas i skrzyżowanie dróg wiodących do jeziora otoczonego kasynami oraz do zapory Hoovera. Z oddali słyszałam silnik ciężarówki.

Pod wpływem impulsu skręciłam na otwartą pustynię, odwracając się tyłem do powoli wschodzącego słońca. Doszłam do niewielkiej formacji skalnej. Kiedy zmrużyłam oczy, ich kształty ożyły jakby w kamiennym teście Rorschacha. Zbiorowisko przedziwnych krzaków i zarośli zmieniło się w stado siedzących lwów.

Stałam tyłem do skał, z twarzą zwróconą w bezkres pustyni, otworzyłam futerał i na chwilę się zadumałam. Potem delikatnie odłożyłam skrzypce i zdjęłam ubranie. Dobrze się czułam nago. Nie było w tym nic seksualnego, po prostu tak byłam bardziej sobą.

Spojrzałam na swoje ciało. Miałam małe jędrne piersi, a brodawki wciąż pozostawały w stanie półpodniecenia po wczorajszym seksie. Antony i ja nabraliśmy zwyczaju pieprzenia się codziennie przed

snem, a często także i rankiem. Wargi mojej cipki były nabrzmiące od zużycia, wręcz opuchnięte.

Znów podniosłam skrzypce i przysunęłam do brody.

Wiedziałam już, co zagram za kilka dni na Balu. Miała to być mieszanka utworów z mojego repertuaru, przeplatana improwizacjami, które przygotowałam do pierwotnej wersji sztuki i które od tamtej pory rozwinęły się w najróżniejszych kierunkach.

Co jakiś czas będę wyruszała jeszcze dalej, zmieniała bieg, uzależniała improwizacje od aktualnego nastroju i od reakcji słuchaczy na moją grę. Byłam mentalnie zaprogramowana do bycia jednocześnie sformalizowaną i wolną.

Ale w tej chwili chciałam się pożegnać z przeszłością. Zamknąć ciężkie dębowe wrota raz i na dobre, zanim zacznę kolejny rozdział.

Wybrałam więc Vivaldiego.

Cztery pory roku.

Pierwszy utwór, który zagrałam dla Dominika.

Ostatni utwór, który zagrałam dla Dominika.

Zdecydowałam, że gram to po raz ostatni w życiu. Kiedyś trzeba przestać. Uniosłam smyczek nad naciągnięte struny. Palce czekały w gotowości.

Zamknęłam oczy.

Zaczęłam grać.

Pośród niezmaćconej pustki pustyni nuty unosiły się z krystaliczną czystością, a dźwięki frunęły w powietrzu jak ten upał, w którym byłam skąpiana, którym nasiąkała moja naga skóra.

Muzyka złapała mnie za gardło, a każda cząstka emocji dławiała, wędrując przez płuca. Serce miałam ciężkie jak kamień, a natchnienie mknęło przez delikatną mozaikę moich żył i na nieskrępowanych niczym skrzydłach docierało do każdego zakamarka.

Słońce wznosiło się coraz wyżej i pot spływał mi po czole. Poczułam, że po łydce do kolana wędruje mi mrówka, ale nie mogłam przerwać gry, więc jej irytująca obecność coraz bardziej mnie stresowała. Nie mogłam poruszyć nogą, nie naruszając przy tym uświęconego strumienia nieśmiertelnych melodii Vivaldiego, z którymi byłam tak intymnie związana. Zazgrzytałam zębami.

Powiew wiatru owionął mi skórę. Znów otworzyłam oczy. Nie zgubiłam ani jednej nuty. Byłam sama i musiałam pośrodku tej pustyni w Nevadzie wyglądać dziwnie: naga, dzierżąca małe skrzypce jak broń, emitująca dźwięki znikające w powietrzu. Niewidzialne nuty gładko wnikały w narastającą upalną mgłę.

Czy kiedykolwiek byłam bardziej samotna?

Rozległy się radosne dźwięki lata, a moim nadgarstkiem poruszała zawarta w muzyce prawda. Całe ciało, od stóp do głów, miałam pokryte lśniąca warstewką potu. Mrówka dotarła już do pachwiny. Chyba nie zamierzała zanurkować między opuchniętymi wargami mojej cipki?!

W ostatniej chwili zmieniła zamiar i skręciła na pośladek, gdzie chyba skończyła mi się wrażliwość na bodźce albo po tej niestrudzonej wspinaczce na ludzką górę mrówka spadła z powrotem na ziemię. Może jej nie smakowałam.

Serce mi podskoczyło, gdy prześlizgnęłam się do następnej pory roku. Muzyka trzymała mnie w objęciach, całkiem mną zawładnęła i rządziła moimi ruchami, a ja niczym marionetka nie miałam innego wyboru poza dokończeniem tego, co zaczęłam, złożeniem ofiary skierowanej do pustego nieba.

Kapało ze mnie.

Zewsząd.

W płucach miałam sucho, gardło mnie paliło, a wargi osiągnęły fakturę papierusu. Przeszło mi przez myśl, że zapomniałam wziąć ze sobą wodę. I buty. I kapelusz. Ale to nie miało znaczenia, musiałam grać dalej.

Aż przywołałam do życia ostatnią nutę.

Chwiałam się.

Nie mogłam ustać. Ostatkiem sił chwyciłam się przytomności.

Serce mi wzbierało, a dusza, czy cokolwiek w środku spełniało funkcję życiowego napędu, drżała w posadach. Przypominało to trochę orgazm, ale potężniejszy i absolutnie nie seksualny.

Odłączyłam się od świata.

Muzyka trwała.

Frunęłam za jej gładkimi, mądrymi, pięknymi nutami, płynęłam w rzece emocji, którą zostawiała za sobą.

Wciągnęłam powietrze.

Smyczek po raz ostatni zaatakował struny.

Świat wybuchł.

Wróciłam do rzeczywistości.

Świadomie nie nabierałam powietrza. Chciałam sprawdzić, jak długo wytrzymam na bezdechu. Gorące powietrze pustyni zebrane w moich płucach nawoływało, żeby je wypuścić.

Zrobiłam to.

Najdłuższy wydech mojego życia.

Skończyłam.

Już nigdy nie zagram Vivaldiego.

Nie będę musiała. Był teraz częścią mnie w takim stopniu jak nigdy przedtem.

Po raz pierwszy od bardzo dawna uświadomiłam sobie obecność bransoletki, niezauważalnie obejmującej mój nadgarstek. Odkąd zdałam sobie sprawę, że nie miałam jej na sobie w saunie w Kentish Town, nosiłam ją w dzień i w nocy, jakby miała moc bronienia mnie przed samą sobą. Ostatni prezent od Dominika.

Nie bez trudu znalazłam zapięcie.

Wygrzebałam stopą dołek w czerwonym piasku i upuściłam do niego bransoletkę, a potem szybko zgarnęłam ziemię. Pochowałam moje memento. Pustynny wiatr zrobi resztę.

Drżącymi rękami zapakowałam skrzypce do poobijanego futerału. Zostawiłam podkoszulek i majtki, które przypadkiem wdeptałam w piach i nieodwracalnie pobrudziłam. Ruszyłam w drogę powrotną do Grand Desert Inn. Nie przejmowałam się, że ktoś zobaczy mnie naga. Byłam sobą. Taka się urodziłam, taki stan kochałam i taka byłam. Naga. Obnażona. Żywa.

Byłam gotowa do Balu.

11. Skrzydlaty balet

Byłam już spóźniona. Złapałam skrzypce i po raz ostatni rozejrzałam się po pokoju. Wyglądał jak po przejściu tornada. Ubrania poniewierały się wszędzie, pościel leżała skłębiona, jednym słowem, krajobraz po bitwie.

Wybiegłam przed hotel i zastałam czekający na mnie autokar. Silnik mruczał. Wszyscy muzycy siedzieli w środku i patrzyli, jak biegnę. Na horyzoncie widziałam powoli znikające za płaskowyżem słońce, a niebo mieniło się kolorami czerwieni, oranżu i purpury.

Koła autokaru wzbity w powietrze piasek i zostawiły za nami jego kłęby.

Zamyśliłam się.

Od czasu wycieczki na pustynię rzadko widywałam Antony'ego. Był zaabsorbowany ostatnimi przygotowaniem do Balu, tymczasem ja brałam udział w niekończących się próbach z udziałem innych muzyków i tancerek. Chociaż nadal dzieliliśmy pokój, co najwyżej wyłapywałam z pościeli echo jego ciepła, kiedy obydwoje padaliśmy wyczerpani o różnych porach. Kiedy się budziłam, jego już nie było.

Zniknął ten dziwny, czuły Antony, który chciał werbalnie pieczętować nasz związek, a na jego miejsce wrócił ten zwyczajny, zdystansowany. Raz czy dwa leżałam bezsennie, desperacko napalona i trącałam go nosem w plecy, z nadzieją że obudzi się w takim samym nastroju, ale spał mocno mimo moich subtelnych poszturchiwań.

Mnie za to brakowało dyscypliny, żeby nastawić budzik na wcześniejszą godzinę i wykorzystać zapas porannego czasu, zanim oboje wyruszymy do naszych obowiązków.

Ale przynajmniej nie wrócił do picia. Barek pozostał nietknięty, a odkąd przyjechaliśmy do Ameryki, nie dostrzegałam u niego kaca, mimo że natura przygotowań do Balu i kapryśne natury kreatywnych typów i artystów oznaczały, że dni spędzał na czymś w rodzaju wypasu stada kotów.

Wiedziałam, że demony nigdy go nie zostawią w spokoju i byłam przekonana, że nikt, łącznie ze mną, nie zdoła przytrzymać ich na uwięzi. Ale oczekiwałam, że nadal będzie znajdował wytchnienie w pracy, nawet jeśli miałyby to oznaczać, że na jakiś czas będę go tracić.

Od dwóch dni zjeżdżali się goście. Niekończący się sznur samochodów, motocykli na czterech kołach, autokarów, busów, SUV-ów, smukłych harleyów, a nawet helikopterów, lądujących na zaimprovizowanym lądowisku niedaleko hotelu, prowizorycznie zabezpieczonym siatką.

Szybko przestałam zwracać uwagę na nowo przybyłych, ciągnących przez piach ciężkie walizki, skrzynie i wieszaki z ubraniami. Tłum pozbawiony twarzy. Było w nich coś anonimowego, jakaś jednolitość, której nie mogłam zinterpretować. Zawsze miałam takie odczucia w stosunku do widowni.

Nie umiałam się z nią porozumiewać. Po prostu sobie byli. Parking szybko się wypełnił, a wokół hotelu zaroilo od pojazdów,

namiotów i prowizorycznych schronień. Wyglądały jak nasiona kukurydzy pęczniejące pod wpływem słońca.

Zastanawiałam się, czy tak jest co roku, że się zbierają, ściągają na Bal z całego świata, złąknieni szansy na hedonizm i transcendencję. Co robili przez resztę czasu? Normalnie żyli jako urzędnicy, pracownicy banków, gospodynie domowe, bogacze albo żebracy, którzy przez dwanaście miesięcy oszczędzali, żeby tu przyjechać?

Oddalaliśmy się od wschodzącego słońca. Pierwszy raz miałam zostać wpuszczona na teren, gdzie miał się odbyć Bal. Muzyczne i taneczne przygotowania odbywały się w podziemiach hotelu, a prowizoryczne instalacje montowano w pobliżu.

Tylko Antony i jego ekipa techniczna oraz kilkoro najbardziej wtajemniczonych członków Balu jeździli tam codziennie rano. Byli zobowiązani do zachowania tajemnicy na temat tego, co tam widzieli i w co byli zaangażowani.

Odgarnęłam włosy z twarzy. Przypomniałam sobie o prostej obrączce z onyksu, którą miałam na środkowym palcu.

– Umożliwi ci wejście do wewnętrznych stref Balu i dostęp do wszystkiego – powiedziała Aurelia, kiedy wsuwała mi ją na palec, delikatnie przepychając po kostce. – Gdybyś postanowiła zostać po swoim występie.

– Myślę, że zostanę – powiedziałam.

– Wiem, że zostaniesz – odparła.

Miałam tyle pytań.

- Opowiedz mi o Balu – poprosiłam.
- Co na przykład?
- Jak to się stało, że się w to zaangażowałaś?
- Nie miałam wyboru – odpowiedziała. – Urodziłam się dla Balu. Po mojej minie musiała się zorientować, że nie rozumiem.
- Moja matka była Mistrzynią Balu, więc i ja nie miałam wyjścia
- wyjaśniła. – Musiałam iść w jej ślady.

Wciąż się dziwiłam.

- Odbywa się co roku?
- Staramy się, żeby tak było. Czasem odpuszczamy rok, ale to zależy od trudności przygotowań, wyboru lokalizacji i pracy, jaką trzeba włożyć w całe przedsięwzięcie.
- Ty i Andrei tym kierujecie?
- Nie, jest cała ekipa organizacyjna. Wiele osób jest zaangażowanych w pomoc i finansowanie naszych działań.

Przypomniałam sobie prywatny klub w Nowym Orleanie prowadzony przez Madame Denoux i aluzję, że to tylko jedno z takich miejsc.

- A jak długo...

Przerwała mi:

- Historia Balu sięga wiele stuleci w przeszłość. Ale nawet ci najgłębiej zaangażowani nie znają jego początków. Legenda głosi, że wszystko zaczęło się w starożytnym Egipcie...

- Naprawdę?

– Wszystko się zmienia – dodała. – Staramy się iść z duchem czasu. Unowocześniać. Jednak poszczególne tradycje zostają.

Miałam jeszcze tysiąc pytań, ale Aurelia położyła mi palec na ustach.

– Cierpliwości, Summer. Odpowiedzi pojawią się, kiedy nadejdzie czas.

Potem rozmowa przeszła na bardziej praktyczne tematy i moje pomysły na muzyczną uwerturę, którą przygotowałam na tegoroczne otwarcie.

Chciałam pytać dalej. O te magiczne wydarzenia i niemal nadprzyrodzone zjawiska, otaczające ją i Bal, o niewiarygodne sytuacje, których byłam świadkiem i których doświadczyłam, o siłowe pola nieprawdopodobieństwa i aurę pokusy, które ją otaczały. Już miałam otworzyć usta i pytać, bo temat muzyki został już zakończony, ale ona jakby czytała w moich myślach.

– To wszystko złudzenia, skarbie – powiedziała i wyszła z pokoju. Ale w jej oku zauważyłam błysk, tak jakby się ze mną bawiła.

Otrząsnęłam się z zamyślenia. Autokar zwolnił. Droga, którą jechaliśmy, skończyła się. Byliśmy pośrodku niczego.

Dotarliśmy na miejsce.

Wysiadłam i upał późnego poranka uderzył mnie w twarz. Ze zdziwieniem zauważyłam, że jak okiem sięgnąć cała pustynia była upstrzona różnokolorowymi namiotami, baldachimami i rachitycznymi, tymczasowymi konstrukcjami, zdobionymi flagami i wstążkami.

Były pękate wieżyczki z chorągwią na czubku i wbite w glebę pale, oplecione pajęczą siecią siatki, drutu i wielkich taśmociągów. Były tam generatory i inne elementy futurystycznej maszyny. Sprawiało to wszystko wrażenie, jakby jakiś gigantyczny, rozrośnięty cyrk zasiedlił ten kawałek ziemi, a jego macki zakradły się w każdy zakamarek.

Madame Denoux już na nas czekała. Jak zawsze ubrana była w długą, aksamitną suknię, tym razem w odcieniu głębokiego brązu, który płynął jak złota rzeka przy każdym jej ruchu, gdy nas witała i wskazywała drogę do wielkiego namiotu oferującego schronienie od nieubłaganego słońca.

Szybko poszliśmy za nią, w równym szyku przechodząc przez podwójne poły ciężkiego materiału do chłodnego świata. Zastępy generatorów działały bez zarzutu, bo klimatyzacja umożliwiała wykonanie wszystkiego, co musiało się tu odbyć bez względu na zewnętrzne warunki.

– Tutaj będziecie się przebierać i malować – ogłosiła Madame, wskazując na ciągnący się od ściany do ściany rząd metalowych wieszaków uginających się pod wiszącymi kostiumami.

Przed nimi stały głębokie kartonowe pudła, z których wysypywały się buty, szale i inne akcesoria. Po drugiej stronie przepastnego namiotu o niskim suficie ustawiono małe toaletki. Przy każdej stało sześcioro młodych ludzi w uniformach garderobianych, którzy mieli pomagać nam się ubierać i malować.

Wszyscy mieli włosy splecione w długie do pasa warkocze i wyglądali ładząco podobnie. Mieli różne rysy twarzy, ale poruszali się i mówili dokładnie w ten sam sposób jak jednojajowe sześciornaczki. Usiłowalam odgadnąć ich płeć. Wszyscy mieli obszyte koronką długie spodniki, a nie spódniczki, ale choć ich wdzięk sugerował płeć żeńską, brakowało im cech typowej dziewczynności.

– To chłopcy czy dziewczyny? – szepnęłam do Giselle.

Spojrzała na mnie, jakbym spytała o coś niedorzecznego.

– Myślę, że jeszcze się nie zdecydowali.

Z różnych powodów do tej pory nie mogliśmy przeprowadzić porządnej próby kostiumowej i teraz miał nastąpić pierwszy raz, kiedy zobaczymy nasze sceniczne stroje. Nie tylko muzycy, ale i trupa gibkich tancerzy, których taniec ewoluował wraz z rozwojem naszych improwizacji.

Obok mnie przemknęła Lauralynn i ruszyła prosto do wieszaka z ubraniami.

– W samą porę – rzuciła.

Nasi pomocnicy uwijali się jak mrówki, nadzorowani przez gniewną Madame Denoux, i podawali nam stroje, buty, paski i wstążki, perfekcyjnie zgrani i skuteczni, stworzeni jakby do tego zajęcia. Każdy element stroju wisiał na metalowym wieszaku.

Nasze wymiary i role zostały określone już wcześniej, więc nie było problemu z ubraniem się. Z lekkością Kopciuszka wsunęłam stopy w buty. Nie były ani za ciasne, ani za luźne, tylko w sam raz, jak inne części stroju dopasowane co do milimetra.

Wkrótce byliśmy ubrani albo raczej przekształceni w wersję sceniczną oczekiwaną przez Bal. Teraz makijaż.

Dowiedziałam się, że mam się zdać na ich wycucie, a Aurelia uprzedziła, że chciałyby mnie zobaczyć w czymś wyjątkowym. I tak się miało stać.

Nigdy nie byłam nieśmiała ani wstydliva, ale nawet mnie zszokowało to, co miałam włożyć. Mój kostium, strój czy jak to coś się w ogóle nazywało, składał się tylko ze złożonej płataniny pasków i z metalowych sprzączek.

– Jak na litość boską mam to włożyć? – spytałam mojego milczącego asystenta, który podał mi to ustrojstwo. – Nie ma nic pod spód?

Spojrzał na mnie beznamiętnie i sprawdził w notatkach, że faktycznie, był to cały mój strój i nie przynależało do niego nic więcej oprócz butów. Na całkowicie przezroczystych, królewsko wysokich obcasach, które wyglądały jak zrobione ze szkła. Miałam być na tym balu współczesnym Kopciuszkiem?

Oczywiście, można się było tego spodziewać po Aurelii, butom udało się jakimś cudem uniknąć tandetności plastikowych szpilek zdjętych ze striptizerki i na mojej stopie wyglądały elegancko i zachwycająco. Ich niemal architektoniczny projekt łączył smukłe linie z geometrycznym kształtem, nadając im cechy obiektu sztuki współczesnej, a nie taniej sensacji.

Pojawiła się przy mnie Madame Denoux.

– Wyglądasz absolutnie zachwycająco – powiedziała. – A dzięki tym butom każdy, kto będzie na ciebie patrzył z daleka, dozna wrażenia, że unosisz się w powietrzu – dodała z uśmiechem.

Dołączyła do nas Luralynn, też już ubrana do występu. A raczej: połowicznie ubrana. Zjawiskowa bluzka z jasnego jedwabiu lśniła przy każdym jej ruchu, a cienki biały kołnierzyk otaczał jej szyję jak mleczny naszyjnik, podkreślając słonecznikowy odcień jej jasnych, błyszczących włosów.

Spojrzałam w dół. Pod bluzką nie było nic. Była całkowicie naga, rozebrana od pasa w dół. Oczywiście też miała na sobie wysokie obcasy, choć akurat jej figura amazonki ich nie wymagała. Ja stałam boso, a ona górowała o półtorej głowy nade mną.

Znów miała przyklejony do łona starannie przycięty trójkącik sztucznych włosów, tym razem w odcieniu głębokiej purpury, ostro kontrastującej z jej bladą skórą. Mocne nogi rozkładały się jak łabędzie skrzydła, wyrzeźbione, doskonale dopasowane do reszty jej ciała.

– Co to ma... – Odwróciłam się, żeby się rozejrzeć.

Pozostali muzycy byli ubrani w ten sam sposób: jasne jedwabne bluzki i nic więcej. Mężczyźni tak samo jak kobiety.

Z wyjątkiem Luralynn, która w każdej sytuacji roztaczała wokół siebie aurę cielesności, bez względu na to, co miała na sobie, efekt był zadziwiająco asekualny. Nagie genitalia nie zostawiały pola dla wyobraźni, więc nie okazałam im zainteresowania.

Mieli budzić pornograficzne skojarzenia, a tymczasem rzut oka wystarczył, by automatycznie skonstatować, że są owłosieni albo wygoleni, z dużymi albo małymi fiutami i sromami i to wystarczyło, żebym zaczęła przyglądać się raczej ich twarzom i instrumentom.

– Ciekawe, nie? – zauważyła Lauralynn z triumfalnym uśmiechem.

– To pomysł Balu?

– Mój – odparła i mrugnęła.

No tak, w końcu ona grała na wiolonczeli i z konieczności będzie musiała mieć cały czas rozchylone nogi. Nikt z pozostałych nie musiał przyjmować tak ostentacyjnej pozy. Zauważyłam, że i Lauralynn, i Madame Denoux miały na środkowych palcach takie same obrączki z onyksu jak ja.

– Chodź – powiedziała Madame, która stanęła obok mnie. – Rozbierz się.

Posłuchałam jej polecenia.

Kiedy byłam już naga, wskazała na moje ręce.

– Do góry – rozkazała.

Uniosłam ramiona, a ona rozpoczęła żmudny proces zapinania labiryntu pasków, pętli i sprzączek wokół moich kończyn i na całym ciele. Lauralynn i mój młodszy asystent pilnie jej pomagali. Ona podawała mi rękę za każdym razem, kiedy musiałam podnieść nogę i nie mogłam utrzymać równowagi. Robiąc to, dla żartu skubała mnie w ucho, a potem przesłała buziaka.

Czułam się jak w czasie gry w twistera: wyginałam ciało, wyciągałam ręce, nogi i inne części, żeby dotknąć wskazanego koloru. Rozciągałam się jak akrobata w skórzanej uprzęży.

– Gotowe. – Wszyscy troje patrzyli na mnie z podziwem. Nie śmiałam na siebie spojrzeć. Podprowadzili mnie do lustra.

Paski ciasno otaczały moją szyję, piersi i talię, z pornograficzną szczegółowością podkreślając ich budowę. Zamykały w uścisku moje piersi, unieruchamiały je wysoko, ale nie odcinając dopływu krwi. Brodawki już mi stwardniały i lubieżnie wyrywały się naprzód.

Płatanina pasków w dolnej połowie mojego ciała zaciskała cipkę jak w szczypcach, uwypuklała ją i podkreślała jej mięsistość, wzmaganą uciskiem czterech dopasowanych pasków tak, jakbym się w nich urodziła. Cały ten strój zwracał uwagę na moje cycki i genitalia, ostentacyjnie je podkreślając.

Wyglądałam jak niewolnica z haremu.

Owieczka prowadzona gdzieś daleko na pustynię, żeby zostać złożona w ofierze. Przeszył mnie dreszcz podniecenia na myśl, że zobaczy mnie tak publiczność.

Krzyżujące się paski i pętle sprawiały, że osiągałam jakiś wyższy stopień nagości. Wystawiona na spojrzenia jak towar. Ku uciesze innych.

– Pięknie – szepnęła Madame Denoux.

– Zachwycająco – dodała Lauralynn.

– Może mogłoby być trochę ciaśniej – zasugerowała któraś, a ja stałam jak oniemiała i obserwowałam to, w co się zmieniałam.

Po moim ciele znów rozszalały się palce zaciskające sprzączki i paski jeszcze mocniej. Młody asystent zniknął gdzieś w cieniu.

Zrobiłam krok i dotarło do mnie, że paski były dwustronne. Z zewnątrz lśniące i gładkie, z wypolerowanej skóry. Od środka o nagą skórę ocierała mi się szorstka powierzchnia, jakby ze sznurka. Już sobie wyobraziłam ślady, jakie zostaną, kiedy się rozbiore. Gardło mi się ścisnęło.

– Antony przyklepał – powiedziała Lauralynn.

Zaprowadziła mnie do toaletki i posadziła twarzą do lustra w zalewie jasnych świateł. Kiedy już uporałam się z lekką irytacją wywołaną wiadomością, że komukolwiek przyszło do głowy, że Antony powinien zaakceptować mój strój, wyparłam tę informację.

Nigdy nie widział mnie w czymś takim. Zastanawiałam się, czy uprząż go podnieci, czy efekt pozostawi go flegmatycznie obojętnym, bo potraktuje to jak kolejny kostium służący odegraniu roli i niczemu więcej.

– Dałabym lekki makijaż – zasugerowała Madame Denoux. – Tylko usta. Trochę czerwiejsze. Żeby pasowały do włosów.

– Tak, bardzo oszczędnie – zgodziła się Lauralynn.

Zjawił się kolejny asystent w stroju garderobianej i zaczął mnie energicznie czesać. Zostało uzgodnione, że odgarnie mi włosy z czoła i zepnie z tyłu. Prosto. Niewinnie.

Emocje buzowały we mnie jak w kotle. Od bardzo dawna tak się nie czułam ani nie miałam na sobie takiego stroju. Od czasu Dominika.

Spinka miała utrzymać włosy na miejscu. Na czas makijażu odwróciłam się od lustra. Tancerki już się zbierały. Wyglądały jak szczupłe, wiotkie złote statuetki, połknięte przez eksplozję światła, którym zalało je wschodzące słońce, gdy tylko wyszły z namiotu oddzielającego nas od piekielnie rozżarzonej pustyni.

Madame Denoux nas wyprowadziła. Lauralynn wzięła mnie za rękę, żeby dodać mi otuchy.

Autokar już czekał. Zajęliśmy miejsca, zbyt zawstydzeni, żeby na patrzeć na siebie nawzajem, ubranych i ozdobionych adekwatnie do tego, co się miało zaraz wydarzyć.

Zauważyłam, że złoty odcień ciałom tancerek nadawała farba, nie kostium ani gra światła i w związku z tym były obnażone w takim samym stopniu co my, muzycy. Do drugiego, mniejszego autokaru wsiadła ekipa asystentów, każdy z wielką płócienną torbą.

Madame Denoux wyszeptała do ucha kierowcy instrukcje i powoli ruszyliśmy w głąb pustyni, oddalając się od obozowiska i prowizorycznych instalacji. W milczeniu jechaliśmy obok skał i wyschniętych potoków, w cieniu wzgórz i po równinach.

Zastanawiałam się, jak daleko sięgało panowanie Balu? Większość z nas podjadała czekoladę, batony energetyczne, tortille i kanapki, w które zostaliśmy zaopatrzeni. Giselle ostrzegła, że to jedyny posiłek aż do końca Balu.

W końcu wynurzyliśmy się z wąskiego przesmyku i znaleźliśmy się na płaskiej, niekończącej się równinie, która sięgała aż po zamglony horyzont. Pośrodku stała gigantyczna wtopiona w tło

kopuła, kojarząca się z futurystycznym namiotem cyrkowym zrzuconym z kosmosu. W pobliżu parkowały rzędy pojazdów. Madame Denoux odgrywała rolę naszego przewodnika, kiedy w wojskowym szyku wylewaliśmy się z autokaru i szliśmy w kierunku budowli.

Całkowita ciemność.

Ogarnęła nas cisza, nikt na niewidocznej dla nas widowni nie chrząkał ani nie wycierał nosa. Staliśmy i siedzieliśmy na podwyższeniu, instrumenty już czekały.

Madame Denoux, kiedy wskazywała miejsca, szepnęła mi do ucha, że będę wiedziała, kiedy zacząć grać, sygnał będzie oczywisty.

Czekaliśmy.

Wszyscy muzycy patrzyli na mnie, bo ta ja miałam zagrać pierwszą nutę. Chociaż bardzo się starałam zachować spokój, przeszła mnie fala strachu.

We wnętrzu kopuły unosił się interesujący, może nawet podniecający zapach: przypraw, kwiatów, zielonej roślinności, ciepłej skóry. Koił mnie i prowokował.

Odgłos stóp na scenie poniżej. Przesuwające się ciała, ruch, lekkie metaliczne echo i znów cisza.

To tancerze odnaleźli miejsca i przyjęli pozycje.

Odgłos tysiąca zatrzymanych w płucach wdechów unosił się nad przeciwległym końcem sali. Gdzieś wysoko pod kopułą namiotu, jakby całe kilometry stąd, pojawił się mikroskopijny świetlny punkt.

To musi być to. Cała się napięłam. Podniosłam skrzypce do brody, a drugą ręką ścisnęłam smyczek.

Punkt zaczął pęcznieć i jaśnieć, a ja nie mogłam nie zauważyć, od czego przeszył mnie dreszcz, że jest wycelowany prosto we mnie, precyzyjnie w skrzyżowanie ciasnych pasków otaczających moje genitalia, jasno podkreślający nienaturalną mięsistość moich warg.

Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, całe moje ciało znalazło się w sieci oślepiającego blasku.

Och, Antony – pomyślałam. Tylko on mógł wymyślić tak dramatyczne otwarcie. W codziennym życiu byliśmy w najlepszym razie związkiem niedoskonale romantycznym. Ale w punkcie, w którym stykały się nasze zawody, muzyka i reżyseria teatralna, jako drugi mężczyzna instynktownie rozumiał, co się dzieje na dnie mojego serca i duszy, znał moją seksualność. – Niech cię...

Setki, czy ile ich tam było, widzów wypełniających majestatyczną kopułę widziały teraz wyraźnie moje wyeksponowane ciało wycięte ze ściany ciemności ostrym światłem. Wyglądało na jej tle jak ogień. Nie miałam wątpliwości, że nawet ci siedzący dalej doskonale widzą wszelkie szczegóły mojej nagości, bo nad moją głową wisiał telebim, taki sam jak na koncertach rockowych.

Smyczek na strunach.

Pierwsza nuta. Potem druga. I kolejne.

Wijąca się melodia, która od tygodni prześladowała mnie nocami, wyrażała moje najgłębsze lęki, emocje i pragnienia. Smutek, wspomnienia, głód, ból, melancholię, pożądanie, przyjemność,

nadzieję i rozpacz, wszystkie przemienione w dźwięk i na zawsze wpłątane w moje wnętrze.

Grałam sama. Nadawałam nutom tyle znaczenia, że ani moje serce, ani instrument nie mogły tego dłużej znieść. Zmieniłam trochę ton i usłyszałam wiolonczelę Lauralynn, która przychodziła mi z odsieczą, uziemiała mnie, rozwijała temat. Później weszła sekcja smyczkowa i graliśmy wszyscy, jakby kilka strumieni zbiegło się w jednym korycie.

Sieć światła rozciągnęła się, nie koncentrowała się już na mojej cipce, a potem ciebie, tylko objęła także pozostałych muzyków.

Pod sufitem kopuły ożywały kolejne promienie światła i leciały jak lawiny na środek sceny, gdzie przesuwali się z gracją tancerze, odwzorowując krokami geometryczne schematy, rygorystyczne i eleganckie, precyzyjnie odzwierciedlające to, co graliśmy.

Sunęli jak złote smukłe kolumny. Ruchy mieli płynne. Para wyższych tancerzy, mężczyzna i kobieta, odłączyła się od głównego szpaleru i subtelnie wokół nich wirowała. Dostosowałam swój rytm do nich, a Lauralynn zrobiła to samo, bezbłędnie odczytując moje intencje.

Snop światła zwinnie śledzący parę po całym parkiecie nagle zmienił kolor z ostrej bieli na ciepłe złoto, a te doskonałe ciała nim oblane załśniły.

Wirowali i unosili się z perfekcyjną lekkością, płynnością łyżwiarzy figurowych, jedna dłoń w dłoni partnera, a druga na jego ramieniu. Koncentryczny schemat ruchu w jednej chwili przywiał ich

w pobliże orkiestry. Ciemne włosy tancerki opadały jej swobodnie na plecy, a jej partner, prowadząc ją, napinał mięśnie łydek.

Kiedy przemykali obok mnie, na moment się rozdzielili, a mnie aż zaparło dech: łączył ich w tańcu cienki złoty łańcuszek, w dwóch miejscach przypięty do jej warg sromowych oraz do obrączki, którą mężczyzna miał przy nasadzie fiuta.

Pilnowałam, żeby nie wypaść z rytmu, ale cały czas się w nich wpatrywałam, a gdy zdołałam się przyzwyczaić do ich ruchu, widziałam jeszcze więcej, ale szybko wtopili się z powrotem w bezkształtną masę pozostałych i oddalili się ode mnie.

Na próbach nie było nawet mowy o takim rozwiązaniu, ale muszę też przyznać, że wtedy byliśmy normalnie ubrani i bardziej skupieni na grze i dostosowywaniu tańca do muzyki.

Tancerze byli teraz zgromadzeni blisko siebie i lekko drżeli, podczas gdy – tak jak było zaplanowane – pierwszy rząd sekcji smyczkowej spuścił ze strun burzę dramatycznego *pizzicato*.

Przygotowałam smyczek, gotowa zagłębić się w środkowej części improwizacji, która została już osadzona w sielankowym fragmencie symfonii Mahlera.

Nie był to fragment napisany na skrzypce, tylko na orkiestrę, ale mocno do mnie przemawiał i umożliwił mi rozwinięcie go w różnych kierunkach, tak jakby biegnąca po horyzont droga miała kilka możliwych zjazdów i tylko instynkt pozwalał na wybranie prawidłowej.

Coraz swobodniej się czułam, improwizując i zastanawiałam się, jakim cudem kiedykolwiek uda mi się wrócić do wiernego odwzorowywania partytur. Czy będę w ogóle chciała wrócić?

W odpowiedzi na zmianę muzyki grupa tancerzy rozdzieliła się, rozwinęła jak pęk kwiatu i wtedy zobaczyłam, że wszyscy są ze sobą powiązani takimi samymi łańcuszkami. Zachwycająca pajęczna sieć złotych ciał ciągnących każde w swoim kierunku. Jej oczka się napinały, cienkie łańcuszki układały się w magiczny wzór, a twarze wykrzywiały się z bólu albo przyjemności.

Ciała wyginały się, sterowane falami doznań, które mogłam sobie tylko wyobrazić, ale mimo to tańczyli, każdy ruch *staccato*, w matematycznej harmonii z dźwiękami moich skrzypiec, pomrukami wiolonczeli Lauralynn i kojącą kołysanką wygrywaną przez orkiestrę, która podbudowywała nasz nieubłagany, pełen pasji strumień. Mieli niewiarygodny *timing*. Biliśmy wszyscy jak jedno serce.

Światła niezmordowanie prześlizgiwały się po naszych odsłoniętych ciałach, a my niepostrzeżenie dostosowaliśmy rytm do posuwistych, niebiańskich ruchów połączonych ze sobą tancerzy.

Rozciągali się i kurczyli, podnosili i opadali, jak w zabawie ze sznurkami oplatanymi wokół palców, nieustająco złączeni, emanujący życiem i seksem.

Wyobrażałam sobie siebie na tym parkiecie, ze złotą obrączką wpiętą w najdelikatniejsze miejsce mojego ciała. Widziałam to w jakimś artystycznym filmie i zrobiło na mnie wrażenie. Do obrączki był przypięty cienki łańcuszek, który otwierałby mnie i rozciągał za

pośrednictwem ruchów całego zastępu wyprężonych penisów pozostających w nieustannym ruchu, zmuszonych do trwania w wzwodzie, żeby utrzymać rytm, który mógł mnie albo ujarzmić, albo zranić.

Moje serce dziko pompowało krew.

Skrzypce zmieniły się w diabła ciągnącego mnie do szatańskiego tańca. Stawałam się instrumentem na jego usługach. *Crescendo* osiągnęło szczyt.

Światła eksplodowały, a widownia ryknęła.

Dotarłam do końca cała mokra od potu. Droga nie biegła już dalej. Na chwilę się zatrzymałam, żeby zaczerpnąć tchu. Wiedziałam, że muzycy mnie obserwują, czekając na jakiś sygnał, ale byłam zbyt wyczerpana, żeby go dać. Tancerze się nie ruszali, zastygli w miejscu jak posagi, a złote płatki łuszczyły się z ich skóry. Światła zaczęły gasnąć i wkrótce wszystko pograżyło się w ciemności.

Słyszałam ruchy widowni, która przemieszczała się między rzędami foteli. Dobiegał mnie nieustanny pomruk głosów, kiedy komentowali to, co widzieli. Pochlebnie, niechętnie czy obojętnie; mnie było wszystko jedno.

Zaczekałam, aż cisza znów przejmie władzę.

– Chodź – powiedziała Lauralynn, która podeszła do mnie i wzięła mnie za rękę. – To już koniec. Możemy iść. – Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że byłyśmy na scenie same. Pozostali muzycy się rozeszli.

Poprowadziła mnie jak pies przewodnik przez ciemną kopułę aż do bocznego wyjścia.

Czekała tam Madame Denoux. Była zarumieniona i patrzyła na mnie dziwnie, gdy chwiejnie przeszliśmy do autokaru mającego nas z powrotem zawieźć do garderoby.

Bezmyślnie poddałam się dotykowi asystentów, którzy zdejmowali mi paski, rozpinali sprzączki i rozwiązywali pętle. Popatrzyłam na swoje ciało w lustrze i zobaczyłam, jak głęboko wbiła mi się w skórę lina wyściełająca skórzane paski od wewnętrznej strony. Zostawiły wściekle czerwony tatuaż.

– Zajebicie piękne! – zawołała Lauralynn.

– Zblednie – rzuciłam.

– Niekoniecznie. – Madame Denoux podała mi słoiczek z kremem, bez nazwy. – Wetrzyj w otarcia – zasugerowała. Krem cudownie chłodził. Wmasowałam go w przecinające się wgniecenia w ciele, które zdobiły mnie teraz zamiast pasków. – Wzór utrzyma się przez dwadzieścia cztery godziny – powiedziała i odeszła. – Macie dostęp do wszystkiego. Bawcie się dobrze.

Lauralynn zdjęła jedwabną bluzkę. Przeszukała wieszaki, wyciągnęła jakiś ciuch, ubrała się w niego, a potem odwróciła się do lustra.

– Może być – powiedziała.

Przez cały koncert miała odsłoniętą dolną połowę ciała, więc teraz odwróciła zasady i włożyła granatowe satynowe spodnie na szelkach, które zasłaniały tylko piersi, a resztę tułowia miała naga.

Znalazła też kapelusz, trochę w stylu czapki policyjnej, którą można zdobyć w wypożyczalni kostiumów karnawałowych, tyle że wykonany ręcznie i ze zdecydowanie lepszych materiałów.

Balansował niepewnie na stojaku z nakryciami głowy, jakby ktoś rzucił nim z drugiej strony pomieszczenia i niby trafił, ale nie na tyle, żeby porządnie zadzierzgnął się na swoim haczyku.

Stałam tak bez ruchu, wciąż oszołomiona potęgą doznań, jakie się przeze mnie przetoczyły podczas występu.

– A ty? – Luralynn podała mi jakieś ubranie.

Nawet nie spojrzałam, co proponuje na resztę Balu.

– Nie. – Spojrzałam na swoje ciało, na głębokie odgniecenia na skórze, nadal podkreślające moje intymne miejsce, zdobiące mnie. – Pójdę tak.

Luralynn popatrzyła w dół, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Świetnie. Te buty są do tego wprost stworzone.

Kiedy wychodziłyśmy, zdałam sobie sprawę, że nawet nie wiem, czy dzisiejszego wieczoru spotkam się z Antonym. Oczywiście podejrzewałam, że tak, ale jeszcze go nie widziałam i nie byłam pewna, czy Aurelia dała mu obrączkę.

Miałam świadomość, że nie omówiliśmy charakteru naszego związku ani tego, jakiego zachowania oczekujemy od siebie w czasie Balu. W sumie sama nie byłam pewna, czego spodziewam się po tym wieczorze.

– Antony też przyjdzie – ogłosiła Luralynn, jakby odpowiedziała na pytanie, którego nie zadałam. Przełamała tym samym ciszę, która

między nami zapadła. – Ale jeszcze jest w pracy. Będzie zajęty do późna.

Po raz pierwszy jechałyśmy jednym z meleksów, w których przewożono pracowników i sprzęt pomiędzy niezliczonymi namiotami i przyczepami rozsypanymi po całej pustyni. Zaparkował niedaleko zwykłego czerwonego namiotu średniej wielkości, niewyróżniającego się niczym szczególnym.

W środku wydawał się znacznie większy niż z zewnątrz. Lauralynn prowadziła, a ja szłam za nią skomplikowaną siatką korytarzy oddzielonych ciężkimi połami płótna służącymi jako drzwi. Wydawało mi się, że idziemy w dół, co było niemożliwe, bo widziałam przecież, że równina ciągnie się przez całe kilometry w każdą stronę.

– Aha – odpowiedziałam. – To dobrze. – Naprawdę tak myślałam. Nie mogłam się doczekać spotkania z nim.

– Zastanawiałaś się kiedyś nad tym – zaczęła Lauralynn po kolejnej dłuższej przerwie w rozmowie – że lubisz, kiedy ci się mówi, co masz robić, tylko dlatego że nie wiesz, czego byś chciała? Albo wiesz, ale nie masz jaj, żeby poprosić.

Stałam jak wryta, zaszokowana jej niespodziewanym komentarzem.

– Dość stanowcza uwaga – odparłam.

Odwróciła się i stanęła twarzą do mnie. Kapelusz miała zawadiacko przekrzywiony, tak że zakrywał jej połowę twarzy i

trudno było ją traktować poważnie, gdy wyglądała jak przerysowane wcielenie dominy.

– Tak? A rozmawiałaś z Antonym o dzisiejszym wieczorze?

– Nie miałam okazji – odparłam. – Prawie się nie widzimy.

– Nie chciałam ci zrobić przykrości – westchnęła i objęła mnie przepaszającym gestem, od którego straciłam równowagę i prawie na nią wpadłam.

Po wielu latach noszenia szpilek na koncerty nadal nie nauczyłam się w nich chodzić. Za to Lauralynn sunęła w swoich z taką łatwością, jakby gdzieś w okolicach okresu dojrzewania jej stopy na stałe przekształciły się w wysokie obcasy i stały się dla niej akcesorium równie naturalnym jak płetwy dla ryby.

– Chodzi mi tylko o to, że musisz się nauczyć mówić ludziom o swoich uczuciach. Nie możesz ich prezentować wyłącznie za pośrednictwem gry. Ani pieprząc się. Tak jak on nie może w takich sytuacjach chlać.

– Wiedziałaś o tym? – spytałam, zaskoczona, że wie o odruchu Antony’ego, który sięgał po butelkę, kiedy był zdołowany.

– Alissa ma długi język – wyjaśniła. Zmarszczyłam brwi. – Ale też wielkie serce – dodała. – Nie sądzę, żeby o tym paplała. Uciełyśmy sobie tylko dziewczynską pogawędkę.

– Nie wiedziałam, że tak się zbliżyłyście.

– Ta laska ma pewne zalety – odparła Lauralynn z uśmiechem od ucha do ucha. – Szczególnie dwie – zachichotała.

– Tak, wiem... – wymamrotałam. Cycki Alissy były już tak sławne, że mogły same występować na scenie.

– Chcę tylko powiedzieć, żebyś z nim pogadała. Rozpracowała sprawę. Dzisiaj możesz się poczuć inaczej... Pamiętasz Wyspę? Wydawało ci się, że straciłaś nad sobą kontrolę, choć wcale tak nie było. Jedyne, co robi Bal, to oferuje przestrzeń, w której ludzie mogą być sobą. Pójść na całość.

Niektórzy są zszokowani swoimi prawdziwymi pragnieniami, więc zrzucają winę na coś, czego nie mogą zobaczyć. Na narkotyki, alkohol, magię... Wszystko jedno, ale to i tak nieprawda. To tylko iluzja. A sytuacja, w której nie ponoszą żadnej odpowiedzialności, daje im wolność, żeby robili, co chcą. Dlatego wracają, na każdy Bal. Ludzie to... popieprzone, ale przewidywalne bestie.

Prawie nie słuchałam jej monologu, bo za bardzo chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o Aurelii, Sieci i tworzeniu iluzji. Po tylu koncertach, w których wzięłam udział, wiedziałam już, jakie niewiarygodne rzeczy można wyczarować dzięki odpowiedniej scenografii, najlepszym technikom i współpracującej widowni.

Ale znikające i pojawiające się, a do tego ruchome tatuaże? Ożywające winorośle? Łaknęłam informacji. Równocześnie jakaś część mnie wcale nie chciała wiedzieć, jak to działa, żeby nie burzyć aury tajemniczości.

A ja lubiałam wierzyć w magię. Według mnie nawet seks był magiczny. Przynajmniej w pewnym sensie. Niekoniecznie dobrym, bo

wiedziałam z własnego doświadczenia, że może być równie potężny i traumatyczny jak zabawy w wudu.

– Iluzja? Aurelia powiedziała mi to samo.

Już miałam pytać, jak to się stało, że się w to zaangażowała, ale nagle pogasły światła, w powietrzu rozległ się dźwięk przypominający wystrzał z pistoletu, a poły płótna rozsunęły się na boki tak gwałtownie, jakby do namiotu wpadł huragan. Potem ziemia się pod nami rozstała.

Wrzasnęłam i zaczęłam się miotać, żeby się czegoś złapać. Musiałam wyglądać równie wdzięcznie jak pajak na wrotkach. Jedną ręką złapałam niechcący pierś Lauralynn, drugą zacisnęłam w powietrzu.

Opadałyśmy przez niecałą sekundę, a potem nasza niespodziewana podróż zakończyła się miękkim lądowaniem. W miejscu, gdzie powinna znajdować się pustynia, był pionowy szyb. Kłębiło się w nim coś powstrzymującego grawitację, co umożliwiło nam bezpieczne pokonanie drogi w dół.

Ciemność stopniowo się rozjaśniała. Wzrok się przyzwyczajał, a ciało otrząsnęło się z szoku wywołanego upadkiem i uświadomiłam sobie teraz, co dotyka mojej skóry.

Ręce.

Niosły nas w dół dziesiątki ludzkich rąk ubranych w ciasno przylegające, bardzo cienkie gumowe rękawiczki w różnych kolorach, więc kiedy patrzyłam w górę na te, które już minęłyśmy, wydawało mi się, że zsuwamy się po ukwieconej łące.

Palce otwierały się i zamykały jak powiewające na wietrze płatki. Najpierw ich dotyk był ostrożny i delikatny, zupełnie bezosobowy, zainteresowany tylko braniem na siebie naszego ciężaru i przesuwaniem nas niżej.

Ale w trakcie podróży dłonie stawały się odważniejsze, stanowczo macały mnie po pośladkach, ugniatały piersi, a co odważniejsze palce błędziły delikatnie między wargami mojej cipki, podczas gdy inne, trzymające mnie za ręce i kostki, spowalniały jazdę w dół, umożliwiając pozostałym eksplorację całego mojego ciała.

Rozluźniłam się. Nie było powodu do niepokoju. Wkrótce pograżyłam się w tym samym stanie podniecenia, co na Wyspie. Każdy subtelny powiew wiatru, najlżejsze muśnięcie mojej skóry wyolbrzymiały się milion razy.

– Och – westchnęłam, kiedy w końcu stanęliśmy na ziemi i nasza dziwna podróż się skończyła.

Ręce należały do akrobatów połączonych jak długi łańcuch spinaczy. Kiedy jeden się zmęczył, zastępował go kolejny, zasilający niekończący się ciąg mięśni i siły.

Alissa czekała na nas w stroju z lateksu, który zasłaniał te części jej ciała, które normalnie powinny być odsłonięte: uda, ramiona, szyja i brzuch, za to cipka, tyłek i piersi miała nagie. Widywałam ją rozebraną tak często, że jej nagość nie robiła na mnie wrażenia. Byłabym bardziej zdziwiona, gdybym zobaczyła ją w pełni ubraną.

Wysokie sznurowane buty zakrywały jej łydki, ale nie były to szpilki, tylko płaskie platformy nabijane niepokojąco dużą liczbą

srebrnych kolców i ćwieków. W ręce trzymała grubą packę z czarnej skóry, a włosy spięła na czubku głowy w ciasny kok, który wyglądał jak pojedynczy bochen chleba na piekarskiej blasze.

Usta umalowała szminką w głębokim niebieskoczerwonym odcieniu rozgniecionych jagód, a oczy podkreśliła grubą czarną kreską. Wyglądała na zachwyconą odgrywaniem roli dominy, chociaż trochę alternatywnej, bo odsłaniającej przed wszystkimi to, czego nie powinni widzieć.

– Podobało wam się? – spytała.

– A tobie nie? – odparłam.

– Ja poprosiłam, żeby mnie zabrali z powrotem – pochwaliła się.

– Ale jest tego więcej.

Miała minę nałogowego żarłoka, który został przypadkiem zamknięty we francuskiej patiserii.

Poszłam za jej wzrokiem i rozejrzałam się po pomieszczeniu. To był nie tyle pokój, ile krajobraz.

– Ale... – zaczęłam.

– Wiem – wtrąciła się Alissa. – Wydaje się niemożliwe. A jednak...

– To nad tym pracował Antony?

Pokiwała głową.

Ziemia, na której stałyśmy, przypominała powierzchnię księżyca i rozciągała się tak daleko, że nie widziałam ograniczających ją ścian. Nad nami rozciągała się otwarta przestrzeń, ciemna i połyskująca

gwiazdami jak nocne niebo. Moją twarz owiał delikatny chłodny wietrzyk, jakbyśmy jednak były na zewnątrz.

– Jak on to...?

– Zaawansowana klimatyzacja. Sztuczny sufit. Kopanie pod powierzchnią ziemi. Dlatego codziennie znikali.

Mówiła z pełnymi ustami. Przeżuwała jakieś ciastko. Krem przeciskał się jej między zębami, gdy mówiła, a cukier puder oblepił jej wargi.

– Musisz tego spróbować – powiedziała z pełną buzią i wsunęła mi do ust palec umazany ciastem i kremem. Smakołyk był wilgotny i gumiasty, smakował masłem orzechowym, bananem i karmelem.

Lauralynn otworzyła usta, dając sygnał, że ona też chce kęs, a konkretniej, żeby Alissa ją nakarmiła.

Ku mojemu nieskończonemu zawstydzeniu Alissa pstryknęła palcami, żeby wezwać kelnera. Po chwili stał przed nami z białą płaską tacą, na której kolebały się miniaturowe desery: nadziewane owoce w czekoladzie, lukrowane migdały, maleńkie galaretki, miseczki lekkiego jak powietrze musu z łyżeczkami wielkości małego palca.

Wzięłam coś, co wyglądało na kiść winogron i wrzuciłam jedną ze szmaragdowozielonych kuleczek do ust, gdzie natychmiast eksplodowała i wylała mi na język buzujący, słodki sok, który smakował jak alkohol.

– Z tymi ostrożnie – powiedział kelner. – Jest w nich grenadyna. Wystarczy trochę i będzie pani pijana. – Był tak ubrany, żeby wtopić się w tło. Skórę ciasno opinała mu bardzo cienka tkanina.

Kiedy odszedł i obchodził pomieszczenie, zauważyłam, że jego strój zachowuje się jak kameleon i przyjmuje wzór otoczenia, w którym kelner się zatrzymywał. Raz wyglądał jak niezwykle ubrany gość, a potem jak mebel czy skała wyrastająca z ziemi.

– Gdzie on jest? – spytałam Alissę. A kiedy nie odpowiedziała, dodałam: – Chodzi mi o Antony’ego. Widziałaś go?

Ona i Lauralynn porzuciły już pretekst w postaci karmienia się nawzajem ciastkami i teraz entuzjastycznie się całowały, a każda ciasno obejmowała pośladki drugiej. Alissa wciąż miała zawieszoną na nadgarstku paczkę, ale wątpiłam, czy ośmieliłaby się użyć jej na Lauralynn.

W końcu Alissa zdecydowała się wyjąć język z ust mojej przyjaciółki i choć zdyszana, odpowiedziała na moje pytanie.

– Tam. – Machnęła ręką w kierunku, który nie wydawał mi się żadną wskazówką, tylko po prostu otwartą przestrzenią bez żadnych cech charakterystycznych.

– Gdzie? – spytałam poirytowana, bo nawet nie chciało jej się zatrzymać ręki na tyle długo, żebym zdołała zauważyć coś konkretniejszego.

– Idź, znajdziesz go! – zawołała głosem załamującym się z podniecenia, które wywoływały pocałunki w szyję składane przez Lauralynn.

Zaczełam się ostrożnie przemieszczać we wskazanym kierunku. Cały czas się bałam, że w tych niepraktycznych butach stracę równowagę na nierównym terenie, ale po kilku krokach odkryłam, że idę po gładkiej ścieżce, a z każdym krokiem wokół mnie robi się coraz jaśniej. Zaczełam się zastanawiać, czy to sprawa jakichś sensorów, które automatycznie reagują na ciężar ciała.

Mimo baśniowego otoczenia nie mogłam się wyłączyć i cieszyć imprezą, bo mój umysł cały czas dręczyły pytania, analizy, interpretacja otoczenia. Staralam się znaleźć klucz wyjaśniający zagadki Balu. Czułam się jak Dorotka szukająca Czarnoksiężnika z Krainy Oz: nie wystarczyło mi słuchanie jego wszechmocnego głosu, odczuwałam przymus odkrycia, co znajduje się za kurtyną.

Nad moją głową kobierzec gwiazd na sztucznym niebie, czy na tym, co tam było, błyskał, nurkował i śmigał przez przestworza, jakby do atmosfery wypuszczono kosz zapalonych fajerwerków. Nagle jeden zleciał z nieba i z cichym świstem wylądował tuż u moich stóp.

Była to Nina, powietrzna akrobatka z krótkimi rudymi włosami, którą widziałam zwisającą z obręczy w lobby pustynnego hotelu, kiedy przyjechałam.

Od stóp do głów odziana była w lśniący kostium wyszywany cekinami, które odbijały światło jak wielka kula dyskotekowa. Nie miała makijażu, ale jej włosy były splątane w skomplikowany system supłów, w które wpięto kolorowe żarówki rozbłyskujące w regularnych odstępach czasu.

Uśmiechnęła się do mnie i położyła palec na ustach.

– Cśś... nie widziałaś mnie – powiedziała. – Mamy tam wisieć jeszcze przez kilka godzin, ale musiałam zejść, bo bym się zsikała.

Ku mojemu zaskoczeniu zamiast poszukać toalety rozpięła suwak z przodu kostiumu, ściągnęła go aż do kolan, a potem kucnęła i zaczęła siusiać prosto na ziemię, tuż przede mną, starannie celując strumieniem moczu tak, żeby nie zamoczyć kostiumu zrolowanego wokół łydek i kostek. Potem podciągnęła go i bez skutku starała się zgarnąć trochę piasku na kałużę, którą zostawiła na środku pomieszczenia, a następnie wzruszyła ramionami i odbiegła.

Wydawało mi się, że nieuprzejmie będzie przerywać jej, mimo że postanowiła zrobić to tuż przede mną, zamiast poszukać intymniejszych warunków. A jednak nie zadałam pytania, które miałam na końcu języka, gdy zszokowana otworzyłam usta: jak ty to na litość boską zrobiłaś?!

Zmrużyłam tylko oczy i obserwowałam, jak bierze rozbieg, a potem wyskakuje w powietrze, skąd ciągną ją jakieś niewidoczne dla mnie upręże. Niektóre fragmenty jej kostiumu rozbłysły jaśniej, a kiedy mknęły w powietrzu, słyszałam cichy pomruk. Stwierdziłam, że gdzieś musiał być silniczek.

Szłam dalej, powoli, bo wciąż czułam się niepewnie, ale również z powodu innych rzeczy, które działy się wokół i które cały czas zauważałam. Coś, co wydawało mi się rozpoczynającą się burzą piaskową, okazało się kręgiem tancerzy, całkiem nagich z wyjątkiem długich szyfonowych taśm w kolorze ochry przywiązanych do nadgarstków, szyj, pasów i kostek.

Powiewały, gdy wirowali w locie. Od razu spojrzałam na ich miękkie fiuty. Wszyscy byli starannie wygoleni, żeby nawet jeden włos nie odwracał uwagi od członków, które podskakiwały, bujały się i kołysały im się między udami. Ich wiotkość ostro kontrastowała z twardymi kłębami mięśni na łydkach i udach.

Wyobraziłam sobie, jak aksamitnie miękka byłaby ich skóra w moich ustach, gdybym przed nimi uklękła, wzięła każdego do ust, jednego po drugim, niczym komunię, i ssała, aż by ożyły. Jeśli w ogóle by się zatrzymali i pozwolili mi się zadowolić. Tańczyli wokół mnie obojętni i nieświadomi mojej obecności.

Zostawiłam ich i przyjrzałam się naturalnym wybrzuszeniom terenu, które brałam za skały albo dziwne pustynne rośliny kołyszące się wśród niewidzialnych podmuchów powietrza, ale w rzeczywistości były to grupy obejmujących się ludzi.

Ich kończyny i ekstrawaganckie kostiumy dawały złudzenie, że są nieożywionymi elementami krajobrazu. Były wśród nich pary, stojące blisko siebie i obejmujące się nieruchomo jak skały. Były też trójki, czwórki czy nawet piątki i większe grupy pieprzających się i zaspokajających wzajemnie za pomocą wędrujących palców i języków.

Nagle usłyszałam pomijany wcześniej dźwięk, jakby radio dostroiło się nagle do częstotliwości, o istnieniu której wcześniej nie miałam pojęcia. Odgłosy szepeczącego wiatru i wyjących kojotów, które brałam za pustynną ścieżkę dźwiękową odtwarzaną przez poukrywane w różnych miejscach głośniki, okazały się tak naprawdę

dźwiękiem ocierających się o siebie ciał i jękami penetrowanych kobiet i mężczyzn.

Zewsząd docierał miękki szelest skóry ocierającej się o skórę, bo ludzie kochali się ze sobą tam, gdzie zdarzyło im się stać czy siedzieć, kiedy nasza ich ochota. Nie zwracali uwagi na szorstką ziemię ani na to, że ktoś może patrzeć.

Zauważyłam, że w różnych miejscach rozłożono posłania, jak gniazda przygotowane właśnie na taką okazję, ale niewiele było zajętych. Ludzie obejmowali się namiętnie dwadzieścia metrów od legowiska, a potem opadali jedno na drugie, tam gdzie stali z desperacją zagubionych himalaistów, którzy padają kilka metrów od namiotu.

Uderzyłam palcem u nogi o metal.

– Kurwa – mruknęłam. Byłam zbyt pogrążona w rozciągającym się wokół mnie świetle, żeby zauważyć schody, nim się z nimi zderzyłam.

Zsunęłam buty i jedną ręką złapałam je za obcasy, a drugą trzymałam się poręczy. Byłam pewna, że cokolwiek znajdowało się na górze, nie było kolejną odsłoną Balu. Gdyby tak było, prowadziłyby tam szklana winda albo wyściełane aksamitem ruchome schody, a może wręcz latający dywan. Ale nie takie zwykłe schody z zimnego metalu kojarzące się raczej z magazynem albo jakimś industrialnym warsztatem.

Wychodziły na krótki korytarzyk, na końcu którego znajdowały się drzwi. Zapukałam lekko i pchnęłam je.

Znalazłam się w dużym, jasno oświetlonym pomieszczeniu wypełnionym ekranami i sprzętem komputerowym. Wyglądało jak kwatera główna służb specjalnych z filmu sensacyjnego.

Po kształcie ramion i tyle głowy rozpoznałam Antony'ego. Siedział w miękkim skórzanym fotelu i z uwagą wpatrywał się w kilka monitorów umieszczonych przed nim. Co jakiś czas wpisywał jakąś komendę na klawiaturze, wciskał guziki albo przesuwiał suwaki na konsolecie.

Na dźwięk otwieranych drzwi odwrócił się.

– Summer – powiedział. Przywołał mnie gestem dłoni. Uśmiechał się i chyba cieszył się, że mnie widzi, ale oczy miał zmęczone.

W pomieszczeniu był także Wally, jeden z techników, którzy pracowali z nami przy *Dziennikach skrzypcowych* oraz Andrei, partner Aurelii. Wymieniliśmy słowa powitania, ale oni byli zbyt skupieni na pracy, żeby rozmawiać, a ja nie chciałam przeszkadzać. Wszyscy mieli na sobie podkoszulki dzinsy albo zwykłe spodnie. Andrei był boso, Antony włożył swoje brązowe mokasyny.

– Byłaś świetna – powiedział. – Jak zawsze.

Objął mnie w talii i przyciągnął do siebie. Przeczesałam mu włosy.

– Dziękuję – powiedziałam. – Co to za miejsce? Co robicie?

– To reżyserka. Chodź, popatrz.

Przyjrzałam się. Wyglądało to jak monitoring.

Kamery rozmieszczono tak, żeby było wiadomo, co się dzieje w każdym zakątku Balu, który miał znacznie większy rozmach, niż

podejrzewałam. Wiele sal rozmieszczono wokół głównego pomieszczenia, gdzie goście tańczyli, jedli, pili i, oczywiście, pieprzyli się. Jedna wystylizowana była na loch.

Pośrodku stał dojrzały mężczyzna – pięćdziesięcio-, może sześćdziesięcioletni, trudno powiedzieć z tej odległości, bo na wiek wskazywały główne długie białe włosy i skóra; ciało miał smukłe i jędrne, mogłoby śmiało należeć do kogoś o dwadzieścia lat młodszego – i biczował kobietę przypiętą do krzyża w kształcie litery iks.

Leżała twarzą do dołu, więc nie potrafiłam określić, ile ma lat, ale mogła być niewiele młodsza od niego. Nie była gruba ani obwisła, nic podobnego, ale jej skóra pozbawiona już była ostentacyjnej prężności przynależnej niedoceniającym tego ludziom poniżej dwudziestego piątego roku życia.

Miała mysie włosy spięte w luźny kucyk, który prawdopodobnie zrobiła tylko po to, żeby umożliwić partnerowi dostęp do swojego ciała. Nie byłoby w niej nic niezwykłego, gdyby nie wielki tatuaż na plecach, karku i ramionach.

Przedstawiał ptaka z rozłożonymi skrzydłami zajmującymi jej ramiona. Jego ciało pokrywały spiralne wzory i paski. Głowa spoczywała u nasady jej włosów, a składający się z czterech piór ogon sięgał prawie do pośladków.

Pejcz składał się z jednego sznurka. Należał do tych, które wywołują ogromny ból miejscowy, jak wypalanie piętna, i wymagają wielkich umiejętności w posługiwaniu się nim. Mężczyzna uderzał

powoli, w regularnych odstępach czasu, a ona za każdym razem ledwie się krzywiła.

Wiele już czasu minęło, odkąd czułam dotyk skórzanego pejcza i przeszywający wrzaskiem ból zadawany z miłością. Obserwując ją, czułam dwie rzeczy: podniecenie i zazdrość.

Odwróciłam się do Antony'ego, który w zamyśleniu przesuwał palcami po otarciach i wgnieceniach zdobiących moją skórę w miejscach, gdzie paski i uprząże zaciśnięte były zbyt mocno.

Krem Giselle wciąż działał cuda. Antony nic wspominał nic na temat mojej nagości, zdawał się jej wręcz nie zauważać, ale akurat w tej sytuacji nagość nie była niczym szczególnym. Obejmował wzrokiem wszystkie monitory, ale na żadnej ze scen nie skupiał się jakoś szczególnie.

– Co o tym myślisz? – spytałam i wskazałam parę w lochu.

Zmarszczył brwi.

– Co myślę? – powtórzył, szukając w moim pytaniu sensu. – Jest za ciemno? Mogę zrobić jaśniej. – Sięgnął do pokręteł nad klawiaturą.

– Nie, światło jest w porządku. Chodziło mi o to, co myślisz o nich, o tym, co robią.

– Ach – odparł i wzruszył ramionami. – Wygląda na bolesne. Ale pewnie im pasuje.

– Chciałbyś kiedyś zrobić coś takiego mnie? – spytałam cicho.

To nie było odpowiednie miejsce na taką rozmowę. On był w pracy, a Wally znajdował się w zasięgu słuchu. Pił akurat kawę

rozpuszczalną i przeżuwał bułkę. W pokoju lekko pachniało kurczakiem.

Antony zamarł i zawiesił palce nad serią głębokich otarć na moim biodrze.

– Szczerze? Takie akcje są nie dla mnie. Może coś bardziej lajtowego? Na przykład kajdanki i klapsy?

Przestał dotykać moich ran i mocno mnie przytulił.

– Jasne, rozumiem – powiedziałam, jakbym myślała to samo, chociaż wcale tak nie było.

Poczułam, jakby znalazł się tu duch Lauralynn, stojącej za mną z ramionami skrzyżowanymi na piersi i szydzącej, że w ostatniej chwili stchórzyłam, zamiast powiedzieć, czego naprawdę chcę.

Pieprz mnie, Antony, zbij mnie, weź mnie sobie, każ mi upaść na kolana, być grzeczną małą dziewczynką.

Ale nie potrafiłam wypowiedzieć tego na głos.

– Pójdę już – powiedziałam i podniosłam się. – Wrócę na przyjęcie.

– Zostań. – Zerknął na zegar na ścianie, wskazujący za pięć trzecią. – Główna część zaraz się zacznie. Stąd będzie najlepszy widok.

Pociągnął mnie na kolana, a ja wygodnie umościłam się w jego objęciach. Wyglądał pewnie trochę pokraccie, wyciągając ręce, żeby pokręcić jakimiś kontrolkami i wysunąć wielki ekran, który zakrył całą ścianę za nami.

Wally skończył przekąskę i też wkroczył do akcji, wciskał jakieś guziki i uruchamiał sprzęt. Andrei nawet nie podniósł wzroku.

Kamera skupiona była na centrum głównej sali. W tej wielkiej przestrzeni odbijał się echem odgłos grzmotu, wzywający gości Balu. Utworzyli ogromny krąg wokół podwyższenia, które – za sprawą komendy wydanej przez Wally’ego – wyjechało spod ziemi i utworzyło wysoką scenę.

W jednej chwili zgasły wszystkie światła, z wyjątkiem tych w reżyserce, w której siedzieliśmy. Zgasło nawet podświetlenie kostiumów, w których występowali artyści. Widownia głośno westchnęła. Ciemność wydawała się namacalna, gęsta i groźna jak nieprzenikniona mgła. Zdawało się, że minęła wieczność, choć sądząc po tykaniu wiszącego na ścianie zegara, trwała zaledwie kilka sekund.

Światło, które nagle zalało scenę, stanowiło mieszankę barw słońca i księżyca. Skapało widownię w białych i złotych promieniach następujących na przemian, chłodnych i gorących. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że emanuje nimi Aurelia.

Ręce uniosła nad głowę, długie włosy powiewały jej na ramionach, jakby stawiała czoło silnemu wiatrowi. Tatuaze tańczyły, przesuwały się po jej skórze i wyglądały jak ożywiona tapeta. Wyglądało to, jakby z niego zleciał archanioł, żeby zesłać błogosławieństwo albo rzucić klątwę. Czekałam, co się stanie.

Andrei odwrócił się i też patrzył. Twarz miał rozluźnioną, ale dłonie napięte. Sięgnął po kubek z fusami po kawie i mocno go ścisnął.

Z ośmiu punktów na suficie, położonych w takiej samej odległości od siebie, wystrzeliły promienie światła i skupiły się na Aurelii. Początkowo były ciemne jak szpilki, ale stopniowo powiększały się, aż utworzyły coś w rodzaju laserowych wiązek, padających na scenę.

Na odległym krańcu każdego z promieni pojawił się uskrzydłony mężczyzna i sunął po świetlnym promieniu jakby niesiony powiewem niewidzialnego wiatru, aż z gracją wylądował na scenie. Gdy wszystkich ośmiu mężczyzn dotknęło stopami podłogi, złożyli skrzydła i przycisnęli do swoich ciał.

– Czy oni... lecieli? – spytałam Antony’ego.

Uśmiechnął się szeroko. Obserwował, co się działo na scenie z mieszanką dumy i obawy, z jaką ojciec mógłby patrzeć na pierwszą próbę jazdy swojego dziecka na rowerze. Z całą pewnością było to jego oczko w głowie.

– Nie, są w uprzężach. W całej sali pełno jest lin, tylko że ich nie widać.

Aurelia opuściła ręce, a tatuaże spowolniły swój szaleńczy ruch i pograżyły się w hipnotycznym, powolnym tańcu.

Kamera przeniosła się na twarze uskrzydłonych mężczyzn. Zdałam sobie sprawę, że to akrobaci. Ośmioraczki, które towarzyszyły nam w spacerze na pustynię i z którymi Alissa usiłowała flirtować, ale nic nie wskórała.

Wyglądali na młodszych z włosami na żel zaczesanymi do tyłu, jeszcze wyraźniej zarysowywały im się perfekcyjnie wyrzeźbione

kości policzkowe i smukłe szczęki. Usta, chociaż nie sprawiały wrażenia pomalowanych, miały kolor głębokiej czerwieni w odcieniu dojrzałych malin i aż prosiły się o pocałunki. Niebieskoczarne paznokcie pasowały do jedwabistego nocnego koloru ich skrzydeł.

Oczywiście spojrzałam na ich kutasy. W przeciwieństwie do tancerzy z burzy piaskowej oni mieli lekki meszek włosów łonowych. Ale ich penisy były miękkie.

Aurelia znów podniosła ręce, ale tym razem nie nad głowę, ale tylko na tyle, by wskazać na dwóch identycznych mężczyzn.

Zrobili krok do przodu, żeby znaleźć się w zasięgu jej dotyku. Skłoniła głowę przed każdym z nich, a potem położyła dłonie najpierw na fiucie jednego, a potem drugiego, jakby w geście błogosławieństwa. Jak tylko ich dotknęła, zesztynieli.

Mieli długie grube penisy w pełnej erekcji, twarde jak kamień. Opuściła ręce wzdłuż boków, ściągnęła ramiona do tyłu i zadarła brodę. Wyglądała jak królowa. Włosy nadal owiewały jej twarz.

Dyskretnie zerknęłam na Andreia. Wpatrywał się w ekran zahipnotyzowany tym, co się działo. Usta układały mu się w kształt linii prostej, jakby przecinały twarz.

Dwóch wskazanych mężczyzn zaczęło ją penetrować, jeden od tyłu, drugi z przodu. Podnieśli do góry jej nogę, żeby ustawić się w odpowiedniej pozycji. Na jej twarzy malowało się uniesienie, wyglądała jak madonna pogrążona w ekstazie.

Za to twarze penetrujących ją mężczyzn nie wyrażały radości, tylko ból. Zmarszczyli brwi. Czoła zrosił im pot, którego nie mogli

otrzeć, żeby nie stracić równowagi przy ciele Aurelii. Wchodzili w nią raz za razem, a ona budziła się wraz z narastającą w niej mocą.

Jej loki wiły się jak węże na głowie Meduzy, atramentowe rysunki na ciele w pełni rozkwitły, a skóra pod wpływem reflektorów wydawała się jeszcze jaśniejsza. Zaraz, to były reflektory? Czy też Aurelia lśniła? Nie umiałam się zdecydować.

Doszli i w jednej chwili upadli na podłogę.

Martwi? Nie, na pewno nie. Tylko grali.

Aurelia wyznaczyła dwóch następnych, a oni podeszli i najpierw odsunęli ciała braci, a potem wsunęli wyprężone członki w wyczekujące cipkę i odbył Aurelii.

Przez tych kilka sekund, kiedy nie miała nikogo w sobie, rysunki na jej skórze były złe, wściekłe. Smok zdobiający wargi sromowe obnażył zęby. Twarz Aurelii wyrażała furję. Gdy znów poczuła się wypełniona, uspokoiła się, ale w tym głodzie seksu nadal była przerażająca.

Nie mogłam się powstrzymać przed porównaniem do niej i poczułam się nawet trochę zażenowana. Po części z powodu melodramatyzmu tego przedstawienia, ale także dlatego że pragnienie w takim natężeniu, nieważne, czy ciastka z kremem, czy szklaneczki whisky, czy twardego fiuta było jak przekleństwo.

Chciałam przeanalizować: co myślę, co czuję, kim jestem, ale nie znalazłam odpowiedzi, tylko więcej pytań. Skupiłam się z powrotem na ekranie.

W końcu wykorzystani zostali wszyscy mężczyźni i leżeli teraz u jej stóp w kałużach skrzydeł i mięśni. Byli pokonani, mieli lekko rozchylone usta.

Światło znów się zmieniło i skoncentrowało się tylko na Aurelii.

Uśmiechnęła się.

Widownia zawyła z radości jak stado wilków uczujących przy księżycu. Andrei wstał i wyszedł, zamykając za sobą drzwi z cichym kliknięciem.

Światła znów zgasły.

Amfiteatr spowiła ciemność.

12. Po Balu

Kiedy Bal dobiegł końca, czuliśmy się jak rozbitkowie wracający na Ziemię po apokalipsie.

Kiedy Antony wreszcie skończył pracę, próbowaliśmy dołączyć do imprezy po wielkim finale z udziałem Aurelii, ale nie daliśmy rady odnaleźć się w tym, co pozostało po świętowaniu. Alissy ani pozostałych znajomych nigdzie nie było, a pozostali goście byli zbyt upojeni albo przytłoczeni energią Balu, żeby nawiązać z nimi jakiś kontakt.

Ukryci w zwykłej, jasno oświetlonej reżyserce doświadczyliśmy wydarzeń ostatnich godzin z zupełnie innej perspektywy niż reszta. Jakbyśmy patrzyli na zasypany śniegiem świat zamknięty w szklanej kuli, nie mogąc się do niego dostać.

Wyszliśmy wcześniej, przez zupełnie nieklimatyczne i zwyczajne drzwi na tyłach głównego audytorium. Słońce już wschodziło, ale zamiast iść przez pustynię bez wody, zapasów i choćby ogólnego pomysłu na to, w którą stronę się kierować, zdecydowaliśmy się na wątpliwy komfort zapewniany przez płaskie kamienie w pobliżu.

Obserwowaliśmy wschód słońca i czekaliśmy na jeden z autokarów, które miały przez cały poranek przyjeżdżać tu w regularnych odstępach czasu i odwozić gości na główny parking. Nie miałam innych butów poza szklanymi szpilkami, które wciąż trzymałam za wysokie, chodne obcasy.

Byłam naga. Odruchowo przycisnęłam kolana do piersi, żeby się zakryć. Antony zdjął podkoszulek i podał mi, a ja włożyłam go przez głowę i na darmo starałam się podłożyć dolny brzeg pod pupę, żeby nie musiała siedzieć bezpośrednio na szorstkim kamieniu.

– Wow, to było coś – powiedział Antony.

– Ciekawa jestem, co by na to powiedzieli krytycy – zaśmiałam się.

– Odebrałoby im mowę – odparł.

– Szczerze wątpię. Na pewno coś by wymyślili. „Ambitne i urzekające, ale jednocześnie kultywujące triumf formy nad treścią”.

Albo: „Wulgarne, pozbawione finezji”. I wreszcie: „A co z dziećmi?!”

– recytowałam grubym głosem i dla lepszego efektu skrzyżowałam ramiona na piersi.

– Masz rację, ich się nie da przegadać. Ale fajnie było, nie? Produkcja z udziałem atrakcyjnej i szatańsko zdolnej ekipy, a do tego przy nieograniczonym budżecie. Marzenie każdego reżysera.

– Zrobisz następny? – spytałam i pomyślałam o moim kontrakcie z Aurelią, który właśnie dobiegał końca. Pozostało jeszcze trochę czasu, ale nie wiedziałam, do czego jeszcze będę mogła się przydać.

– Bal?

Pokiwałam głową.

– Jasne, jeśli tylko zaproponują.

Wziął mnie za rękę i w milczeniu patrzyliśmy, jak wschodzi słońce, ogromne i okrągłe jak żółtko jajka, nasuwające się na błękitne bezchmurne niebo w żółtych i pomarańczowych promieniach.

Przełknęłam ślinę, choć gardło miałam ściśnięte. Czekало mnie wciąż tyle zmian i tyle niepewności. Zastanawiałam się, czy moje życie kiedyś się zmieni, a może byłam skazana na wieczne ściganie kolejnych jasnych punktów pojawiających się na horyzoncie.

Czego ja właściwie chciałam?

Nad wodami Puget Bay podnosiła się mgła. Wyglądałam przez okno promu i obserwowałam jego leniwy ruch w stronę odległych wysp. Kontrakt podpisany z Siecią obejmował jeszcze miesiąc, ale odkąd kilka dni po Balu przyleciałam z Las Vegas do Seattle, miałam znikome obowiązki.

– Odpocznij, rozluźnij się – sugerowała Madame Denoux.

Mieszkałam w wysokim, nijakim budynku kawałek od Pike Place. Kilka pięter zajmowały biura, do których nie miałam dostępu, a co

najmniej jeden poziom apartamenty dla gości. Mój był jasny, wysoki i urządzone w stylu minimalistycznym, pełen prostych linii, metalu i nowoczesnych mebli w odcieniach buku.

Miałam nadzieję na częstsze spotkania z Madame Denoux, ale nie widziałam jej od dnia przyjazdu. Chciałam jej zadać tyle pytań! Tych, których nie miałam odwagi zadać Aurelii. Podobno mieszkała w apartamencie położonym niedaleko mojego. Giselle Denoux miała w sobie coś macierzyńskiego, co mnie bardzo uspokajało i wiedziałam, że wie wszystko o Balu i Sieci, zna wszystkie sekrety, które ja tak bardzo chciałam poznać.

Codziennie rano po kawie i śniadaniu – ilekroć wychodziłam z apartamentu, zapasy w mojej kuchni były obficie odnawiane – sprawdzałam w recepcji przy windach, czy są dla mnie jakieś zadania.

Tylko kilka razy oczekiwano, że pomogę inżynierom dźwięku, w studiu usytuowanym w czeluściach budynku, miksować i ustawiać dźwięk w nagraniach dokonanych na koncercie Balu, gdy grałam z Lauralynn i innymi muzykami.

Przez większość czasu mogłam robić, co chciałam, więc głównie snułam się po mieście, spacerowałam po licznych wzgórzach. Byłam przy Elliott Bay, na Capitol Hill i w dzielnicy uniwersyteckiej, z rozkoszą objadałam się zupą z małży i chodziłam po kawiarniach. Zapewniono mnie, że niedługo dołączy do mnie Antony, ale dokładnej daty nie znałam.

Zadzwonił telefon. Pierwszy raz od wielu dni. Podniosłam najbliższą słuchawkę. Aurelia chciała się ze mną zobaczyć – w jej apartamencie. Nie widziałam jej od czasu powrotu z pustyni.

Drzwi do jej pokoju były otwarte, więc weszłam.

Ku mojemu zaskoczeniu wszędzie były zabawki we wszystkich kolorach, kształtach i rozmiarach, rozrzucone po parkiecie prowadzącym do salonu. Widziałam klocki Lego, lalki, figurkę Wonderwoman bez nóg, pluszowe zwierzątka, drewniane budowle z klocków, mikroskopijne różowe torebki i miniaturowy plastikowy serwis do kawy.

– Chodź, chodź! – zawołała Aurelia, a ja ruszyłam szlakiem zabawek.

Leżała na miękkiej pomarańczowej sofie z pięcioma siedziskami, ustawionej przy wielkim okiennym wykuszu wychodzącym na zatokę. Przy biurku obok Andrei pisał coś na komputerze. Na podłodze naprzeciwko Aurelii siedziała mała dziewczynka z puciołową buzią, jasnymi kręconymi włosami i oczami w głębokim odcieniu brązu. Na moje oko miała ze dwa lata. Obserwowała, jak wchodzę, na mój widok uśmiechnęła się szeroko, a potem wróciła do zabawy.

– To jest Alice – oznajmiła Aurelia.

Chyba nadal wyglądałam na zdziwioną.

– Nasza córka – dodała.

To ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałam. Dziewczynka była ubrana w dżinsowe rurki i koszulkę z jakimś superbohaterem. Miała bose stopy. Aurelia ubrała się tak samo, tyle że jej podkoszulek

reklamował bar ostrygowy w Nowym Orleanie. Andrei wyglądał równie zwyczajnie i pisał coś, nie zwracając na nas uwagi.

Zaproponowała mi kawę.

Nie miałam absolutnie nic przeciwko dzieciom, ale nie czułam się w ich towarzystwie swobodnie. My piłyśmy kawę i prowadziłyśmy grzecznościową rozmowę o niczym, a mała Alice popijała sok jabłkowy z plastikowego kubka.

W końcu jakaś pracownica Sieci, której twarz kojarzyłam z pobytu na pustyni, zabrała dziecko, bo Aurelia zaproponowała Alice wizytę na jednym z dwóch pobliskich placów zabaw. Potem Andrei też się wymówił, tłumacząc się jakimiś sprawami do załatwienia, i zostaliśmy same.

– Jest bardzo ładna. Podobna do ciebie – powiedziałam.

– Wiem – odparła. – Jest przyszłością. Moją przyszłością.

Pokiwałam głową, wciąż nie mogąc się uporać z odkryciem, że Aurelia ma dziecko.

– Czy ona...?

– Tak, któregoś dnia zostanie nową Mistrzynią Balu. Ale bez pośpiechu. Ma jeszcze wiele czasu na cieszenie się dzieciństwem. Jestem jej to winna. – Spochmurniała, jakby myśl o ciężarze dziedzictwa tego dziecka przypomniła jej o własnej drodze, którą przeszła, żeby zająć to miejsce[1].

– Zresztą nieważne. – Porzuciła wspomnienia. – Porozmawiajmy o tobie, dobrze? O twoich planach na przyszłość. Zauważyłam, że od Balu nie grałaś na skrzypcach. Wszystko w porządku?

To prawda. Rzadko mi się zdarzało tak długo nie ćwiczyć, nie próbować, nie grać. Tylko śmierć Dominika wywołała dłuższą przerwę. Teraz jakoś wszystko wydawało mi się bez sensu.

Tak jakbym tamtej nocy na pustyni dotarła do punktu kulminacyjnego, w którym muzyka weszła we mnie, stała się częścią mnie na zawsze i straciła magię. Na krótki moment pograżyłam się w muzyce i wyglądało na to, że nie mam już dokąd iść, że nic nie będzie się mogło równać z tym doświadczeniem. Wszystko będzie tylko powtórką, imitacją, przekopywaniem nieurodzajnej ziemi.

Spróbowałam to wyjaśnić.

Aurelia słuchała, a na jej twarzy malował się subtelny wyraz zrozumienia.

– Chyba wiem, o czym mówisz – powiedziała.

Zastanawiałam się, czy jej nie powiedzieć, że kiedy patrzyłam na nią w szczytowym punkcie Balu, w mojej głowie pojawiły się pytania.

Obserwowanie jej, kiedy była otoczona chwałą, promienna i tak otwarcie emanująca seksualnością, uświadomiło mi, jak skąpe są moje olśnienia w tym zakresie, jak nieznaczące były moje przygody pośród przyływów żądzy i seksu.

Takie zwyczajne. Ale wiedziałam, że ona już przeczuwa moje zwątpienia, miała jakiś zmysł, który umożliwiał jej przenikanie myśli, tak jakby tatuaże pojawiające się na jej bladej skórze dawały jej moc telepatii.

A wieść, że jest także matką, dodawała dodatkowego wymiaru. Bogini, matka, czarodziejka, wiedźma, spowiedniczka. To wszystko i jeszcze więcej.

Spytała mnie o Antony'ego.

Bez żadnego obciachu opowiedziałam jej o seksie, jaki uprawiamy, o bliskości i pożądaniu, o szaleństwie, jakie nas czasem dopada w różnych sytuacjach, o rozpacz, która nas czasami ogarnia i sprawia, że to, co jest między nami, wciąż płonie wbrew wszystkim przeciwnościom. O naszych wadach, demonach.

– Antony przyjedzie dzisiaj – powiedziała Aurelia. – Kiedy wrócisz do apartamentu, będzie na ciebie czekała wiadomość od niego. Planuje tu zostać przez tydzień.

– Fajnie – powiedziałam.

Miałam poważny niedosyt rżnięcia. Ale wiadomość o jego powrocie nie poruszyła mnie tak, jak powinna. Zaczęło do mnie docierać, że Antony, w ogóle mężczyźni, nawet Dominik, i muzyka, nie wystarczą. Chciałam od życia czegoś więcej, niż tylko istnieć, pieprzyć się, grać i rzucać sobie wyzwania przekraczania niewidzialnych barier. Ale co to by miało być?

– Nie chcę wracać do tamtego życia – powiedziałam Aurelii. – Nie chcę już koncertów. Ani pustki.

– Więc zostań z nami.

– Tutaj?

– Niekoniecznie w Seattle, ale gdybyś chciała, możesz się tutaj osiedlić. Mamy siedziby w różnych miejscach. Zostań w Balu. Na

stałe. Podróżuj z nami. Daj mu duszę, Summer, a on odwdzięczy ci się w dwójnasób. Jesteś zachwycającą istotą złożoną z uczuć. Wibruje od nich twoja skóra, unosi się nad tobą ich aura. Widzę to. I inni, którzy pokonali ślepotę, też widzą.

– Ale...

– Nic jeszcze nie mów. Daj sobie czas. Przed podjęciem decyzji spędź trochę czasu z Antonym.

Zdawałam sobie sprawę, że to byłoby inne życie. W chwili, kiedy Aurelia złożyła mi tę propozycję, wiedziałam, że złapała mnie na haczyk i że się zgodzę. Jutro. Albo za tydzień.

Ona też to czuła.

– Gdzie odbędzie się następny Bal? – spytałam.

– Poważnie rozważamy dwie lokalizacje. Jedną w sercu lasu deszczowego, niedaleko Amazonki. Niebywałe możliwości. A druga to miejsce na dalekiej północy Islandii. Znaleźliśmy tam niedawno prawie niezamieszkaną pustynię lodową. Analizujemy możliwości. Antony ma przywieźć szkice i pomysły. Zaprosiliśmy go do dalszej współpracy.

– A ja co miałabym robić?

– Sama do tego dojdiesz, stworzysz sobie rolę. Granicą będzie jedynie twoja wyobraźnia. Nie ma potrzeby nazywania tej funkcji. Wszystko, co ma związek z Balem, jest płynne, cały czas się zmienia. Ale wiem, że pasowałabyś do nas, a my bylibyśmy szczęśliwi, gdybyś do nas dołączyła,

– To kuszące, nie ukrywam – przyznałam.

– Giselle, to znaczy Madame Denoux, mogłaby być na początku twoją mentorką, gdybyś się zgodziła.

Co musiałabym zostawić? Londyn i puste mieszkanie. Karierę muzyczną, która zaczęła już zjadać własny ogon. I może nawet moje demony?

Opuszczałam apartament Aurelii, Andreia i Alice jakby uskrzydłona, natchniona wizją nowego życia. Może to była jeszcze jedna szansa, żeby je ogarnąć.

Antony zaanonsował swoje przybycie cichym pukaniem do drzwi, ale nie wszedł, dopóki nie zawołałam. Chociaż minęło tylko kilka tygodni, byłam dziwnie zdenerwowana perspektywą spotkania z nim i przez ostatnią godzinę brałam prysznic, przebrałam się w piżamę złożoną z krótkich spodenek i pasującej do niej koszulki na ramiączkach z białej bawełny w małe niebieskie kwiatki.

Miałam nadzieję, że wyglądam seksownie, ale że nie widać, jak się starałam i że przez cały czas, kiedy byliśmy osobno, myślałam o nim. Nic nie robiłam z włosami i klepałam tylko trochę fluidu, żeby zakryć cienie pod oczami.

Spryskałam się mgiełką perfum i przez ostatnich dwadzieścia minut leżałam na łóżku z gazetą, do której nawet nie zajrzałam i pięćdziesiąt razy zmieniałam pozycję, żeby osiągnąć optymalny stan kuszącej nonszalancji.

Kiedy jednak usłyszałam przekręcającą się kłamkę, zapomniałam o wszystkich przygotowaniach, zerwałam się z łóżka i pobiegłam powitać go przy drzwiach.

– Cześć – powiedział, rzucił bagaż na podłogę i mnie przytulił.

Zaczęliśmy się całować. Miętkość jego warg na moich ustach obudziła ochotę na poczucie ich w innych miejscach, więc przesunęłam dłonie na jego tyłek, a potem do przodu, do kłamry paska, którą zaczęłam rozpinąć, nie przerywając pocałunku.

Odsunął się i przytrzymał mnie z dala od siebie za ramiona.

– Muszę się wykapać – powiedział – ale zaraz wrócę.

– Jasne – zgodziłam się. – Przygotować ci coś? Kawę, herbatę?

– Chętnie wypiłbym szklanek wody – odparł, a ja pokazałam mu, gdzie jest łazienka. Rozpiął torbę, wyjął kosmetyczkę i poszedł zmyć z siebie podróż.

Nalałam dwie szklanki wody gazowanej. Wyszłam z pokoju i powędrowałam korytarzem po lód do maszyny.

Kiedy wróciłam, woda wciąż leciała.

Usiadłam na łóżku i piłam swoją wodę, krzywiąc się z zimna. Teraz miałam ochotę na gin z tonikiem. Założyłam jednak, że Antony rzucił alkohol, więc picie bez niego wydawało mi się okrutne, a kuszenie go widokiem jeszcze gorsze.

Jego przyjazd okazał się rozczarowaniem. Byłam tym sfrustrowana i zła na siebie o tę irytację. Na jego miejscu też pewnie wolałabym wziąć najpierw prysznic.

Nie, pomyślałam, nie wolałabym. Chciałabym się pieprzyć od razu, chrzanić podróż przez ocean. Chciałam, żeby pragnął mnie na tyle bardzo, żeby podniecenie wygrało z dyskomfortem. I miałam gdzieś, czy będzie spocony po długim locie.

Kiedy jednak wyszedł z łazienki, wypuszczając za sobą kłęby pary, mój dobry nastrój powrócił. Na biodrach, tuż pod tak dobrze mi znanym twardym jak deska brzuchem miał zawiązany ręcznik. Dłonią przeczesał wilgotne włosy w odcieniu ciemnego blondu.

Przyjemnie pachniał delikatnie perfumowanym mydłem, a ja zganiłam się za poprzednie myśli.

A potem nawet to wyleciało mi z głowy, bo on upadł na kolana przede mną, wsadził palce pod gumkę moich bawełnianych spodenek i ściągnął je na podłogę, a potem rozsunął mi nogi i bez żadnego wstępu zaczął lizać.

– Było niesamowicie – powiedziałam po wszystkim, kiedy leżeliśmy obok siebie na plecach i uspokajaliśmy oddech. Dwa razy doprowadził mnie do szczytowania językiem, a w międzyczasie się pieprzyliśmy. Byłam nieskończenie rozluźniona.

– Tak – odparł i wyciągnął rękę na tę połowę łóżka, która nieoficjalnie została moją. Milczące zaproszenie do położenia głowy pod jego pachą, przerzucenia ręki przez jego pierś i oparcia uda na jego nogach. To była nasza pozycja po seksie.

– Tęskniłam za tobą – powiedziałam zgodnie z prawdą.

Tęskniłam. Za naszą wspólną pracą i bliskością, za patrzeniem na jego notatki i plany kolejnych produkcji, co zawsze zachęcało mnie do sięgnięcia po skrzypce, choć w innych okolicznościach przebimbałabym kolejny dzień. Bez Antony'ego prawdopodobnie nigdy nie zaczęłabym tworzyć własnej muzyki.

Ta umiejętność stała się integralną częścią mnie, nie potrafiłam już sobie wyobrazić czasów, kiedy poddawanie się melodii i jazda bez trzymanki w jej strumieniu nie było dla mnie równie oczywiste, jak wpatrywanie się w partyturę i ślepe wykonywanie wskazówek kompozytora. Tyle że teraz w ogóle nie czułam potrzeby grania, bo muzyka żyła w mojej głowie. Bez przerwy.

Tęskniłam też za jego ciałem obok mnie. Za patrzeniem, jak się rozbiera, na twarde mięśnie napinające się pod jego skórą, gdy wkładał szorty, nieświadomy uczty, jaką sprawiłam zmysłom.

Seks był dobry. Świetny. Zwykle, porządne pieprzenie, które tak lubiłam. I chociaż brakowało mi tej cegiełki, dodatkowego elementu dominacji-uległości, który łączył mnie z Dominikiem, prawie zawsze udawało mi się nie przywiązywać do tego wagi.

Ale nie za każdym razem.

Wciąż tęskniłam za czymś więcej. Może po prostu taką miałam naturę.

Tak, jak można się było tego spodziewać, reszta tygodnia minęła jak jeden dzień. Kiedy nie uprawialiśmy seksu i ani ja, ani Antony nie spotykaliśmy się z Aurelią albo Giselle, chodziliśmy do restauracji w Seattle albo piliśmy kawę na balkonie przy moim pokoju z widokiem na miasto. Rozmawialiśmy wtedy o życiu w Londynie albo o tajemnicach Balu, których jeszcze nie poznaliśmy.

Okazało się, że Alissa spędza czas z Lauralynn i Viggim.

– Chodzą na randki? – spytałam Antony'ego.

– To chyba za dużo powiedziane. Ale na pewno się pieprzą. Myślę, że twoja przyjaciółka Lauralynn dobrze się bawi, ucząc Alisę, hm, jak dotrzeć do bardziej rozwiniętej sfery siebie – powiedział.

– Biedny Viggo – stwierdziłam, bo wyobraziłam sobie tortury, jakimi go najprawdopodobniej poddawały.

– Jestem pewien, że dobrze się bawi.

Kiedy całowałam go na pożegnanie na lotnisku, nie chciałam, żeby odjeżdżał.

– Wróć, Summer, obiecuję – powiedział uwalniając się z moich ramion, kiedy głośniki oznajmiły, że zbliża się koniec odprawy lotu do Londynu.

Wiedziałam, że znajdę sobie w Seattle zajęcie, ale to nie przeszkadzało mi wlec się, jakbym miała nogi z ołowiu. Po drodze do hotelu nie udało mi się okiełznać poczucia pustki.

Już w pokoju masturbowałam się, a w moich fantazjach ciało Antony'ego górowało nad moim. Moja skóra przypominała sobie jego dotyk, usta jego wargi, cipka muśnięcia języka, aż w końcu doszłam.

Ale kiedy następnym razem chciałam dyrygować swoją rozkoszą, nie mogłam go już przywołać tak wyraźnie. Pojawiał się w moim polu widzenia i znikał obok twarzy kilkunastu innych mężczyzn, wyrytych w mojej wyobraźni.

Wczoraj byłam w Nowym Jorku i szukałam materiałów na następny Bal na zapleczu sklepu mieszczącego się na ostatnim piętrze gigantycznego centrum handlowego tuż przy Chinatown.

Przyprowadzono mnie tu z zawiązanymi oczami i początkowo mogłam tylko dotykać materiałów, sycąc się jedwabistą miękkością ich fałd i ciężkich zwojów. Próbowałam zgadnąć, jakie misterne wzory są na nich wytłoczone, ćwicząc przy tym kolejny zmysł, dostrajając umiejętność dostrzegania piękna w nowych aspektach.

Moim zadaniem było dopasowanie tekstur do tematów, które dostałam. Po dokonaniu wyboru wolno mi było napatrzeć się i nazachwycać zmysłowością tkanin i ich wykończeniem. Był to dla mnie zupełnie nowy rodzaj sztuki, ale ufałam, że intuicja mnie nie zawiedzie. Piękno nie było zarezerwowane dla muzyki. Wiedziałam już, że można je znaleźć w wielu innych dziedzinach.

Wzięłam taksówkę na lotnisko La Guardia i poleciałam do Nowego Orleanu. Miałam się tam zatrzymać przez jakiś czas. Madame Denoux wróciła do San Francisco, gdzie przeniosła się na emeryturę, a ja skorzystałam z propozycji przejęcia jej interesu.

Nigdy nie zapomnę nocy, którą tu spędziłam i uznałam, że będzie to dobre połączenie przeszłości z przyszłością. Most zawieszony w dusznej, wilgotnej atmosferze Crescent City, które wydawało się nie zmieniać i nie poddawać falom czasu. Ulice były pogrążone w beczasie, a dźwięki i zapachy utożsamiały się ze mną lepiej niż jakikolwiek tatuaż czy zdjęcie.

Było już ciemno, gdy wylądowałam na lotnisku Louisa Armstronga. Zebrał się długi ogonek czekających na taksówkę. Miałam przy sobie tylko bagaż podręczny, bo resztę moich rzeczy wysłano już z Seattle kilka dni wcześniej.

Wydało mi się dziwne, że nie czekał na mnie samochód Sieci z ubranym w szary uniform szoferem. Tak jakbym została zdegradowana do statusu tylko jednego z trybików w maszynie Sieci, jednego ze współpracowników Balu rozrzuconych po całym świecie.

– Summer Zahova? – spytała z silnym włoskim akcentem kobieta stojąca za mną w kolejce.

Odwrociłam się.

Wpatrywała się we mnie wysoka młoda kobieta o łobuzerskim wyrazie twarzy i ujmującym uśmiechu. Miała ciemne jak heban, krótko obcięte włosy. Przy niej stały dwie wielkie walizy.

– Widziałam panią na koncercie w Rzymie, kilka lat temu – powiedziała. – Była pani cudowna. – Angielskie słowa wypowiadała z włoskim akcentem, podkreślając sylabę „do” w słowie cudowna.

Pamiętałam ten koncert, to, co wtedy grałam, jaką miałam sukienkę i mężczyznę, którego poznałam w hotelowym barze tego wieczoru i z którym spałam. Nie pamiętałam tylko jego imienia.

– Tak, to ja – powiedziałam. – To byłam ja.

– Była pani moją idolką – powiedziała dziewczyna.

– Miło mi.

Poinformowała mnie następnie, że pochodzi z Pescary we Włoszech i jest tancerką.

– Pani muzyka mnie inspirowała. Często tańczyłam do tych samych utworów. Co pani tu robi?

– Będę tu mieszkać – odparłam. Nie miałam odwagi powiedzieć jej, że prawdopodobnie porzuciłam muzykę.

Podjechała taksówka. Dziewczyna też jechała do dzielnicy francuskiej, więc zaprosiła mnie do wspólnej jazdy. Mieszkała w małym pensjonacie niedaleko Burgundy Street, gdzie, jak mi powiedziała, dawne kwatery niewolników zostały odnowione i przekształcone w małe bungalowy. Wydawała się bardzo podniecona tym faktem.

Taksówka mknęła Veterans Boulevard ku rozświetlonemu miastu. Po prawej miałyśmy duży cmentarz i wyższe budynki uniwersytetu Tulane.

Miała na imię Marirosa. Dostała sześciotygodniowy kontrakt jako tancerka w barze w hotelu Monteleone przy Royal Street. To był jej pierwszy wyjazd poza Europę i zamierzała do cna wykorzystać okazję. Znałam ten hotel. Szacowny, wręcz z pretensjami, stylizowany na *belle epoque*. W każdym razie wydawało się, że jej zlecenie to nie byle co. Zazdrościłam jej tego entuzjazmu.

Kiedy wysiadała, dałam jej moją nową wizytówkę i zaproponowałam, żebyśmy wkrótce napiły się razem kawy. Zgodziła się.

Było już po północy, gdy położyłam się do łóżka w obcym pokoju, który od tej pory miał być moim, w małym budyneczku za klubem, w ciemnym zakątku w głębi Bourbon Street, w stronę Esplanade Avenue. Mój nowy dom. Czekał na mnie ogromny bukiet kwiatów z powitalnym liścikiem od Aurelii i Giselle Denoux.

Czułam niepokój, jakby miała to być pierwsza noc reszty mojego życia. Czy będzie to życie złożone z samych nocy?

Po długiej podróży sen przyszedł szybko. Na obrzeżach świadomości unosiły się nasycone, charakterystyczne zapachy dzielnicy francuskiej, pomieszane z wonią kwiatów, ziół i przypraw oraz gęstą, bujną roślinnością znad brzegu Missisipi, dochodziło nawet echo dalekiej muzyki.

Przyszły też sny. Niepowstrzymana procesja obrazów, uczuć, wir jaskrawych emocji, nad którymi nie byłam w stanie zapanować.

Pływałam w morzu snów.

To było jak film na celuloidowej taśmie lecący z projektora. W przyspieszonym tempie i z pomyłonymi klatkami.

Winorośle z Wyspy, z obezwładniającą delikatnością rozpinają mnie jakby na krzyżu, otwierają mnie i penetrują, aż nieprzekraczalny próg rozkoszy stał się nieznośny i straciłam przytomność.

Potem znalazłam się na pustyni, zamknięta w labiryncie nagich ciał, pieprzona i pieprząca, radosna i zdesperowana, chciwie sięgająca do ognia, który oddalał się, jak tylko zrobiłam leniwy krok w jego stronę.

Widziałam siebie wśród uskrzydłych jasnowłosych chłopców, którzy brali mnie od tyłu i od przodu, ich twarde kutasy mnie wypełniały, aż nie mieli sił i musiała ich zastępować kolejna para, chcąc mnie zaspokoić, nakarmić nienasycenie.

Twarze.

Wszystkie twarze z mojego poprzedniego życia. Dominik. Simon. Victor. Lauralynn. Viggo. Giselle. Luba. Antony. Alissa. Aurelia. I

wiele, wiele innych, śmigających przeze mnie jak uciekające w popłochu lata świetlne.

Wszyscy przeskakiwali na ekranie i znikali, zostawiając po sobie pustkę. Dogłębny spokój.

Rozluźniłam się w tym śnie. Zatopiłam w spokoju.

Wyobraziłam sobie następne Bale. Błotnistą rzekę zarośniętą dziką roślinnością. Ciężkie słońce spoczywające na moich ramionach.

Tytaniczna obecność dżungli, wizerunki gibkich tancerek i akrobatów przelatujących przez ten bezmiar jak owady ze światła i z boskiej muzyki, uspokajającej ich nerwowe ruchy. Niewidzialne macki Balu, jego magiczne moce rozpełzające się po ziemi, rzece, niezmiernym krajobrazie, zarządzające wznoszonym nieustannie imperium żądy.

A ja pośrodku, kierująca, dyrygująca, dająca wskazówki. Moje ciało jako naczynie czekające na koronację, ubóstwienie.

Spokój.

Nowe wizje.

Pustynia lodu rozciągająca się we wszystkich kierunkach jak rozżarzona plama i ludzie jak mrówki, bardziej lub mniej roznegliżowani, poruszający się na palcach w tej białej przestrzeni, połączeni delikatnymi łańcuchami i wstążkami, wędrujący po dywanach w kolorze tęczy. A każda twarz spoglądała na mnie z szerokim uśmiechem zrozumienia. Poważali mnie. Witali.

Obudziłam się. Byłam mokra od potu. Pościel pode mną i na moim nagim ciele była skłębiona.

Na zewnątrz czekał nowoorleański poranek. Słyszałam głośne krople ciężkiego tropikalnego deszczu. Ciepła i cudowna burza, która przegoni zawieszona w powietrzu zapachy i zerwie pajęczyny.

Wstałam i naga zesłam po schodach. Otworzyłam drzwi do ogrodu, który oddzielał mały domek, gdzie mieszkałam, od większego budynku klubu. W ogrodzie pełno było kwiatów. Strumienie wody rozmywały ich barwy.

Wyszłam na deszcz.

Czekał na mnie Bal.

Pytał, czy jestem gotowa z nim zatańczyć.

– Tak – powiedziałam. – Z przyjemnością.

Podziękowania

Chcielibyśmy podziękować naszym dzielnym wydawcom w Niemczech i USA, Christianowi Rohrowi i Lindzie Walz z Carl's Book oraz Jane Friedman i Tinie Pohlman z Open Road Integrated Media za kolejne przystąpienie do świata Osiemdziesięciu Dni, Summer oraz Balu z entuzjazmem i pomocą. Nie byłoby nas tu także bez licznych wydawców w różnych krajach, którzy radośnie powitali nas w swoich drużynach.

Ta powieść nie ujrzałaby światła dziennego bez nieślabnących wysiłków naszej agentki Sarah Such i jej ekipy do spraw wydań zagranicznych: Rosie i Jessiki Buckman i Carrie Kanii. A przede wszystkim bez naszych fanów i czytelników sześciu wcześniejszych tomów z serii. Wasze komentarze i wiadomości na Twitterze i Facebooku mobilizowały nas do przesuwania pióra po papierze (lub palców po klawiaturze) w czasie tych nieuniknionych dni, gdy słowa nie chciały nadejść. Ogromne podziękowania należą się także Wendy Toole, naszej korektorce o sokolim wzroku, która wylapała i poprawiła kilka żenujących błędów konstrukcyjnych i fabularnych.

Połowa duetu o kryptonimie Jackson z wdzięcznością uchyla maskę przed Adamem i Dee, którzy zaoferowali jej dach nad głową, kiedy w kluczowym momencie została odcięta od Internetu. Nieustające i niepodlegające przedawnieniu podziękowania należą się też życiowemu partnerowi tejże połowy, który spokojnie czyta sobie w łóżku w pokoju obok lub w tej samej hotelowej sypialni, podczas gdy

kilka metrów dalej, dzień po dniu z klawiszy sphywają niewinnie słowa pełne żądz i romansu.

Vina natomiast jak zawsze winna jest podziękowanie swojemu pracodawcy za elastyczność wykraczającą daleko poza poczucie obowiązku oraz kolegom, którzy nie wyrazili nigdy choćby najmniejszego niezadowolenia, kiedy w ostatniej chwili prosiła ich o zastępstwo, bo musiała pędzić do domu i stawiać czoło deadline'owi. Najszczerze podziękowania dla Matta, którzy nieustająco służy wsparciem i zachętą, zarówno fotograficzną, jak i niefotograficzną, i któremu Summer zawdzięcza prawie całą swoją naturę. Dziękuję.

A także pozostałym przyjaciółom i członkom rodziny, którzy wiedzą, że o nich mówię, choć nie mogę wymienić ich imion, za to, że cierpliwie znosili odwoływane w ostatniej chwili spotkania, zbyt rzadkie maile i telefony oraz niewybaczalną nieobecność na urodzinach i przyjęciach z okazji zaręczyn, a za to zawsze byli na zawołanie, kiedy okazywało się, że nie zniosę już ani minuty dłużej przed ekranem laptopa.

Wicie, o kim mówię, i nie, nie znaleźliście się w książce, nie licząc Tony'ego, który w końcu został kapitanem małego statku w Brazylii (no dobrze, tak naprawdę łódki). Dziękuję wreszcie Terence'owi, który służył mi jako niezawodny budzik w te poranki, kiedy sen wydawał mi się ważniejszy niż dokończenie rozdziału, i który był obok, kiedy już prawie każde słowo w mojej połowie książki zostało napisane, a poza tym zawsze trwał w moich myślach. Jesteś najlepszy.

Przypisy

[1] Patrz powieść Viny Jackson *Odwieczny Bal*.